



Hans Christian
ANDERSEN
IMPROWIZATOR



Hans Christian
ANDERSEN

IMPROWIZATOR

PRZEŁOŻYL

HIERONIM FELDMANOWSKI



I

Co otaczało mnie w dzieciństwie

Kto był w Rzymie, widział zapewne Piazza Barberina, obszerny rynek z pięknym wodotryskiem, gdzie Tryton leje z muszli wodę tryskającą na kilka łokci w górę, a kto tam nie był, zna go może z rycin. Szkoda tylko, że na nich nie ma narożnej kamienicy przy Via Felice, owej wielkiej kamienicy, przy której ciecze z muru woda trzema rurami w kamienną wannę. Ten dom ma dla mnie wielkie znaczenie, bo w nim się urodziłem. Kiedy przychodzą mi na myśl lata dzieciinne, nasuwa się tak mnóstwo różnorodnych wspomnień, że doprawdy sam nie wiem, od czego zacząć. Wspominając zaś całą historię mego życia, jestem w jeszcze większym kłopotcie, jak ją opowiedzieć; co pominąć, jako mało ważne, a które wypadki wystarczają na przedstawienie jego obrazu w całości; bo może to, co mnie żywo zajmuje, jest dla innych obojętne. Mam zamiar opowiedzieć wiernie i zgodnie z prawdą wielkie przygody, ale próżność, nieszczęsna próżność, chęć podobania się ustawicznie temu przeszkadza. Już w dzieciństwie zaczęła ona zakorzeniać się jak perz na polu, a rosła jak owo ziarno gorczyczne, o którym mówi ewangelia, coraz wyżej i wyżej, aż stała się ogromnym drzewem, na którym moje namiętności słały sobie gniazda. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień najlepszy tego daje dowód. Mając lat sześć, bawiłem się z innymi dziećmi, młodszymi ode mnie, przy kościele Kapucynów. Na drzwiach kościoła wisiał mały mosiężny krzyżyk, przybity tak wysoko, że go nie mogłem ręką dosięgnąć. Ile razy matki nasze przechodziły tamtędy z nami, podnosiły nas na rękę i kazały ten święty znaczek całować. Kiedyśmy pewnego razu sami się bawili, zapytało któreś z dzieci, czemu Jezusek nie przychodzi nigdy się z nami bawić. Ja, chcąc się okazać mądrzejszy, odpowiedziałem, że nie może, bo przybity na krzyżu. Potem zbliżyliśmy się do krzyżyka, a chociaż na nim nie było Jezusa, chcieliśmy go jednak ucałować, jak nas nauczyły matki; ale żeśmy go ustami nie mogli dosięgnąć, więc jedno drugie podniosło do góry i kiedy usta już były do pocałunku złożone, ten, który towarzysza podsadził, nagle siły stracił, a całujący, co tylko miał dotknąć ustami niewidzialnego Jezusa, upadł na ziemię. Przechodziła właśnie w tej chwili moja matka, a widząc naszą zabawkę, zatrzymała się, złożyła dłonie i rzekła: Jesteście prawdziwe aniołki boże, a ty, mówiła, całując mnie, jesteś moim!

Słyszałem, jak potem powtarzała naszej sąsiadce, że jestem niewinnym aniołem. Bardzo mi się to podobało, lecz moja niewinność wielce ucierpiała, bo ziarno próżności już drasnął pierwszy ożywczy promyczek. Przyrodzenie obdarzyło mnie łagodnym, pobożnym umysłem, ale dobra matka zwróciła na to moją uwagę, wskazując moje własne, prawdziwe i urojone dobre przymioty, nie pomnąc na to, że niewinność dziecięca podobna jest do bajecznego bazyliuszka, który, skoro zobaczy sam siebie – umiera.

Spowiednikiem mojej matki był kapucyn, Fra Martino; jemu opowiadała także, jakie to ze mnie pobożne dziecko, co zapewne stąd wnosila, że umiałem doskonale na pamięć różne pacierze, nie rozumiejąc z nich ani słowa.

Kapucyn wielkie we mnie pokładał nadzieje, podarował mi obrazek Matki Boskiej płaczącej wielkimi łzami, które jak deszcz spadały w piekielne płomienie, a potępięncy chwyтали je chciwie

dla ochłody. Pewnego razu wziął mnie do swego klasztoru, gdzie otwarte krużganki otaczające w czworobok mały ogródek warzywny z dwoma cyprysami i jednym drzewem pomarańczowym wielkie na mnie zrobiły wrażenie.

Na krużganku tym wisiały dokoła stare portrety zmarłych mnichów, a na drzwiach do cel wiodących poprzylepiane były obrazki przedstawiające historie męczenników, którym przypatrywałem się z tak pobożnym uczuciem, z jakim później oglądałem arcydzieła Rafaela i Andrei del Sarto.

– Wyborny z ciebie chłopiec – mówił do mnie kapucyn – dlatego też pokażę ci naszych nieboszczyków. – To rzekłszy, otworzył drzwiczki do galerii położonej o kilka stopni niżej krużganka. Zeszliśmy na dół, zobaczyłem dokoła same trupie głowy, tak rzędami poukładane, że zakrywały całe ściany i tworzyły kaplice. Znajdowały się tam także nisze, w których stały całe kościotrupy znakomitszych mnichów w brunatnych habitach, przepasanych powrozami, z książkami lub suchymi kwiatami w rękach. Ołtarz, świeczniki i ozdoby porobione były z łopatek i kości pacierzowych, a płaskorzeźby z kostek ludzkich, wszystko bez najmniejszego smaku, jak cały ten pomysł. Uczepiłem się mocno sukni mnicha szepczącego pacierze, który odwróciwszy się do mnie, rzekł:

– I ja będę tu kiedyś spoczywał; odwiedzisz mnie też wtedy?

Nic nie odpowiedziałem, lecz patrzyłem z przestachem to na niego, to na dziwaczny, przerażający obraz, jaki mnie otaczał.

Było to nierozsądnie wprowadzać dziecko do takiego przybytku. To, co ujrzałem, zrobiło na mnie straszliwe wrażenie i dopiero wtedy odzyskałem spokój, kiedy weszliśmy do małej celi, gdzie piękne złote pomarańcze wisiały w samym oknie i kiedy zobaczyłem ładny obrazek Madonny, niesionej przez aniołów do nieba, gdy tymczasem grób, w którym spoczywała, wypełniało mnóstwo kwiatów.

Te pierwsze odwiedziny klasztoru długi czas zajmowały moją wyobraźnię i jeszcze dotąd bardzo żywo stoją mi w oczach.

Kapucyn zdawał mi się zupełnie inną istotą niż ludzie, których znałem. Jego pobyt między umarłymi, do których zupełnie był podobny w swej żalobnej sukni, mnóstwo historii, które o świętych pańskich i zadziwiających cudach umiał opowiadać, głębokie uszanowanie, jakie moja matka okazywała dla jego pobożności, obudziły we mnie pragnienie, bym i ja też został takim zakonnikiem.

Matka moja była wdową, utrzymywała się tylko z tego, co zarobiła szyciem i co jej przynosiło wynajęcie dużej izby, którą niegdyś zamieszkiwaliśmy sami, a którą teraz zajmował młody malarz Federigo. Myśmy zaś pomieścili się w małym pokoiku na poddaszu. Federigo był młodzieńcem rzeńskim, wesołym, pochodził z dalekich krajów, gdzie, jak mi mówiła matka, nie znają ani Madonny, ani Jezusa – był on z Danii.

Wówczas nie wiedziałem wcale, że jest więcej języków niż tylko jeden i myślałem, że Federigo dlatego mnie nie rozumie, że nie słyszy; aby się więc z nim rozmówić, krzyczałem na całe gardło. On śmiał się ze mnie i dawał mi często jakiś owoc albo rysował dla mnie żołnierzy, konie i domki. Tym sposobem prędko się zaprzyjaźniliśmy, a ja wręcz szczerze go pokochałem, matka zaś często mówiła, że to dobry człowiek.

Tymczasem wysłuchałem pewnego wieczoru rozmowę matki z kapucynem Fra Martino, która obudziła we mnie szczególniejsze uczucie ku młodemu artyście. Matka pytała, czy ów cudzoziemiec skazany jest na wieczyste piekło.

– Przecież on, jak też większa część cudzoziemców są uczciwymi ludźmi – mówiła – którzy nie robią nic złego. Są dobroczynni dla ubogich, rzetelnie i na czas oznaczony płacą. Często więc myślałam sobie, iż oni nie popełniają takich grzechów, jak wielu z naszych ziomeków.

– To prawda – odpowiedział Fra Martino – że po większej części są porządnymi ludźmi, ale wiecie, skąd to pochodzi? Oto szatan, który po świecie się włóczy, wie dobrze, że odszczepieńcy raz na zawsze do niego należą, dlatego też nie wodzi ich na pokuszenie. Nic dziwnego więc, że im łatwo być dobrymi i występków unikać. Każdy katolik zaś jest synem bożym, dlatego szatan musi przeciw nam zażywać różnych pokus i kusi nas, a my słabe stworzenia upadamy, ale odszczepieniec nie bywa nigdy, jak już powiedziałem, kuszony przez diabła pożądliwościami.

Na to nie umiała moja matka nic odpowiedzieć, westchnęła tylko głęboko nad biednym młodzieńcem, a ja zacząłem płakać, bo mi się to wydawało wielką niesprawiedliwością, że on, taki dobry, co tak piękne malował dla mnie obrazki, miał wiecznie w piekle gorzeć.

Trzecią osobą, która w życiu moim młodym ważną odegrała rolę, był wuj Peppo, zwany popolicie zły Peppo albo król Schodów Hiszpańskich¹, gdzie co dzień zasiadał. Przyszedł on na świat z uschlými i na krzyż zrosłymi nogami, lecz umiał już od dzieciństwa z zadziwiającą zręcznością czołgać się za pomocą rąk, które ozuwszy w pewien rodzaj sandałów, opierał na ziemi i podskakiwał tak prędko, jakby miał najlepsze nogi. Siadywał co dzień, jak powiedziałem, na Schodach Hiszpańskich. Nie żebrał wprawdzie nigdy w zwykły sposób, ale każdemu przechodzącemu, choćby po zachodzie słońca, posyłał głośne *buon giorno*, chytrze się uśmiechając. Matka moja nie cierpiała go, wstydziała się nawet tego pokrewieństwa, a jednak przez wzgląd, jak mówiła, na mnie, była dla niego grzeczna, powtarzając często, że on ma w skrzynce to, czego nam dopiero szukać trzeba, że gdy będę traktował go po przyjacielsku, to zostanie jedynym jego spadkobiercą, jeżeli swego majątku nie przekaże jakiemu kościołowi. Peppo miał dla mnie pewien rodzaj przywiązania, lecz ja nigdy w jego towarzystwie nie byłem wesoły. Pewnego razu stałem się świadkiem sceny, która mi wielkiego napędziła strachu, a zarazem charakteryzowała jego serce. Na najniższym stopniu schodów siedział niewidomy żebrak, który potrząsał blaszaną puszką, aby ludzie wrzucili w nią choć bajoka. Kilku minęło mego wujaszka, nie zważając na jego obłudne pozdrowienia i wywijanie kapeluszem, podczas gdy niewidomy, milcząc, odbierał jałmużnę. Już trzej przechodnie dali mu wsparcie, nadszedł wreszcie czwarty i dał bajoka. Peppo nie mógł tego dłużej znieść, patrzyłem, jak się schołgał po schodach niby wąż i uderzył niewidomego w twarz, tak że ten i pieniądze, i kij upuścił.

– Ty złodzieju! – krzyknął mój wujaszek. – Będziesz okradał? Ty, co nawet nie jesteś prawdziwym kaleką! Nie widzi! To całe jego kalectwo, a chleb mi spod nosa zabiera!

Więcej nie słyszałem i nie widziałem, gdyż przerażony pobiegłem co tchu do domu z fogliettą wina, po które byłem posłany. W wielkie uroczystości musiałem z matką chodzić do niego w odwiedziny, przynosząc mu to i owo w podarunku, na przykład wielkie winogrona albo marynowane jabłka, które były jego przysmakiem. Musiałem całować go w rękę i mówić „wujaszku”, na co on się dziwnie uśmiechał i dawał mi pół bajoka, upominając, ażebym go chował i tylko patrzył na niego, a nie tracił na ciastka, bo gdy zjem, nie będę miał nic, a gdy pieniądze schowam, to zawsze będę miał coś.

Jego mieszkanie zdawało mi się ponure i brudne. W jednej izdebce nie było wcale okna, w drugiej zaś znajdowało się wysoko w ścianie, a potłuczone szyby pozalepiano papierem.

Sprzętów nie było wcale, tylko duża szeroka skrzynia służąca mu za łoże i dwie beczułki, w których chował rzeczy. Ile razy byłem zmuszony iść do niego, zawsze płakałem, a chociaż

matka często mnie upominała, żebym był dla niego grzeczny, to gdy się na mnie pogniewała, straszyla mnie nim jak upiorem. Mawiała wtedy, że mnie pośle do kochanego wuja, że będę mógł siadywać z nim na Schodach Hiszpańskich i śpiewać, a wtedy się na coś przydam, gdy zarobię bajoka.

Wiedziałem jednak dobrze, że tak źle nie myślała, bo byłem jej ulubieńcem, miłszym nad wszystko.

Na murze kamienicy naprzeciw naszego mieszkania znajdował się obraz Matki Boskiej, przed którym zawsze się paliła lampa. Co wieczór, gdy zadzwoniono na Anioł Pański, klękałem z dziećmi sąsiadów i śpiewaliśmy pieśni na cześć Madonny przed jej obrazem i pięknym Dzieciątkiem Jezus, ustrojonymi we wstążki, perły i srebrne serduszka. Zdawało mi się często przy migającym świetle lampy, że się oboje poruszają i uśmiechają do nas. Śpiewałem czysto i donośnie i mówiono, że śpiewam pięknie. Pewnego razu zatrzymała się przechodząca koło nas rodzina angielska i słuchała, a kiedyśmy powstali, dał mi ów angielski pan srebrny pieniądz.

– To za to – powiedziała mi potem matka – żeś tak pięknie śpiewał.

Jakże mi ta okoliczność stała później na przeszkodzie! Odtąd nie o samej tylko Madonnie myślałem, śpiewając przed jej obrazem, lecz o tym, czy ktoś nie słucha, jak pięknie śpiewam. Takie mając myśli, czułem zarazem żal serdeczny i obawę, aby się na mnie nie rozgniewała i prosiłem w niewinności serca, ażeby łaskawie spojrzała na mnie biednego.

Śpiew wieczorny był jedynym węzłem, który mnie łączył z innymi dziećmi. Żyłem spokojnie w świecie własnych marzeń, mogłem leżeć całymi godzinami z twarzą zwróconą do otwartego okna i wpatrywać się w prześliczne szafirowe niebo, przyglądać się szczególnie grze kolorów, kiedy przy zachodzie słońca obłoki z fioletowymi rąbkami słaniały się na złocistym tle. Często nachodziło mnie pragnienie, żebym mógł wzbić się wysoko i lecieć daleko poza Kwirynał i wszystkie kamienice, aż ku wyniosłym piniom, które jak czarne duchy sterczały na purpurowym widnokręgu. Zupełnie odmienny miałem widok z drugiej strony naszego pokoiku. Tam było nasze i naszego sąsiada podwórko; obydwu małeńkie, otoczone wysokimi kamienicami, a z góry prawie całkiem zakryte wielkimi altanami. Pośrodku obydwu podwórek były murowane studnie; miejsce pomiędzy nimi a ścianami kamienic tylko tak szerokie, że jedna osoba mogła obejść studnię dokoła. Patrzyłem więc z góry tylko w dwie głębokie studnie, obrosłe delikatną zielenią, nazwaną u nas włosami Wenery, która w głębi studzien niknęła w pomroce. Zdawało mi się, że zaglądam do wnętrza ziemi, gdzie moja fantazja najdziwaczniejsze wytwarzała obrazy. Tymczasem matka moja postawiła na oknie wielką różgę, ażeby patrząc na nią, wiedział, jakie tu dla mnie rosną owoce, a zarazem na przestrogę, abym nie wypadł oknem i nie utopił się.

Ale przejdę do wypadku, który o mało co nie położył końca całej historii mego życia na samym jego początku.

¹ Z placu Hiszpańskiego prowadzą szerokie kamienne schody o więcej niż stu pięćdziesięciu stopniach, wysokie jak czteropiętrowe kamienice, na Monte Pincio, do znajdujących się tam ulic. Te schody są głównym miejscem zgromadzeń rzymskich żebraków, a wzięły nazwę od placu, z którym się stykają.

II

Wycieczka do katakumb. Zostaję chórzystą. Miły aniołek. Improwizator

Lokator nasz, młody malarz, brał mnie niekiedy ze sobą na krótkie wycieczki. Nie przeszkadzałem mu wcale, gdy to lub owo szkicował, a gdy skończył, bawił się moim szpaczkowaniem, bo już nasz język rozumiał. Byłem z nim raz pewnego w tak zwanych Curia Hostilia, głęboko w ciemnych jaskiniach, gdzie w dawnych czasach przechowywano dzikie zwierzęta przeznaczone na igrzyska i gdzie zarazem niewinnych niewolników rzucono na pastwę rozjuszonym lwom lub hienom. Mnich, który nas oprowadzał po tych ciemnych podziemiach, czerwoną pochodnią o mur uderzał, aby się lepiej paliła. Były tam głębokie murowane sadzawki, w których woda stała czysta jak zwierciadło, tak przezroczysta, że trzeba ją było poruszyć pochodnią, ażeby się przekonać, że aż po same krawędzie sięga, nie zaś próżna jest to przestrzeń. Wszystko to nadzwyczaj rozpałało moją wyobraźnię, za to trwogi wcale nie czułem, bo nie miałem jeszcze pojęcia o żadnym niebezpieczeństwie.

– Czy idziemy dzisiaj do pieczar? – zapytałem pewnego dnia malarza, gdy spostrzegłem w końcu ulicy wierzchołki murów Koloseum.

– Nie – odpowiedział – pójdziemy zobaczyć coś większego, tam dopiero ujrzysz wiele rzeczy! I ciebie też dziś narysuję, mój miły chłopcze!

Szliśmy dalej i coraz dalej, pomiędzy białymi murami opasującymi winnice i ruinami dawnych łaźni, aż wyszliśmy poza Rzym. Słońce paliło niezmiernie; wieśniacy porobili sobie na wozach szałasy z zielonych gałązek i spali, podczas gdy konie wlokły się powoli i skubały siano, które im w wiązkach poprzywiązywano do boków. Wreszcie przyszliśmy do groty Egerii, gdzie zjedliśmy śniadanie, dolawszy do wina świeżej wody wytryskującej spomiędzy załomów kamiennych. Ściany i sklepienia, cała grotta okryta była wewnątrz najdelikatniejszą zielenią, jakby kobiercem utkany z jedwabiu i aksamitu, a wokół obszernego wejścia zwieszał się bluszcz jędrny i bujny jak winorośle kalabryjskich dolin. O kilka kroków od groty stoi (a raczej stał, bo dzisiaj już leży w gruzach) mały, pusty domek zbudowany nad jednym z niskich otworów wiodących do katakumb. Te katakumby były, jak wiadomo, w dawnych czasach drogą komunikacyjną pomiędzy Rzymem a leżącymi wokół niego miasteczkami, ale później częściowo się pozawałały, częściowo zostały zamurowane, ponieważ służyły rozbójnikom i przemytnikom za kryjówki. Wejście przez kościół Świętego Sebastiana, a drugie przez ten opustoszały domek były wówczas jedyne, i myślę, że byliśmy ostatni, którzy się tędy spuszczaaliśmy, bo wkrótce potem i to wejście zatarasowano. Zostało więc tylko jeszcze jedno przez kościół, otwierane zwiedzającym przez przewodnika mnicha.

Głęboko w ziemi krzyżują się korytarze wykopane w miękkim gruncie. Ich mnogość i podobieństwo mogą nawet znajęcego główny ich kierunek zmylić. Ja żadnego o tym wszystkim nie miałem wyobrażenia, a malarz tak się przygotował, że bez wahania mnie, małego chłopca, wziął ze sobą.

Zapalił świecę, a drugą wsadził do kieszeni; przywiązał kłębek szpagatu przy otworze, którym się spuściliśmy na dół, i nasza wędrówka się zaczęła. Korytarze były niekiedy tak niskie, że ledwo ja mogłem iść wyprostowany; niekiedy urastały w wysokie sklepienia, a w miejscach krzyżowania rozszerzały się w wielkie czworoboki. Przechodziliśmy przez rotundę, gdzie pośrodku stoi kamienny ołtarzyk, tam właśnie pierwsi od pogan prześladowani chrześcijanie odbywali potajemnie swoje nabożeństwa. Federigo opowiadał mi o czternastu papieżach i wielu tysiącach męczenników, którzy tu leżą pochowani. Świeciliśmy latarnią w szpary grobowców znajdujących się we wnękach i widzieliśmy tam poźółkłe kości. Postąpiliśmy jeszcze kilka kroków w głąb, potem stanęliśmy, bo szpagat już się skończył. Federigo uwiązał więc koniec u dziurki od surduta, wetknął świecę pomiędzy kamienie i zaczął te głębokie korytarze rysować. Ja siedziałem tuż obok niego na kamieniu. Kazał mi złożyć ręce i patrzeć do góry; świeca już się do połowy spaliła, ale obok leżała jeszcze jedna cała; przy tym miał ze sobą hubkę i krzesiwo, aby ją zapalić, gdyby przypadkiem miała zgasnąć.

W mojej fantazji roily się tysiące dziwacznych postaci po tych rozległych korytarzach, otwierających się przed nami dlatego tylko, aby nam okazać nieprzebitą ciemność. Wszędzie panowała głęboka cisza, tylko po ścianach ściekające krople wydawały głos jednostajny. Gdy tak siedziałem zamyślony, przestraszył mnie nagle mój przyjaciel malarz, gdyż wydał szczególniejsze westchnienie, prawie jęk i począł w jednym miejscu w kółko biegać. Co chwila schylał się, jakby chciał coś z ziemi podjąć, potem zapalił drugą świecę i szukał ciągle w koło siebie. Patrząc na dziwne jego ruchy, przeląknęłam się i z płaczem zerwałam się z miejsca.

– Siedz w miejscu, chłopcze! – rzekł. – Jeżeli Boga kochasz, siedz!

A potem znowu szukał czegoś na ziemi.

– Ja wyjdę! – zawołałem. – Ja tu nie zostanę w tej jaskini!

I pochwyciwszy za rękę, chciałem go pociągnąć za sobą.

– Moje dziecko! Ty jesteś grzeczny chłopczyk – mówił Federigo – dam ci obrazki i ciastka; masz pieniądze! – I dobywszy sakiewkę z kieszeni, oddał mi wszystko, co w niej było, ale poczułem, że jego ręka była zimna jak lód i że cały drżał. Wtedy opanowała mnie jeszcze większa trwoga i zacząłem wzywać matkę. Lecz on pochwycił mnie gwałtownie za ramię, wstrząsnął mną silnie i rzekł:

– Jeżeli nie będziesz spokojny, to cię obiję.

Potem przywiązał mnie za rękę do chustki i przytrzymał, lecz zaraz schylił się i całując mnie z wielkim wzruszeniem, nazywał swoim kochanym Antoniem, wreszcie dodał:

– Módl się ty także do Matki Boskiej!

– Czy sznurek zginął? – zapytałem.

– Już my go znajdziemy – odpowiedział. – Znajdziemy!

I znowu zaczął szukać. Tymczasem dopaliła się jedna świeca, a gdy druga zaczęła się od ciągłego poruszania topic i coraz bardziej upalać, powiększył się jego strach. Niepodobna bowiem było wyjść stamtąd, nie odszukawszy sznurka, każdy krok mógł nas zawieść coraz głębiej, skąd nikt nie byłby w stanie nas wybawić.

Po daremnym szukaniu rzucił się wreszcie na ziemię, uściskał mnie i wyjąkał:

– Biedne ty, dziecko!

Zapłakałem okropnie, bo myślałem, że już nigdy nie wrócę do domu. Gdy leżał na ziemi, przycisnął mnie tak mocno, że ręka moja opadła bezwładnie pod niego; chwyciłem piasek

i nagle poczułem w palcach szpagat.

– Oto jest! – zawołałem.

Porwał mnie za rękę i prawie szalał z radości, bo wtedy doprawdy życie nasze wisiało na nitce czy raczej sznurku. Byliśmy wybawieni!

O jakże mile zaświeciło słońce, jak cudnie szafirowe było niebo, jak prześliczna wydała się zieleń drzew i krzewów, gdy wyszliśmy na otwarte powietrze! Biedny Federigo znowu mnie ucałował, wyjął ładny srebrny zegarek z kieszonki i rzekł:

– Daruję ci go!

Tak się ucieszyłem, że od razu zapomniałem o wszystkim, co się stało, ale moja matka nie mogła nigdy zapomnieć, gdy się o całym wydarzeniu dowiedziała i odtąd nie pozwoliła mi nigdy wychodzić z Federigiem. Fra Martino upewniał ją, że tylko za moją przyczyną zostaliśmy ocaleni, ponieważ Madonna mnie, a nie kacerzowi Federigo nic podała. Przy tym przypomniał, że jako dobre, pobożne dziecię nie powinienem nigdy zapominać o jej dobroci i łasce. Ta okoliczność, jak też różne żartobliwe przytyki moich znajomków, że się urodziłem na księdza, ponieważ poza matką moją nie cierpiałem innych kobiet – spowodowały, że mnie przeznaczyła do służby kościelnej. Sam nie wiem dlaczego, ale każda kobieta była mi nieznośna, a że często otwarcie to głosiłem, wszystkie dziewczęta i kobiety, które moją matkę odwiedzały, pragnęły zmienić moje skłonności.

Wszystkie chciały mnie całować, szczególnie jedna z nich, młoda wieśniaczka Mariuccia, która mi tymi żarcikami niejedną łzę wycisnęła.

Była ona nadzwyczaj żywa i swawolna, utrzymywała się z tego, że pozowała malarzom i dlatego ubierała się zawsze w piękne barwne suknie, a na głowie nosiła dużą białą chustkę płócienną. Często siadywała u Federiga, potem przychodziła do mojej matki i zwykle wtedy mawiała, że ona jest moją narzeczoną, a ja jej małym narzeczoną, dlatego powinienem ją pocałować. Ja tego nigdy nie chciałem zrobić, ale ona całowała mnie przemocą. Ponieważ raz pewnego płakałem, mówiła, że sobie postępuję jak malutkie dziecko, chciała mnie więc wziąć na łono i kołysać, ale ja uciekłem z pokoju; dogoniła mnie jednak, wzięła na łono i przyciskała twarz moją, którą ze wstrętem odwracałem, coraz silniej do piersi. Wyrwałem jej srebrną strzałkę z włosów, które spadły gęstymi kędziorami na mnie i jej obnażone ramiona. Matka stała przy kominku i śmiejąc się, zachęcała Mariuccię tym bardziej, im silniej się broniłem, a Federigo stał niepostrzeżony we drzwiach i rysował tę grupę.

– Ja nie chcę narzeczonej, nie chcę się żenić! – wołałem do matki. – Ja będę księdzem albo kapucynem, jak Fra Martino.

Dziwne dumania, w których często całe wieczory siedziałem pogrążony, uważała moja matka także za znaki powołania do stanu duchownego. Ja tymczasem marzyłem tylko o tym, jakie będę budował pałace i kościoły, gdy będę duży i bogaty; jak sobie będę jeździł w kardynalskiej czerwonej karecie, za którą stać będą lokaje w złotym wyszywanych liberiach, albo też układałem nowe opowieści z historii o męczennikach, które mi opowiadał Fra Martino. Oczywiście jest, że sam odgrywałem w nich rolę głównego bohatera, który przy pomocy Madonny nigdy nie będzie czuł żadnych męczarni. Szczególnie wielka napadała mnie ochota zwiedzenia ojczyzny Federiga i nawracania tamtejszych mieszkańców, ażeby także i oni dostąpili zbawienia!

Jak to Fra Martino czy moja matka urządzili, tego nie wiem, dosyć, że pewnego poranku matka ubrała mnie w fioletową sukienkę i oblekła w komeżkę gazową sięgającą kolan, po czym

kazała mi przejrzeć się w lusterku. Zostałem chórzystą w kościele Kapucynów; miałem nosić wielką kadzielnicę i śpiewać przed ołtarzem razem z innymi. Fra Martino nauczył mnie wszystkiego. O, jakże byłem szczęśliwy! Wkrótce czułem się w małym, ale miłym kościołku kapucyńskim jakby w domu. Znałem każdego aniołka na ołtarzach, każdą rzeźbę na filarach; nawet z zamkniętymi oczyma widziałem pięknego archanioła Michała walczącego z obrzydliwym smokiem, tak jak go malarz przedstawił, i dziwne snułem myśli na widok trupich głów wykutych w posadzce, otoczonych zielonymi wieńcami z bluszczu.

Podczas uroczystości wszystkich świętych znajdowałem się w grobowcowej kaplicy, dokąd mnie Fra Martino zaprowadził przy pierwszej mojej bytności w klasztorze. Wszyscy kapucyni odprawiali msze zaduszne, a ja z dwoma rówieśnikami wahałem kadzielnicą, przed wielkim ołtarzem złożonym z samych trupich głów. W świecznikach z kości paliły się świece. Kościotrupy mnichów miały na czaszkach świeże wieńce z kwiatów, a w rękach świeże bukiety. Ludu zeszło się jak zwykle dużo. Wszyscy klęczeli, a śpiewacy zaczęli uroczyste *Miserere*. Długo patrzyłem osłupiałym wzrokiem na poźółkłe czaszki i obłoczki kadzideł ślaniające się pomiędzy mną a trupimi głowami w dziwacznych kłębach. Naraz wszystko zaczęło się w moich oczach obracać; zdawało mi się, że patrzę na przeogromną tęczę, w uszach zaczęło mi dzwonić jakby tysiące dzwonek pogrzebowych. Wydawało mi się, że płynę jakąś rzeką, wszystko było niewypowiedzianie piękne. Więcej nie wiem – zemdlałem.

Utratę przytomności spowodowało powietrze zgęszczone od natłoku ludzi i moja wzburzona wyobraźnia. Gdy ocknąłem się, leżałem na kolanach Fra Martina, pod drzewem pomarańczowym w ogródku klasztornym.

Moją powikłaną opowieść o tym, co mi się wydawało, że widziałem, uznał on i wszyscy zakonnicy za objawienie. Mówili, że się przede mną przesunęły dusze nieboszczyków, ale że nie mogłem znieść ich blasku i wspaniałości.

Ponieważ wkrótce potem miałem kilka nadzwyczajnych snów, a nawet sam niektóre wymyśliłem i matce opowiedziałem, co ona powtórzyła swoim sąsiadom, to spowodowało, że mnie z coraz większym przekonaniem zaczęto uważać za nadzwyczajne dziecko, będące w łasce u Boga.

Tymczasem zbliżały się miłe święta Bożego Narodzenia. Pasterze z gór, zwani *pijferari*, w krótkich płaszczach, spiczastych kapeluszach ze wstęgami przybyli do miasta i przed każdym domem, na którym był obraz Madonny, oznajmiali, że nadszedł czas narodzin Zbawiciela. Co rano budziłem się na ten jednostajny, posepny odgłos, a wtedy zabierałem się zaraz do uczenia się na pamięć mowy. Byłem bowiem w tej grupie dzieci, które pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem miały wygłosić mowę w kościele Ara coeli² przed obrazem Chrystusa Pana.

Nie tylko ja, matka i Mariuccia cieszyliśmy się, że ja, dziewięcioletni chłopiec, będę miał mowę, ale i malarz Federigo, przed którym, stojąc na stole, wygłaszałem ją na próbę. Również na taki stół, tylko pokryty kobiercem, postawiono nas w kościele, gdzie przed zgromadzonym ludem prawiliśmy, nauczywszy się na pamięć, mowę o zakrwawionym sercu Matki Boskiej i o piękności Dzieciątka Jezus. Nie byłem wcale stremowany, tylko z radości serce mi głośno biło, gdy wystąpiłem na to podwyższenie, a oczy wszystkich się na mnie zwróciły. Zdawało się nie ulegać wątpliwości, że mnie ze wszystkich dzieci najlepiej się powiodło. Wtem postawiono na stole małą dziewczynkę, tak nadzwyczajnie delikatnej postaci, przy tym o tak ślicznej, pogodnej twarzy, a tak wdzięczny głos mającą, że wszyscy zawołali prawie jednogłośnie: Co to za miłe, anielskie dziecko! Nawet moja matka, która mnie rada chciała przyznać pierwszeństwo,

wyznała głośno, że dziewczyneczka wygląda zupełnie jak anioł na obrazie wielkiego ołtarza. Prześliczne czarne oczy, dziecinna, a jednak mądra twarzyczka, włosy czarne jak krucze pióra, piękne malutkie rączki – o tym wszystkim dużo mi matka opowiadała, dodając jednak, że i ja wyglądałem jak anioł.

Jest piosenka o słowiku, że kiedy jeszcze był młody i na gniazdku siedział, dziobał zielone listki różanego krzewu, nie dostrzegłszy wcale pączka, który się już zawiązywał. Parę miesięcy potem, gdy róża zakwitła, śpiewał tylko o niej, trzepotał się pomiędzy jej kolcami i krew na nią serdeczną wylał. Ta piosenka często mi w późniejszych latach przychodziła na myśl, ale kiedy byłem w kościele Ara coeli, jeszcze jej nie słyszałem – ani uszom, ani sercu memu nie była znana.

W domu musiałem przed matką, Mariuccią i kilkoma przyjaciółkami matki powtórzyć moją mowę, co niemało schlebiało mojej próżności. Tymczasem prędej je odeszła chęć słuchania niż mnie jej powtarzania. Aby więc moją publiczność utrzymać w dobrym usposobieniu, postanowiłem sam ułożyć kolejną mowę. Lecz ta była raczej opisem uroczystości kościelnej niż mową o bożym narodzeniu. Federigo był pierwszym moim słuchaczem; a chociaż się śmiał, pochlebiał mi jednak, mówiąc, że moja mowa w każdym względzie tak dobra, jak owa, której mnie nauczył Fra Martino, i że we mnie tkwi ukryty poeta. Te ostatnie wyrazy nadzwyczaj mnie zastanowiły, bo nie rozumiałem, co to znaczy i wyobrażałem sobie, że jakiś dobry anioł we mnie siedzi, może ten sam, który mi we śnie ukazuje tyle pięknych obrazów. Dopiero później, letnią porą przypadkowo dowiedziałem się całkiem dokładnie, co oznacza bycie poetą i wtedy powstały w duszy mojej całkiem nowe pomysły.

Matka moja rzadko wychodziła z dzielnicy, w której mieszkaliśmy. Dlatego wielce się ucieszyłem, kiedy razu jednego powiedziała, że pójdziemy na Zatybrzeż odwiedzić pewną jej przyjaciółkę.

Zostałem świątecznie ubrany; pstry płatek jedwabny, który nosiłem zwykle na piersiach pod kurtką, poprzipinała matka szpilkami, chustkę zawiązała w kokardę i wcisnęła mi na głowę wyszywając czapeczkę. Wyglądałem bardzo ładnie.

Gdyśmy wracaliśmy z odwiedzin, było już dosyć późno, ale księżyc świecił prześlicznie, niebo było jasne, powietrze świeże, cyprysy i pinie pobliskich pagórków widać było w jak najwyraźniejszych zarysach. Był to jeden z owych wieczorów, które chociaż nie odznaczają się żadnym ważniejszym wypadkiem, jednak pozostają w duszy odbite na zawsze całą grą kolorów. Ile razy przypomnę sobie Tyber, widzę go zawsze takim, jak owego wieczoru. Widzę jego gęstą, żółtą wodę oświeconą księżycem, czarne kamienne słupy starego, zburzonego mostu sterczące nad wodą, rzucające olbrzymie cienie tuż przy wielkim kole stukającego młyna, nawet wesołe dziewczęta, przebiegające z tamburynem i tańczące saltarello⁴.

Na ulicach przy Santa Maria della Rotunda pełno jeszcze było życia i ruchu. Rzeźnicy i przekupki owoców siedzieli za stołami, na których leżały ich towary wśród laurowych wieńców, a świece paliły się na otwartym powietrzu. Pod kagankami napełnionymi kasztanami paliły się ognie, a rozmowa zamieniała się od czasu do czasu w taki krzyk i hałas, że cudzoziemiec nierozumiejący po włosku myślałby, że wszyscy najokropniej się kłócą.

Jakaś stara znajoma, którą moja matka poznała w pewnej rybaczce, zatrzymała nas tak długo, że już zaczęto świece gasić, nim poszliśmy dalej; a gdy matka odprowadziła jeszcze ową kobietę aż do jej mieszkania, wszystko na ulicach ucichło, nawet na Corso panowała grobowa cisza. Ale kiedy weszliśmy na plac di Trevi, gdzie znajduje się przepyszna kaskada, doleciały nas wesołe

śpiewy.

Światło księżycy padało właśnie na starożytny pałac, gdzie woda wytryska spomiędzy głazów fundamentu, które zdają się luźno na kupę zrzucone. Ciężki kamienny płaszcz Neptuna zdawał się na wietrze łopotać, podczas gdy bożek, mając po bokach trąbiących trytonów, którzy powozili morskimi końmi, patrzył z góry na ów wielki wodospad. Pod tą grupą stała ogromna kamienna wanna, a wkoło niej na stopniach spoczywała gromada wieśniaków oświetlona księżycem. Obok nich leżały wielkie porozkrawane arbuzy, z których sączył się czerwony sok. Mały chłopiec, którego ubiór stanowiła koszula i krótkie płócienne u kolan rozpięte spodnie, siedział z gitarą w ręku i przegrywał wesoło. Śpiewał zwrotkę, drugą przegrywał, a wszyscy chłopcy klaskali.

Zatrzymaliśmy się i usłyszałem piosnkę, która mnie dziwnie wzruszyła. Nie była też to zwyczajna piosnka jak inne – nie! On śpiewał o tym, cośmy w tej chwili słyszeli i na cośmy patrzyli, nawet mnie i matkę moją wspomniał w tej pieśni. On śpiewał, chwając, jak pięknie tutaj z kamieniem pod głowami pod niebieską kołdrą spoczywać, podczas gdy dwaj pasterze przegrywali na piszczałkach. Potem wskazał na trąbiących trytonów i śpiewał, że tak cały tłum wieśniaków, którzy tu z arbuzów krew wytoczyli, pić będzie zdrowie śpiących teraz kochanek, które we śnie widzą kopułę Świętego Piotra i kochanków swoich, tułających się po papieskim mieście. Tak wypijemy za zdrowie ich i wszystkich dziewcząt, których strzałki jeszcze nie otworzyły rączek⁵.

– Tak – dodał śpiewak, uszczypnąwszy lekko moją matkę w rękę – będzie i zdrowie signory, i kochanki, którą zdobędzie sobie ten chłopczyk, nim jeszcze puch czarny porośnie mu na brodzie.

– Brawo! – wykrzyknęła moja matka i wszyscy wieśniacy przyklasnęli i zakrzyczeli:

– Brawo, Giacomo! Brawo!

W tej chwili spostrzeżliśmy po prawej stronie, na stopniach małego kościółka, naszego znajomka Federiga, który stojąc tam z ołówkiem w ręku, rysował o księżycu cały ten wesoły obrazek. Gdy wracaliśmy do domu, żartował z moją matką z obojętnego improwizatora; tak nazywali chłopka, który pocieszenie śpiewał.

– Antonio – rzekł do mnie Federigo – powinieneś być także coś zaimprovizować. Wszakże i ty jesteś małym poetą! Musisz nauczyć się gadać wierszami.

Wtedy dopiero pojąłem, czym być powinien poeta – tym, który to, co widział i uczył, pięknie wyśpiewać umie. „To by było prześlicznie – pomyślałem – i zapewne nietrudno, gdybym tylko miał gitarę”.

Pierwszym przedmiotem mego śpiewu był znajdujący się naprzeciw nas sklep wiktuałów naszego sąsiada. Moją fantazję już od dawna zajmowała szczególna wystawa jego towarów, osobliwie uderzająca cudzoziemca. Pomiędzy laurowymi girlandami wisiały białe sery bawole jakby strusie jaja. Świece poobwijane złotym papierem przedstawiały organy – kiszki poustawiano w filary, a na wierzchu ich spoczywały sery parmezańskie świecące złotawym bursztynem. Kiedy to wszystko wieczorem oświetlono, a przed obrazkiem malowanym na ścianie, pomiędzy salcesonami a prosciutto zapalono lampę z czerwonego szkła, zdawało mi się, że widzę świat zaczarowany. Kot na stole siadający i młody kapucyn, który zawsze długo się z signorą targował, także zajęli miejsce w moim poemacie. Przeszedłem go w myśli kilka razy, nim go przed Federigiem wydeklamowałem. Uzyskał jego oklaski i rozszedł się potem po całym domu, a nawet doszedł do uszu żony kupca wiktuałów, która go nazwała cudownym poematem,

wręcz *Divina commedia di Dante*.

Od tego czasu ciągle składałem wiersze. Żyłem fantazją i marzeniami. Towarzyszyły mi w kościele, kiedy wahałem kadzielnicą wśród zakonnych pieśni; na ulicach pod rytm turkotu pojazdów i krzyczących przekupniów – aż do mego łóżeczka stojącego pod obrazkiem Madonny i kropielniczką. W zimowe wieczory siadywałem całymi godzinami przed domem i patrzyłem w ogień rozpalony na środku ulicy, przy którym kowale rozgrzewali żelazo, a chłopcy szukali ciepła. Widziałem w czerwonym żarze cały świat, tak gorejący, jak moja fantazja. Wykrzykiwałem z radości, kiedy zimą śnieg leżący w górach sprowadzał do nas takie zimno, że kamienne trytony wodotrysku sopłami lodu się okrywały. Szkoda, że to tak rzadko się zdarzało! Wieśniacy cieszyli się na ten widok równie jak ja, a to dlatego, że im wróżył żyzny rok. Chwyтали się wtedy za ręce i tańczyli w puchatych kozuchach około trytona, gdy tymczasem słupek w górę bijącej wody połyskał kolorami tęczy.

Ale za długo rozwodzę się nad pojedynczymi wspomnieniami z lat dziecięcych, które dla obcych nie mogą mieć ani tak głębokiego znaczenia ani tego, co we mnie, budzić uczucia. Kiedy je przywołuję na pamięć, kiedy nad każdym z nich się zastanowię, zdaje mi się, że wszystko rzeczywiście przechodzę po raz wtóry.

Był to wiek błogi, dusza moich marzeń. Morze, po którym pływały obrazy.

Przechodzę teraz do zdarzenia, które postawiło pierwszy płot cierniowy pomiędzy mną a rajem lat dziecięcych, wprowadziło mnie między obcych i gdzie ukrywa się ziarenko całej mojej przyszłości.

¹ Grobowce te są bez ozdób, a w katakumbach Świętego Januarego pod Neapolem znajdują się na grobach niezgrabne obrazy świętych i napisy.

² Bazylika Matki Bożej Ołtarza Niebiańskiego

³ Zatybrze (Trastevere) – część Rzymu leżąca na prawym brzegu Tybru.

⁴ Saltarello, rzymski taniec ludowy, według bardzo jednostajnej melodii.

⁵ Wieśniaczki noszą we włosach strzałki z rączkami, które u dziewcząt zaciśnięte są w pięstkę, u narzeczonych zaś i zamężnych otwarte.

⁶ *Boska komedia* Dantego

III

Święto kwiatów w Genzano

Było to w czerwcu. Zbliżał się dzień sławnego święta kwiatów obchodzony corocznie w Genzano¹. Moja matka i Mariuccia miały tam przyjaciółkę, która ze swoim mężem utrzymywała dom zajezdny i garkuchnię². Już od kilku lat wybierały się na to święto, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie. Tym razem jednak miał zamiar ich dojść do skutku, a ponieważ droga była daleka, postanowiono wybrać się w wigilię święta. Z radości nie mogłem przez całą noc oka zmrużyć.

Nim wzeszło słońce, już zajechał vetturino³ i niebawem ruszyliśmy. Po raz pierwszy miałem być w górach, radosne oczekiwanie rozbudziło niezmiernie mój umysł. Gdybym dzisiaj – kiedy już się postarzałem – w podobny sposób i z równym uczuciem jak wówczas pojmował naturę i życie, a dla tych uczuć znalazł odpowiednie wyrazy, byłby to zaprawdę poemat nieśmiertelny.

Głęboka cisza na ulicach, żelazem okuta brama miasta, na kilka mil rozległa Kampania z samotnymi grobowcami, gęsta mgła poranna zakrywająca podnóże gór, wszystko to wydawało mi się tajemniczym przygotowaniem do wspaniałego widoku, jaki się przede mną miał odsłonić. Nawet stojące nad drogą krzyże z wybielonymi na wietrze kośćmi rozbójników, oznajmujące, że ktoś niewinny został zabity, a morderca ukarany, niezwykle miały dla mnie powab. Najpierw chciałem policzyć niezmierną liczbę kamiennych łuków akweduktu, którym płynie woda z gór do Rzymu, ale niedługo mi się to sprzykrzyło. Począłem więc dręczyć pozostałych tysięcznymi pytaniami o wielkie ognie, które pasterze porzkładali wkoło zapadłych grobowców, żądałem dokładnego objaśnienia na temat wielkich stad owiec, które wędrowni zaganiacze spędzili w jedno miejsce i całą gromadę opasali siecią rybacką jakby płotem.

Z Albano mieliśmy piękną a niedługą drogę odbyć pieszo. Wokół rosły lak i rezeda; gęste, soczyste drzewa oliwne rzucały miły cień; w dali mogłem dojrzeć morze, a na urwisku skały, gdzie wznosił się krzyż, mijały nas skocznym krokiem wesołe dziewczęta, śmiejąc się i swawoląc, ale żadna nie zapomniała ucałować z pobożnością krzyża. Wysoką kopułę kościoła w Ariccia wziąłem za kopułę Świętego Piotra i marzyłem, że ją aniołowie zawiesili w powietrzu pomiędzy cienistymi oliwami. Na ulicy miasteczka ludzie zgromadzili się wokoło tańczącego niedźwiedzia, któremu chłop trzymający go na łańcuchu grał na piszczałce tę samą melodię, jaką grał w Boże Narodzenie jako *piffero* na cześć Madonny. Ładna małpka w mundurze, którą nazywał sierżantem, wywracała koziołki na łbie i grzbiecie niedźwiedzia. Wolałbym tam zostać, niż iść do Genzano! Święto kwiatów miało być dopiero nazajutrz, lecz matka ponaglała nas, bo mieliśmy przyjaciółce Angelinie pomóc wic wieńce i tkąć kobierce z kwiatów.

Ten kawałeczek drogi przebyliśmy bardzo szybko i dopytaliśmy się o dom Angeliny. Stał po stronie Genzano rozciągającej się nad jeziorem Nemi i był wprost wspaniały. Z muru wytryskało chłodne źródło i spadało w kamienną wannę, do której cisnęła się gromada osłów.

Weszliśmy do osterii, gdzie panował wielki gwar i hałas. Na kominie warzyło się i smażyło jadło – mnóstwo wieśniaków siedziało przy długich stołach – wszyscy pili wino i zajadali prosciutto. Prześliczne róże stały w niebieskim dzbaneczku przed obrazem Madonny, gdzie

lampa niezbyt jasno się paliła, bo cały dym ciągnął akurat w tamtą stronę. Kot skakał po serach leżących na kominie, a my ledwie się nie przewróciliśmy przez kuraki biegające po izbie.

Angelina przyjęła nas bardzo serdecznie i wskazała nam zaraz kamienne schodki obok komina. Dano nam osobny pokój i – według mego wyobrażenia – królewskie potrawy. Jaki tam był przepych! Nawet foglietta z winem była przystrojona – zatknięta świeżo rozwiniętą różą zamiast korka. Wszystkie trzy kobiety się wycalowały i mnie się dostał pocałunek, choć go wcale nie chciałem. Angelina powiedziała, że jestem ładny chłopiec, a matka głaskała mnie jedną ręką po twarzy, a drugą poprawiała co chwila kurtkę, która była za krótka – pociągając to rękaw, to górę, to z przodu na dół – ażeby leżała gładko.

Nim ześmy się najedli, już nas czekała prawdziwa uroczystość, mieliśmy pójść rwać liście i kwiaty na wieńce. Niskimi drzwiczkami weszliśmy do ogrodu mającego tylko kilkanaście łokci w obwodzie, tworzącego, że tak powiem, tylko jedną altanę. Cienkie otaczające go poręcze wzmocnione były szerokim a mocnym liściem aloesów, które tu rosły dziko i tworzyły żywy płot.

Jeziro stało cichuteńko w wielkim okrągłym kraterze, z którego niegdyś płomień ku niebu buchający. Zeszliśmy po amfiteatralnym urwisku przez obszerne winnice i gęsty bór platanowy, gdzie winogrona wspinały się aż na gałęzie. Na pochyłości skały naprzeciw nas stało miasteczko Nemi i przeglądało się w szafirowym zwierciadle jeziora. Idąc, splataliśmy wieńce, ciemnozielone gałązki oliwne przeplataliśmy jasnozielonym liściem winorośli i złocistym dzikim lakiem. W dole leżące lazurowe jezioro i pogodne niebo nad nami to kryły się poza gęstymi gałęziami i winoroślami, to znów ukazywały – jakby oba były jedną niebieską przestrzenią bez granic. Wszystko było nowe, precudowne, dusza moja aż drżała z wewnętrznej rozkoszy. Jeszcze dziś nawiedzają mnie chwile, w których przypominam sobie owe uczucia, jakby piękne ułamki mozaiki w gruzy zapadłego miasta.

Słońce paliło niezmiernie i dopiero na dole, nad jeziorem, gdzie pnie odwiecznych platanów wyglądają z wody, a gałęzie winnej latorośli poobwijane aż w wodę się zwieszają – znaleźliśmy chłód taki, że mogliśmy zająć się znowu naszą robotą. Śliczne kwiaty wodne skłaniały główki, jakby marząc w gęstym cieniu, i te rwaliśmy do wieńców. Wkrótce potem promienie słoneczne nie dosięgały już jeziora, lecz igrały tylko po dachach Nemi i Genzano. Ciemność zaczęła się rozpościerać i tam, gdzieśmy siedzieli. Oddaliłem się od pozostałych, ale tylko na kilka kroków, bo matka obawiała się, abym nie wpadł w jezioro bardzo głębokie i mające niezmiernie strome brzegi. Obok kamiennych szczątków starożytnej świątyni Diany leżało ścięte drzewo figowe, które bluszcz znów zaczął wiązać do ziemi. Wdrapałem się na nie i wijąc koronę, śpiewałem canzonette:

*Ah! rossi, rossi fiori,
Un mazzo di violi!
Un gelzomin d'amore*

gdy wtem przerwał mi głos jakiś tajemniczymi słowami:

– *Per dar al mio bene!*

Nagle stanęła przede mną wysoka, stara niewiasta, nadzwyczaj wysmukłej postaci, w ubiorze, jaki noszą wieśniaczki z Frascati. Długa biała zasłona spadająca z głowy aż na plecy przyczyniła się do tego, że jej twarz wyglądała na jeszcze brunatniejszą, niż była

w rzeczywistości. Zmarszczki zakładały się jedna na drugą tak, że jej twarz podobna była do zeschniętej sieci. Czarne źrenice zdawały się wypełniać całe jamy oczne! Śmiała się i zarazem patrzyła na mnie tak surowo, bez poruszenia, jakby mumia pod drzewem postawiona.

– Kwiaty rozmarynu – rzekła – zamienią się w twoim ręku w piękniejsze, masz w oku gwiazdkę szczęścia!

Patrzyłem na nią z zadziwieniem, przyciskając wianek, który splatałem, do ust.

– W tych pięknych listkach laurowych⁴ jest trucizna. Wij swój wieniec, ale strzeż się go używać.

– To mądra Fulwia z Frascati! – rzekła Angelina, wyszedłszy spoza krzaków. – Czy i ty także splatasz wianki na jutrzejszą uroczystość albo też – dodała przytłumionym głosem – szukujesz może inne plecionki, podczas gdy słońce nad Kampanią zachodzi?

– Mądre oczy! – rzekła Fulwia, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Słońce przechodziło przez znak Byka, gdy się rodził, a na rogach byka zawieszono złoto i sława.

– Tak! – rzekła moja matka, która nadeszła z Mariuccią. – Jeżeli uzyska czarną suknię i szeroki kapelusz, pytanie, czy będzie wahał kadzielnicą, czy będzie chodził po cierniu.

Że te słowa ścierały moje przeznaczenie do stanu duchownego, zdawała się sybilla dobrze rozumieć, a jednak było zupełnie inne znaczenie w jej słowach, któregośmy wówczas wcale domyślić się nie mogli.

– Szeroki kapelusz – mówiła – nie będzie ocieniał jego czoła, gdy stanie wśród ludu, gdy jego słowa brzmieć będą dźwiękiem muzyki przyjemniej niż śpiew zakonnic za kratą, a potężniej niż grzmot w Górach Albańskich. Szczęście posadzi go wyżej niż Monte Caro, na której wyżynach leżą obłoki obok owieczek.

– Ach, Boże! – westchnęła matka, z niedowierzaniem potrząsając głową, choć rada słuchała tak świetnej przepowiedni. – On biedny chłopiec, tylko Madonna wie, jak mu się będzie powodziło! Wóz fortuny jest wyższy niż wózek albańskiego chłopca, a jej koło bez ustanku się toczy, jakże tam biedne dziecko się dostanie?

– Widziałaś, jak się obracają duże koła chłopskiego wózka? Dolna szprycha dostaje się do góry i znowu na dół opada. Kiedy jest na dole, chłop na niej staje, a obracające się koło musi go podnieść do góry, czasem też znajdzie się przy drodze wysoki kamień, a wtedy wsiadanie pójdzie gładko, jak taniec na rynku.

– A mnie będzie też wolno wsiąść na ten rydwan szczęścia? – zapytała półzartem moja matka i w tejże chwili wydała krzyk przeraźliwy, bo wielki ptak drapieżny spadł jak kamień na wodę tak blisko nas, że uderzona szerokimi skrzydłami twarzę nam obryzgała. Wysoko w powietrzu krążąc, spostrzegł bystrym okiem dużą rybę, spoczywającą na powierzchni nieruchomości jak złamana trzcina. Z szybkością strzały pochwyił zdobycz, utopił w jej grzbiecie ostre szpony i chciał się znowu wzbicić w powietrze, lecz ryba, jak można było wnosić z kręgów poruszonej wody, musiała być bardzo duża, a przynajmniej równie silna jak napastnik, dlatego chciała się z nim zanurzyć. Szpony ptaka tak mocno były wczepione w grzbiet ryby, że już nie mógł puścić zdobyczy. Rozpoczęła się walka, że aż jezioro drżało wielkimi kręgami. Raz po raz ukazał się grzbiet ryby, to znów trzepotał ptak szerokimi skrzydłami po wodzie i zdawał się ulegać. Kilka minut trwała ta walka. Obydwa skrzydła orła spoczywały chwilę spokojnie na wodzie rozpostarte – naraz strzepnął nimi do góry, usłyszeliśmy chrupnięcie, jedno skrzydło opadło bezwładnie, drugie jeszcze biło w wodę, aż się zapieniła, i znikło nagle. Ryba zanurzyła się ze swoim wrogiem w głębiny, gdzie zapewne oboje niezadługo skonali.

W milczeniu przyglądaliśmy się wszyscy tej scenie, a gdy matka znowu do towarzyszek się obróciła, sybilli już nie było. To zniknięcie oraz owo wydarzenie z orłem, które, jak zobaczymy, wiele lat później wpływ wywarło na moje życie i dlatego tym mocniej wryło się w pamięć – spowodowało, iż bardzo prędko, prawie milcząco, pośpieszyliśmy do domu. Spomiędzy liści gęstych drzew zdawała się na ziemię spadać ciemność, purpurowe obłoczki wieczoru odbijały się w wodnym zwierciadle, koło młyna szumiało jednostajnie – wszystko wydawało się ponure jak mary. Po drodze opowiadała Angelina cichym głosem dziwne rzeczy, które niegdyś przepowiadała owa stara wróżka, umiejąca zarazem warzyć trucizny i napoje miłosne. Opowiadała o biednej Teresi z Olevano, która z żalu i tęsknoty za wesołym Giuseppem – gdy poszedł za góry ku północy – wędła z dnia na dzień coraz bardziej – jak owa stara warzyła wtedy zioła w miedzianym kociołku i przez dni kilka na ogniu je trzymała, aż Giuseppa napadła taka tęsknota, że dniem i nocą bez odpoczynku biec musiał w to miejsce, gdzie się warzyły święcone zioła i loczki z jego i Teresi włosów. Ja odmawiałem po cichu *Ave Maria* i dopiero wtedy odzyskałem spokój, kiedy przyszliśmy do mieszkania Angeliny.

Zapalono cztery knoty u mosiężnej lampy, zawiesiliśmy na niej jeden z wieńców i postawiono przed nami potrawę, zwaną *mongana al pomodoro*, do tego butelkę wina. Chłopi w dolnej izbie pili i improwizowali. Był to pewien rodzaj śpiewu na przemian, któremu całe zgromadzenie pomagało od czasu do czasu chórem. Gdy potem zacząłem wraz z innymi dziećmi śpiewać przed obrazem Madonny, wiszącym przy wielkim kominie, na którym palił się duży ogień, słuchali wszyscy w milczeniu i chwalili mój piękny głos. Zapomniałem o zdarzeniu nad jeziorem i o Fulwii, która mi wróżyła. Rad bym był z wieśniakami w zawody improwizować, ale matka poskromiła moją próżność i ochotę pytaniem, czy uważam za stosowne, ażebym ja, który kołyszę kadzielnicą, i może kiedyś ludowi słowo boże głosić będę, występował w roli błazna – dodając, że teraz nie karnawał i że na to nie pozwoli. Lecz kiedy późnym wieczorem weszliśmy do naszej izdebki sypialnej i już się położyłem w szerokie łożo, przycisnęła mnie do siebie i nazywała swoją pociechą i rozkoszą, a ponieważ poduszka leżała za nisko, podłożyła mi rękę pod głowę. Usnąwszy, marzyłem słodko, dopóki słońce nie zaświeciło w okna i nie obudzono mnie na piękne święto kwiatów.

Jakże tu opisać pierwszy widok na ulicę, ów prześliczny obraz, który mnie wówczas tak mocno zajmował. Cała długa pod górę wiodąca ulica przepełniona była kwiatami, a tło jej niebieskie. Zdawało się, że wszystkie ogrody i wszystkie doliny ogołocono, aby zebrać dostateczną ilość jednobarwnych kwiatów na wyłożenie tej ulicy. Na tle niebieskim były po brzegach pasy z samych róż, jedna przy drugiej, obok nich ciągnęły się pasy z zielonych liści. Takie pasy ciągnęły się w małych odstępach wzdłuż całej ulicy, a pomiędzy nimi rozsypano drobne czerwone kwiateczki. Na środku tego kobierca ułożono misternie duże żółte kwiaty mające przedstawiać słońce i gwiazdy. Więcej mozołu kosztowały imiona, bo trzeba było układać kwiatek po kwiatku, listek po listku. Całość przedstawiała żywy utkany kobierzec – posadzkę mozaikową, bogatszą w kolory niż mozaiki pompejańskie. Najmniejszy nie powiewał wietrzyk, kwiaty leżały nieruchome, jakby do ziemi przybite drogie kamienie. Ze wszystkich okien powywieszano wielkie z liści i kwiatów utkane kobierce przedstawiające obrazy świętych. Tam wiódł święty Józef osiołka niosącego Matkę Boską z Jezusem – twarze, nogi i ręce były z róż, suknie z lewkonii i anemonów, a korony z połyskującej białej nimfy⁵ zerwanej na nemijskim jeziorze. Gdzie indziej walczył święty Michał ze smokiem, ówdzie strząsała święta Rozalia róże na ciemnoniebieską kulę ziemską. Gdzie tylko spojrziałem, opowiadały mi kwiaty

legendy biblijne, a wszyscy ludzie otaczający nas byli tak weseli jak ja. Na balkonach stali bogaci cudzoziemcy w świątecznych strojach, a wzdłuż domów snuło się mnóstwo strojnie przybranego ludu, każdy wedle zwyczaju okolicy, którą zamieszkiwał. Moja matka stała na zakręcie ulicy, przy fontannie wykładanej kamieniem, a ja stałem na głowie satyra wyglądającego z wody.

Słońce paliło niezmiernie, wszystkie dzwony brzmiały, całe zgromadzenie potoczyło się wzdłuż pięknego kobierca – miły śpiew i muzyka oznajmiały zbliżającą się procesję. Chórzyści machali kadzielnicami, idąc przed monstrancją, dalej postępowały najpiękniejsze dziewczęta z okolicy z wieńcami kwiatów, a biedne dzieci ze skrzydłami u obnażonych ramion oczekiwały przy wielkim ołtarzu na zbliżenie się procesji, śpiewając anielskie hymny. Młodzieńcy mieli powiewające wstęgi u spiczastych kapeluszy, a na każdym przypięty był obrazek Madonny. Srebrne i złote pierścienie wisały im na łańcuszkach u szyi, a piękne różnokolorowe szarfy odbijały się prześlicznie na czarnych aksamitnych kurtkach. Dziewczęta z Albano i Frascati zarzuciły na czarne, srebrnymi strzałkami spięte włosy przezryste zasłony, te zaś z Velletri miały na głowach wianki, a ich barwne chusteczki były tak nisko do sukien przypięte, że widać było piękne ramiona i krągłe piersi. Z Abruzzów, z Błot Pontyjskich, ze wszystkich pobliskich okolic wystąpił każdy we właściwym stroju narodowym, co dawało różnorodny kolorowy widok. Kardynał w kapie srebrnolitej szedł pod baldachimem ustrojonym w kwiaty, za nim postępowali mnisi różnych zakonów, a wszyscy nieśli gorejące świece.

Gdy procesja wyszła z kościoła, potoczył się za nią cały tłum i uniósł nas ze sobą. Matka trzymała mnie za rękę, żeby nas nie rozłączono. Tak więc szedłem zasłonięty wyższymi ode mnie i ściskany okropnie, nie widząc nic prócz nieba. Naraz rozległ się krzyk przeraźliwy, ze wszystkich stron powstał nacisk ogromny. „Konie się rozbiegły!” Więcej nie usłyszałem, bo w tej samej chwili zostałem uderzony o ziemię. Zaćmiło mi się w oczach, wydawało mi się, że przepłynął przeze mnie szumiący strumień.

O święta Matko Boża, jakie to smutne było wydarzenie! Dreszcz mnie przechodzi, ile razy o nim wspomnę. Kiedy już odzyskałem przytomność, spoczywałem na łonie Mariuccii, a ona wyrzekała i zanosila się od płaczu. Obok nas leżała matka moja, a wokół stali obcy ludzie. Rozbrykane konie przez nas przebiegły, koło uderzyło w pierś mej matki, krew polała się ustami, już nie żyła.

Patrzyłem, jak zamykano jej martwe powieki i składano na krzyż bezwładne ręce, którymi mnie przed chwilą z miłosną troskliwością do siebie tuliła. Zakonnicy zabrali ciało do klasztoru, a mnie, ponieważ wyszedłem bez szwanku, cokolwiek tylko stłuczony, zaprowadziła Mariuccia do osterii, gdzie dnia poprzedzającego byłem tak wesoły, gdzie wilem wianki i na rękę matki noc przespałem. Ogarnął mnie głęboki smutek, choć nie pojmowałem jeszcze dobrze mego sieroctwa. Mariuccia dawała mi zabawki, owoce i ciastka i obiecywała, że jutro znowu mnie zaprowadzi do matki, która teraz jest u Madonny, gdzie ciągle obchodzą święto kwiatów. Jej późniejsze słowa utkwiły mi także w pamięci – słuchałem uważnie, jak mówiła o brzydkim orle drapieżnym z dnia wczorajszego, o Fulwii i śnie, który miała moja matka. Teraz, kiedy już nie żyła, wszyscy gadali, że mieli przecucie jej śmierci.

Rozbrykane konie zatrzymano zaraz za miastem, gdzie powóz zawadził o drzewo. Wyciągnięto z niego jakiegoś znakomitego pana mającego około czterdziestu kilku lat, na pół umarłego ze strachu. Opowiadano, że należy do rodziny Borghese, że posiada willę pomiędzy Albano a Frascati i że znany jest ze szczególnego zamiłowania do zbierania różnych roślin

i kwiatów – co więcej, że zna tak dobrze czarodziejskie sztuki, jak mądra Fulwia. Służący w bogatej liberii przyniósł od niego sakiewkę z dwunastu skudami dla osieroconego dziecka.

Następnego wieczoru, nim zadzwoniono na *Ave Maria*, zaprowadzono mnie do klasztoru, abym po raz ostatni mógł zobaczyć matkę. Leżała w białej prostej trumnie ubrana w te same suknie, które miała na sobie w dzień święta kwiatów. Ucałowałem jej złożone ręce, a kobiety płakały razem ze mną.

Przed drzwiami stali już tragarze z marami i orszak pogrzebowy w białych habitach, ze spuszczonej na twarze kapturami – wzięli mary na ramiona, kapucyni pozapalali świece i zaczęli śpiewać pieśni pogrzebowe. Mariuccia szła obok mnie tuż za trumną – czerwona zorza wieczorna oświetlała twarz mojej matki – wyglądała jak żywa. Dzieci z miasteczka biegły po bokach wesołe i zbierały wosk kapiący ze świec, które nieśli kapucyni. Szliśmy tą samą ulicą, na której wczoraj odprawiła się uroczysta procesja. Jeszcze była wysłana liśćmi i kwiatami, ale obrazy, piękne wzory, które mi w dniu minionym taką sprawiały radość, znikły – jak szczęście moich lat dziecińczych. Patrzyłem, jak na cmentarzu odwalono na bok wielki kamień zakrywający grób, do którego kładziono umarłych. Widziałem, jak spuszczone trumnę i słyszałem ponury stuk, gdy na dole uderzyła o inne trumny. Potem wszyscy się porozchodzili, a Mariuccia kazała mi uklęknąć przy grobie i odmówić *Ora pro nobis*.

W jasną księżycową noc wyruszyliśmy z Genzano. Federigo i dwaj jego przyjaciele byli razem z nami. Ciemne chmury spoczywały na Górach Albańskich – przypatrywałem się jasnej mgłę, która niby srebrzysta zasłona unosiła się ponad Kampanią przy świetle księżyca. Wszyscy mówili mało, a ja wkrótce zasnąłem i śniłem o Madonnie, o kwiatkach i mojej matce, która się do mnie uśmiechała żywa i ze mną rozmawiała.

¹ Genzano – małe miasteczko w Górach Albańskich, nad drogą pomiędzy Rzymem a Błotami Pontyjskimi.

² *Osteria e cucina*, zwykły napis na małych oberżach i restauracjach.

³ *vetturino* – dorożkarz

⁴ *Prunus laurocerasus* rosnący obficie w górach.

⁵ *Nymphaea alba* (grzybień biały) – rośnie także i w naszych wodach stojących.

IV

Wuj Peppo. Noc w Koloseum. Pożegnanie

Co ze mną począć? To było najważniejsze pytanie, gdyśmy stanęli w Rzymie, w mieszkaniu mojej matki. Fra Martino uważał za najstosowniejsze, ażebym poszedł do rodziców Mariuccii, którzy mieszkali w Kampanii. Byli to poczciwi pasterze, dla których owe dwadzieścia skudów mogły okazać się prawdziwym skarbem, a za to na pewno by się podjęli mnie wychować jak własne dziecko, ale że byłem niejako członkiem kościoła, to wyprowadziwszy się do Kampanii, nie mógłbym nosić kadzielnicy. Federigo sądził także, iż lepiej by było, gdybym pozostał u jakichś uczciwych ludzi w Rzymie, dodając, że nie chciałby, abym został nieokrzesanym, głupim chłopem.

Tymczasem, gdy Fra Martino poszedł do klasztoru po radę, przybył mój wujaszek Peppo, posuwając się na swoich drewnianych łyżwach. Już się dowiedział o śmierci mojej matki i dwudziestu skudach, które na mnie spadły, przybył więc głównie dla tych skudów, ażeby także zabrać głos w tej sprawie. Utrzymywał, że ponieważ jest jedynym moim krewnym na całym świecie, dlatego to jego obowiązkiem jest się mną zająć, że powinienem jemu być posłuszny i że wszystko, co się w domu znajduje, wraz z dwudziestoma skudami do niego należy. Mariuccia zaś przeczyła temu wszystkiemu z zapalem, utrzymując, że ona i Fra Martino już wszystko rozporządzili jak należy, dając mu zarazem do zrozumienia, że on jako żebrak i kaleka sam ze sobą ma dość biedy i dlatego tutaj głosu mieć nie może.

Federigo wyszedł z izby, a oni poczęli sobie nawzajem wymawiać, że tylko chęć zysku powoduje nimi do narzucania mi swojej opieki. Wuj Peppo aż się pienił ze złości, a Mariuccia stała przed nim rozjadła jak furia i krzyczała, że nie chce ani z nim, ani z chłopcem, ani z całą tą sprawą nic mieć do czynienia – że może mnie sobie wziąć i kości mi połamać, żebym został kaleką i pomógł mu napychać dziadowską torbę – że może sobie mnie zaraz zabrać, ale pieniędzy ona nie wyda, dopóki nie wróci Fra Martino, że ani szeląga nie zobaczy jego łakome oko.

Peppo groził, że jej swoim członkiem wybiję w głowie dziurę tak wielką jak Piazza del Popolo. Ja stałem przy nich i rzewnie płakałem. Mariuccia odepchnęła mnie od siebie, Peppo pociągnął ku sobie. Miałem iść za nim i tylko jego się trzymać, jak mówił, ale ponieważ będę mu ciężarem, przeto żąda też wynagrodzenia. Na koniec dodał, że sam rzymski senat musiałby przyznać słuszność tak uczciwemu jak on człowiekowi! Tak więc pomimo mej woli wywłókł mnie przed dom, gdzie obdarty chłopak trzymał jego osła, bo w czasie dalekich wypraw albo gdy chodziło o pośpiech, uczepiał się jak mógł uschłymi nogami oślego grzbietu. Mnie wziął przed siebie, chłopak uderzył osła w bok i tak ruszyliśmy, a Peppo pieścił mnie w drodze po swojemu.

– Widzisz moje dziecko – mówił – wszakże to wyborny osioł? A jak on doskonale biega, niczym koń wyścigowy przez Corso. Będzie ci u mnie dobrze, tak dobrze, jak aniołowi w niebie, mój miły, wysmukły chłopcze.

Potem znowu kłął Mariuccię, aż mnie strach było słuchać.

– Gdzież ukradł tego ładnego chłopca? – pytał go każdy znajomy, którego mijaliśmy, i tak przy każdym prawie rogu ulicy opowiadał wujaszek moją historię. Baba sprzedająca wodę z cytryną dała nam za tę powieść szklanę wody, a mnie obdarzyła owocem pinii, z którego już ziarnka były wydłubane. Nim przybyliśmy pod dach, słońce już zaszło. Przez cały czas nie wyrzekłem ani słówka, zakryłem oczy rękoma i płakałem rzewnie. W małej przegrodzie, obok większej komory wskazał mi w kąciku legowisko z kukurydzianych liści, tam miałem sypiać.

– Głodny pewnie nie jesteś – mówił – ani spragniony, bośmy pili wyborną wodę z cytryną.

I głąskał mnie po twarzy z tym samym szkaradnym uśmiechem, który mnie zawsze przerażał. Potem pytał, ile było pieniędzy w sakiewce, czy Mariuccia z nich zapłaciła vetturina i co powiedział lokaj, przyniósłszy te pieniądze. Ale ja nie mogłem mu na żadne pytanie odpowiedzieć i pytałem z płaczem, czy tutaj na zawsze będę musiał pozostać i czy jutro nie będę mógł powrócić do domu.

– Wrócisz, wrócisz – odpowiedział – ale teraz idź spać, a nie zapominaj o pacierzu, bo kiedy człowiek śpi, to diabeł na niego czyha, przeżegnaj się! To jest żelazna zaporą, której żaden lew ryczący nie przełamie. Módl się, módl, ażeby Madonna niegodziwą Mariuccię ukarała trucizną i chorobą za to, że cię niewinnego skrzywdziła. Tobie i mnie majątek wydarła. Połóż się, a tam to okienko u góry niech zostanie otwarte, albowiem świeże powietrze jest nieomal tak dobre jak wieczera. Nie bój się tylko nietoperzy, one do ciebie nie przyjdą, tylko przelatują koło okienka te biedne stworzenia. Śpij z Bogiem, mój ty Jezusku! – Po tych słowach drzwi zamknął.

Długo się jeszcze czołgał po izbie, czymś zajęty – potem usłyszałem więcej głosów i spostrzegłem przez szczelinę światło. Wstałem cichuteńko, aby suche liście nie chrzęściły, bo obawiałem się, aby tego nie usłyszał i znowu do mnie nie przyszedł. Przez ową szczelinę zobaczyłem, że u lampy dwa knoty się paliły. Na stole leżał chleb i rzepa, a butelka wina krążyła z ręki do ręki. Byli tam żebracy, wszyscy kalecy, poznawałem ich dobrze, chociaż teraz całkiem inny był wyraz ich twarzy niż ten, jaki na ulicach zwykle widywałem.

Schorzały, zawsze umierający Lorenzo siedział tu wesoły i bez ustanku krzykliwie rozprawiał – w dzień zaś widywałem go zazwyczaj na Monte Pincio¹ leżącego w trawie, opierającego obwiązaną głowę o drzewo, ruszającego ustami niczym konający, podczas gdy jego żona wskazywała przechodzącym schorzałego, bardzo cierpiącego męża. Francia, niemający palców u rąk, wybijał tymi kikutami takt na plecach ślepej Katarzyny i śpiewał półgłosem piosnkę o kawalerze Torchino. Dwóch czy trzech jeszcze siedziało blisko drzwi, ale w cieniu, tak że ich nie mogłem rozpoznać. Serce biło mi gwałtownie ze strachu – słyszałem, że o mnie była mowa.

– Czy można będzie tego chłopca użyć? – zapytał któryś. – Jest on ułomny?

– Nie – odpowiedział Peppo. – Madonna nie była dla niego tak łaskawa, jest wysmukły i delikatnie zbudowany jak szlacheckie dziecko.

Wszyscy zawołali jednocześnie, że to wielkie nieszczęście. Ślepa Katarzyna dodała, że przecież łatwo można zadać mi jakieś kalectwo, które dopomoże pozyskać chleb ziemski, nim Madonna zaopatrzy mnie niebieskim.

– Prawda – rzekł Peppo – gdyby moja siostra poszła po rozum do głowy, to chłopiec mógłby szczęście zdobyć! Bo ma głos – ach! tak piękny jak anioł boży! Jakby stworzony dla kaplicy papieskiej! Wyborny byłby z niego śpiewak!

Rozmawiali o moich latach i o tym, co jeszcze dałoby się zrobić i co dla uszczęśliwienia mnie zdziałać potrzeba. Nie pojmowałem wcale, co dla mnie planowano, ale jednak

wyrozumiałem, że nie było to nic dobrego i drżałem ze strachu. Ale jakże tu uciec? Ta myśl całkiem mnie zajęła. Dotąd o tym wcale nie pomyślałem. Wdrapałem się do otwartego okienka za pomocą klocka stojącego w kącie. Na ulicy nie było żywego ducha, drzwi wszędzie pozamykane. Gdybym chciał wydostać się na ulicę, musiałbym się odważyć skoczyć z dosyć znacznej wysokości, a tyle odwagi nie miałem. W tej chwili wydało mi się, że ktoś ruszył klamką, aby wejść do mnie. Mrowie przeszło mi po ciele i spuściłem się po murze. Upadłem jak kamień, ale na darninę.

Co prędzej zerwałem się na równe nogi i uciekałem ciemnymi, krętymi uliczkami, nie wiedząc wcale, dokąd biegnę. Jeden tylko człowiek, który głośno śpiewał i kijem krzesał po bruku, przeszedł koło mnie. Nareszcie zobaczyłem, że jestem na wielkim placu. Księżyc świecił jasno, poznałem to miejsce, było to Forum Romanum, a jak my je nazywamy – targowisko.

Księżyc oświecał tylną ścianę Kapitolu, który jak prostopadła skała zdawał się przedzielać Rzym ciasno zabudowany od przestronniejszej dzielnicy. Na wysokich stopniach bramy triumfalnej Septymiusza Sewera spoczywało kilku żebraków owiniętych w obszerne płaszcze. Wysokie filary, pozostałe szczątki dawnych świątyń, rzucały długie cienie. Nigdy przedtem nie byłem w tym miejscu po zachodzie słońca, wszystko wydawało się w oczach moich jakoby urojenia – wtem upadłem, zawadziwszy o marmurowe nagłówki filarów leżące w trawie. Gęsty bluszcz czynił mury jeszcze posępniejszymi – czarne cyprysy wznosiły się jakby złych duchów postaci tak wysoko ku niebu, że mnie ogarniał strach coraz większy. W trawie pomiędzy poobalanymi filarami i ułamkami marmurów leżało kilka krów i pasł się muł. To mnie cokolwiek pocieszyło. Były tu bowiem żyjące istoty, które przynajmniej nie myślały wyrządzić mi nic złego.

Tak było jasno od księżycyca jak w dzień. Każdy przedmiot widać było wyraźnie w ostrych zarysach – postyszałem, że ktoś idzie – pewnie mnie szukać. W strachu schroniłem się do olbrzymiego Koloseum, wznoszącego się przede mną jak grupa skał. Stałem w krużganku o podwójnych arkadach, który tak dobrze zachowany, jakby dopiero co wykończony, otacza połowę gmachu. Było tam ciemno jak w grobie, a zimno, że aż drżałem. Postąpiłem pomiędzy filarami kilka kroków naprzód po cichuteńku, bo szelest mego własnego stąpania przerażeniem mnie napełniał. Spostrzegłem w głębi ogień rozłożony na ziemi, a przy nim trzy ludzkie postaci. Czy to byli wieśniacy szukający noclegu, aby nie jechać nocą przez pustą Kampanię, czy też żołnierze straży w Koloseum odbywający, czy wreszcie rozbójnicy – nie wiem. Zdawało mi się, że słyszę szcęk ich broni, dlatego cofnąłem się w miejsce, gdzie filary krużganku miały zamiast sklepienia gęste pokrycie z krzewów i wijących się roślin. Dziwaczne cienie kładły się po murach w świetle księżycyca; czworograniaste kamienie powysuwały się z miejsc, gdzie je wmurowano, i porosły barwinkiem. Zdawało się, że jak grad posypią się na ziemię i że tylko silne sploty wiklin utrzymują je w powietrzu. W końcu środkowego krużganku przesunęły się ludzkie postaci, zapewne podróżni, którzy przy świetle księżycyca oglądali w tak późnej porze te sławne ruiny – a była między nimi biała ubrana niewiasta. Szczególny to był obraz! Dotąd żywo mi stoi w oczach! Tu się ukazali – tam zniknęli i znowu ich widziałem oświetlonych księżycem i czerwonym blaskiem pochodni. Niebo było jak najczystszy granat, drzewa i krzewy czarne jak aksamit. Patrzyłem długo za tymi wędrowcami, a kiedy już całkiem znikli mi z oczu, widziałem jeszcze czerwoną łunę pochodni – lecz i ta znikła nareszcie, a w koło panowała cisza grobowa.

Dużo było w tych ruinach ołtarzy drewnianych, przedstawiających drogę krzyżową Chrystusa Pana. Usiadłem za jednym z nich, na leżącym w trawie odłamku filaru. Kamień był

zimny jak lód, głowa moja rozpałała się ogromnie, gorączka chodziła mi po kościach, usnąć nie mogłem. Przyszło mi na pamięć wszystko, co dotąd o tym gmachu słyszałem. Przypomniałem sobie owych niewolników żydowskich, którzy musieli dźwigać te ogromne głazy, stawiając ten gmach na rozkaz potężnego cesarza rzymskiego; owe drapieżne zwierzęta, które tu ze sobą i ludźmi staczały walki, podczas gdy lud, obsiadłszy ławy kamienne, ustawione niczym schody od ziemi aż pod sklepienie najwyższego krużganku² – przypatrywał się tym krwawym tragediom. Zaszleściło coś w krzakach nad moją głową – spojrzałem w górę – zdawało mi się, że widzę żywe postacie. I naprawdę widziałem w rozognionej wyobraźni wyblakłe, posępne mary kujące młotami, kładące kamienie na mury; słyszałem wyraźnie każde uderzenie młota – widziałem wychudłych Izraelitów z czarnymi brodami wyrrywających zielsko i krzewy, i trawy – staczających kamienie na kamienie, aż niezmierny gmach stanął cały, zupełnie wykończony. W okamgnieniu zapełniły go tłumy ludu tak ściśnione, że zdawały się jednym tylko olbrzymim ciałem pełnym ruchu i życia³.

Widziałem westalki w długich białych szatach, świetny dwór cesarski, krwią obryzanych nagich gladiatorów; słyszałem w najniższych korytarzach ryk i wycie – z różnych stron razem wypadły stada tygrysów i hien i przebiegły tuż koło miejsca mego spoczynku; uczułem ich gorący oddech, zajrzałem w ich krwią nabiegłe, iskrzące ślepie i przytuliłem się do kamienia, na którym siedziałem, wzywając pomocy Madonny; ale krzyk i hałas dziki coraz bardziej się wzmacniał. Przede mną stał krzyż dobrze mi znany, nieraz bowiem całowałem go, przechodząc! Zebrałem wszystkie siły i uczułem, że już go obejmuję rękoma, wtem wszystko naokoło zaczęło się walić i zapadać, i mury, i ludzie, i zwierzęta – padłem bez zmysłów. Kiedy znowu otworzyłem oczy, już mnie gorączka opuściła, ale byłem bardzo osłabiony, a zmęczenie ciążyło na moich członkach jak ołów. Spoczywałem w rzeczy samej u stóp wielkiego drewnianego krzyża, a obejrzawszy wszystko, co mnie otaczało, przekonałem się, że nie było nigdzie nic przerażającego – owszem, wszędzie widać było rozlany uroczysty spokój, tylko słowik śpiewał rzewną piosenkę w krzaczku gdzieś wysoko na murze. Przyszło mi w tej chwili na myśl Dzieciątko Jezus, którego matka była obecnie i moją, bo innej już nie miałem; objąłem krzyż rękoma, przytuliłem do niego głowę i tak klęcząc, zasnąłem spokojnie.

Sen mój trwał parę godzin, obudziłem się na odgłos psalmów. Słońce oświecało wierzchołki murów, szereg kapucynów ze świecami w ręku chodził od ołtarza do ołtarza i śpiewał *Kyrie eleison*, jakoby witając piękny poranek. Przyszli do krzyża, pod którym spoczywałem; spostrzegłem Fra Martino, gdy stanął nade mną pochylony. Moje widoczne znękanie, błądź i pobyt w tym miejscu i o tej godzinie bardzo go zaniepokoiły. Jak mu to wszystko wytłumaczyłem, już nie pamiętam – dosyć, że pojął mój strach przed wujem Peppo i uczył moje sieroctwo. Uczepiłem się jego habitu, a wszyscy bracia zakonni litowali się nad moim nieszczęśliwym położeniem – wszyscy mnie bowiem znali, bywałem w ich celach i śpiewałem razem z nimi przed ołtarzem.

Ucieszyłem się niezmiernie, że mnie Fra Martino wziął ze sobą do klasztoru – zapomniałem wszystkiej biedy, gdy się dostałem do jego celki, gdzie ściany obwieszane były starymi drzeworytami, a zielone i wonne gałązki pomarańczy w okno się cisnęły. Fra Martino upewnił mnie zaraz, że już nie pójdę do Peppu, do swoich współbraci zaś mówił:

– Kalece, dziadowi żebrzącemu nie można chłopcę oddać.

Na obiad przyniósł mi rzepy, chleba i wina, a potem począł do mnie mówić z tak uroczystą powagą, że aż mi serce drżało:

– Biedny chłopcze, gdyby twoja matka nie umarła, nie bylibyśmy się rozłączyli, byłbyś pozostał przy kościele i żyłbyś spokojnie pod jego opieką. Teraz trzeba ci puścić się na kruchej trzasce na burzliwe morze. Pamiętaj tylko zawsze o twoim Zbawicielu i Matce jego najświętszej! Trzymaj się zawsze tylko ich, nie masz bowiem nikogo więcej na całym świecie

– Dokądże mam iść? – zapytałem.

Tu opowiedział mi, że rodzice Mariuccii mieszkający w Kampanii chcą mnie wziąć do siebie, przykazał mi czcić ich jak własnych rodziców, być im we wszystkim posłusznym, przy tym nie zapominać nigdy pacierzy i nauk, które mi dawał.

Przed wieczorem przysłała Mariuccia ze swoim ojcem do furty, Fra Martino zaprowadził mnie do nich. Co do ubioru, to Peppo prawie porządniej wyglądał niż ten pastuch, któremu mnie oddano. Przed wszystkim w oko mi wpadło podarte obuwie sięgające tylko do kostek, gołe kolana i spiczasty kapelusz ozdobiony gałązką wrzosu. Przyklęknął, pocałował Fra Martina w rękę i dodał, że jestem ładny chłopiec, że on i jego żona ostatnim kąskiem ze mną się podzielią. Mariuccia oddała mu worek zawierający cały mój majątek, a potem udaliśmy się wszyscy czworo do kościoła. Modlili się po cichu, ja ukląknęłam także, ale modlić się nie mogłam – szukałam oczyma znajomych obrazków – Jezusa Chrystusa w łodzi nad drzwiami, anioła na obrazie wielkiego ołtarza i pięknego archanioła Michała – nawet z trupimi głowami w bluszczowych wieńcach trzeba się było pożegnać! Fra Martino położył rękę na mojej głowie, błogosławiąc, i dał mi na odejście książeczkę z drzeworytami, pod tytułem: *Modo di servire la santa messa*. Tak żeśmy się rozstali. Kiedy przechodziliśmy Piazza Barberina, obejrzałem się z ciekawości na dom, w którym mieszkała niegdyś moja matka. Wszystkie okna były pootwierane, pokoje oczekiwały na nowych lokatorów.

¹ Monte Pincio – miejsce z publiczną promenadą ciągnącą się od Schodów Hiszpańskich aż do Porta del Popolo. Widać z niego większą część Rzymu i ogród willi Borghese.

² Dopóki stoi Koloseum, stoi i Rzym.

Kiedy Koloseum upadnie, upadnie Rzym

A kiedy upadnie Rzym, skończy się świat.

(Beda Czcigodny).

³ Koloseum zostało zbudowane za panowania Wespazjana. Dwanaście tysięcy niewolników żydowskich pracowało nad tą budowlą. Miejsc do siedzenia było 86 tysięcy, prócz tego mogło jeszcze stać 20 tysięcy widzów.

V

Kampania

Rozległa pustynia otaczająca starożytny Rzym stała się odtąd dla mnie okolicą rodzinną. Dla cudzoziemca zza gór przybyłego, który uwielbia sztuki piękne i pamiątki starożytne, a po raz pierwszy się zbliża do nadtybrzańskiego miasta – jest ta spiekła pustynia ogromną kartą z dziejów świata. Samotne groby, pojedyncze pagórki – wszystko to święte hieroglify, całe rozdziały z historii. Jeżeli malarz przedstawi pojedynczy łuk zapadłego akweduktu, pasterza siedzącego przy gromadzie owiec, a na pierwszym planie obrazu umieści kilka uschłych ostów, mówią ludzie, że to piękny obraz. Z jakże odmiennym uczuciem patrzyliśmy, ja i mój przewodnik, na tę obszerną równinę! Spalone trawy, niezdrowe letnie powietrze, zawsze powodujące u mieszkańców Kampanii złośliwe choroby i gorączkę, były główną treścią jego posępnych myśli. Dla mnie zaś wszystko miało urok nowości. Mnie rozweselały piękne góry wycieniowane w najrozmaitsze niebieskie i fioletowe kolory, dzikie bawoły i żółty Tyber, nad którego brzegami długorogie woły, zgiąwszy ujarzmione karki, ciągnęły statki wzdłuż wody. Szliśmy w tym samym kierunku.

Dokoła widzieliśmy tylko niskie, pożółkłe trawy i wysokie, uwiędłe osty. Mijaliśmy krzyż postawiony na pamiątkę, że tam popełniono morderstwo. Obok krzyża wisały nawet szczątki zabójcy – ręka i noga. Strach mnie ogarnął, tym większy, że to wszystko znajdowało się w pobliżu mego nowego miejsca zamieszkania, które nie czym innym było, tylko starym, zapadłym grobowcem, których tu stoi jeszcze mnóstwo z dawnych czasów. Większa część pasterzy z Kampanii mieszka w nich bardzo chętnie, ponieważ tam znajduje się wszystko, czego domowi potrzeba, a nawet i więcej. Zasypują zbyteczne doły, otwory zamurują, pokrywają wszystko trzcinowym dachem i mieszkanie gotowe. Nasz dom stał na wzgórzu, a miał dwa piętra.

Dwie korynckie kolumny przy małych drzwiach umieszczone świadczyły o starożytności budowy, a szerokie murowane filary o późniejszej już naprawie. Może te podpory dano w średnich wiekach. Otwór w murze nad drzwiami służył zamiast okna, połowa dachu pokryta była jakąś trzciną i gałęziami – drugą połowę zasklepiły krzewy, pomiędzy którymi jerychońska róża zwieszała swoje bujne gałązki z popękanych murów.

– No! Tośmy nareszcie w domu! – oznajmił Benedetto, i to były pierwsze słowa, jakie do mnie wyrzekł.

– Czy tutaj będziemy mieszkać? – zapytałem, spoglądając to na ponure mieszkanie, to na wiszące członki zbójcy. Nie odpowiedział mi nawet, zawołał:

– Domenika! Domenika!

I wnet ukazała się niemłoda już kobieta, której cały ubiór składał się z grubej płóciennej koszuli. Nogi miała bose, ręce nagie, a włosy rozpuszczone. Okryła mnie zaraz pieszczotami i pocałunkami. O ile ojciec Benedetto był milczący, o tyle ona rozmowna. Nazwała mnie swoim Ismailem, którego wysłano na pustynię zarosłą dzikim ostem.

– Ale tu u nas nie umrzesz z głodu i pragnienia – rzekła – stara Domenika będzie ci matką

w miejsce owej, która teraz w niebie za ciebie się modli. Łóżeczko już ci usłałam, groch ugotowany; mój stary Benedetto i ty zasiądziecie razem do stołu. Ale! Ale! Mariuccia jednak nie przysłała. Widziałeś ojca świętego? Benedetto! A czy nie zapomniałeś przynieść kawałka prosciutto? A mosiężnych uszek też pewnie nie? Albo nowego obrazka Madonny dla przylepienia go na drzwiach obok starego, któryśmy całowaniem zupełnie zabrudzili? Nie! Człowiek taki jak ty pamięta o wszystkim, nie zapomina niczego, nieprawda, mój kochany Benedetto?

Tak gadała bez ustanku, prowadząc nas do ciasnego kąta, który się nazywał izbą – ale mnie wydawał się wtedy tak wielki, jak później sale Watykanu. Myślę, że to pomieszkowanie wywarło nawet niemały wpływ na moje usposobienie poetyczne. Ta mała ciasna przestrzeń była dla mnie tym, czym są ciężary dla młodych palm, które im bardziej naciskane, tym lepiej rosną. Nasz dom był, jak powiedziałem, w zamierzchłych czasach grobem familijnym, składającym się z dużej pieczary z wieloma małymi niszami w dwóch rzędach, wszystkie zaś okrywała misterna mozaika. Teraz każda nisza miała inne przeznaczenie – w jednej mieściła się spiżarnia, w drugiej stały garnki i dzbanki, w trzeciej usadowiony został kominek, gdzie się gotował groch.

Domenika odmówiła przed wieczerzą modlitwę, Benedetto pobłogosławił potrawy. Gdyśmy zjedli, zaprowadziła mnie stara matka przez wyłom w sklepieniu po drabince na drugie piętro, gdzieśmy wszyscy sypiali w dwóch niszach, niegdyś za groby służących. W głębi jednej z nich było dla mnie usłane łóżko, przy nim stały dwa drążki postawione w koziołek – wisiało na nich coś na kształt gniazda z żaglowego płótna. Była to kołyska, w której spało spokojnie małe dziecko, jak mi się zdaje, Mariuccii.

Położyłem się – w murze był otwór, przez który widać było błękitne niebo i ciemnozielony bluszcz trzepoczący się na wietrze jak ptak. Ledwo się położyłem, po murze przebiegła świecąca, pstrokata jaszczurka, ale Domenika uspokoiła mnie, że te biedne zwierzęta jeszcze bardziej się mnie boją niżeli ja ich i nic złego mi nie zrobią. Odmówiła potem nade mną *Ave Maria* i przeniosła kołyskę do framugi, w której spała z Benedetto. Ja przeżegnawszy się, myślałem o matce, Madonnie, nowych moich rodzicach, o zakrwawionej ręce i zbielełej nodze straconego rozbójnika, które w pobliżu domu widziałem. A wszystko to dziwnie się w snach moich pierwszej nocy roilo.

Następnego dnia zaczął padać deszcz i padał cały tydzień, zmuszając nas do siedzenia w szczupłym mieszkaniu, gdzie panował ciągły pomrok, chociaż drzwi za każdym silniejszym powiewem wiatru się otwierały. Musiałem kołysać dziecko leżące w kolebce z żaglowego płótna, Domenika przędła i opowiadała mi o rozbójnikach kampańskich, którzy im jednak nigdy nie wyrządzili krzywdy, śpiewała pobożne pieśni, a przy tym uczyła mnie nowych modlitw i legend świętych, jakich przedtem nigdzie nie słyszałem. Chleb z cebulą był naszym zwykłym pokarmem i smakował mi dobrze, ale zamkniętemu w tak ciasnym obrębie strasznie było nudno. Wtedy wykopała Domenika tuż przy drzwiach rowek, niby małej Tyber, którym płynęła powoli żółta woda. Knebelki i trzcina składały się na moją flotę, której kazałem płynąć koło Rzymu aż do Ostii. Jeżeli zaś padał deszcz ulewny, trzeba było drzwi zamykać i wtedy siedzieliśmy prawie w ciemności. Domenika przędła, a ja przypomiinałem sobie piękne obrazy z kapucyńskiego kościoła. Zdawało mi się, że widzę Chrystusa przepływającego koło mnie kołyszącą się łodzią, Madonnę na obłokach unoszonych przez aniołów i czaszkami ozdobione nagrobki.

Gdy czas słotny przeminął, niebo przybrało na parę miesięcy nieodmienną barwę niebieską.

Wolno mi było biegać po dworze, lecz nie oddalać się zbyt i nie chodzić do rzeki, bo rozmiękła ziemia łatwo się mogła pode mną zarwać, jak mówiła Domenika. Tam także pasały się zwykle bawoły dzikie i niebezpieczne, które we mnie właśnie dlatego szczególnie obudziły zainteresowanie. Szatańska złośliwość w oczach bawołu, dziwny czerwony ogień iskrzący się w jego źrenicy wywoływały we mnie uczucie podobne do tego, które ptaka ciągnie w paszczę węża. Ich rozhukany bieg, szybszy niż konia, ich walki, gdzie siła z siłą się ścierały, zajmowały całą moją uwagę, rysowałem potem na piasku figury, które miały przedstawiać to, co widziałem. Ażebym to dobrze oddać, śpiewałem własnymi słowami i na nutę własnego wynalazku, co wielką sprawiało radość starej Domenice, która nazywała mnie mądrym dzieckiem, śpiewającym tak pięknie jak aniołowie w niebie.

Upał słoneczny wzmagał się co dzień – promienie zamieniły się w morze ogniste, zalewające Kampanię – śmierząca woda zarażała powietrze, tylko wieczorem i z rana można było chodzić po dworze. W murach rzymskich na przewiewnej Monte Pincio nie doznałem nic podobnego, a pamiętałem dobrze gorącą porę, kiedy żebracy prosili o bajoka nie na chleb, ale na wodę z lodem. Szczególnie zaś przychodziły mi na pamięć piękne zielone arbuzy, jak na poły porozkrawane leżały stosami i widać było ich czerwone mięso z czarnymi pestkami. Na samo to wspomnienie podwajało się moje pragnienie! Promienie słońca padały prostopadle, mój cień zdawał się przed nimi chcieć schować pod nogi. Bawoły leżały w spalonej trawie jak nieżywe albo biegały wściekle w koło z niezmierną szybkością. Tam powziąłem wyobrażenie o męczarni wędrowca w żarem ziejących pustyniach Afryki. Dwa miesiące przetrwaliśmy w takim położeniu, jak statek osiadły wśród morza na mieliźnie. Ani żywy duch do nas nie zajrzał. Wszystkie roboty odbywały się albo bardzo rano, albo w nocy. Niezdrowe powietrze i niezmierny upał wznieciły w moim ciele gorączkę, a tu nie było ani kropli chłodzącego napoju – wszystkie kałuże wyschły; ciepła, żółta woda toczyła się korytem Tybru leniwie, sok arbuzów nie chłodził, nawet wino głęboko w ziemi pod gruzy i kamienie schowane skwaśniało, a na niebie nie było ani obłoczka, ani jednej chmurki – dzień i noc wiecznie ten sam niebieski kolor. Co wieczór i rano modliliśmy się o deszcz, a przynajmniej o lekki powiew wiatru – co rano i wieczór patrzyła Domenika ku górą, czy za nimi nie ukaże się chmurka – daremnie! Tylko w nocy ogarniał nas cień, ale cień duszący – tylko sirocco wiał przez całe dwa miesiące gorącymi falami powietrza.

Dopiero po upływie tego czasu, lecz tylko przy wschodzie i zachodzie słońca, wiało rzeświesze powietrze, ale odrętwiałość i osłabienie pochodzące zarówno z upału, jak i z nudów zupełnie mnie opanowały. Muchy i wszystkie dokuczliwe owady, które zdawały się upałem być wytępione, ocknęły się za pierwszym powiewem wiatru daleko silniejsze i obsiadając nas miliardami, kłuły jadowitym żądłem. Bawoły były nimi nieraz tak całkowicie okryte, że udręczone aż do wściekłości rzucały się w Tyber i nurzały się w jego bałwanach. Rzymianin, który w gorące dni letnie aż skwierczy na pustych niczym po zarazie ulicach albo pod kamienicami się przekrada, jakby chciał schwycić cień ślaniający się po murze, nie ma wyobrażenia o cierpieniach w Kampanii, gdzie każdy oddech jest duszący jak siarczany ogień, gdzie owady i robactwo jak zmory męczą skazanych na życie w tym ogniowym morzu.

We wrześniu, gdy nastały dni łagodniejsze, przybył Federigo, aby szkicować ogorzałą naturę. Odrysował nasz dziwny dom, miejsce stracenia i dzikie bawoły; dał mi papier i ołówek, abym mógł kreślić obrazki i przyobiecał, że znowu przyjedzie i zabierze mnie do Rzymu, gdzie odwiedzę Fra Martina, Mariuccię i wszystkich przyjaciół, którzy inaczej niedługo by o mnie

całkiem, jak mówił, zapomnieli. Ale i on sam o mnie zapomniał.

Listopad był najpiękniejszą porą, jaką tu spędziłem. Od strony gór przyszło chłodne powietrze, a co wieczór widziałem na obłokach ową precudowną grę kolorów, jaka tylko w krajach południowych się zdarza, a której żaden malarz swoim obrazom nadać nie jest w stanie ani też na to się nie ośmieli. Szczególniejsze obłoki oliwkowego koloru, na tle bladożółtym, przedstawiały się oczom moim jak pływające wyspy rajskich ogrodów – niebieskie zaś, wiszące jak piniowe korony na niebie płonącym złotym ogniem, zdawały się górami, gdzie wieczne szczęście mieszka, pośród których igrają w dolinach dzieci zamienione w aniołów i chłód przywiewają białymi skrzydłami.

Pewnego wieczoru, kiedy siedziałem pogrążony w takich marzeniach, przyszła mi myśl, żeby patrzeć na słońce przez szpilką przekłuty papier. Domenika zganiła to, mówiąc, że mogę popsuć oczy, aby zaś tej zabawce przeszkodzić, zamknęła drzwi. Okropnie mi się dłużyło, prosiłem o pozwolenie wyjścia, a uzyskawszy je, podskoczyłem z radością do drzwi. Ledwo je otworzyłem, wpadł jakiś mężczyzna z takim pędem, że mnie przewrócił, a drzwi za sobą zatrzasnął. Zaledwie ujrzałem jego przelęknioną, pobladłą twarz i usłyszałem, jak z głębokim wzruszeniem wyjąknął imię Madonny – rozległo się uderzenie w drzwi tak silne, że pękły i wpadły do izby. W otworze uwięzła głowa bawołu, który wlepił w nas złe, rozognione ślepie.

Domenika wydała głośny krzyk, uchwyciła mnie za rękę i ciągnąc za sobą, wbiegła na drabinę wiodącą do górnego mieszkania. Blady jak śmierć nieznajomy wodził dokoła obłąkanym wzrokiem, a spostrzegłszy fuzję Benedetta, która na wypadek nocnej napaści zawsze nabita wisiała na ścianie, pochwyił ją skwapliwie. Usłyszałem huk i dostrzegłem przez kłęby dymu, jak tukał kolbą po łbie zwierzę. To stało nieruchome, wciśnięte w wąskie drzwi, nie mogąc ani naprzód postąpić, ani się też cofnąć.

– A cóżeś to pan zrobił? Zmiłujcie się wszyscy święci! – zawołała Domenika. – Zabiłeś to zwierzę!

– Dzięki Matce Boskiej! – odpowiedział nieznajomy. – Ona ocaliła mi życie, a ty byłeś mi zbawczym aniołem – rzekł, zwróciwszy się do mnie. – Ty na moje szczęście otworzyłeś drzwi.

Był jeszcze bardzo blady, a krople zimnego potu wystąpiły mu na czoło.

Poznaliśmy z mowy, że nie był cudzoziemcem i domyśliliśmy się zaraz, że to musi być jakiś szlachcic z Rzymu. Opowiedział nam, że jego ulubionym zajęciem jest zbieranie ziół i kwiatów, że z tego powodu wysiadł ze swego powozu przy Ponte Molle i szedł brzegiem Tybru. Niedaleko nas spotkał stado bawołów, z których jeden począł go ścigać, a on tylko tym sposobem ocalał, że dom nasz był blisko i drzwi nagle się otworzyły.

– Święta Mario! Módl się za nami! – zawołała Domenika. – Tak, to ona, Matka Boża pana wybawiła, a mój mały Antonio był jej narzędziem! Ona go bardzo kocha – *eccellenza* nie wiesz, co to za dziecko, on umie wszystko drukowane i pisane czytać, a tak naturalnie rysuje, że od razu można poznać, co to ma przedstawiać. Kopułę Świętego Piotra, bawoły, nawet grubego patra Ambrozio odrysował, a przy tym jaki ma głos! Gdybyś go *eccellenza* słyszał śpiewającego, papiescy śpiewacy lepiej nie umieją! A przy tym wszystkim dobre z niego dziecko, dziecko, jakie się nie trafia! Nie chwałę go dlatego, że jest tu obecny, bo pochwał dzieci znieść nie mogą, ale on na nie zasługuje!

– To pewnie nie wasz syn? – zapytał nieznajomy. – Bo taki młody.

– A ja taka stara! – odpowiedziała Domenika. – Nie, stara figa nie puszcza takich latoróżg, ale to biedne dziecko nie ma na tej ziemi innych rodziców prócz mnie i mego Benedetta. Nie

moglibyśmy jednakże obyć się bez niego, chociażbyśmy już ani złamanego feniga nie mieli. Ale, Panno święta – rzekła, sama sobie przerywając i uchwyciła za rogi bawołu, któremu ze łba lała się krew strumieniem – trzeba to zwierzę stąd wyciągnąć, nie można bowiem ani wyjść, ani wejść. Dla Boga! Jak też mocno uwiąż! Nie wyjdziemy, dopóki nie wróci Benedetto. Żeby nam to tylko nie spowodowało jakiej nieprzyjemności, że to zwierzę zabite.

– Bądź spokojna, dobra kobieto – rzekł nieznajomy – ja za wszystko odpowiem. Znacnie zapewne Borghese?

– Ach *principe!* – zawołała Domenika, całując jego szatę. Ale on uchwycił ją za rękę i moją także uściśnął serdecznie, dodając, ażeby nazajutrz przyszła do Rzymu i mnie przyprowadziła ze sobą do pałacu Borghese, gdzie on mieszka jako należący do tej rodziny. Mojej przybranej matce stanęły łzy w oczach na tyle, jak mówiła, łaski. Moje lada jakie gryzmoły na świstkach, które chowała z taką troskliwością, jakby to były szkice Michała Anioła, zostały wydobyte na pokaz. *Eccellenza* musiał wszystko oglądać, co ją niezmiernie cieszyło, a i ja byłem z tego dumny, bo się uśmiechał, głaskał mnie po twarzy i mówił, że jestem mały Salvator Rosa.

– Doprawdy! – mówiła Domenika – nie jestże w tym dziecku coś niepojętego, wszystko tutaj tak naturalne, że łatwo poznać, co ma znaczyć – bawoły, czółna i nasz domek. Patrz pan, to jestem ja. Zupełnie do mnie podobne, prócz koloru, bo tego nie może ołówkiem nadać. Zaśpiewaj *eccellenzy!* – dodała, obróciwszy się do mnie. – Zaśpiewaj, jak to umiesz, własnymi słowami! Tak jest! On umie całe historie i kazania układać tak dobrze jak jakiś mnich! No! Tylko nie bądź bojaźliwy. *Eccellenza* jest bardzo łaskawym panem, on tego żąda, a ty przecież umiesz głos utrzymać.

Nieznajomy uśmiechał się i bawił nami obojgiem. Że improwizowałem, że Domenika znalazła wszystko arcydoskonałym, powtarzać nie potrzeba, ale co i jak śpiewałem, nie pamiętam. Tyle sobie tylko przypominam, że Madonna, *eccellenza* i bawoły składały się na harmonijną trójkę całej improwizacji.

Eccellenza siedział milczący, a Dominika widziała w tym milczeniu zdumienie nad moim geniuszem.

– Tylko przyprowadźcie tego chłopca – to były pierwsze jego słowa. – Chciałem was przyjąć jutro rano, ale nie, przyjdźcie dopiero wieczorem, godzinę przed *Ave Maria*. Gdy przybędziecie, moi słudzy już będą mieli przykazane natychmiast was wprowadzić. Ale jakże tu wyjść? Czy nie ma innych drzwi niż te, w których bawół leży? A jak tu bez niebezpieczeństwa grożącego ze strony bawołów dostać się do powozu przy Ponte Molle?

– W rzeczy samej będzie *eccellenzy* niepodobna wyjść. Ja i inni ludzie toć możemy, ale nie taki znakomity pan! Tam u góry jest otwór, którym można wyleźć i lekko na dół się spuścić. Ja, choć stara, mogę tego jeszcze dokazać, ale dla gości i dla takiego wielkiego pana to przeprawa niestosowna.

Tymczasem *eccellenza* wszedł po drabce, wytknął głowę przez otwór w murze i zapewnił, że droga tędy tak wygodna jak po kapitolinińskich schodach. Bawoły poszły sobie gdzieś daleko, a drogą w pobliżu nas się ciągnącą jechali wolno, długim szeregiem na pół śpiący chłopci, do wielkiego traktu. Chciał się z nimi złączyć, bo za ich wozami wyładowanymi trzcina byłby od napaści bawołów zabezpieczony, gdyby im znowu miała przyjść ochota go napastować. Jeszcze raz upomniał starą Domenikę, ażeby nazajutrz, godzinę przed *Ave Maria* przyszła do niego, potem podał jej rękę do pocałowania, mnie pogłaskał po twarzy i spuścił się pomiędzy gęstymi splotami bluszczu. Wkrótce potem dostał się do wozów i znikł za nimi.

VI

Odwiedziny w pałacu Borghese. Koniec historii lat dziecinnych

Benedetto z kilkoma pasterzami wywlekli ze drzwi bawołu. Dużo było opowiadania i rozmów, lecz ze wszystkiego wiem tylko tyle, że następnego rana, przed świtem jeszcze się obudziwszy, wstałem, aby przed wieczorem pójść z Domeniką do miasta.

Wydobyto mój odświętny ubiór, który przez kilka miesięcy spoczywał pod kluczem, a do mego kapelusza przypięto ładną różę. Trzewiki były najgorszą częścią mego ubioru, tak że w samej rzeczy trudno było poznać, czy to są trzewiki, czy też starorzymskie sandały.

Niezmiernie mi się przykrzyła podróż przez Kampanię, a słońce piekło! Nigdy mi później wino Falerno ani Cypru tak nie smakowało, jak wtedy woda płynąca z paszczy kamiennego lwa przy obelisku na Piazza del Popolo. Przytuliłem gorące policzki do lwiej paszczęki, a woda lała się na moją głowę, ku wielkiemu przerażeniu Domeniki – bo tym sposobem zmoczyła się też moja odzież i potargały gładko uczesane włosy. Potem szliśmy przez Via Ripetta do pałacu Borghese. Ileż to razy tak ja, jak Domenika przeszliśmy koło tego budynku, spoglądając nań obojętnie! Teraz zaś stanęliśmy przed nim i oglądaliśmy go ciekawie. Wszystko wydawało nam się wspaniałe, kosztowne, bogate, a najbardziej długie jedwabne zasłony u okien – znaleźmy bowiem mieszkającego tam księcia. Wczoraj był w naszym domu, dziś my mieliśmy wstąpić w jego progi, i to właśnie szczególne w nas budziło zainteresowanie. Nie zapomnę nigdy owego drżenia, które mnie przeszło na widok przepychu pałacu i jego komnat. Z *eccellenzą* rozmawiałem poufale, bo był człowiekiem, jak my wszyscy, ale ten przepych! Teraz poznałem tę glorię, która świętych odróżnia od ludzi. Pośrodku pałacu był mały wirydarz otoczony w czworobok wysoką, białą pomalowaną kolumnadą wypełnioną posągami i popiersiami. Przy filarach rosły wysokie aloesy, kaktusy i drzewa cytrynowe okryte zielonymi, promieniami słońca jeszcze niepozłocnymi owocami. Dwaj tańczący bachanci trzymali ponad głowami misę pełną wody, ale tak pochyło, że się z niej lała na ich grzbiety. Wysokie rośliny wodne sklepiały ich swoim zielonym liściem. Jak chłodne, zielone, wonne było tutaj wszystko w porównaniu z nieurodzajną, upalną, ogorzałą Kampanią!

Wstąpiliśmy na szerokie marmurowe schody, u których stóp stały piękne posągi – przed jednym z nich przyklękła Domenika i nabożnie się przeżegnała, mniemając, że to Matka Boska. Później dowiedziałem się, że to Westa, także święta dziewica, umarłego już narodu. Przyjmowali nas lokaje w bogatych liberiach, kłaniali się tak uprzejmie, iż cokolwiek ochłonałem ze strachu – gdyby tylko nie te sale tak wielkie i wspaniałe! Posadzki były z gładkiego jak zwierciadła marmuru, na wszystkich ścianach wisiały przesliczne obrazy, a gdzie ich nie było, tam okrywało ścianę szkło zwierciadlane, a na nim malowane aniołki trzymające plecionki i wieńce z kwiatów, pięknościóre ptaki z rozpostartymi skrzydłami, dziobiące czerwone i złote owoce. Nigdy przedtem nie widziałem takiego przepychu! Kazano nam chwilę zaczekać, potem przyszedł *eccellenza* – towarzyszyła mu wysmukła, biała ubrana dama o dużych, pełnych życia oczach, którymi ciekawie się w nas wpatrywała. Spojrzała na mnie dziwnie przenikliwym,

ale miłym wzrokiem, odgarnęła mi włosy z czoła i rzekła do swego towarzysza:

– Prawda! Jak powiedziałam, tak jest, anioł was wybawił. Zaręczam, że pod tą brzydką, ciasną kurtką ma schowane skrzydełka.

– Nie! – odpowiedział on. – Wyczytałem z jego rumianych policzków, że Tyber dużo wody natoczy w morze, nim jemu skrzydełka urosną! Stara matka też by pewnie nierada pozwoliła na to, ażeby odleciał. Nieprawda? Wszakże niechętnie chcielibyście go postradać? Cóż, czy prawda?

– Zapewne! To byłoby tak samo, jakby mi kto w moim domku drzwi i okna zamurował i mnie w takiej ciemnicy i samotności zostawił. Nie! Bez tego miłego chłopca obyć się nie mogę!

– Ale przynajmniej tego wieczoru? – spytała dama. – Parę godzin może przecież u nas zostać! Potem możecie po niego przyjść. Księżyc pięknie wam będzie świecił do powrotu, a zbójców pewnie się nie boicie?

– Zapewne chłopiec tu z godzinę zabawi, a wy tymczasem będziecie kupować to i owo, czego w domu potrzeba – przerwał *eccellenza*, wciskając Domenice woreczek w rękę. Więcej nie usłyszałem, bo dama zaprowadziła mnie do innej sali, a swego towarzysza zostawiła sam na sam z Domeniką.

Wielki przepych i znakomite towarzystwo tych osób olśniły mnie zupełnie. Patrzyłem to na uśmiechające się aniołki wyglądające spośród malowanych na ścianach winorośli, to na senatorów w fioletowych i kardynałów w czerwonych pończochach. Byli oni w moich oczach półbogami, do których teraz i ja miałem należeć – ale najczęściej zwracałem oczy na pięknego amorka, który sam prześliczny, siedział na brzydkim delfinie, tryskającym aż pod strop dwa promienie wody spadające z powrotem w stojącą pośrodku sali wielką misę, w której pływał.

Całe świetne zgromadzenie, sami nawet kardynałowie i senatorowie uśmiechali się do mnie na powitanie, a piękny młody mężczyzna w mundurze oficera papieskiej gwardii podał mi rękę, gdy mnie młoda dama przedstawiła jako anioła stróża swego wuja. Tysiącem pytań mnie zarzucono, na które odpowiadałem żwawo i bez bojaźni, a sala wkrótce zabrzmiała śmiechem i oklaskami. Zbliżył się książę, żądając, abym zaśpiewał jakąś piosnkę – uczyniłem to chętnie. Młody oficer podał mi kieliszek szumiącego wina i kazał wypić, ale młoda dama dała głową znak przeczący i odebrała kieliszek, nim go wypróżniłem. Wino przebiegało po moich żyłach jak ogień – oficer wezwał mnie, ażebym teraz przed tą piękną, z uśmiechem na ustach obok mnie stojącą damą zaśpiewał, i spełniłem jego życzenie ochoczo. Bóg wie, co tam naplotłem, ale potok moich słów uznano za dar wymowy, moją śmiałość za dowcip, a okoliczność, że byłem ubogim chłopcem z Kampanii, nadała mojej improwizacji znamię geniuszu. Wszyscy klaskali mi brawo! Oficer zaś zdjął stojącej w kąciu figurce wieniec laurowy i włożył go z uśmiechem na moją głowę. Wszystko to były żarty, ale ja brałem to za oznakę czci i poważania, która mnie uszczęśliwiała i najmiłsze w życiu zgotowała chwile! Śpiewałem im piosenki, których mnie nauczyły Mariuccia i Domenika, opowiadałem o złośliwych oczach bawołów i o naszej izdebce w zapadłym grobowcu. Czas upłynął bardzo prędko – miałem ze starą moją opiekunką wracać do domu. Obdarzony owocami, ciastami i srebrnymi pieniędzmi poszedłem do niej. Była równie uszczęśliwiona, jak ja, bo nakupiła dużo rzeczy; ubiorów, sprzętów kuchennych i dwa duże dzbany wina. Wieczór był prześliczny. Noc rozpostarła się na drzewach i krzakach, ale wysoko nad nami wisi pełny księżyc, jak srebrna łódka na niezmiernym, granatowym morzu powietrznym, z którego wiał chłód na spiekłą Kampanię.

Ja myślałem o bogatych salach, o uprzejmej, pięknej pani, o rzęsistych oklaskach i marzyłem

na jawie i we śnie ciągle ten sam piękny sen, który wkrótce zamienił się w rzeczywistość, w piękną rzeczywistość.

Nie raz sprowadzano mnie do Rzymu, piękna uprzejma pani bawiła się dziwnym moim usposobieniem – musiałem opowiadać – gadać, co na myśl przyszło, tak samo jak mojej starej Domenice. A ona się z tego cieszyła i wychwalała mnie przed *eccellenzą*. I on był dla mnie dobry, podwójnie dobry dlatego, że był niewinną przyczyną śmierci mej matki – bo to on właśnie siedział w powozie, który rozbrykane konie poniosły przez nasze głowy. Owej pięknej pani było imię Francesca. Prowadzała mnie do bogatej galerii obrazów pałacu Borghese; moje dobroduszne pytania i sądy o wybornych obrazach pobudzały ją często do śmiechu; opowiadała je innym i wszyscy się wraz z nią śmiali. Przed południem sale bywały zapełnione cudzoziemcami zza gór. Malarze siedzieli i kopiowali różne obrazy, lecz po południu galeria zawsze była pusta – wtedy przechadzała się tam ze mną Francesca i opowiadała różne historie, do jakich te obrazy dawały powód.

Cztery pory roku Francesco Albaniego były dla mnie ze wszystkich najulubieńsze – śliczne, wesołe aniołki zwać się, jak mnie pouczyła, amoretami, były jakoby żywcem wzięte z moich marzeń. Jak rozkosznie bawią się wśród wiosny! Jedne ostrzą strzały, któryś obraca kamień, a dwaj inni, unoszący się w powietrzu, leją na niego wodę. W lecie latają wkoło gałęzi uginających się pod ciężarem owoców, które obrywają – pływają i pluskają się w przezroczyściej wodzie. Jesień sprowadza zabawy łowów. Amor z płomieniem w ręku siedzi na małym wózku, ciągnionym przez jego dwóch towarzyszy, podczas gdy miłość kiwa na żwawego strzelca, wskazując miejsce, gdzie oboje wspólnie mogą wypocząć. Zima wszystkich tych malców uspiła; w głębokim śnie pogrążeni nie wiedzą, że nimfy wykradają im kołczany i strzały, i rzucają je w ogień, który prędko pochłania zgubne pociski.

Czemu tych aniołków nazwano amoretami, czemu chodzą i strzelają? To były pytania, na które chciałem mieć dokładniejsze odpowiedzi, niż mi je wówczas dawała Francesca.

– Sam o tym będziesz czytał – mówiła. – Wiele jest rzeczy, których sam nauczyć się powinienes, ale początek nie będzie bardzo powabny. Przez cały długi dzień będziesz musiał siedzieć na ławie z książkami, nie będziesz się mógł bawić z kozami w Kampanii albo chodzić i przyglądać się twoim małym przyjaciołom! Co byś wolał, czy jeździć na koniu w hełmie z piórami i szablą u boku za karetą ojca świętego i przywdziać taką od stóp do głów świetną zbroję jak Fabiani, czyli też wszystkie piękne obrazy, które zobaczysz, rozumieć, cały świat otaczający cię poznać i umieć tysiące powieści daleko piękniejszych niż te, które ja tobie opowiadałam?

– A do ciebie będę wtenczas mógł przychodzić? – zapytałem. – Czy nie zostanę u dobrej Domeniki?

– Pamiętasz matkę i miły pobyt w jej domu? Wtedy także chciałeś zawsze w nim pozostać, nie myślałeś o Domenice ani o mnie. Teraz zaś nas najbardziej lubisz. Wkrótce znowu zmienisz upodobanie i tak przez całe życie czekają cię ciągle zmiany.

– Ale wszakże wy nie umrzecie obie, jak moja matka? – zapytałem i łyzy stanęły mi w oczach.

– Umrzeć, czyli rozłączyć się, musimy wszyscy! Przyjdzie czas, kiedy nie będziemy, jak teraz, razem – wtedy chciałabym cię widzieć szczęśliwym.

Rzęsiste łyzy były moją odpowiedzią; czułem się bardzo smutny, sam nie wiem dlaczego. Francesca pogłaskała mnie i mówiła, że jestem zanadto tkliwy i że to na tym świecie na nic się nie przyda. W tym momencie wszedł *eccellenza* z młodym oficerem, który mi wieniec włożył

wtedy na głowę, gdy po raz pierwszy improwizowałem w pałacu. On to nazywał się Fabiani i wielkie o mnie rokował rzeczy.

Będzie wesele, świetne wesele w willi Borghese – rozeszła się wieść aż do lichego domku Domeniki w pustej Kampanii. Francesca była narzeczoną Fabianiego i miała kilka dni po ślubie wyjechać z nim do jego dóbr pod Florencją. Wesele obchodzono w willi Borghese położonej blisko Rzymu w pięknym, gęstym lesie laurów i wiecznie zielonych dębów, gdzie wyniosłe pinie wznoszą ku niebu jasnozielone korony. Wówczas był ten las, jak i dzisiaj, miejscem zabaw dla Rzymian i cudzoziemców. Świetne karety toczyły się cienistymi alejami dębowymi, białopióre łabędzie pływały po spokojnych jeziorach, w których przeglądały się wierzyby płaczące, gdzie sztuczne kaskady spadały po głazach. Rzymianki z wydatnymi piersiami i ognistymi oczyma zjeżdżały się na tę uroczystość i spoglądały dumnie na wiejskie dziewczęta, które bijąc w tamburyny, tańczyły na drodze. Stara Domenika odbyła ze mną daleką drogę przez Kampanię, abyśmy także być mogli obecni na weselu naszej dobrodziejki. Stanęliśmy w ogrodzie, tam gdzie wysokie aloesy szpalerem zasłaniają białe mury, i widzieliśmy światła w okna blaskiem bijące. Francesca i Fabiani już byli po ślubie. Z sali dobiegał nas odgłos muzyki, a z zielonej równiny, na której stoi amfiteatr, strzelały rakiety i świetne fajerwerki wysoko w lazurowe powietrze. Dwa cienie poruszały się poza zasłoną jednego z wysokich okien.

– To oni! – szepnęła Domenika. Cienie nachyliły się ku sobie w nieco przyćmionym oknie, jakby dla pocałunku. Spostrzegłem, że moja opiekunka złożyła ręce i modliła się – wtedy i ja padłem mimo woli na kolana pod ciemnym cyprysem i modliłem się za moją kochaną, dobrą signorę. Domenika także uklękła. Niechaj będą szczęśliwi! W tej właśnie chwili spadł z nieba deszcz ognisty tysiącem gwiazdek, jakby przyklaskując naszej prośbie. Ale moja poczciwa matka Domenika rozplakała się, płakała nade mną, bo wkrótce mieliśmy się rozłączyć. *Eccellenza* kupił mi miejsce w szkole jezuitów, gdzie razem z innymi miałem się sposobić do zawodu świetniejszego niż ten, który mi zgotować mogły Domenika i Kampania.

– Może już ostatni raz idziemy razem przez Kampanię! – mówiła. – Odtąd chodzić będziesz po wspaniałych posadzkach woskowanych i krasnych kobiercach! Tego u Domeniki nie ma – ale ty byłeś dobrym dzieckiem, takim zostaniesz zawsze i nie zapomnisz o mnie i o biednym Benedetto. Mój Boże! Dzisiaj kilka pieczonych kasztanów wystarczy ci do szczęścia! Kiedy siedząc przy kominku, rozdmuchujesz palącą się trzcinę i pieczesz nędzne kasztany, widzę anielskie szczęście w twoich oczach! Tak szczęśliwy z małej rzeczy nie będziesz potem nigdy! Osty kampańskie wydają przynajmniej czerwone kwiaty, a na lśniących posadzkach bogacza nie rośnie ani trawka, a przy tym posadzka śliska i łatwo na niej upaść. Nie zapominaj nigdy, mój Antoniuccio, że jesteś ubogim dzieckiem! Pamiętaj, że powinieneś patrzeć a nie widzieć; słuchać a nie słyszeć – tylko takim sposobem świat przejdiesz. Gdy Bóg wezwie kiedyś mnie i Benedetta do siebie; kiedy to dziecię, które kołysałeś, prowadzić będzie swój żywot w Kampanii, ty może wtedy będziesz przejeżdżał we własnej karecie lub na pięknym koniu koło tego starego grobu, w którym sypiałeś, bawiłeś się i żyłeś, i zobaczysz w nim obcych ludzi, którzy ci głębokie oddawać będą pokłony. Dumny nie będziesz, wspomnisz na przeszłość, wspomnisz starą Domenikę, spojrzysz tam, gdzie się smażyły kasztany i gdzie kołysałeś dziecko. Przypomnisz sobie własne lata dziecinne, spędzone w nędzy, mój z serca poczciwy chłopcze!

To mówiąc, ścisnęła mnie i całowała, płacząc serdecznie. Myślałem, że mi serce pęknie! Ten powrót do domu i ta mowa więcej mi sprawiły bólu niż później samo pożegnanie; bo wtedy nie mówiła ani słowa, tylko płakała. A gdyśmy już byli za progiem, wróciła pośpiesznie, zdarła

z drzwi stary, zakopcony obrazek Madonny i dała mi go. Często go całowałem, była to jedyna pamiątka, którą mi dać mogła.

1 Później zamieniono ten ogródek w podwórze i wyłożono flizami.

VII

Życie szkolne. Habbas Dahdah. *Divina commedia*.

Siostrzeniec senatora

Signora Francesca odjechała z mężem, a ja zostałem uczniem jezuickiej szkoły. Nowe zajęcia pochłonęły mnie całkiem, nowi znajomkowie się znaleźli, zaczęła się rozwijać pełna przygód część mego życia. Tutaj lata złożyły się na godziny, z których każda różnie przynosiła zmiany – jest to cały szereg obrazów, kiedy na nie dzisiaj patrzę z dala, zlewa się w jeden wielki obraz, obraz mego szkolnego życia.

Jak wędrowcowi patrzącemu po raz pierwszy ze szczytu gór ukazuje się spośród morza mgły i obłoków to wznoszących się, to rozchodzących wyżyna okryta lasem lub miasteczkami, to znowu dolina słońcem opromieniona – tak i mnie odsłaniał się coraz wspanialszy świat duchowy. Kraje i miasta, o których przedtem nigdy ani śniłem, ukazały mi się poza górami otaczającymi Kampanię. Historia zaludniła każdy kawałek ziemi i opowiadała mi dziwne powieści i powiastki, każdy kwiat, każda roślina nabrała odtąd w oczach moich znaczenia – ale najpiękniejsza stawała zawsze przede mną moja ojczyzna – cudownie piękne Włochy! Pyszniłem się z imienia Rzymianina – każdy zakątek mego ojczystego miasta miał dla mnie coś miłego i powabnego – potłuczone nagłówki kolumn użyte za kamienie narożne w ciasnych uliczkach były u mnie świętymi szczątkami, filarami Memnona, dziwnie przemawiającymi do serca. Trzcina Tybru szeptała o Romulusie i Remusie – bramy triumfalne, kolumny i posągi wdrażały mi jeszcze głębiej w pamięć historię mojej ojczyzny – żyłem prawie całkiem w klasycznych czasach starożytności, a terażniejszość, to jest mój nauczyciel, dawał mi za to pochwały.

Każde zgromadzenie, polityczne czy kościelne, zgrupowanie szynkowe czy grono wybranych zasiadające za zielonymi stołami bogaczy – wszystkie mają swoich błaznów, bądź to z trzepaczką, bądź w orderowym łańcuchu, a nawet w sutannie; szkoły mają ich także. Oko młodzieży wnet upatruje cel szyderczych pocisków. I my mieliśmy arlekiną, jak inne zgromadzenia, a był to arlekin najpoważniejszy, najmrukliwszy, najzrędnniejszy, a przy tym najwyborniejszy w świecie – abate Habbas Dahdah, arabskiego pochodzenia, ale jeszcze dzieckiem sprowadzony do papieskiego państwa i tam wychowany, teraz przewodnik i sterownik naszego literackiego smaku, naczelnik estetyki w szkole jezuickiej, a nawet w Accademia Tiberina.

W późniejszych latach zastanawiałem się często nad poezją, tym cudownym natchnieniem boskim, i widziałem je podobne do czystej rudy złota w łonie gór zawartej. Wykształcenie i wychowanie są mądrymi górnikami, którzy umieją ją czyścić. Niekiedy trafia się wcale niemieszana, czysta – są to improwizacje liryczne poety opiewającego naturę. Jedna żyłka wydaje złoto, inna srebro, ale dobywają się także cyna i inne podlejsze kruszce, którymi pogardzać nie należy, ponieważ często przez polor i ozdoby nadać im można pozór srebra i złota. Podług tych rozmaitych kruszców dzielę poetów na złotych, srebrnych, miedzianych i żelaznych. Lecz teraz następuje druga gromada pracująca tylko w prostej glinie, są to niepoeci, którzy chcą koniecznie liczyć się do tego cechu. Habbas Dahdah był jednym z takich, a zajmował

stanowisko, na którym mu się przywidziało, że lepi garnuszki doskonałej formy. Z nich z pewnym rodzajem poetyckiej wolności oblewał ludzi, z którymi ani co do głębokości uczuć, ani co do poetyckiego ducha mierzyć się nie był zdolny. Lekkie, skromne wierszyki sztucznego składu, tak iż wydrukowane tworzyły wazony, serca i tym podobne rzeczy, zyskiwały jego podziw i pochwały. Dlatego też zapewne tylko dla wdzięcznej melodii chwalił sonety Petrarcki i wielbił poetę – a może też z mody lub przekonania, które jedynym było jasnym promyczkiem w jego chorobliwych pojęciach, bo Habbas Dahdah a Petrarcka to były dwie zupełnie różne istoty. Kazał nam się nauczyć na pamięć prawie czwartej części długiego poematu epicznego *Afryka*, przy czym na cześć Scypionów padało dużo słonych łez, a prętów na grzbiecie.

Co dzień prawił nam o gruntowności Petrarcki.

– Ci powierzchowni poeci – mawiał – ci, co to tylko wodnymi farbami malują, te dzieci fantazji to prawdziwy zarodek zepsucia. Nawet największego z nich, tego Dantego, co to niebo, ziemię i piekło poruszył, ażeby uzyskać nieśmiertelność, na którą Petrarcka jednym małym sonetem już zasłużył – znajduję małym, bardzo małym. Prawda, że umiał wiersze pisać! Toteż tylko te potoki wierszy unoszą jego babilońską wieżę aż do najpóźniejszych pokoleń. Gdyby był poszedł za pierwszą myślą swoją i napisał po łacinie, byłby się przynajmniej okazał uczonym – ale to mu nie było dogodnie, napisał tedy w owym *volgare*, które dotąd mamy. Jest to strumień, powiada Boccaccio, który lew przepłynąć, a jagnię przejść może. Ja nie widzę w nim ani tej głębokości, ani tej prostoty. Nie miał Dante dobrej podstawy, nie miał pewności, ciągle się wahał między przeszłością a teraźniejszością! Petrarcka zaś, ten apostoł prawdy, nie okazywał swojej pisarskiej odwagi osadzeniem zmarłego papieża lub cesarza w piekło. Był on swego czasu jakby chórem w greckiej tragedii, Kasandrą płci męskiej, ganiąc, upominając papieży i książęta. Karolowi IV ośmielił się powiedzieć w oczy: Przekonuję się na tobie, że cnoty nie są dziedziczne. Kiedy Rzym i Paryż uwieńczyć go chciały, wezwał współczesnych, pobudzony szlachetnym zaufaniem do samego siebie, ażeby osądzili publicznie, czyż jest godny, aby go jako poetę uwieńczono. Poddał się trzydniowemu egzaminowi, jak żak jaki, nim się udał do Kapitolu, gdzie go król neapolitański okrył purpurowym płaszczem, a senat rzymski wieńcem laurowym ozdobił, czego Dante nigdy nie uzyskał.

Tak wszystkie jego mowy zmierzały jedynie do tego, ażeby Petrarckę wywyższyć, a Dantego poniżyć; chociaż obydwaj stać obok siebie powinni, jak wonny fiołek obok kwitnącej róży. Potem musieliśmy się uczyć wszystkich sonetów na pamięć. Z Dantego nie czytaliśmy ani słowa; tylko z nagan Dahdaha dowiedziałem się, że mówi o niebie, czyśćcu i piekło, trzech przedmiotach, które mnie najmocniej zajmowały i największą zapaliły żądzą poznania tego dzieła. Ale to trzeba było zrobić potajemnie, bo Habbas Dahdah nigdy by nie przebaczył, że dotknąłem zakazanego owocu.

Pewnego dnia, przechadzając się po Piazza Navona, pomiędzy stosami pomarańczy, starym żelastwem leżącym na bruku i mnóstwem najrozmaitszych rupieci, którymi plac ten jest zapelniony, spostrzegłem stół ze starymi książkami i obrazami. Były tam karykatury pożerających makarony, Madonny z mieczem w zakrwawionym sercu i temu podobne różne obrazki. Jeden tom dzieł Monteskiusza zajął moją uwagę – miałem w kieszeni tylko jednego paola, dla mnie sumę dużą. To wszystko, co pozostało mi z tych skudów, które *eccellenza* dał mi pół roku wcześniej na drobne wydatki. Kilka bajoków chętnie bym dał za Metastaza, ale całego paola wydać nie miałem ochoty. Już prawie dobijałem targu, wtem spostrzegam kartę z napisem *Divina commedia di Dante*, to drzewo wiadomości dobrego i złego, ten owoc zakazany.

Rzuciłem Metastaza, a pochwyciłem Dantego, ale był dla mnie za drogi. Tylko za dwa paole mogłem go dostać. Obracałem mego paola w rękę, że aż mnie począł parzyć, ale nie chciał się podwoić, a sprzedający też nie chciał niżej spuścić, bo to było najlepsze z włoskich dzieł, najcenniejszy w świecie poemat, jak mówił – i potok wymowy poświęcony Dantemu, owemu przez Habbasa Dahdaha poniżonemu Dantemu płynął z ust pocziwego kramarza.

– Każda karta jest jakoby kazanie – mówił – on jest prorokiem bożym, z którym przez płomienie piekieł wchodzi się do raj. Ty tego dzieła nie znasz, mój paniczku, bo gdybyś je znał, tobyś się nie targował, choćbym i skuda zażądał! Będziesz miał na całe życie najpiękniejszy poemat ojczysty, i to za nędzne dwa paole.

Ja bym dał chętnie i trzy, gdybym je tylko miał. Byłem tym razem w takim samym położeniu, jak ów lis z kwaśnymi winogronami. I ja chciałem się popisać moją mądrością, począłem więc wychwalać Petrarke, a gadać przeciw Dantemu dużo tego, co słyszałem od Habbasa Dahdaha.

– Tak! Tak! – rzekł nareszcie kramarz, gdy skończył żywą i zaciętą obronę swego ulubionego poety. – Jesteś pan jeszcze za młody, a ja za wielki laik, aby takich ludzi umieć osądzić! Niech każdy zostanie sobie dobrym. Pan go nie czytałeś! To niepodobna! Z tak młodej, gorącej krwi nie może się wylać tyle żółci na takiego wieszczu świata!

Gdy mu wtedy otwarcie wyznałem, że mój sąd opierał się jedynie na zdaniu mego nauczyciela, porwał książkę z uniesienia dla jej autora, wsadził mi ją w rękę i żądał, ażebym, wynagradzając mu tego paola, którego nie dopłaciłem – tylko ją czytał, a chluby Włoch, jego drogiego, boskiego Dantego nie obrzucał kałem.

O, jakże szczęśliwym uczyniła mnie ta książka! Teraz była moja, moja własna na zawsze. Nie powątpiewałem nigdy, że sąd Habbasa Dahdaha jest niesprawiedliwy, dlatego ciekawość i uniesienie kramarza w taką mnie wprawiły niecierpliwosć, że ledwie mogłem doczekać chwili, w której bym mógł niepostrzeżony przez innych rozpocząć czytanie.

Zaczęło się dla mnie całkiem nowe życie! Moja fantazja znalazła w Dantem jeszcze nieodkrytą Amerykę z naturą tak silną i bujną, jakiej nigdy przedtem nie zaznałem, z jeszcze potężniejszymi skałami, jeszcze świetniejszą grą kolorów. We wszystkim żyłem sam, cierpiałem i radowałem się równo z nieśmiertelnym wieszczem.

Napis nad bramą piekielną ciągle mi brzmiał w uszach, przez cały czas wędrówki po otchłaniach, jak dzwony dnia sądnego:

*Zawiodę ciebie w miasto na męki skazanych,
Wprowadzę do krainy niezmiernych katuszy,
Zawiodę cię do ludu na zgubę wydanych
Mnie wielki Bóg mój stworzył w swej sprawiedliwości.
Miłość i mądrość boska na to się złączyły,
By mnie wszechmocnym tchnieniem do życia wzbudziły.
Kto w te bramy wstępujesz – żegnaj się z nadzieją!*

Widziałem owo zawsze ponure powietrze, jak huraganem pędzone tumany piasku na pustyni, widziałem potomków Adamowych padających jak listki w jesieni, podczas gdy w huczącym wietrze słychać było jęki i wycie rozpaczających duchów. Na widok zaś owych szlachetnych mężów, którzy nie zaznawszy błogosławieństwa chrześcijaństwa, tutaj znaleźli mieszkanie –

napełniły się oczy moje łzami. Homer, Sokrates, Brutus, Wergiliusz i inni najlepsi i najszlachetniejsi mężowie starożytności zostali na zawsze wyłączeni z raju. To mnie nie zadowoliło! Choć Dante urządził wszystko tak pięknie, tak wygodnie, jak tylko w piekle być może, to pobyt w nim był jednak niedolą bez męczarni, tęsknotą bez nadziei zbawienia. Należeli oni do potępionych. Otaczały ich głębokie kałuże piekielne, gdzie jęki potępieńców tchnące jadowitą parą i zaraźliwymi wyziewami kipiały bezustannie ogromnymi bąblami. Nie mógł Chrystus, gdy zstąpił do piekieł, nim zasiadł na prawicy ojca swego, wyprowadzić tych wszystkich z doliny płaczu? Mogła miłość jego czynić wybór pomiędzy równo nieszczęśliwymi? Zapomniałem zupełnie, że to wszystko tylko poezja. Aż do serca mego sięgały głębokie westchnienia wychodzące z jeziora wrzącej smoły! Widziałem wynurzające się tłumy Symonitów, a szatani znów ich ostrymi widłami w głąb spychali. Te żywe opisy głęboko się wryły w moją duszę – w dzień wplatały się w myśli moje, w nocy – we sny. Często słyszano mnie wołającego we śnie: *Pape Satan, aleppe Satan Pape!* i mniemano, że mnie diabeł kusi, a to były tylko powtarzane wspomnienia tego, co czytałem.

W czasie lekcji byłem roztargniony, tysiączne myśli cisnęły się do głowy i pomimo najszerszej chęci nie mogłem ich opędzić.

– Gdzież to jesteś, Antonio? – wołano na mnie, a mnie było strach i wstyd, bo wiedziałem dobrze, gdzie byłem. Ale Dantego porzucić, nie dokończywszy owej wędrówki, było niepodobna.

Dzień wydawał mi się długi, nieznośny i ciężki, jak ów pozłacany płaszcz z ołowiu, który obłudnicy dźwigać muszą w piekle Dantego. Z niepokojem w sercu wykradałem się do zakazanego owocu i chwytalem całą duszą straszliwe obrazy, które mnie karały za grzech urojony. Czułem nawet ukąszenie węży otchłani, które nurzając się w płomieniach, kąsają, i aby jad swój wyzionąć, znów na wierzch wyłażą odrodzone, niczym feniks.

Uczniowie, którzy w jednym pokoju ze mną spali, często się w nocy budzili na mój krzyk i opowiadali o moich szczególnych, urywanych mowach o piekle i potępieńcach. Stary nasz stróż spostrzegł pewnego poranku, że z otwartymi oczyma, a jednak śpiący usiadłem na łóżku, wzywałem Lucyfera i z nim się mocowałem, aż zmęczony upadłem znowu na poduszki, czym ogromnie się przeraził.

Upowszechniło się tedy mniemanie, że mnie zły duch nagabuje. Łóżko moje pokropiono święconą wodą, a mnie przykazano surowo odmawiać pewną liczbę pacierzy co dzień przed udaniem się na spoczynek. Nic nie mogło wywrzeć szkodliwszego wpływu, jak właśnie takie postępowanie. Krew burzyła się we mnie jeszcze bardziej, większa opanowała mnie trwoga, ponieważ znałem przyczynę takiego stanu i przekonałem się, że ją sam zdradziłem. Nareszcie nastąpiło przesilenie, po burzy nastała cisza.

Pomiędzy uczniami naszej szkoły odznaczał się zdolnościami i urodzeniem Bernardo – wesoły aż do rozpusty. Była to jego codzienna zabawka siadać na wystającej na ulicę rynnie, znajdującej się aż nad czwartym piętrem, jak na koniu i huśtać się na desce położonej pomiędzy dwa narożne okna, pod samym dachem. Wszelkie zaburzenia w naszym szkolnym państwie przypisywano jemu, i prawie zawsze słusznie. Starano się zaprowadzić między nami i w całym budynku spokój i ciszę klasztorną, ale Bernardo, wcielony duch niepokoju, zawsze temu przeszkadzał. Nie okazywał się jednak nigdy złośliwy; tylko przeciw pedantycznemu Habbasowi Dahdahowi przybierał cokolwiek tej czarnej barwy, dlatego też zachodziły między nimi ustawiczne nieporozumienia. Ale Bernardo bynajmniej się tym nie odstraszał. Był on

siostrzeńcem senatora rzymskiego, posiadał ogromny majątek i miał najświetniejsze widoki na przyszłość; bo szczęście, jak mawiał Habbas Dahdah, rzuca swoje perły w zgniłe pnie, a wysmukłe pinie pomija.

Bernardo miał o każdej rzeczy swoje własne zdanie, a gdzie go pomiędzy towarzyszami nie mógł przeprowadzić słowem, tam pomagał sobie rękoma, przybijając na grzbiecie upartych swoje co dopiero wylęгле pomysły. Tym sposobem zawsze rej wodził. Chociaż miał usposobienie mojemu wręcz przeciwne, jednak pomiędzy nami panowały jak najlepsze relacje. Ja wprawdzie zawsze ustępowałem, ale on i w tym nawet znajdował powód do zaczepiania mnie.

– Antonio! – mówił. – Mam ochotę porządnie ci przetrzepać skórę, gdybym tylko wiedział, że tym sposobem poruszę w tobie choć cokolwiek żółci. Żebyś choć raz chciał pokazać męstwo i palnąć mnie pięścią w twarz, kiedy cię zaczepiam, abym mógł zostać twoim najlepszym przyjaciele! Ale tak, to muszę odrzucić pokładaną na tobie nadzieję.

Pewnego rana, kiedy akurat sami znajdowaliśmy się w wielkiej sali, usiadł naprzeciw mnie na stole, a patrząc mi z uśmiechem w oczy, rzekł:

– Tyś jednak większy łotr niż ja! Wybornie odgrywasz komedię, dlatego kropią twoje łóżko święconą wodą, a ciebie okadzają. Myślisz, że ja nie wiem? Ty czytasz Dantego!

Zaczerwieniłem się po same uszy i zapytałem, jak mnie może o to obwiniać.

– Czyż dzisiejszej nocy nie opisałeś we śnie szatana właśnie z *Boskiej komedii*? Mam ci opowiedzieć historię? Masz dużo fantazji, to się uraczysz moim opisem. W piekle są nie tylko ogniste jeziora i zapowietrzzone kałuże, jak ci to zapewne z Dantego wiadomo, lecz także wielkie stawy pokryte lodem, w których dusze na wieczne czasy zamarzły. Te minąwszy, schodzisz w najgłębsze otchłanie, gdzie się znajdują ci, którzy zdradzili swoich dobroczyńców, a zatem i Lucyfer, główny buntownik przeciw Bogu, naszemu największemu dobroczyńcy. Stoi on po pas w lodzie, z rozwartą paszczą, w której trzyma Brutusa, Kasjusza i Judasza Iskariotę – tego ostatniego nawet za głowę w głąb paszczy zwróconą, i trzepocze ogromnymi skrzydłami nietoperza. Otóż mój synku, kiedy kto tylko raz zobaczy takiego potwora, nie tak łatwo go zapomni. Ja go poznałem w piekle Dantego i jego to opisałeś co do joty we śnie dzisiejszej nocy. Wtedy mówiłem do ciebie tak, jak teraz: ty czytałeś Dantego! I byłeś wtenczas szerszy niż teraz, bo skinąłeś na mnie, abym milczał i wymieniłeś nazwisko naszego kochanego Habbasa Dahdaha. Przyznaj się więc i na jawie, ja ciebie nie wydam! To przecież w tobie jest przynajmniej coś, co lubię. Tak! Tak! Mam nadzieję, że nie będę zmuszony zupełnie z tobą zerwać. Ale skąd żeś tę książkę wyrwał? Mogłeś ją przecież dostać ode mnie. Ja natychmiast ją sprowadziłem, skoro tylko Habbas Dahdah zaczął źle mówić o jej autorze i przekonałem się niebawem, że warto ją czytać. Taka gruba księga mogła mnie wprawdzie od przeczytania odstraszyć, ale aby Habbasa rozgniewać, natychmiast się do niej wziąłem, a teraz już po raz trzeci ją czytam. Nie jestże to wyborne piekło? Do którego, myślisz, pójdzie Habbas? Może w gorące, może też w zimne?

Tak moja tajemnica została odkryta, ale mogłem być spokojny, że Bernardo jej nie zdradzi. Związał nas odtąd ściślejszy stosunek, a ile razy byliśmy sami, mówiliśmy zawsze o *Boskiej komedii* – całkiem nią byłem zajęty, w niej się rozpyływałem – a ponieważ czułem potrzebę wypowiedzenia tego, co duszę moją i wszystkie myśli moje zajmowało, dlatego też Dante był pierwszym przedmiotem mojej poezji.

W wydaniu *Boskiej komedii*, które posiadałem, znajdował się opis życia Dantego. Był to wprawdzie tylko szkic, ale dla mnie wystarczył na stworzenie zeń obrazu. Opiewałem czystą,

duchową miłość jego i Beatrice, skreśliłem jego cierpienia w walce czarnych z białymi, tułactwo wygnańca poza górami i śmierć między obcymi. Najżywiej wyobrażałem sobie lot oswobodzonej z więzów ciała duszy Dantego i jej pogląd z wyższych sfer na ziemię i przepaści. Cały ten obraz zawarty w kilku zdaniach wzięty był z jego nieśmiertelnego poematu. Czyściec taki sam, jakim on go odmalował, znów się otworzył; cudowne drzewo połyskało owocem, pod którym gięły się gałęzie skrapiane wiecznie huczącymi wodospadami. On siedział w łódce, nad którą anioł rozpościerał swoje wielkie białe skrzydła, jakoby żagle, podczas gdy naokoło góry się trzęsły, a czyste dusze do raju się wznosiły, gdzie w słońcu i obliczach aniołów odbijały się promienie wiekuistego Boga, jak w zwierciadle; gdzie wszyscy zażywali wiecznego szczęścia i tak na najniższym, jak na najwyższym stojący stopniu, stosownie do usposobienia serca, równej doznawali rozkoszy.

Bernardo, wysłuchawszy mego poematu, uznał go za arcydzieło.

– Antonio! – zawołał. – Musisz go w jakiś dzień uroczysty zadeklamować, to Habbasa Dahdaha okropnie rozzłości. Tak! Tak! To, a nie co innego będziesz deklamował, to wyborne!

Ja pokręciłem tylko głową, że nie.

– Co? – zawołał. – Ty nie chcesz? To ja będę! Udręcę go nieśmiertelnym Dantem. Mój kochany Antonio! Daj mi twój poemat, ja go będę deklamował. Ale potem będzie naturalnie musiał uchodzić za utwór mój własny. No jakże, zechcesz się swoich pięknych piór wyrzec, aby wronę nimi ustroić? Jesteś cudownie uległy, a to będzie pięknym dowodem uległości z twojej strony, wszak zezwalasz?

Chętnie na to przystałem, bo sam pragnąłem gorąco być świadkiem tego figla.

Było wówczas zwyczajem w szkole jezuickiej, jak jest do dzisiaj w szkole propagandy na placu Hiszpańskim, że 13 stycznia występowała większa część uczniów, z których każdy w języku ojczystym, albo jednym z tych, których w szkole uczono, deklamował *in onore dei santi re magi*. Wybór treści zostawiano nam do woli, oddawaliśmy go pod cenzurę nauczycieli, a potem opracowywaliśmy.

– A ty, Bernardo? – zapytał Habbas Dahdah w dzień oddawania tematów. – Ty zapewne nie obrałeś, nie należysz do ptaków śpiewających, ciebie możemy pewnie pominąć?

– Bynajmniej! – odpowiedział. – Tym razem odważę się i postanowiłem przedstawić poetę, nie największego wprawdzie, bo mi zbywa na odwadze, ale wybrałem jednego z mniejszych – Dantego.

– Ej, ej! – zakrzyknął Habbas Dahdah – chce występować, i to z Dantem! To będzie arcydzieło, którego ciekawie posłuchał. Ale ponieważ przybędą wszyscy kardynałowie i cudzoziemcy z różnych stron świata, lepiej by było zostawić tę zabawkę do karnawału.

To rzekłszy, pominął go, ale Bernardo nie dał się tym odprawić i wyjednał sobie u innych nauczycieli pozwolenie. Każdy z nas miał już swój przedmiot, ja obrałem: piękność Włoch.

Trzeba było najpierw samemu rzecz opracować i użyć nie lada sposobu, aby sobie zjednać Habbasa Dahdaha i rozjaśnić jego pochmurne oblicze, gdy któryś z nas oddawał swój poemat do czytania, prosząc o radę i pouczenie – wtedy przerabiał zwykle cały utwór i tak długo mazał i łątał, aż zrobił z niego taką ramotę, jaką był oryginał, tylko w innym rodzaju. Jeżeli zaś ktoś z obcych pochwalił taki zlepek – nie omieszkał dodać niby nawiasem, że tym próbkom dodał iskiereki własnego dowcipu, ogładzał go i temu podobne.

Mój wiersz o Dantem, który Bernardo miał deklamować jako własny, nie dostał się wcale w jego ręce.

Wreszcie zawitał ów dzień. Pojazdy zaczęły się wtaczać przez bramę – poważni kardynałowie w purpurowych płaszczach z długimi ogonami weszli na salę i zajęli wspaniałe krzesła – rozdano kartki z naszymi nazwiskami, pisane w takim języku, w jakim były poematy. Habbas Dahdah wygłosił mowę wstępną, a potem nastąpiły deklamacje w języku syryjskim, chaldejskim, koptyjskim, nawet sanskryckim, angielskim i innych dziwnych, a im bardziej obcy i osobliwszy był dźwięk mowy, tym większe słyhać było oklaski zmieszane z serdecznym śmiechem.

Ja wystąpiłem z drżącym sercem i wygłosiłem kilka zwrotek na pochwałę mojej ojczyzny. Nagrodził mnie kilkakrotnie przez całe zgromadzenie powtórzony okrzyk „brawo!”. Sędziwi kardynałowie klaskali, a Habbas Dahdah uśmiechał się jak najwdzięczniej i z proroczą miną obracał w rękę wieniec, ponieważ we włoskim języku miał jeszcze tylko Bernardo wystąpić, a nie można się było spodziewać, ażeby następująca potem deklamacja angielska ten wieniec uzyskać mogła.

Wtedy wystąpił przed katedrę Bernardo. Pełen niepokoju zwróciłem na niego oczy i słuchołem z natężoną uwagą. Deklamował śmiało, z wyrazem dumy i zapału w oczach mój wiersz o Dantem. Na sali panowała głęboka cisza, zdawało się, że wszystkich na wskroś przejęła ta cudowna siła, jaką umiał nadać swojej deklamacji. Umiałem przecież całą co do słowa na pamięć, a brzmiała w moich uszach jak śpiew poety wznoszącego się na skrzydłach muzyki. Nagrodzony został burzliwymi oklaskami. Kardynałowie powstali, wszystko się skończyło. Wieniec przyznano Bernardowi. Ostatniej deklamacji wysłuchano tylko dla zachowania porządku – zyskała także pochwały, ale zaraz znowu zaczęto rozmawiać o piękności i natchnieniu, którymi się odznacza poemat o Dantem.

Twarz moja pałała, serce pierś rozpiekało, doznawałem niewysłowionej rozkoszy, dusza moja upoiła się pochwałami, które oddawano Bernardowi. Spojrzałem na niego – zmieniony był zupełnie; nigdy przedtem takim go nie widziałem. Błady jak trup, stał z oczyma na ziemię spuszczone, jak zbrodniarz – on, który przedtem wszystkim śmiało patrzył w oczy. Habbas Dahdah był w owej chwili zupełnie podobny do niego – zdawało się, że w roztargnieniu oskubie wieniec, nim go jeden z kardynałów wziął z jego rąk i włożył na głowę Bernarda, który przyklęknął i twarz dłońmi zasłonił.

Po uroczystości chciałem się z Bernardem zobaczyć.

– Jutro! – zawołał i uciekł ode mnie. Następnego dnia spostrzegłem, że stroni ode mnie, co mnie boleśnie dotknęło, bo serdecznie byłem do niego przywiązany. Potrzebowałem przyjaciela, któremu bym mógł się ze wszystkiego zwierzyć, i wybrałem jego. Tak minęły dwa wieczory, trzeciego dopiero rzucił się w moje objęcia, a chwyciwszy mnie za rękę, rzekł:

– Antonio, muszę z tobą pomówić, dłużej tego znieść nie mogę i nie chcę! Kiedy kładziono wieniec na moją głowę, zdawało mi się, że ją ranią tysiące kolców. Pochwały brzmiały w mych uszach jak szyderstwo, zaszczyt bowiem należał się tobie. Wyczytałem radość w twych oczach i wiedz o tym, że w tamtej chwili poczułem do ciebie nienawiść. Tak! Nie jesteś odtąd dla mnie tym, czym byłeś przedtem. Jest to niedobre uczucie, dlatego proszę cię o przebaczenie. Ale trzeba nam się rozstać, tu nie jest właściwe dla mnie miejsce. Oddalę się stąd, aby się w przyszłym roku nie wystawić na szyderstwo, gdy nie będę miał piór kradzionych. Mój wuj będzie i musi o mnie zadbać! Już mu to oświadczyłem, nawet tak daleko się posunąłem, że go o to błagałem – uczyniłem ten krok wbrew mojemu usposobieniu, poniżyłem się, a jak mi się zdaje, ty wszystkiemu jesteś winien! Mam do ciebie żal, który mnie tak dręczy w głębi duszy, że

chyba nowy stosunek może nas znowu zamienić w przyjaciół i zamieni! Antonio, daj mi na to słowo!

– Jesteś względem mnie i siebie samego niesprawiedliwy. Nie myślmy wcale o tych nędznych wierszach i o całej tej rzeczy! Podaj mi rękę, Bernardo, i nie zasmucaj mnie tak dziwną mową.

– Pozostaniemy na zawsze przyjaciółmi – rzekł i oddalił się. Dopiero późnym wieczorem powrócił do swojej sypialni, a następnego dnia już wszyscy wiedzieli, że opuszcza kolegium, aby się oddać innemu zawodowi.

Spadł jak gwiazda, mówił potem Habbas Dahdah z przekąsem. Zniknął, ledwo co zabłysnąwszy; był to tylko jednorazowy huk, jak cały ów poemat. Zachowam go, aby skarb taki nie zaginął. Święta Panno! Zastanowiwszy się dobrze, za co go mamy uważać? Jest to poezja, gdzie się wszystko porusza bez postaci i porządku? Zrazu myślałem, że podobny do wazy, potem do francuskiego kieliszka albo medycejskiej szabli, ale naobracawszy się go na wszystkie strony, przekonałem się, że to nędzna ramota. Dwadzieścia pięć razy powtórzony wyraz *divina*, jakby przez powtarzanie *divina* można stworzyć poemat. Czułość sama nie czyni poetą! Jakie tam harce fantazji! Przenosimy się w coraz inne miejsce. Nawet myśl sama nie stanowi poezji, nie! Jedynie rozważa, złota rozważa! Poeta nigdy nie powinien pozwolić się unieść przedmiotowi poezji – powinien być zimny jak lód, powinien na cząsteczki rozebrać dziecię swego ducha i każdą cząstkę pojedynczą poznać. Tylko w ten sposób tworzy się prawdziwe dzieło sztuki, nie zaś w rozburzeniu i zapędzie – nie przez bazgranie tego, co się nawinie, nie za pomocą dzikiego natchnienia. I otóż takiemu chłopcu kładę na głowę wieniec, zamiast mu przetrzepać skórę za historyczne błędy i inne niedowarzone rzeczy! Gniewałem się na tego szkaradnego Bernarda, co się wcale nie zgadza z moim usposobieniem.

Taka była mowa pochwalna Habbasa Dahdaha.

¹ Aby siebie i Scypionów uwiecznić, napisał Petrarka poemat *Afryka*, który przez jego *Sonety do Laury* poszedł w zapomnienie; sam też niewysoko go cenił.

VIII

Niemile i miłe spotkanie. Mała ksieni. Stary Żyd

Stęskniliśmy się wszyscy za dzikim, odważnym Bernardem, a nikt bardziej niż ja. Wszystko mi się odtąd u nas wydawało puste i smutne. Książki nie mogły mnie zadowolić, dusza moja była rozstrojona, tak że nie umiałem sobie dać rady. Jedną tylko muzyką przywodziła ją chwilowo do zgody z myślami – dopiero w świecie muzyki nabierało życie moje przezroczyści, a dążność wyrazu – w muzyce znajdowałem więcej, niż którykolwiek poeta, niż sam nawet Dante wypowiedział, bo nie tylko że uczuciem obejmowałem obrazy pełne ducha, ale i zmysłową część, ucho – raczyło się pełną życia i różnorodności harmonią tego świata. Co wieczór śpiewaliśmy przed obrazem Madonny, na pamiątkę lat moich chłopięcych. Śpiew ten brzmiał jak piosenka nad kołyską, smutno, jednostajnie, niczym multanki pastuszka. Słyszałem w niej śpiew monotony orszaku pogrzebowego, rozlegający się niegdyś nad grobem mojej matki. Zacząłem zastanawiać się nad przeszłością – serce moje dziwnie było rozrzucone – musiałem śpiewać, a dawne nuty brzmiały w moich uszach – słowa do nich płynęły z mej piersi pełnym głosem, za silnym nawet, bo przeszkadzały staremu Habbasowi, przedzielonemu ode mnie kilkoma pokojami, tak dalece, iż kazał mi powiedzieć, że tutaj nie opera ani szkoła śpiewu i że w szkole jezuickiej nie powinny się rozlegać takie trele, chyba na cześć Madonny. Wtedy umilkłem, a oparłszy głowę na ramach okna, patrzyłem na ulicę, rozmyślając w duszy o tym i owym.

– *Fellicissima notte!*, Antonio! – posłyszałem głos z dołu. Piękny, pyszny koń zatoczył kilka kółek pod moim oknem, po czym puścił się galopem ze swoim zręcznym jeźdźcem. Był to oficer papieski, nachylił się na koniu z właściwą młodzieży zwinnością i kłaniał się, kłaniał, dopóki mi z oczu nie zniknął. Poznałem go! Był to Bernardo, szczęśliwy Bernardo!

Jakże odmienne było jego życie niż moje! Nie mogłem o tym nawet myśleć, wcisnąłem kapelusz na oczy i jakby przez złego ducha ścigany wybiegłem na ulicę wiatry gonić. Ani o tym pomyślałem, że każdy uczeń z kolegium jezuickiego, z propagandy i każdego zakładu naukowego w państwie kościelnym powinien, chcąc wyjść na miasto, wziąć za towarzysza drugiego współucznia starszego lub równego wiekiem i że bez szczególnego pozwolenia nigdy nie było wolno samemu wychodzić. Przykazu tego tak powszechnie znanego nigdy nam nie powtarzano, zapomniałem więc, że wolność moja była ograniczona i szedłem sobie spokojnie. Stary *custode* myślał zapewne, że mam pozwolenie.

Na Corso ujrzałem bardzo dużo pojazdów, które szeregiem dążyły w miasto, wioząc Rzymian i cudzoziemców, a drugi taki szereg wyjeżdżał za miasto na wieczorną przejażdżkę. Gromady ludzi stały przed wywieszonymi na pokaz obrazami, a żebracy wyciągali dłonie po bajoki. Trudno się było przecisnąć bokami, nie chcąc się przemykać środkiem ulicy, między powozami. Właśnie wyszedłem z tłumu, gdy mnie ktoś uchwycił za suknię i powiedział ochrypłym głosem:

– *Buon giorno, Antonio!*

Obejrawszy się, zobaczyłem mojego obrzydliwego wuja Peppo siedzącego z uschłymi nogami i przytwierdzonymi do rąk deszczułkami do czołgania się. Już od kilku lat, jakeśmy się

do siebie nie zbliżyli, zawsze go unikałem, omijając z dala Schody Hiszpańskie, na których siadywał; a jeżeli idąc w procesji lub z innymi uczniami, zmuszony byłem przejść blisko niego, zasłaniałem twarz jak najstaranniej, aby mnie nie poznał.

– Antonio! Mój krewniaku! – mówił, trzymając mnie za kurtkę. – Nie poznajesz to Peppa, brata twojej matki? Myśl o świętym Józefie, to ci się przypomni moje imię. A jakieś mi urósł i zmężniał!

– Puść mnie! – zawołałem, gdy przechodzący zaczęli na nas zwracać uwagę.

– Antonio! – odpowiedział. – A przypominasz sobie, jak jechaliśmy na osiołku? Miłe dziecię! Teraz siedzisz na roslym koniu i nie chcesz się przyznać do swego wuja ani go nigdy na schodach odwiedzić? Wszakże niegdyś całowałeś moją rękę, spałeś na moim barłogu – nie bądź niewdzięczny, Antonio!

– Puść mnie! – powtórzyłem i wyrwałem się z jego ręki, wpadłem pomiędzy mijające się powozy i wbiegłem w poboczną ulicę. Serce mi biło ze strachu i z – ale jakże to nazwać? – obrażonej dumy. Zdawało mi się, że wszyscy ludzie, którzy na nas patrzyli, ze mnie szydzą. Ale tylko na chwilę opanowało mnie to uczucie, wkrótce obudziło się inne, jeszcze przykrzejsze.

Wszystko, co powiedział Peppo, było prawdą. Byłem jedynym dzieckiem jego siostry; czułem, że postępowanie moje jest okrutne, wstydzilem się wobec Boga i samego siebie – ciążyło mi to ołowiem na sercu i gdybym się z Peppem znalazł sam na sam, byłbym mu może rękę ucałował i prosił o przebaczenie, bo wzruszyłem się do głębi duszy.

Wtem zadzwoniono na *Ave Maria* w kościele Świętego Augustyna – grzech ciążył mi na duszy, wszedłem, aby się do Matki Boskiej pomodlić. Pod wysokim sklepieniem było jeszcze pusto i ciemno. Świece na ołtarzach rzucały słabe i blade światło jak hubka w nocy, kiedy wieje wilgotny sirocco. Dusza moja doznała pociechy i przebaczenia.

– Signor Antonio! – szepnął ktoś tuż obok mnie. – *Eccellenza* przyjechał i piękna signora z nim. Wszyscy przybyli z Florencji do Rzymu i ich aniołek także. Możesz ich zaraz odwiedzić i powitać.

Była to stara Fenella, gospodyni odźwiernego w pałacu Borghese. A więc przybyła moja dobrodziejka z mężem i dzieckiem! Już od kilku lat jej nie widziałem. Duszę napełniła mi radość, wybiegłem natychmiast i wkrótce potem powitały mnie znajome, uprzejme twarze.

Fabiani był łagodny i łaskaw dla mnie, Francesca ucieszyła się jak matka. Przyniosła swoją małą córeczkę Flaminię, miłe dziecko z dziwnie jasnymi oczkami, która mi zaraz podała policzek do pocałowania, bardzo mnie polubiła i w parę minut już się zaprzyjaźniliśmy. Siedząc na moich rękach, śmiała się głośno, gdy tańczyłem z nią po sali, śpiewając wesołą piosnkę.

– Nie róbże z mojej małej ksieni² światowego dziecka – rzekł Fabiani z uśmiechem. – Nie widzisz, że już nosi oznakę swej godności?

I pokazał mi srebrny krzyżyk wiszący na sznureczku, na piersi dziewczynki.

– Dał jej go sam ojciec święty, już nosi na sercu swego oblubieńca.

Idąc za pierwszym natchnieniem szczęśliwej miłości, poślubili pierwszą córeczkę kościołowi, a papież dał jej święty znaczek, kiedy jeszcze była w kołysce. Jako krewnej bogatej rodziny Borghese były dla niej otwarte najwyższe godności w klasztorach żeńskich Rzymu, dlatego też rodzice i wszyscy otaczający nazywali ją zawsze zaszczytnym imieniem ksieni. Każda powieść, każda zabawa miała na celu dać jej wyobrazenie o świecie, dla którego właściwie żyła, i o szczęściu, jakie ją czekało.

Pokazywała mi swego Jezuska, swoje zakonnice w białych habitach, które co dzień chodziły na mszę – ustawiała je wtedy w dwa rzędy, jak ją nauczyła piastunka, i opowiadała mi potem o ich pięknym śpiewie i modłach do Pana Jezusa. Rysowałem jej wesołych wieśniaków tańczących w długich wełnianych sukmanach wokoło kamiennego Trytona, poliszyneli³ siedzących jeden drugiemu na grzbiecie, a te nowe obrazki sprawiały dziewczynce wielką radość. Całowała je po wiele razy, potem darła ze swawoli, a ja musiałem rysować inne. Tak żeśmy się bawili aż do rozstania, dopóki piastunka nie położyła ksieni do łóżeczka, bo godzina jej spoczynku już dawno minęła.

Fabiani i Francesca wypytawali mnie o szkołę jezuitów, czy jestem zdrow i zadowolony, potem przyrzekali, że mnie zawsze będą kochać i życzyli mi szczęścia i powodzenia.

– Musimy się co dzień widywać – mówiła piękna pani. – Odwiedzaj nas pilnie przez cały nasz pobyt w Rzymie.

Pytała także i o starą Domenikę z Kampanii, a ja opowiadałem jej, jak wielką radość sprawiaam staruszce, ilekroć ją odwiedzę, choć to rzadko się zdarza, tylko jesienią lub wiosną; jak wtedy dla mnie piecze kasztany i w rozmowach o czasie, kiedy u niej mieszkałem, odmładzać się zdaje. Za każdym razem muszę oglądać kącik, w którym sypiałem, i obrazki, które rysowałem, a które ona dotąd jeszcze chowa razem z paciorkami i starą książką do nabożeństwa.

– Jak on śmiesznie się kłania – rzekła Francesca do Fabianiego, gdy im oddałem ukłon, zabierając się do wyjścia. – Jest to wybornie, że umysł się kształci, ale i ciało nie powinno być zaniedbane. Na to bardzo w świecie uważają, ale na to zaradzimy, nieprawda, Antonio? – I z uśmiechem podała mi dłoń do pocałunku.

Nie było jeszcze późno, kiedy wyszedłem na ulicę, chcąc powrócić do domu, ale ciemno, choć oko wykol. Wówczas nie było jeszcze w Rzymie na ulicach latarni – zainstalowano je bowiem, jak wiadomo, dopiero w ostatnich latach. Jedyne światłem w ciasnych, nierównych zaułkach były lampy palące się przed obrazami Madonny. Musiałem iść po omacku, aby się nie uderzyć i tak rozmyślając nad wydarzeniami tego popołudnia, szedłem sobie powoli ku domowi.

Wtem potrąciłem kogoś przed sobą.

– Do diabła! – odezwał się znajomy mi głos. – Nie wybije mi oczu, bo jeszcze mniej będę widział!

– Bernardo! – zawołałem uradowany. – A przecież raz cię zdybałem!

– Antonio! Mój najmilszy Antonio! – wykrzyknął i uchwycił mnie pod rękę. – To zabawne spotkanie! Skąd wracasz? Z jakiejś to nocnej wyprawy? Tego się po tobie nie spodziewałem, ale złapałem cię na drodze ciemności. Gdzież jest sierżant niewolników, *cicisbeo*, czy jak tam nazywasz twego wiernego towarzysza?

– Jestem sam – odpowiedziałem.

– Sam? – powtórzył Bernardo. – Toś mi doprawdy sprawny chłopak, powinieneś wstąpić do gwardii papieskiej, a może by się z ciebie zrobiło jeszcze coś dobrego.

Opowiedziałem mu pokrótce o przybyciu *eccellenzy* i *signory*, wyrażając radość z tego powodu. Jego radość z tego samego powodu równała się mojej, zapomnieliśmy zupełnie o otaczającej nas ciemności i rozmawialiśmy w drodze, nie uważając wcale, dokąd ani w jakim kierunku idziemy.

– Słuchaj, Antonio! – mówił on. – Teraz dopiero poznałem, czym jest życie. Ty wcale go nie znasz. Jest ono za rozkoszne, aby je można poznać na twardej ławie szkolnej, wśród spleśniałych

bredni Habbasa. Umiem koniem toczyć, wszak mnie dzisiaj widziałeś? A piękne signory spoglądają na mnie – ach! – tak ognistymi oczyma! Jestem też chłopak udatny, w mundurze bardzo mi do twarzy. Przekłeta ciemność! Nie możesz mi się przypatrzeć! Moi nowi towarzysze wprowadzili mnie w świat, nie tacy to pustelnicy jak wy! Wychylamy pełne szklanice za pomyślność naszego państwa, mamy swoje awanturki, których twoja świętobliwość poznać ci nie pozwala. Ty wcale nie jesteś mężczyzną, Antonio! Ja tyle zdobyłem doświadczenia w ciągu tych paru miesięcy, co inny w dziesięć lat. Teraz czuję moją siłę młodzieńczą, moją krew, jak wrze w sercu, a ja jej używam pełnymi haustami, a jednak jeszcze pragnienie nie ugaszone.

– W niedobrym jesteś towarzystwie, Bernardo! – powiedziałem mu na to.

– W niedobrym? – przerwał. – Nie praw mi kazania o moralności! Cóż możesz zarzucić mojemu towarzystwu? Moi koledzy pochodzą z najczystszej krwi patrycjuszów, jaka się w Rzymie znajduje. Stanowimy straż honorową ojca świętego, a jego błogosławieństwo maże nasze małe grzechy! W pierwszych dniach po wyjściu ze szkoły tkwiły mi jeszcze w pamięci niektóre klasztorne morały, ale byłem na tyle mądry, iż się z tym wcale nie wydałem przed moimi towarzyszami. Wnet począłem z nimi żyć – krew moja i zmysły moje, cała moja cielesna istota aż drżała z radości i skwapliwości do życia, i poszedłem za tym popędem, ponieważ był najsilniejszy – lecz równocześnie odzywał się we mnie jakiś gniewny, złowieszczy głos, były to morały klasztornej propagandy, resztki dzieciennych wyobrażeń, które mi szeptały: nie jesteś już niewinny jak dziecię! Później śmiałem się z tego, teraz umiem sobie jeszcze lepiej radzić. Jestem mężczyzną, dzieciństwo wytrząsnąłem z rękawa, płakało, gdy je pozbawiłem własnej woli.

Tak rozmawiając, zaszliśmy przed Chiavica, najlepszą oberżę, gdzie się gromadzą artyści.

– Pójdź ze mną! Musimy na cześć tego miłego spotkania wypić fogliettę. Pójdź! Tam jest bardzo wesoło.

– Co ty myślisz – odpowiedziałem – a gdyby się dowiedziano u jezuitów, że byłem tutaj z oficerem papieskiej gwardii?

– Prawda! Uważano by za wielką zbrodnię, żeś wypił szklanekę wina i słuchał piosnek zagranicznych artystów w ich ojczystym języku niemieckim, francuskim, angielskim i Bóg wie jakim! Tam wesoło się bawią, możesz mi wierzyć.

– Co dla ciebie stosowne, mnie się nie godzi, nie mówmy o tym i... – Tu sam uciałem, posłyszawszy w bocznej uliczce śmiech i okrzyki: brawo! Rad, że na coś innego zwrócić mogę rozmowę, rzekłem: – Spójrz, co tam za ludzie? Co to może być? Zdaje mi się, że ktoś pod obrazem Madonny pokazuje sztuki. – I pociągnąłem go za sobą w tamtą stronę.

Chłopaki i żacy z najniższych klas ludu zapełniali ulicę, tworząc podłużne koło wokół starego Żyda, którego, jak się dowiedzieliśmy, chcieli zmusić, ażeby przeskoczył przez kij, który jeden z chłopaków trzymał; inaczej nie chcieli go z ulicy wypuścić.

Wiadomo, że w Rzymie, stolicy chrześcijaństwa, Żydom tylko przeznaczoną dla nich dzielnicę Getto zamieszkiwać wolno. Co wieczór zamykają jej bramę, a żołnierze, stojący na straży w nocy, nie wypuszczają ani wpuszczają tu nikogo. Co roku muszą naczelnicy gminy udawać się do Kapitolu i prosić na klęczkach, aby im pozwolono jeszcze rok w Rzymie mieszkać i zobowiązują się do zapłacenia wszelkich wydatków na wyścigi karnawałowe, przy tym przyrzekają uroczyście, że wszyscy zajdą w pewnym dniu do kościoła katolickiego i wysłuchają misyjnego kazania.

Starzec, któregośmy przed sobą ujrzeli, przemykał się podczas tego ciemnego wieczoru sam jeden w miejscu, gdzie chłopcy hałasowali, a żacy grali w *Morra*.

– Widzicie Żyda! – zawołał jeden z nich i wszyscy poczeli starca prześladować i wyśmiewać, a gdy milcząc, chciał iść dalej, zastąpili mu drogę. Jeden z żaków, tusty, o szerokich plecach, wyciągnął długi kij i zawołał:

– No, Żydzie, bierz nogi na ramię, bo Getto wnet zamkną i już tej nocy do domu się nie dostaniesz! No, żywo! Zobaczymy, czyś lekki w nogach.

– Skacz, Żydzie! – wołały chłopaki. – Bóg Abrahama ci pomoże.

– Czy uczyniłem wam co złego? – rzekł ten, wskazując na obraz Madonny. – Dajcie mnie biednemu starcowi spokój i nie wyśmiewajcie się z moich siwych włosów przed tą, którą sami o miłosierdzie błagacie.

– Myślisz – zawołał chłopak – że Madonna robi sobie co z jednego Żyda? A skoczysz mi tu zaraz, stary psie! – I pogroził mu pięścią, a chłopcy zaczęli coraz bardziej w koło niego się cisnąć.

Wtem poskoczył Bernardo, odepchnął najbliższych na bok, wydarł szybko, jak błyskawica, kij z rąk chłopaka, wyciągnął go przed nim i wywijając pałaszem nad jego głową, zawołał silnym, męskim głosem:

– Skacz mi tu zaraz albo ci łeb rozplątam! Nie ociągaj się, na wszystkich świętych cię zaklinam! Czaszkę ci roztrzaskam, jeżeli nie przeskoczysz!

Chłopak stał wśród zdziwionego tłumu, jakby spadł z obłoków. Grzmiące słowa, dobyty pałasz, mundur papieskiego oficera, wszystko to uderzyło weń jak iskra elektryczna, którą, wstrząśnięty, skoczył z całej siły przez ten sam kij, który przed chwilą trzymał przed biednym Żydem. Całe zgromadzenie zdawało się równie być zdziwione, nikt nie śmiał wymówić słowa, tylko wszyscy patrzyli pomieszani na to, co się działo. Ledwo chłopak przeskoczył, aliści Bernardo schwycił go za kołnierz i uderzywszy płazem lekko w policzek, rzekł:

– Brawo, mój piesku! Wybornie! No, jeszcze raz pokaż tę sztukę, a potem, myślę, że będziesz miał dosyć tej psiej zabawy.

Chłopak musiał jeszcze raz przeskoczyć, a zgromadzenie, pochwyciwszy zaraz śmieszna stronę tego wydarzenia, krzyczało „brawo!” i klaskało w dłonie.

– Gdzie jesteś, Żydzie? – zapytał Bernardo. – Pójdź, odprowadzę cię. Lecz nikt się nie odezwał, Żyd już się oddalił.

– Teraz chodź – rzekłem, gdyśmy wyszli z tłumu. – Niechaj powiedzą, co chcą, a ja idę z tobą wychylić fogliettę wina, będę pił twoje zdrowie. Pozostaniemy zawsze przyjaciółmi, jakkolwiek się ułożą nasze stosunki.

– Ty jesteś głupiec, Antonio – odpowiedział – i ja także, że mnie ten ulicznik potrafił rozgniewać. Myślę, że teraz nie tak skory będzie do rozkazania komu skakać.

Wstąpiliśmy do osterii, nikt z wesołych gości nie zwrócił na nas uwagi. W jednym kącie stał stolik, tam kazaliśmy sobie przynieść fogliettę wina: piliśmy za szczęśliwe spotkanie nasze i wieczną przyjaźń, potem rozłączyliśmy się. Ja pośpieszyłem do szkoły, gdzie stary *custode*, szczególnie mój przyjaciel, wpuścił mnie niepostrzeżenie, a wkrótce zasnąłem i marzyłem o rozmaitych wydarzeniach minionego wieczoru.

¹ Mieszkaniec północy życzy dobrej nocy lub śpij z Bogiem! Włoch – najszcześniejszej nocy; bo noce w krajach

południowych przynoszą więcej niż tylko sny.

2 Jest zwyczajem u większej części rodzin włoskich, że jeśli któraś z córek już od młodości przeznaczona zostaje do klasztoru – nadają jej imię stosowne do jej przeznaczenia, na przykład oblubienica Jezusa, zakonnica, ksieni.

3 Poliszynel (fr. *polichinelle*, wł. *pulcinella*) – postać gbura z włoskiej *commedia dell'arte* i francuskiego teatru kukielkowego. Jego charakterystycznymi cechami były garb, komiczne zachowanie i głos.

IX

Żydówka

Przez jakiś czas trochę mnie niepokoiło, że bez pozwolenia spędziłem wieczór poza domem, a co gorsza, w osterii piłem wino z Bernardem, lecz na szczęście nikt nie spostrzegł mej nieobecności, albo też myślano może, jak stróż, że miałem pozwolenie; uważano mnie bowiem zawsze za najspokojniejszego i najsumienniejszego ucznia. Upłynęło dużo czasu, uczyłem się pilnie i odwiedzałem niekiedy moją dobrodziejkę, co było największą moją radością. Jej małą księżkę kochałem co dzień bardziej, przynosiłem jej obrazki, które sam, jeszcze małym chłopcem będąc, rysowałem – ale zaledwie się kilka chwil nimi pobawiła, rozlatywały się podarte w kawałki, które ja potem zbierałem i chowałem.

Czytałem wtenczas Wergiliusza. Zajmowała mnie szczególnie księga szósta, gdzie opisuje, jak Sybilla Kumańska prowadzi Eneasza w świat podziemny; dlatego, że w jej treści upatrywałem podobieństwo z Dantem. Przypominałem sobie przy tym mój poemat i nie mniej żywo Bernarda, którego już dawno nie widziałem. Tęskniłem za nim. Było to właśnie w jednym z dni, w których galerie watykańskie otwierano dla publiczności, poprosiłem więc o pozwolenie, aby także zobaczyć pięknych marmurowych bogów i arcywyborne obrazy, głównie jednak po to wyszedłem, aby się zobaczyć z kochanym Bernardem.

Znajdowałem się już w wielkiej otwartej loży, gdzie stoi cudowne popiersie Rafaela, a całe sklepienie przedstawia historię świętą w cudownych obrazach, szkicowanych przez tego wielkiego mistrza, a wykończonych przez jego uczniów. Dziwne arabeski wzdłuż ścian, cały zastęp aniołów, które w każdym łuku albo klęczą, albo na wielkich skrzydłach w przestwór niebieski się unoszą, nie były dla mnie nowością – jednak długo tam pozostałem, niby się przypatrując obrazom, tak naprawdę zaś oczekując na szczęśliwy przypadek, który by przywiódł Bernarda w Rafaelowskie loże. Wsparty na murowanej poręczy, patrzyłem na pyszny skład gór i wspaniałe, zarysami do bałwanów wodnych podobne ich szczyty z tamtej strony Kampanii, ale wodziłem okiem i po podwórcach watykańskich, szczególnie ilekroć szabla jakaś zabrzęczała na szerokich flizach, bo myślałem, że to Bernardo. Ale on nie przybywał.

Daremnie się nachodziwszy po różnych oddziałach, zatrzymałem się przed *Grupą Laokoona*, lecz oglądałem ją bez skupienia. W złym byłem humorze, że Bernarda nigdzie nie udało mi się wypatrzeć.

Wtem przebiega przez ganek jakaś lekka postać w pióropuszu i z brzmiącymi ostrogami, a ja ruszyłem za nią – był to Bernardo. Jego radość równała się mojej – zaraz mnie pociągnął za sobą, ponieważ, jak mówił, miał mi tysiące rzeczy do opowiedzenia.

– Ty nie wiesz, co wycierpiałem i co jeszcze cierpię! Ty będziesz moim lekarzem, tylko ty twymi magicznymi ziołami pomóc mi możesz!

To mówiąc, przeprowadził mnie przez wielką salę, gdzie papiescy szwajcarzy pełnią straż, do dużego pokoju przeznaczonego dla oficera dowodzącego strażą.

– Chyba nie jesteś chory? – zapytałem. – To być nie może, bo twoje oczy błyszczą ogniem, a policzki kwitną zdrowiem.

– Tak, tak! Błyszczą – rzekł z westchnieniem. – Jestem rozpalony od stóp do głowy. Ale teraz już wszystko dobrze. Tyś moją najszczęśliwszą gwiazdą, przynosisz wyborne romanse i doskonałe pomysły, ty musisz mi pomóc! Siadaj! O, nie masz wyobrażenia, ile przeżyłem wypadków od owego wieczoru, któryśmy razem spędzili! Ale zwierzę ci się ze wszystkiego. Jesteś wiernym przyjacielem, musisz ze mną dzielić tę awanturę.

Chciałem mówić, ale mnie do słowa nie dopuścił, musiałem wysłuchać tego, co go tak ogromnie wzburzyło.

– Przypominasz sobie tego Żyda? – mówił. – Owego starego Żyda, którego chłopaki chcieli zmusić do skakania, a on uciekł, nie podziękowawszy mi nawet za rycerską pomoc? Zapomniałem już i o nim, i o całej tej historii, gdy kilka dni potem znalazłem się przed bramą Getta, czego nawet nie spostrzegłem, aż dopiero kiedy straż broń przede mną zaprezentowała – należę teraz bowiem do ludzi posiadających znaczenie. Odkłoniłem się i spostrzegłem w bramie gromadę czarnookich dziewcząt o wschodnich rysach twarzy; łatwo więc domyślić się możesz, że mnie napadła chęć przejść się tą ciasną i brudną ulicą, zdającą się prowadzić wprost do synagogi. Domy wsparte jeden na drugim wznosiły się wysoko ku niebu, we wszystkich oknach pełno było głów i rozlegało się wołanie: *Bereszit Bara Elohim!*, jak gdyby wszyscy gotowali się do wędrówki za Morze Czerwone. Dokoła wisiały stare ubiory, parasole i inne rupiecie tandeciarskie; przechadzałem się pomiędzy starym żelastwem, obrazami, wyrobami sztuki i kałużami, a wszędzie słyszałem okrzyki i zachęty, czy chcę coś kupić albo sprzedać, że zaledwie miałem czas przypatrzeć się kilku ładnym, czarnookim dzieciom, które stojąc w drzwiach, do mnie się uśmiechały. Była to wędrówka, wierz mi, godna pióra Dantego. Wtem wpada na mnie jakiś stary Żyd i kłania się aż do ziemi, jak przed papieżem.

– *Eccellenza!* – woła – mój wielki dobrodzieju, zbawca mojego życia! Błogosławiona niechaj będzie ta godzina, w której was oczy moje oglądają! Nie myśl pan, ażeby stary Hanok był niewdzięczny!

I tym podobnie, czego ani nie rozumiałem, ani sobie już dobrze nie przypominam.

Wtedy dopiero poznałem, że to ów stary Hebrajczyk, którego chciano przez kij przesadzić.

– Tutaj jest mój ubogi domek – mówił dalej – ale jego próg jest za niski, ażebym pana śmiało prosić, żebyś go przestąpił. – To mówiąc, całował moją rękę i mundur. Chciałem się już oddalić, bo całe sąsiedztwo patrzyło na nas z podziwem, wtem spojrzawszy w stronę jego domu, spostrzegłem najpiękniejszą twarz, jaką w życiu moim widziałem – Wenerę z marmuru z liczkami ciepłą krwią okraszonym i oczyma, jakie mają tylko dziewczice Arabii. Łatwo się możesz domyślić, że wstąpiłem do Żyda, wszakże mnie zaprosił. Sień była wąska i ciemna, jakby prowadziła do grobu Scypionów, a kamienne schody z drewnianymi poręczami takie, że trzeba było iść bardzo ostrożnie i tę ostrożność rozciągnąć aż do końca palców u nóg. W pokoju wyglądało nie tak źle, tylko dziewczęcia nie było. Cóż miałem robić? Musiałem słuchać podziękowań przepelnionych wschodnimi przenośniami, które by się twojemu poetycznemu umysłowi pewno bardzo spodobały. Słuchałem cierpliwie i myślałem sobie, że ona przecież nareszcie się ukaże, ale się nie ukazywała. Tymczasem wyskoczył Żyd z myślą, która w innych okolicznościach nie byłaby wcale zła. Mówił, że ja, jako młody człowiek rad w świecie żyjący, zapewne czasem potrzebuję pieniędzy, a pewnie nie mam ich nazbyt wiele i może nieraz się udaję do dobrych ludzi, którzy za dwadzieścia i trzydzieści procent okazują mi swoją użyteczność; tymczasem on pożycz mi zawsze, w każdej potrzebie bez procentu, co u Żydów jest rzeczą niesłychaną. Czy słyszysz? Bez procentu! Ponieważ mnie uważał, jak się wyraził, za

rzetelnego, wspaniałomyślnego młodzieńca, którego uczciwości zupełnie zawiera. Ponieważ ja ocaliłem gałązkę szczepu Izraela, żadna więc trzaska z niego nie rozedrze mojej sukni. Ponieważ pieniędzy nie potrzebowałem, więc ich nie przyjąłem. Ale potem prosił znowu, abym mu uczynił ten zaszczyt i skosztował jego wina z jedynej butelki, którą posiadał. Nie pamiętam, co mu odpowiedziałem, wiem tylko tyle, że najpiękniejsza dziewczina wschodniego rodu weszła do pokoju. Co za kształty i krasa, a jej włosy połyskały czarnym jak heban kolorem. Nalała mi wyborowego cypryjskiego wina, a krew salomońska oblała jej policzki, kiedy spełniłem jej zdrowie. Gdybyś ją tylko słyszał mówiącą i dziękującą za to, co uczyniłem dla jej ojca, a co tutaj wcale ani wspomnienia nie było warte! Jej słowa brzmiały w moich uszach jak muzyka. Nie była to ziemską istotą! Znikła też wkrótce, tylko starzec pozostał.

– Toż to czysta poezja! – zawołałem. – Wspaniale by się nadawała do ułożenia rymów.

– Nie możesz sobie wyobrazić – mówił dalej – jak się później dręczyłem i ile planów przeszło mi przez głowę, ażeby znowu zobaczyć piękną córkę Syjonu. Poniżyłem się nawet tak dalece, że poszedłem zaciągnąć pożyczkę, choć jej nie potrzebowałem – wziąłem dwadzieścia skudów na tydzień, ale nawet ich nie obejrzawszy, już trzeciego dnia odniosłem. Starzec się uśmiechał i zacierał ręce, bo zapewne nie bardzo szczerze wierzył w moją wysławioną rzetelność. Chwaliłem jego cypryjskie wino, ale nie ona je przyniosła; on sam nalewał wychudłą, drżącą ręką. Śledziłem oczyma po wszystkich kątach, ale jej nie było nigdzie, nie pokazała się wcale. Dopiero kiedy wybiegłem z domu i okiem rzuciłem do góry, zdawało mi się, że w otwartym oknie poruszył ktoś zasłonę.

– *Addio signora!* – zawołałem, ale wszystko pozostało nieme jak mur, nie ukazał się nikt. Dalej już w mojej awanturze nie zaszedłem, daj mi teraz dobrą radę! Jeszcze nadziei nie straciłem i stracić nie chcę, ale co tu począć – podaj mi jakąś szczęśliwą myśl, jaki świetny pomysł – mój przyjacielu. Bądź mi Saturnią, Wenerą, która Eneaszowi córę Libii w tajemnej grocie zdybać dopomogła.

– Co chcesz, abym uczynił? Do takiej sprawy ja wcale nie mam rozumu.

– Ty wszystko umiesz zrobić, jeżeli tylko chcesz! Hebrajski język jest bardzo piękny; świat – poetyczny, pełen obrazów, powinien byś się tego języka uczyć i wziąć Żyda za nauczyciela, a ja będę płacił lekcje. Weź sobie starego Hanoka, bo tyle wysledziłem, że on należy do uczonych mieszkańców Getta. Jeżeli zaś polubi cię, poznasz zapewne i jego córkę i może się tym sposobem za mną wstawisz. Ale to musi stać się prędko, słyszysz? Jak najprędzej, bo w mojej krwi krąży paląca trucizna, trucizna miłości. Idź do Żyda jeszcze dzisiaj!

– Tego uczynić nie mogę – odpowiedziałem. – Czy pomyślałeś o moim położeniu i jaką bym tu rolę odegrał? I jakże ty, drogi Bernardo, możesz się poniżyć do miłostek z Żydówką?

– Ach, ty się na tym nie znasz! – przerwał mi. – Żydówka czy nie, nie ma co się zastanawiać, jeżeli tylko dziewczyna coś warta. No, najmilszy chłopcze, mój najdroższy Antonio! Ucz się po hebrajsku, będziemy się uczyli obydwaj, tylko w różny sposób; bądź rozsądny i pomyśl, jak wielce przyczynić się możesz do mego szczęścia.

– Wiesz – odpowiedziałem – że cię kocham z całej duszy; wiesz, że twoja siła opanowuje moje myśli i moją wolę; gdybyś był zły, mógłbyś mnie zgubić, ja muszę wejść w twoje zakłete koło. Twoich wyobrażeń o życiu nie oceniam według moich, każdy bowiem iść powinien za popędem swego usposobienia. Nie sądzę nawet, ażeby ten sposób, w jaki szukasz rozkoszy, miał być grzechem, bo taki jesteś stworzony – ale ja jestem zupełnie inny; nie namawiaj mnie do awantury, która chociażby się powiodła, tobie jednak nigdy prawdziwego szczęścia nie

przyniesie.

– Dobrze, bardzo dobrze! – przerwał i znowu spostrzegłem ów zimny, dumny wzrok, którym tak często mierzył Habbasa Dahdaha, gdy ten, wsparty powagą swego stanowiska, ostatecznie rzecz jakąś rozstrzygał. – Dobrze, Antonio! Cała ta historia była tylko żartem; z mojej przyczyny nie potrzebujesz iść do spowiedzi. Ale co może w tym być złego, żebyś się nauczył cokolwiek po hebrajsku, i to od Żyda? Tego pojąć nie mogę, jestem na to za głupi, lecz dajmy temu spokój! Dziękuję ci za wizytę. Chcesz jeść, pić? Wszystko jest na twoje rozkazy.

Zniecierpliwiłem się, bo głos, jakim przemawiał, i całe jego obejście okazywało, że czuł się obrażony. Na mój serdeczny uścisk odpowiedział zimną obojętnością i pańską grzecznością. Wyszedłem niebawem zasmucony.

Czułem, że jest niesprawiedliwy, bo przecież uczyniłem tak, jak powinienem, a jednak bywały chwile, w których mi się zdawało, że postępowalem względem niego zbyt surowo. Targany taką walką wewnętrzną przebiegałem dzielnicę żydowską w nadziei, że moja szczęśliwa gwiazda zawiedzie mnie w przygodę, która dla mego kochanego Bernarda stanie się użyteczna, ale nigdzie nie zobaczyłem starego Żyda. Z drzwi i okien wyglądały tylko nieznajome twarze, brudne dzieci leżały na progach i przed domami wśród najrozmaitszych rupieci, ubiorów i starego żelastwa. Szemranie, mamrotanie i krzykliwe zaprosiny, abym coś kupił, prawie mnie ogłuszyły. Kilka młodych dziewcząt grało w wolanta, jedna była bardzo ładna.

„Czyżby to ta mogła być ukochaną Bernarda?” – pomyślałem i mimo woli zdjąłem kapelusz, ale w tej samej chwili wstyd mnie opanował i potarłem ręką czoło, udając, że dla ochłodzenia, a nie przed ową dziewczyną odkryłem głowę.

X

Rok później. Karnawał rzymski. Śpiewaczka

Gdybym miał bez przerwy snuć wątek opowiadania uczepony miłości Bernarda i wędrówki mojej po Getcie, musiałbym cały rok mego życia pominąć. Ale ten rok był, pomimo zwyczajnego przebiegu, dla mnie wyjątkowo ważny; nie dlatego, że mi dodał dwanaście miesięcy wieku, ale że był pewnym rodzajem antraktu w historii mego życia.

Rzadko widywałem Bernarda, a ile razy się spotkaliśmy, zawsze go widziałem wesołym i zuchowatym; ale otwarty jak dawniej, o ile poznać mogłem, już nie był. Spod maski przyjaźni spoglądał wzrok zimny, pański, który rozstrajał mnie i zasmucał. Nie miałem też nigdy odwagi zapytać, co się dzieje z jego miłością.

Często bywałem w pałacu Borghese i znajdowałem w *eccellenzy*, Fabianim i Francesce drugą rodzinę, lecz często także powód do głębokiego smutku. Dusza moja przepełniona była wdzięcznością za wszystko dobre, czego od nich doznałem, dlatego każde surowe spojrzenie rzucało cień na moją wesołość. Franceska chwaliła moje przymioty, ale zarazem chciała mnie uczynić doskonałym, dlatego ganiła moje zachowanie czy wyrażenia, i to surowo, doprawdy za surowo, więc często, chociaż byłem już szesnastoletnim chłopakiem, łzy mi stawały w oczach. Poważny *eccellenza*, który mnie z chaty Domeniki wezwał do swego wspaniałego mieszkania, był dla mnie dotąd tak dobry jak przy pierwszym spotkaniu, ale i on zajmował się moim wychowaniem w ten sam sposób jak signora. Nie dość gorliwie podzielałem jego wielkie zamiłowanie do ziół i rzadkich roślin, co on nazywał brakiem chęci do gruntownych nauk – uznał, że jestem zbyt zajęty sam sobą; według niego nie dosyć się wyrzekałem sam siebie, nie roztracałem promieni ducha mego po szerokim świecie.

– Pamiętaj, mój synu – mawiał wtedy – że listek zwijający się tylko w siebie zwiędnie.

Ale po każdej cierpkiej przemowie głaskał mnie znowu po twarzy i pocieszał w sposób ironiczny tym, że w złym żyjemy świecie, że trzeba nas ścisnąć jak kwiaty do suszenia, aby Madonna miała z nas piękne okazy. Fabiani zaś upatrywał we wszystkim tylko powód do żartów i śmiał się z nich obojga, zapewniając, że ja nie będę ani uczonym jak *eccellenza*, ani dowcipnym jak Franceska, ale zupełnie innym charakterem, który także ma w świecie miejsce, i to charakterem wcale niezłym. Potem przywoływał swoją małą księżkę, a przy niej zapominałem o wszystkich moich zmartwieniach.

W następnym roku postanowili wyjechać do północnych Włoch, gdzie gorącą porę letnią chcieli spędzić w Genui, a zimę w Mediolanie. Ja zaś miałem w tymże czasie ważną chwilę przed sobą, to jest złożyć egzamin na abata, a zatem osiągnąć wyższy stopień aniżeli ten, na którym pozostawałem obecnie.

Przed wyjazdem rodziny odbył się wielki bal w pałacu Borghese, na który i mnie zaproszono. Przed pałacem paliły się smolne wieńce, a wszystkie pochodnie, którymi świecono przed pojazdami zajeżdżających gości, zatykano w żelazne świeczniki przytwierdzone do muru, który wyglądał jak kaskada z samego ognia. Przy bramie stali jeźdźcy papiescy, ogródek zdobiły różnokolorowe latarnie z papieru – marmurowe schody oświetlone były przepysznie, wszystko

oddychało wonią kwiatów, bo na każdym stopniu stały wazony z kwiatami i drzewami pomarańczowymi. Przy wjeździe strażowali żołnierze, a bogato przybrana służba uwijała się rojami.

Franceska była tego dnia nadzwyczajnie piękna – precudne pióra rajskiego ptaka, biała atlasowa suknia obszyta drogimi koronkami prześlicznie na niej wyglądały – a ponieważ mi podała rękę, wszystko wydawało mi się jeszcze piękniejsze. W dwóch salach obsadzonych wybornymi śpiewakami przemieszczali się tańczący – pomiędzy nimi znajdował się także Bernardo. Jakże piękny był w karmazynowym, złotem haftowanym mundurze i obcisłych pantalonach! Wszystko leżało na jego zgrabnej postaci jakby ulane. Tańczył z najpiękniejszą, a ona uśmiechała się do niego słodko i poufale. Gniewało mnie okropnie, że nie umiałem tańczyć, nikt prawie na mnie nie zważał. Tam gdzie zawsze czułem się jak w domu, dzisiaj byłem najbardziej obcy pomiędzy obcymi. Wtem Bernardo podał mi rękę na powitanie, a moje niezadowolenie znikło natychmiast.

Poza długimi karmazynowymi firankami piliśmy przy otwartym oknie kipiącego szampana. Bernardo trącał przyjaźnie mój kieliszek, piękne melodie płynęły przez ucho do serca – i znikła myśl o zmniejszonej przyjaźni. Odważyłem się nawet wspomnieć piękną Żydóweczkę – on się uśmiechnął, można było wnosić, że się z tej głębokiej rany już wyleczył.

– Złapałem innego złotego ptaszka – powiedział. – Ten jest łaskawszy i rozpedził swoim śpiewem wszystkie moje kaprysy; puśćmy więc tamtego. W samej rzeczy odleciał, zniknął z żydowskiej dzielnicy i jeżeli można ludziom wierzyć, w samym Rzymie się ukrył.

Raz jeszcze zadzwoniliśmy w kieliszki, szampan i wesoła muzyka podwoiły żwawość, z jaką krążyła krew nasza – Bernardo rzucił się znowu w wir tańca, ja pozostałem sam, ale z owym uczuciem szczęścia w sercu, kiedy to cały świat do piersi przycisnąć byśmy radzi. Biedne dzieci zebrane pod oknem na ulicy cieszyły się z iskier padających ze smolnych wieńców; wtedy przypomniałem sobie własne ubogie lata dziecinne, kiedy i ja iskrami się bawiłem, podczas gdy dzisiaj, w świetnej sali balowej, wśród najznakomitszych rodzin Rzymu jestem jakby w domu. Serce moje napełniała wdzięczność i miłość ku tej Matce Bożej, która mnie łaską swoją wspierała, iż tak daleko w świecie zaszedłem, kolana same zgięły się do modlitwy; długie firanki zasłaniały mnie przed wzrokiem wszystkich, niewypowiedzianie byłem szczęśliwy.

Noc prędko zeszła. Dwa dni potem familia wyjechała z Rzymu. Habbas Dahdah przypominał mi co dzień, co mnie w tym roku czeka, to znaczy stopień abata. Uczyłem się pilnie, Bernarda i innych znajomków prawie nie widywałem. Upłynęły tygodnie i miesiące, aż nareszcie nadszedł dzień, w którym po złożeniu egzaminu ozdobiono mnie czarnym ubiorem i krótkim jedwabnym płaszczykiem.

Wszystko zdawało się głosić moje zwycięstwo! Wyniosłe pinie, dopiero co rozkwitłe anemony, krzykacze uliczni, nawet lekki obłoczek płynący po szafirowym tle nieba.

Zarzuciwszy na siebie czarny jedwabny płaszczyk abata, przedzierzgnąłem się w innego, szczęśliwszego człowieka. Franceska przysłała mi w tym czasie weksel na sto skudów na różne zabawy i potrzeby. Pełen radości pobiegłem na Hiszpańskie Schody, rzuciłem wujowi Peppo nowiuteńskiego skuda i oddaliłem się tak śpiesznie, że nie słyszałem więcej niż tylko:

– *Eccellenza, eccellenza Antonio!*

Było to w pierwszych dniach lutego, drzewa migdałowe okryły się właśnie kwiatem, a pomarańczowe przybierały powoli złotą barwę; zbliżał się wesoły karnawał jakby na uświetnienie wyniesienia mego; heroldowie konni z trąbami i pięknymi chorągiewkami

z aksamitu już obwieścili jego przyjście. Nigdy przedtem nie użyłem rozkoszy karnawału, nigdy ów obraz narodowy – im bardziej szaleńczo, tym lepiej – nie przedstawił się duszy mojej tak dobrze. Gdy byłem dzieckiem, moja matka obawiała się, ażebym w tłoku nie doznał jakiejś szkody, widziałem więc tylko pojedyncze chwile tej szalonej wesołości, podczas gdy stała ze mną przy rogu ulicy. Jako uczeń jezuitów widziałem go tylko w ten sposób, iż mi pozwolono razem z innymi uczniami stać na płaskim dachu budynków otaczających pałac Doria. Lecz być uczestnikiem, samemu biegać po ulicach, na Kapitol, Zatybrze – jednym słowem chodzić i bawić się, gdzie bym sam chciał – o tym wcale nawet pomyśleć nie mogłem – rzecz bardzo naturalna, iż rzuciłem się w ten dziki odmet i cieszyłem się wszystkim jak dziecko.

Najmniej myślałem wówczas o tym, że teraz zaczną się najpoważniejsze w moim życiu przypadki, że zdarzenie, które mnie niegdyś tak żywo zajmowało, a które później poszło w zapomnienie, teraz znowu się pojawi pełne życia i siły, że stracone ziarno zapomniane i niedostrzeżone ukaże się teraz niczym wonna zielona roślina, która silnie oplotła drzewko mego żywota.

Myślałem tylko o karnawale. O świcie poszedłem na Piazza del Popolo, aby się przypatrzeć przygotowaniom do wyścigów; wieczorem przechadzałem się po Via del Corso i przypatrywałem się powywieszanym ubiorom karnawałowym w najrozmaitszych kolorach – całym postaciom w maskach i pełnym przebraniu.

Pożyczyłem sobie ubiór adwokacki jako znamię najweselszego charakteru i nie spałem prawie całą noc – musiałem bowiem rozmyślać nad moją rolą i jej się nauczyć.

Zaświtał dzień, który uważałem za najuroczystsze święto – szczęśliwy byłem jak dziecko. Wszędzie na pobocznych uliczkach kramarze sprzedający *confetti* rozstawiali swoje budki i stoły i rozpościerali towar. Corso czysto zamieciono, a ze wszystkich okien powywieszano różnokolorowe kobierce. Około trzeciej godziny podług rachuby włoskiej znajdowałem się już na Kapitolu, aby po raz pierwszy ucieszyć się widokiem początku tej uroczystości. Balkony zajmowali znakomici cudzoziemcy, senator w purpurze siedział na aksamitnym tronie; śliczni malutcy paziowie z piórami u beretów stali po lewej ręce przed gwardią papieską. Wtem zbliżyła się gromada najstarszych Żydów z odkrytymi głowami, poklękali przed senatorem. Poznałem znajdującego się pośrodku, był to Hanok, ów stary Żyd, którego córka tak zachwyciła Bernarda.

Starzec wygłosił mowę, w której prosił zgodnie z dawnym obyczajem o pozwolenie dla siebie i swego narodu, ażeby jeszcze rok mogli mieszkać w Rzymie w wyznaczonej im dzielnicy. Przyrzekł, iż pójda raz do katolickiego kościoła i że zamiast – co mieli z dawna w zwyczaju – przebiec przez Corso przed oczyma Rzymian, zapłacą za wszystkie wyścigi konne, wyznaczone nagrody i różnobarwne aksamitne chorągiewki.

Senator przychylił się do ich prośby łaskawym skinieniem głowy (dawny obyczaj, aby na ramię proszącego postawić stopę, był już zniesiony), potem zszedł przy odgłosie hucznej muzyki po schodach aż do swego pojazdu, do którego wsiedli także paziowie, i tak otworzył karnawał. Wielki dzwon na Kapitolu wezwał do uciech – pobiegłem co żywo do domu, aby przywdziać ubiór adwokata.

Zdawało mi się, że w tym stroju jestem zupełnie innym człowiekiem, zadowolony zbiegłem na ulicę, gdzie powitał mnie tłum masek. Byli to biedni wyrobnicy, którzy w te dni bawili się równie dobrze jak najbogatsi szlachcice. Cały ich strój był bardzo oryginalny, a przy tym najtańszy w świecie. Na zwykły ubiór wdziewali grubą koszulę obszytą skórkami cytrynowymi, mającymi wyobrażać guziki, na ramionach i trzewikach mieli zieloną sałatę, peruki z fenkuła,

prócz tego wielkie, z pomarańczowych skórek wykrojone okulary.

Groziłem im wszystkim procesami, pokazywałem w mojej księdze paragrafy prawa zakazujące tak zbytkownego jak ich ubioru, a otrzymawszy od wszystkich oklaski, pobiegłem na Corso, która z ulicy przemieniła się w salę balową. Ze wszystkich okien, balkonów, powznoszonych łóż zwieszały się kolorowe kobierce; wzdłuż ulicy, pod ścianami kamienic stały rzędy krzeseł, z których, jak zapewniał wołający, wybornie można było wszystko widzieć.

Powozy toczyły się jeden za drugim, wypełnione po większej części maskami. Jeden rządził, drugi wyjeżdżał. U niektórych pojazdów koła wyplecione gałązkami laurowymi wyglądały jak ruchome altanki. We wszystkich oknach pełno było widzów – piękne rzymianki w oficerskich mundurach z wąsem ocieniającym krasne usta rzucały na dół confetti na znajomych. Ja miałem do nich mowę i wezwałem przed sąd, ponieważ nie tylko confetti na twarze, ale także ogniste spojrzenia w serca rzucały. Nagroził mnie deszcz kwiatów.

Spotkałem babinkę w wystrzępionym stroju w towarzystwie jej *cicisbea* – walcząca ze sobą gromada poliszynele zamknęła nam na kilka chwil drogę, a poczciwa signora musiała słuchać mojej mowy.

– Signora – rzekłem – jest to dotrzymanie uczynionych ślubów, jest to stary rzymskokatolicki obyczaj, który tobie zachowywać przystało? Ach, gdzie jest Lukrecja, zaszczyt domu Tarkwiniusza Kollatyna? Pozbywasz się swego męża w czasie karnawału, jak wiele innych rzymianek, które swoich czcigodnych mężów posyłają może nawet do mnichów na Zatybrze na pobożne ćwiczenia. Przysięgacie żyć skromnie, pobożnie, a małżonek umartwia swoje ciało w czasie uciech, pracuje i modli się dzień i noc w murach klasztornych, kiedy wy macie wolne pole do hulania z waszymi *amoroso* po Corso i Festino. Ej, signoro! Pozywam cię przed sąd na mocy dwudziestego siódmego artykułu księgi prawa...

W odpowiedzi dostałem porządnie w twarz wachlarzem, a wnosząc z jej dobitności, powiedziałem najwyraźniej, nie myśląc o tym, prawdę.

– Czyś ty oszalał, Antonio? – szepnął mi do ucha jej towarzysz i oboje przepadli w tłumie Greków, zbirów i pasterek. Po głosie poznałem Bernarda. Ale kim mogła być ta dama?

– *Luogi! Luogi Padroni!* – wołali wynajmujący krzesła i wnet przerwali moje myśli, bo i któż by zresztą myślał w czasie karnawału?

Gromada arlekinów z grzechotkami u nóg i ramion tańczyła wkoło mnie, a inny jakiś adwokat o szcudłach na chłopca wysokich przeszedł ponad nami. Spostrzegłszy we mnie kolegę, począł szydzić z niskiego, jakie zajmowałem, stanowiska i upewniał, że tylko on sprawę wygrać może, bo na ziemi, do której przylgnąłem, nie ma sprawiedliwości – znaleźć ją można tylko tam, dodał, wskazując ku niebu, i poszedł dalej.

Na Piazza Colonna prezentował się chór muzyczny, rozochoceni doktorzy i pasterki tańczyli rażno, okrążając nawet pojedyncze oddziały żołnierzy, którzy w celu utrzymania porządku przechadzali się obojętnie pomiędzy pojazdami i tłumami ludu. Tutaj chciałem znowu wygłosić jak należy mowę, gdy wtem zbliżył się jakiś pisarek i popsuł mi wszystko, bo jego pacholek, który go poprzedzał z dużym dzwonkiem, tak mi począł dzwonić nad uszami, że własnych słów rozumieć nie mogłem. Nagle rozległ się strzał armatni na znak, że wszystkie powozy opuścić powinny ulicę i że karnawał na ten dzień skończony.

Dostało mi się miejsce na rusztowaniu z desek – pode mną cisnęły się tłumy, nie pozwalając się rozepchnąć żołnierzom, którzy nakazywali, ażeby zrobiono miejsce dla koni, mających wkrótce w rozhukanym pędzie przebiec ulicę, na której tor nie był opłotkami wygradzony.

W końcu Piazza del Popolo ustawiono konie przed szranki. Wyglądały na półdzikie, a tu przywiązano im na grzbietach zatloną hubkę, poza uszami założono małe rakiety, a na boki zawieszono luźno żelazne kolce, które je w czasie biegu kłuły aż do krwi. Masztalerze ledwo je mogli utrzymać. Wtem zagrzmiał huk armatni – lina sprzed szranków opadła, konie przeleciały przez Corso jak wichur tuż koło mnie. Pozłotka lśniły, grzywy i czerwone wstęgi furkotały w powietrzu, iskry pryskały spod kopyt, całe zgromadzenie wrzeszczało za nimi dzikim, potężnym głosem, a skoro tylko przemignęły, znowu tor otwarty zalały tłumy ludu, jak bałwany zlewające się za tramem₂ okrętu.

W tym dniu skończyła się uroczystość, a gdy przyszedłem do domu, aby zrzucić maskę, zastałem w pokoju oczekującego na mnie Bernarda.

– Ty tutaj? – zawołałem. – A twoja *donna*, gdzie żeś ją u kata zostawił?

– Cicho bądź! – rzekł, grożąc mi żartobliwie – ażeby stąd nie wywiązał się między nami pojedynek. Skądże ci przysłała ta osobliwsza myśl gadać właśnie to, co gadałeś? Ale dajemy ci rozgrzeszenie i ulaskawienie. Pójdiesz dzisiaj ze mną do teatru Aliberto, wystawią operę *Dydona*, podobno precudna muzyka. Będzie tam dużo piękności pierwszego rzędu, jest także obca śpiewaczka, która wystąpi w głównej roli. Cały Neapol padł przed nią na kolana – ma podobno taki głos, tyle wyrazu, taką siłę, o jakich nie mamy wyobrażenia – przy tym jest, jak powiadają, nadzwyczaj piękna. Nie zapomnij zabrać ze sobą ołówka, bo jeżeli choć w części zgadzać się będzie z opisem o niej, to cię natchnie do napisania najpiękniejszego sonetu. Ja zachowałem ostatnie wiązeczki fiołków karnawałowych, aby ją nimi obrzucić, jeżeli mnie oczaruje.

Gotów byłem z nim pójść, bo chciałem rozkosz karnawału spełnić co do kropli. W moim *Diario Romano* znajduje się ten trzeci lutego podwójnie podkreślony.

A zatem w teatrze Aliberto, najznacniejszym domu operowym w Rzymie, mieliśmy ujrzyć nową śpiewaczkę w roli Dydony. Wspaniały strop, na którym unoszą się muzy, zasłona z całym Olimpem i złożone arabeski dokoła łóż, wszystko to wówczas było nowe. Cały teatr, od parteru aż do piątej łoży zapełniali widzowie – w każdej łoży paliły się świece w świecznikach kilkuramiennych, co razem dawało taki blask jak ogniste morze. Bernardo zwracał moją uwagę na każdą nową piękność ukazującą się w łoży, a sypał tuzinami złośliwych dowcipów na brzydkie.

Uwertura się zaczęła – była to ekspozycja całej sztuki w muzyce. Straszliwa burza huczała po morzu i pędziła Eneasza na wybrzeża Libii. Srogość burzy zamieniła się w łagodną, niekiedy głosem wesela pobrzmiwające hymny, a przy słodkim odgłosie fletu marzyłem o budzącej się w Dydonie miłości, uczuciu, którego sam jeszcze nie znałem. Zagrała trąbka myśliwska, burza zaczęła się znowu srożyć z coraz bardziej wzrastającą mocą; wtedy przeniosłem się do rozkochanych w tajemniczą jaskinię, gdzie wszystko pobrzmiwało potężną, burzliwą namiętnością; miłosną, łamiącą się w ogromne dysonanse, gdy wtem zasłona się podniosła. Eneasze chce odjeżdżać, aby dla swego Askaniusza zdobyć państwo hesperyjskie, chce opuścić Dydonę, która jemu, cudzoziemcowi, ofiarowała sławę i pokój. Ona jeszcze o tym nie wie, mówił, ale wkrótce zniknie jej miłe marzenie, skoro wojsko Teukrów, podobne do czarnych rojów mrówek, obciążone zdobyczą pociągnie ku wybrzeżom.

Wtem ukazała się Dydona. Skoro tylko wystąpiła na scenę, zapanowała w całym teatrze najuroczystsza cisza. Cała jej postać, jej królewska, a jednak lekka i ujmująca postawa wzruszyła wszystkich, także i mnie, chociaż wcale nie była taka, jaką sobie wyobrażałem Dydonę. Stała

przed nami delikatna, miła istota; nadzwyczajnie piękna, pełna duszy kobieta, jaką tylko Rafael umiał sobie wyobrazić. Pięknie sklepienie czoła osłaniały włosy czarne jak heban, ciemne oko pełne było wyrazu. Zagrzmiały potężne oklaski. Była to piękność, sama tylko piękność, której hołd składano, bo jeszcze ust nie otworzyła. Dostrzegłem wyraźnie, jak nikły rumieniec mignął na jej czole, skłoniła się zdumionym widzom, którzy w najgłębszym milczeniu słuchali cudnie obmyślanej intonacji jej recytatywu.

– Antonio – rzekł mi Bernardo półgłosem do ucha, ściskając moją rękę – to ona! Albo oszalałem, albo też to jest w samej rzeczy ona, mój zbiegły ptaszek! Tak jest! Nie myślę się, jej to głos, przypominam go sobie bardzo dobrze.

– O kim mówisz? – spytałem.

– O hebrajskiej dziewczynie z Getta – odpowiedział. – A jednak zdaje się niepodobieństwem, żeby była tą samą.

Zamilkł i wpatrywał się jak zaczarowany w tę cudownie ujmującą czarodziejkę. Śpiewała o szczęściu swej miłości; było to głębokie, czyste uczucie, które wyrrywając się z piersi ludzkiej na skrzydłach muzyki, płynęło pieśnią. Dziwna żałość ścisnęła moją duszę, zdawało się, że te głosy chcą z niej wywabić najskrytsze wspomnienia i o mało nie zawołałem jak Bernardo – to ona! O czym przez wiele lat nie pomyślałem, o czym już nawet nie śniłem, ukazało się duchowi memu w żywym obrazie – kiedy dzieckiem będąc, miałem kazanie w kościele Ara coeli i owa delikatna dziewczynka ze szczególnie dźwięcznym głosem, która mi odebrała pierwszeństwo. Wbrew woli musiałem o niej myśleć, a im dłużej się jej tego wieczoru przypatrywałem i przysłuchiwałem, tym mocniej utwierdzałem się w myśli, że to ona – ta sama, a nie inna.

Kiedy później Eneasza przyznaje się, że ma zamiar odjechać, przekładając jej, że nie są poślubieni, że nie widział weselnej pochodni; z jakże zdumiewającym wyrazem umiała oddać wszystkie przemiany w duszy! Smutek, boleść, rozpacz. A kiedy śpiewała wielką arię, zdawało się, że bałwany morskie biją w obłoki! Jakże tu opisać cały ten świat tonów, który się wyłonił przez jej usta! Szukając myślą cielesnych obrazów dla tych głosów, które nie z ludzkiej piersi płynąć się zdawały, mniemałem, że widzę łabędzia konającego pieśnią, jak skrzydłem rozcina górne sfery, raz po raz na głębiny morskie się spuszcza i piersią fale przejeżdża, aby znów na nowo wznieść się w obłoki.

Cały teatr zagrzmiał oklaskami.

– Annunciata! Annunciata! – powtarzało tysiące głosów i musiała się ukazać, i jeszcze raz ukazać zachwyconym słuchaczom.

A jednak ta aria nie dorównywała duetowi w akcie drugim, kiedy prosi Eneasza, aby nie odjeżdżał w tej chwili, aby jej nie porzucił, jej, która dla niego wydała na ohydę pokolenie libijskie, księżną Afryki, swoje dziewictwo i dobre imię; dodając: ja nie wysyłałam okrętów przeciw Troi, ja nie naruszyłam pokoju duszy Anchizesa ani jego popiołów. Tyle było prawdy, tyle boleści i wyrazu w całej jej postaci, że aż mi łzy stanęły w oczach, a panujące dokoła głębokie milczenie pokazywało, że każdy aż do głębi duszy był wzruszony.

Eneasza opuścił ją, ona stoi przez chwilę blada i nieruchoma jak Niobe. Lecz wnet zawrzała krew w jej żyłach – nie jest to już Dydona, owa namiętnie kochająca Dydona, opuszczona małżonka – zamieniła się w jędzę: z pięknych rysów jej twarzy tchnie złość i zapowiedź śmierci. Annunciata umiała tak doskonale odmienić wyraz całej postaci swojej, każdego tak zimnym przejeżdżając dreszczem, że równo z nią musiał oddychać i cierpieć.

Leonardo da Vinci wymalował głowę Meduzy, która się znajduje w Galerii Florenckiej.

Wszyscy doznają na jej widok dziwnego wrażenia, a jednak nie mogą od niej wzroku oderwać. Zdaje się, że piekło utworzyło z piany i jadu w najpiękniejszych kształtach, jakie szumowiny piekielne przybrać mogą, Wenus medycejską. Wzrok, sam nawet wyraz ust zionie śmiercią. W takiej postaci stała przed nami Dydona.

Widzieliśmy stos, który Anna, jej siostra, ułożyła, widzieliśmy podwórzec obwieszony żałobnymi wieńcami i liściem umarłych; w oddali przepłynął okręt Eneasza po wzburzonym morzu – Dydona stała, trzymając broń przez niego zostawioną, śpiew jej zabrzmiał głęboko i ponuro, a potem wzniósł się znowu pełną siłą do takiej wysokości jak jęk strąconych aniołów. Stos buchnął płomieniem, serce skonało pieśnią.

Skoro tylko spuszczone zasłonę, zahuczały po całym teatrze burzliwe oklaski – nie było granic uniesieniu dla wybornej śpiewaczki, dla jej piękności i niepojętego, cudownego głosu.

– Annunciata! Annunciata! – krzyczano z parteru i ze wszystkich łóż, wtedy podniosła się kurtyna i ona ukazała się znowu zawstydzona, a pełna wdzięku, z okiem błyszczącym miłością i dobrocią. Zarzucono ją kwiatami, damy powiewały białymi chusteczkami, a mężczyźni powtarzali w zachwyceniu jej imię. Zasłona spadła, ale oklaski coraz bardziej się wzmagaly – musiała znowu wystąpić. Lecz tym razem prowadziła za rękę śpiewaka, który grał rolę Eneasza – bezustannie jednak wołano: Annunciata! Potem ukazała się z całą trupą, która się przyczyniła do jej triumfu, ale z krzykiem i niecierpliwością wywołano ją po raz czwarty, a ona podziękowała w kilku serdecznych słowach za pochwały tak hojnie jej talentowi składane. Ja napisałem w zachwyceniu kilka wierszy na kartce, która zaraz potem z kwiatami i wieńcami upadła u jej stóp.

Zasłona już się nie podniosła, ale jej imię powtarzały wszystkie usta; nie można się było przesycić jej widokiem ani znużyć składaniem hołdu. Wysunęła się jeszcze raz spoza zasłony, przeszła wzdłuż lamp i dziękowała zachwyconemu zgromadzeniu, posyłając dłonią z ust zdjęte pocałunki. Radość błyszczała w jej oczach, rozkosz niewysłowiona tchnęła z jej oblicza, była to z pewnością najszczęśliwsza chwila w jej życiu. Ale czyż nie była ona taka i w moim? Podzielałem z nią radość i uniesienie; okiem i duszą przejmowałem w siebie jej miłą postać; widziałem tylko Annunciatę, tylko o niej myślałem.

Tłumy wypłynęły z teatru; mnie uniosła ze sobą gromada tłocząca się do narożnika, gdzie stał pojazd śpiewaczki, tam stanąłem przyparty do muru. Wszyscy chcieli ją raz jeszcze oglądać, odkryli głowy i wywoływali jej imię. I ja je wykrzykiwałem, a serce moje ogromnie się rozszerzało. Bernardo przedarł się do pojazdu i otworzył drzwiczki. Widziałem, jak konie w okamgnieniu wyprężono, a zapalona młodzież sama się do niego zaprzęła, aby ją zawieźć do domu. Ona dziękowała i prosiła drżącym głosem, aby tego nie czyniono, ale nikt jej nie usłuchał. Po całej ulicy rozlegało się tylko jej imię, jakby jeden okrzyk radosny. Bernardo stanął na stopniu powozu, aby ją uspokoić, a ja ciągnąłem za pozostałymi i czułem się jak oni szczęśliwy, ale wszystko to zbyt prędko minęło, jak sen.

Bardzo się uradowałem, spotkawszy potem Bernarda, bo on z nią rozmawiał, on był blisko niej.

– I cóż ty na to, Antonio? – zawołał. – Jeszcze się serce twoje nie poruszyło? Jeżeli się jeszcze teraz ogień nie zapalił w twym szpiku i nerwach, to nie jesteś godzien zwać się mężczyzną. Czy pojmujesz, że raz ją zobaczywszy, musiałem się w niej rozkocharć? Pojmujesz teraz, iż sam światło sobie zasłoniłeś wówczas, kiedy cię do niej chciałem zaprowadzić i że warto było zażyć trudu nauczania się po hebrajsku, aby mieć sposobność obcowania z taką

istotą? Tak, Antonio, jakkolwiek tego wszystkiego pojąć nie mogę, nie wątpię jednak bynajmniej, że to ona jest moją Izraelitką. Ona, którą przed rokiem widziałem u starego Hanoka – ta sama, która mi naląła cypryjskiego wina i znikła. Znalazłem ją znowu, to ona. Wzniosła się jak pyszny feniks ze swego gniazda w Getcie.

– To niepodobna, Bernardo! – odpowiedziałem. – I we mnie obudziła wspomnienia, które z największą pewnością zaprzeczają, że jest Żydówką, niezawodnie należy do Kościoła katolickiego. Jeżeli się jej przypatrzysz jak ja, to musiałeś dostrzec, że te kształty nie są izraelskie, że te rysy nie noszą znamion kainowych owego nieszczęśliwego, wzgardzonego narodu. Sama nawet mowa – nie! Ten głos nie z żydowskich ust wychodził. O Bernardo! Czuję się niezmiernie szczęśliwy, przejęty na wskroś tym światem tonów, które przelała w moją duszę! Ale cóż mówić? Wszak z nią rozmawiałeś, stałeś tak blisko – czyż nie była szczęśliwa, tak szczęśliwa, jakimi uczyniła nas wszystkich?

– Wpadasz w natchnienie, Antonio! – przerwał mi. – Topi się nareszcie lód jezuickiej szkoły! Co mówić? Ach, ona pełna była bojaźni, a jednak dumna z tego, żeście ją, wy roztrzepane młokosy, ciągnęli przez ulicę. Zasłoniła twarz nieprzejrzystym kwefem i wcisnęła w kąt pojazdu – ja uspokajałem ją i gadałem wszystko to, co królowej niewinności i piękności mogłem być powiedzieć, ale nie chciała nawet mojej ręki przyjąć przy wysiadaniu.

– Ale jak też mogłeś się ośmielić podawać jej rękę i tak gadać? Przecież ona ciebie wcale nie zna! Takiego zuchwalstwa ja bym się nigdy nie dopuścił.

– O, ty nie znasz świata, nie znasz kobiet! Ona przynajmniej na mnie zwróciła wtenczas uwagę, a to zawsze coś waży.

Musiałem mu potem powtórzyć moją improwizację na jej cześć. Nazwał ją arcypiękną i powiedział, że trzeba to zamieścić w *Diario di Roma*. Trąciliśmy się kieliszkami i wznieśliśmy jej zdrowie. W kawiarni rozmawiali wszyscy tylko o niej – wszyscy jak my nie mogli wyczerpać dla niej pochwał.

Już było późno, kiedy się z Bernardem rozstałem, pośpieszyłem do domu, ale o spaniu ani było myśli. Była to dla mnie rozkosz powtarzać w myśli całą operę, odtwarzać sobie w duszy pierwsze Annunciaty wystąpienie, arię, duet i nadzwyczaj rozrzewniającą scenę ostatnią. W zapale uwielbiałem ją głośno i wymawiałem jej imię – potem przebiegłem myślą mój krótki wierszyk, zapisałem go i uznałem za całkiem ładny. Odczytałem go jeszcze kilka razy i jeżeli mam wyznać prawdę, to miłość moja ku Annunciacie prawie całkiem na ów wiersz się przelała. Teraz, po upływie tylu lat, patrzę nań innym okiem, wówczas wydawał mi się arcydziełem. „Z pewnością go schowała, myślałem sobie, może w tej chwili siedzi na wpół rozebrana na miękkiej jedwabnej sofie, i wsparłszy główkę na pięknej rączce, czyta, co tchnąłem na kartkę”:

*Wśród zgiełku ziemi duch mój zachwycony
Ściągał Dantowy polot twój tak wzniosły,
Przez otchłań piekieł, przez niebios zasłony
Wzrok twój i pieśni na skrzydłach mnie niosły.
Co słowa Danta w kamieniach wzbudziły,
To pieśni twoje w mą duszę zrobiły.*

Nie znałem bogatszego i piękniejszego świata duchowego nad ten, który nam odsłania poemat Dantego, a teraz przedstawił mi się w jeszcze wyższym życiu, w daleko większej

przezroczyści niż przedtem. Jej powoli zamierający głos, jej wzrok, jej boleść i rozpacz, po mistrzowsku oddane, harmonizowały zupełnie z poematem Dantego. Mój wiersz musiał się jej wydać piękny. Wyobrażałem sobie jej myśli, jej ciekawość poznania autora i prawie przekonany jestem, że nim zasnąłem, tylko ją mając przed oczyma, więcej zajęty byłem samym sobą i moim lichym wierszykiem.

¹ *Confetti* są to czerwone i białe, duże jak groch kuleczki z gipsu, którymi sobie w twarz rzucają w czasie karnawału. Robią je ze zboża, obtaczając ziarnka w cieście gipsowym.

² Tylna część statku.

XI

Bernardo jako *deus ex machina*. *La Pruova d'una Opera seria*. Moja pierwsza improwizacja. Ostatni dzień karnawału

Przez cały następny dzień nie widziałem Bernarda. Na próżno go szukałem. Kilka razy przebiegłem Piazza Colonna, nie aby się przypatrzeć kolumnie Antoniusza, lecz aby zobaczyć choć skraj szaty Annunziaty. Ona tam mieszkała. Byli u niej goście – o, szczęśliwi ludzie! Słyszałem głos fortepianu, podsłuchiwałem, ale nie ona śpiewała przy nim. Jakiś głęboki bas odzywał się urywkowo, zapewne był to kapelmistrz albo któryś śpiewak z jej trupy – jakże gozdzien zazdrości! Ach, być na miejscu tego, który występował w roli Eneasza, patrzeć jej w oczy, poić się tym miłosnym wzrokiem, jeździć od miasta do miasta i zyskiwać uwielbienie i chwałę... W coraz głębsze wpadałem nad tym zamyślenie, a dokoła uwijali się arlekinini z grzechotkami, poliszyneli i czarownicy – zapomniałem zupełnie o karnawale, zapomniałem, że już nadeszła godzina jego rozpoczęcia. Wszystkie te różnobarwne tłumy, hałas, krzyk niemiłe na mnie zrobiły wrażenie. Pojazdy przejeżdżały pędem, wszyscy prawie woźnice przebrani byli za kobiety – ale dzisiaj nic mi się nie podobało. Te czarne pod maskami brody, te żwawe ruchy – wszystko było w zbyt jaskrawych kolorach, wszystko wydawało mi się szkaradne! Nie czułem się skłonny do wesołości jak poprzedniego dnia. Ciężba powiększała się coraz bardziej; chciałem odejść i rzuciłem okiem jeszcze raz na dom, w którym mieszkała Annunziata, gdy wtem wyszedł z niego Bernardo, a wpadłszy na mnie, zawołał ze śmiechem:

– No, pójdźże, nie gap się tutaj! Przedstawię cię Annunziacie – ona już na ciebie czeka. Widzisz, jaki ze mnie dobry przyjaciel!

– Ona? – wyjąkałem. Krew mi tętniła w uszach. – Ona? Nie żartuj sobie ze mnie! Dokąd chcesz mnie zaprowadzić?

– Do tej, której chwałę głosiłeś – odpowiedział – do tej, za którą ty i wszyscy szalejemy, do boskiej Annunziaty. – I pociągnął mnie za sobą do sieni.

– Ale mi wytłumacz, jakim sposobem ty sam do niej się dostałeś, jakim prawem możesz mnie wprowadzać?

– Potem, potem o wszystkim się dowiesz – odpowiedział. – Tylko teraz przywołaj na twarz wesołość.

– Ale mój ubiór? – wtrąciłem, chcąc to i owo poprawić.

– Ej, ładny jesteś, mój przyjacielu, doprawdy ślicznie wyglądasz. Otóż jesteśmy już przed drzwiami!

Gdy się otworzyły, stanąłem przed Annunziatą. Miała na sobie czarną jedwabną suknię, mantylka z gazy różowego z niebieskim koloru osłaniała jej ramiona i piersi; włosy czarne jak krucze pióra podczesane były do góry, odsłaniając szlachetne czoło, na którym wisiało jakieś czarne cacko, jak mi się zdaje, starożytna kamea. O kilka kroków od Annunziaty siedziała przy oknie jakaś już niemłoda dama w ciemnej skromnej sukni. Jej oczy, cały układ twarzy

wskazywały najdobitniej na Żydówkę. Przypomniałem sobie twierdzenie Bernarda, że Annunciata i piękność z Getta są jedną i tą samą osobą; ale kiedy wpatrywałem się w Annunciatę, szeptało mi serce, że to być nie może. Znajdował się także w pokoju jakiś pan, którego nie znałem. Powstał na moje powitanie i ona także zbliżyła się do mnie z uśmiechem, bo Bernardo prowadził mnie ku niej, mówiąc rozbawiony:

– Oto, piękna signoro, mam zaszczyt przedstawić pani mego przyjaciela, poetę i wybornego abata Antonia, ulubieńca rodziny Borghese.

– Signor raczysz wybaczyć – rzekła – ale to doprawdy nie moja wina, że w ten sposób narzucam się panu z moją znajomością, jakkolwiek z pańskiej jestem ucieszona. – Pan mnie zaszczycił wierszem – mówiła dalej, rumieniąc się. – Pański przyjaciel powiedział mi, że jesteś jego autorem i przyrzekł mi pana przedstawić. Wtem spostrzegł pana na placu, zawołał: zaraz go pani zobaczysz! I oddalił się, nim zdołałam odpowiedzieć, do tego nie dopuścić, aby... by tym sposobem... ale pan zna swego przyjaciela lepiej niż ja.

Bernardo umiał to wszystko obrócić w miły żart; ja wyjąkałem przeprosiny i kilka słów o moim szczęściu i radości z powodu tego wprowadzenia w jej dom.

Policzki moje pałały, podała mi dłoń, a ja w uniesieniu przycisnąłem ją do ust. Przedstawiła mi nieznanego pana – był to kapelmistrz teatru opery. Podeszłą damę nazwała swoją przybraną matką, ale ta patrzyła na mnie i Bernarda poważnie, surowo, o czym jednak przy uprzejmości i wesołym humorze Annunciaty wkrótce zapomniałem.

I kapelmistrz powiedział mi jakąś grzeczność, chwaląc mój wiersz, a podawszy mi rękę, zachęcał, abym pisał teksty do oper, a zaczął od napisania jakiegoś dla niego.

– Nie słuchaj go pan! – przerwała mu Annunciata. – Pan nie wie, w jakie nieszczęście pana wtrąci. Kompozytorzy nie mają żadnego względu na swoje ofiary, a tym mniej publiczność. Będzie pan dzisiaj wieczorem widział w *La Pruova d'una Opera seria* doskonały obraz nieszczęśliwego autora, a jednak jeszcze nie dosyć silnie opisany.

Kompozytor chciał coś powiedzieć, ale Annunciata, śmiejąc się, tak mówiła dalej, zwróciwszy się do mnie:

– Pan napisze sztukę, odda całą swoją duszę w prześliczne wiersze; jedność, charakter, wszystko będzie głęboko i dobrze obmyślane, aż tu wystąpi pan kompozytor – on także ma swoją ideę, która musi być umieszczona, a pańska wymazana. On chce mieć piszczałki i bębny, pan musi tańczyć, jak panu zagrają. Primadonna teatru oświadczy, że nie będzie śpiewać, jeżeli nie wsadzą jakiejś cudownej arii ułożonej, by uświetnić jej odjazd; koniecznie żąda *furioso maesto*; czy mu to pasuje, czy nie – poeta musi temu zadość uczynić. *Primo tenore* wnosi podobne żądania, jest pan zmuszony biegać od primadonny do terzadonny, od basa do tenora, kłaniać się, pochlebiać, wszystko znosić, cokolwiek naszym kaprysom się spodoba – a to nie są małe rzeczy.

Kapelmistrz chciał przerwać, ale Annunciata, uprzedzając go, mówiła znowu:

– Potem przychodzi dyrektor, wszystko rozważając, mierząc, odrzucając, a pan jest zmuszony być jego uniżonym sługą, pomimo głupoty i błazeństw. Maszynista zapewnia, że zasoby teatru nie pozwalają wykonać tego przedstawienia, że nie ma takich dekoracji; musi pan wtedy tu i ówdzie sztukę zmienić, co się nazywa, mówiąc wyrażeniem teatralnym, dostosować. Dekorator nie pozwala, aby jakaś cudza sztuka miała być przyjęta bezwarunkowo do jego nowych dekoracji, więc trzeba się dostosować, jeżeli ma być grana. Potem nie może signora na końcowej zgłosce wyrazu robić rulady, chce koniecznie końcówki na „a” – skąd ją wyrwać, to

pana rzecz. Pan się musi dostosować. A kiedy nareszcie całość jako prawie panu nieznajomy utwór ukaże się na scenie, możesz mieć tę przyjemność, słuchać, jak go wygwizdują i jak kompozytor woła: Ach! ten nędzny tekst wszystko popsuł! Skrzydła mojej muzyki nie mogły tego bałwana unieść, musiał upaść!

Z dołu dochodziły nas odgłosy wesołych melodii. Maski karnawałowe uwijały się żwawo po placu i ulicach, głośny z oklaskami zmieszany okrzyk zwabił nas wszystkich do okna. Bliskość Annuncciaty, nagłe spełnienie się pierwszego życzenia mego serca czyniły mnie niewymownie szczęśliwym, a karnawał wydał się tak wesoły jak wczoraj, kiedy sam odgrywałem w nim rolę.

Pod oknami zgromadziło się z pięćdziesięciu poliszyneli i wybrali króla, który wszedł na wózek obwieszony girlandami z lauru i cytrynowych skórek, powiewających w powietrzu niczym wstęgi i sznury. Gdy król zasiadł na wózku, włożono mu na głowę koronę z połączanych i kolorowo pomalowanych jaj, a zamiast berła wręczono ogromną dziecięcą grzechotkę, obwieszoną cukierkami. Wszyscy koło niego tańczyli, a on kłaniał się łaskawie na wszystkie strony. Potem zaprzęgli się zamaskowani do wózka, aby go obwieźć po ulicach. Wtem ów król, spostrzegłszy Annuncciata, poznał ją, ukłonił się poufale i zawołał, ruszywszy z miejsca:

– Wczoraj ciebie, dzisiaj mnie! Czysta rzymska krew wóz ciągnie!

Widziałem, jak nagle pokraśniały policzki Annuncciaty. Cofnęła się o krok, ale wnet zebrała przytomność, wychyliła się nad poręczą balkonu, skłoniła grzecznie i zawołała głośno:

– Szanuj swe szczęście! Jesteś go równie niegodny jak ja!

Spostrzeżono ją, słyszano jego zaczepkę i jej odpowiedź, głośne *Eh viva!* rozległo się w powietrzu, rzucano na nią wiązankami kwiatów. Jedna z nich dotknęła jej ramienia i padła na moją pierś, przycisnąłem ją silnie, stała się dla mnie skarbem, którego postradać nie chciałem.

Bernardo oburzył się na bezczelność, jak mówił, króla poliszyneli i chciał natychmiast zbiec na dół, aby śmiałka ukarać, ale kapelmistrz, a także reszta towarzystwa wstrzymała go, uważając to wszystko za żart.

Służący zapowiedział pierwszego tenora, ten przyprowadził ze sobą jakiegoś abata i obcego artystę, którzy życzyli sobie być przedstawieni śpiewacze. Po chwili znowu ktoś przybył – cudzoziemscy artyści sami przyszli, aby jej hołd swój złożyć. Wtedy już utworzyliśmy porządne grono – rozmawiano o wesołym *festino* ostatniej nocy w teatrze Argentina, o rozmaitych sławnych posągach, osobliwszych maskach, przedstawiających Apollina i muzy, Gladiatora i Dyskobola. Tylko starsza dama, którą uważałem za Żydówkę, nie mieszała się do rozmowy, siedząc sobie spokojnie, robótką zajęta i tylko czasem kiwając głową, gdy Annuncciata do niej się zwróciła.

Jakże odmienną była Annuncciata istotą od tej, jaką sobie wyobrażałem w duchu, patrząc i słuchając jej wczorajszego wieczoru.

Tutaj w swoim mieszkaniu okazała się wesołym, prawie swawolnym stworzeniem – ale i z tym bardzo jej było do twarzy i mnie bardzo się podobała. Przez swoje lekkie, żartobliwe uwagi i mądry a dowcipny sposób wyrażania się zniewoliła sobie mnie i wszystkich pozostałych. Naraz, spojrzawszy na zegarek, zerwała się z krzesła i przeprosiła, że teraz musi się ubierać – tego jeszcze bowiem wieczoru miała wystąpić w *La Pruova d'una Opera seria*. Skłoniwszy uprzejmie główką, zniknęła w bocznym pokoju.

– O, jakże mnie uszczęśliwiłeś, Bernardo! – zawołałem w głos, gdyśmy wyszli. – Jakaż ona miła! Tak miła, jak w śpiewie i grze. Ależ jakim, na Boga, sposobem się do niej dostałeś? Jakże tak prędko znajomość z nią zawarłeś? Niczego nie pojmuję. Nawet to, że tutaj byłem, snem mi

się wydaje.

– Jakim sposobem się do niej dostałem? Bardzo prostym – odpowiedział. – Jako młody rzymski szlachcic, jako oficer gwardii papieskiej, jako wielbiciel wszystkiego co piękne miałem obowiązek złożyć jej moje uszanowanie. Miłość nie potrzebuje ani połowy tych pobudek. Tak tedy wszedłem. A że ja również jak ci, których widziałeś przybywających, bez znajmiela albo odźwiernego wejść umiem, o tym pewnie nie wątpisz. Kiedy jestem zakochany, bywam zawsze zajmujący, mogłeś się i o tym przekonać. W pół godziny już się tyle zapoznaliśmy, że kiedyś się nawinął, mogłem cię wziąć w opiekę.

– Czy ty ją kochasz? – zapytałem. – Kochasz z całego serca?

– Tak jest! Teraz jeszcze silniej niż kiedykolwiek wcześniej – dodał. – A co się tyczy mego dawniejszego wyrzeczenia do ciebie, że ona jest tą samą dziewczyną, która mi niegdyś u starego Żyda nalewała wino, bynajmniej nie wątpię. Skoro się tylko jej przedstawiłem, ona mnie poznała, spostrzegłem to wyraźnie. Nawet ta stara Żydówka, która tam siedzi, nie mówiąc ani słowa i tylko głową do taktu kiwa i oczy gubi w swej igliczkowej robótce, jest według mnie salomonową pieczęcią na prawdziwość mego domysłu. Ale Annunziata nie jest Żydówką; to tylko jej kruczne włosy, jej ciemne oczy, towarzystwo i miejsce, gdzie ją pierwszy raz zobaczyłem, w taki błąd mnie wprowadziły. Twój domysł jest prawdziwy – ona jest naszej wiary i wejdzie do naszego raju.

Wieczorem mieliśmy się spotkać w teatrze. Tłok był wielki, na próżno szukałem Bernarda, nie mogłem go nigdzie wypatrzeć. Znalazłem jednak miejsce, choć łóżka były przepełnione, gorąco, duszno i nieznośnie. Krew moja już na wstępie była wzburzona jak w gorączce; wypadki dwóch dni ostatnich wydawały mi się marzeniem. Żadna sztuka nie mogła być stosowniejsza do wprowadzenia równowagi w moim rozgorączkowanym umyśle niż ta, którą przedstawiano.

Komedyjka – *La Pruova d'una Opera seria* – jest jak wiadomo owocem najweselszego dowcipu połączonego z fantastycznością. Całość nie ma prawie żadnego jednolitego związku – poeta i kompozytor starali się tylko o to, aby śmiech wzbudzić, a śpiewak ma mieć sposobność popisu. Widzisz tam namiętą, kapryśną Primadonnę; kompozytora o takim samym usposobieniu, a potem następuje kaprys po kaprysie ze strony innych osób do teatru należących, owych szczególnych ludzi, z którymi w zupełnie inny sposób obchodzić się trzeba – tak jak z trucizną, która zabić i uleczyć może. Biedny poeta tuła się wśród nich jako cierpiąca a mało ceniona ofiara.

Annunziata, skoro tylko wystąpiła, powitano okrzykiem radosnym i wieńcami z kwiatów. Humor i wesołość, jakie okazała, nazwano najwyższą sztuką. Ja zaś wolałbym to nazwać naturą, albowiem taka sama była w swoim mieszkaniu. Gdy zabrzmiał jej śpiew, jakby tysiące srebrnych dzwoneczków w miłej harmonii coraz się zmieniających – upoiły się wszystkie serca tą radością, którą wyśpiewywała, radością błyszczącą w jej własnych oczach. Duet pomiędzy nią a *compositore della musica*, w którym zamieniają swoje role, tak iż ona śpiewa głos męski, a on kobiecy, był triumfem bieguności obojga. Szczególnie unosili się wszyscy nad jej przeskokami od najgłębszego altu do najwyższego sopranu. W lekkim, zgrabnym tańcu podobna była do Terpsychory na etruskich wazach – każde jej poruszenie mogło być wzorem dla malarza i snycerza. Cała ta piękna żywość zdawała mi się tylko objawem jej osobistego usposobienia, które dzisiaj poznałem. Przedstawienie Dydony było według mnie owocem bieguności w sztuce; jej Primadonna zaś tego wieczoru obrazem osobowości w najwyższej potęgze.

Bez żadnego związku z tą sztuką wsadzono wielkie, pełne brawury arie z innych oper.

Żartobliwy ton, w jakim je śpiewała, usprawiedliwił wszystko – wszystko było naturalne. Zdawało się, że ją pustota i zaczepna żartobliwość pobudzają do tak wybornego przedstawienia.

Pod koniec sztuki kompozytor zapewnia, że wszystko jest w porządku i że teraz zacząć się może uwertura. Rozdziela nuty prawdziwej orkiestrze – Primadonna pomaga mu w tym – na dany znak odzywają się oboje najokropniejszym wtórem, tak niezgodnym, że aż serce i uszy rozdiera i klaszczą sobie, wołając: brawo! brawo!, co powtarza i publiczność. Śmiech zagłuszył prawie orkiestrę, ale ja wzruszony byłem aż do głębi duszy i znajdowałem się w półchorobliwym stanie.

Annunciata była dzikim, pustym dzieckiem, ale w swej pustocie miłym. Śpiew jej rozlegał się potężnie, jak dytyramby bachantek – nawet w radości nie mogłem jej doścignąć. Jej pustota była duchowa, piękna i wielka, a kiedy na nią patrzyłem, musiałem mimowolnie przypomnieć sobie wspaniały obraz stropowy Guidona Reni – *Aurorę*, gdzie muzy tańczą wkoło wozu słońca. Jedna z nich jest dziwnie podobna do obrazu Beatrice Cenci, ale takiej, jaką się musiała okazywać w najweselszych chwilach swego życia. Ten sam wyraz znalazłem w Annunciacie. Gdybym był snyczerem, tobym ją wykonał z marmuru i zapewne nazwano by ten posąg niewinną wesołością.

Głos orkiestry podnosił się coraz wyżej i wyżej w okropnych dysonansach, a kompozytor i Primadonna ciągle jej towarzyszyli.

– Wybornie! – zawołali potem oboje. – Uwertura się skończyła, podnieść kurtynę!

Na te słowa zasłonę spuszczone, komedia dobiegła końca. Annunciata musiała się znowu ukazać jak dnia poprzedniego; wieńce i kwiaty, i wiersze z powiewnymi wstęgami do nóg jej rzucono. Kilku przedstawicieli młodzieży równego ze mną wieku, po części moich znajomych, chciało tego wieczoru sprawić jej serenadę – ja także się do nich przyłączyłem, choć już od dawna nie śpiewałem.

Godzinę potem, kiedy już znajdowała się w domu, udaliśmy się całą gromadą na Piazza Colonna i ustawiliśmy muzykantów pod balkonem, gdzie dostrześliśmy jeszcze światło poza długimi firankami. Dusza moja była niezmiernie wzruszona, myślałem tylko o Annunciacie – mój głos mieszał się śmiało ze śpiewem towarzyszy – odśpiewałem nawet arię solo, wpadając w takie uniesienie, że głos mój nabrał siły i giętkości, jakiej nigdy przedtem nie zdołałem osiągnąć.

Moi towarzysze nie mogli się wstrzymać od oddania mi stłumionego poklasku, co było dla mnie dostateczne, aby na własny śpiew zwrócić całą moją uwagę. Szczególniejsza radość ożywiła pierś moją – uczułem to bóstwo, które we mnie mieszkało. A gdy się Annunciata ukazała na balkonie, nisko się kłaniając i dziękując, zdawało mi się, że jej słowa tylko do mnie samego były zwrócone. Słyszałem, że mój głos zagłuszał cały chór i był duszą muzyki. Na pół upojony natchnieniem, przybyłem do domu. Próżną myślą marzyłem tylko o radości, jaką Annunciacie sprawił mój śpiew, i zdumiewałem się nad nim, nawet nad samym sobą.

Odwiedziłem ją nazajutrz i zastałem Bernarda, tudzież kilku znajomych. Podziwiała piękny tenor, który słyszała w czasie serenady, ja zaczerwieniłam się po uszy. Jeden z obecnych wygadał, że to ja jestem tym śpiewakiem i natychmiast pociągnęła mnie do fortepianu, żądając, abym z nią śpiewał duet. Stałem jak na sądzie i wymawiałem się szczerze. Wszyscy zaczęli się wkoło mnie cisnąć, a Bernardo łajał, że przez mój upór pozbawiam ich przyjemności usłyszenia signory. Uchwyciła mnie wreszcie za rękę i w ten oto sposób zostałem złapanym ptaszkiem. Mało mi pomogło skrzydłami trzepotać, musiałem śpiewać.

Był to znany mi duet. Annunciata zaczęła, ja drżącym głosem zaintonowałem moje *adagio*. Jej oko na mnie było zwrócone, jakby chciało powiedzieć: odwagi! odwagi! pójdź tylko śmiało za mną w świat pieśni – a ja tylko o nim i o Annunciacie myślałem i marzyłem. Nieśmiałość moja przeszła i prześpiewałem moją partię aż do końca. Huczne oklaski obojgu nam złożono – nawet stara, milcząca matrona uprzejmie ku mnie skłoniła głowę.

– Człowieku! – szepnął mi Bernardo do ucha. – Ty mnie wprawiasz w zdumienie!

A potem powiedział głośno, że ja jeszcze inny piękny talent posiadam, że jestem także improwizatorem i że im muszę zrobić tę przyjemność, cokolwiek na próbę zaimprovizować. Dusza moja była wzruszona – osądzonemu pochlebnie za śpiew i dosyć przekonanemu o własnej zdolności potrzeba było tylko jeszcze prośby Annunciaty, aby się ośmielić i pierwszy raz jako dorosły młodzieniec wystąpić z improwizacją.

Pochwyciłem jej gitarę, ona mi podała wyraz – nieśmiertelność. Zebrałem myślą prędko tak bogaty materiał, uderzyłem kilka akordów i zacząłem moją poezję słowo po słowie tak, jak się w duszy układała.

Duch mój zaniósł mnie przez szafirowe Morze Śródziemne w dzikie, kwieciste doliny Grecji, Ateny zalegały w gruzach, dzikie figi wyrastały spomiędzy potłuczonych nagłówków, a duch westchnął – bo niegdyś, za czasów Peryklesa, rozlegały się tutaj pod pysznymi kolumnami radosne odgłosy. Była to uroczystość piękności. Kobiety śliczne jak Lais tańczyły ozdobione wieńcami po ulicach, a śpiewacy oznajmiali głośno, że co dobre i piękne, nie zginie nigdy. Ale dziś rozkoszne dzieci piękności w proch się obróciły – ich cudne postacie, które upajały szczęśliwe pokolenie, poszły w zapomnienie, a kiedy mój geniusz płakał na gruzach Aten, wydobywano z ziemi precudne, ręką artystów utworzone obrazy, ogromne, w marmurowych szatach śpiące boginie – i duch mój poznał córy ateńskie, które przechowane w białym marmurze późnym pokoleniom, podniosły piękność do godności bóstwa. A duch mój śpiewał: nieśmiertelną jest piękność, nie zaś moc i potęgą ziemską! Potem przeniósł się poza morze do Włoch, do odwiecznego miasta i patrzył milczący ze szczątków cesarskiego grodu na stary Rzym. Tyber toczył się żółtymi bałwanami, a gdzie niegdyś walczył Horacjusz Kokles¹, płynęły teraz barki z drzewem i oliwą do Ostii. Na forum, gdzie Kurcjusz² rzucił się w paszczę ognistą, spoczywają bydłeta w wysokiej trawie. Augustus i Tytus – pyszne imiona, które dziś tylko ich zburzone świątynie i bramy noszą. Orły Romy, potężne ptaki Jowisza, leżały nieżywe w swoim gnieździe. Rzymie! Gdzież się podziela twoja nieśmiertelność? Wtem zabłyśły orle pioruny; zakłęty miecz mignął nad wzrastającą Europą – obalony tron rzymski zamienił się w krzesło świętego Piotra, a królowie odbywali boso pielgrzymkę do świętego miasta Romy, władczyni świata. Ale w ciągu wieków zabrzmiało słowo: śmierć! Śmierć wszystkiemu, co ręką dotknąć, a okiem cielesnym dojrzeć można! Ale czyż może rdzewieć miecz Piotrowy? Rozlatują się orły na wschód i zachód. Może upaść kiedyś potęga kościoła, może stać się, co jest niepodobieństwem? Roma stoi jednak dumna na swoich gruzach z bogami przeszłości i obrazami świętymi! Ona panuje światu nieśmiertelną wysoką sztuką. Do twoich pagórków, Rzymie, zawsze pielgrzymować będą synowie Europy – przychodzić będą od wschodu i zachodu i od zimnej północy i wszyscy przyznają w duszy: Rzymie, twoja potęga jest nieśmiertelna!

Nagrodzono mnie burzliwymi oklaskami, gdy tę zwrotkę skończyłem, tylko Annunciata nie ruszyła rączką, ale niema i piękna jak posąg Wenery patrzyła mi w oczy wzrokiem doskonale oddającym milczącą wymowę przepełnionego serca – a z ust moich płynęły słowa gładkim

wierszem za myślą i natchnieniem.

Przeniosłem słuchaczy z wielkiej widowni świata na mniejszą scenę i opisałem wspaniałą artystkę, porywającą za sobą wszystkie serca grą i głosem. Annunciata spuściła oczy, bo właśnie ją miałem na myśli – musiano ją poznać z tego opisu. W końcu dodałem:

– A kiedy już ostatni głos skonał, zasłona się spuściła i nawet huczne oklaski ucichły, wtedy umarło i jej artystyczne dzieło, zamieniwszy się w pięknego w piersi słuchaczy pochowanego trupa. Ale serce poety jest jak grób Madonny – wszystko w nim w kwiaty się zamienia i wonie; umarła wychodzi z jego piersi opromieniona, a jego potężna pieśń głosi jej nieśmiertelność.

Oko moje zwrócone było na Annunziata, skłoniłem się głęboko, a wszyscy otoczyli mnie, dziękując i chwając.

– Serdeczną mi pan sprawił radość! – rzekła Annunciata, patrząc mi przyjaźnie w oczy, a ja ośmieliłem się pocałować jej dłoń.

Przez moją improwizację obudziłem w niej żywsze dla mnie uczucie. Ona czuła już wtedy to, co ja dopiero później poznałem, że moja miłość ku niej tak mnie złudziła, iż jej sztukę i tych, którzy ją wykonują, do nieśmiertelności podniosłem, której osiągnąć nie mogła. Sztuka dramatyczna jest jak tęcza, ozdobą niebieską, mostem pomiędzy niebem a ziemią; świat ją podziwia, a ona znika ze wszystkimi swoimi barwami.

Co dzień bywałem u Annunziaty. Parę ostatnich dni karnawału uleciało jak sen – ale użyłem ich w całej pełni, bo obok Annunziaty połem się do syta radością życia, jakiej przedtem nie znałem.

– Zaczynasz być człowiekiem – mówił Bernardo – człowiekiem jak i my, a dopiero dotknąłeś ustami pucharu rozkoszy. Mógłbym na to przysiąc, że nigdy jeszcze nie pocałowałeś dziewczyny, nigdy nie położyłeś głowy na jej ramieniu. A gdyby cię Annunciata kochała?

– Co ty myślisz – odpowiedziałem na pół rozgniewany, aż mi krew zaczerwieniła policzki – Annunciata, ta wyborna dziewczyna, tak niezmiernie wyższa ode mnie?!

– Ale jednak, mój przyjacielu – wysoko czy nisko, jest kobietą, a ty poetą, wzajemne zaś stosunki obojga nie dadzą się osądzić. Skoro poeta wejdzie w serce, znajdzie i klucz, który kochankowi drzwi otworzy.

– Uwielbiam ją tylko w duszy, oddając hołd wesołości, rozumowi i sztuce, której się poświęca – ale kochać ją, nie! – Ta myśl nie powstała jeszcze w mej głowie.

– Jak poważnie a uroczyście! – zawołał, śmiejąc się, Bernardo. – Ty nie jesteś zakochany! Nie! Ty należysz do tych duchowych płazów, o których nie wiadomo, czy należą do świata rzeczywistego, czy wymarzonego. Nie jesteś zakochany – przynajmniej nie tak jak ja, jak każdy inny być powinien. Sam to powiadasz, a więc muszę ci wierzyć, ale przecież powinienes to okazać we właściwy sposób, nie rumieniąc się, kiedy z tobą rozmawia i nie tak ognistym na nią spoglądając okiem. Tak ci radzę przez wzgląd na nią. Co zresztą myślą o tym ludzie? Zresztą ona jutro odjeżdża, a kto wie, czy po Wielkanocy powróci, jak przyrzekła.

Annunciata miała nas opuścić na pięć długich tygodni. Zamówiona została do teatru florenckiego, a odjazd wyznaczono na pierwszy dzień postu.

– Tam znajdzie nowy zastęp czcicieli! – zawołał Bernardo. – Dawniejsi pójdą w zapomnienie, a nawet twoja ładna improwizacja, za którą ci tak miłe rzucała spojrzenia, że doprawdy można się było aż przestraszyć. Ale głupi, kto tylko o jednej myśli kobiecie, przecież wszystkie one są nasze. Ta dolina pełna jest kwiatów, można je wszędzie zrywać!

Wieczorem byliśmy razem w teatrze, było to ostatnie wystąpienie Annunziaty przed wyjazdem. Widzieliśmy ją znowu w roli Dydony – tak w grze, jak w śpiewie stała równie wysoko, jak za pierwszym razem – niepodobna było wyobrazić sobie coś wspanialszego. Tego wieczoru wydała mi się czystym ideałem. Wesoły humor, niewinna pustota, jaką okazywała tak w operze, jak w życiu domowym, zdawały się tylko różnobarwną suknią, w którą się dowolnie ubierała i była jej do twarzy – ale w Dydonie odsłaniała się cała jej dusza, jej właściwa jaźń duchowa. Powitano ją z tak radosnym uniesieniem, na jakie rozentuzjasmowany lud rzymski dla Cezara lub Tytusa ledwo by się zdobył.

Szczerze dziękując, ze wzruszonym sercem pożegnała nas wszystkich i przyrzekła wkrótce powrócić. W teatrze rozległ się kilkakrotnie okrzyk – brawo! Wywołano ją kilka razy, a jej powóz ciągnięto w triumfie do domu, jak po pierwszym przedstawieniu. Ja byłem pomiędzy ciągnącymi jednym z pierwszych. Bernardo wydawał w uniesieniu okrzyki radosne, ja także, gdyśmy się jęli powozu, w którym siedziała Annunziata uśmiechająca się, uradowana szczęściem tylko szlachetnym duszom właściwym.

Dzień następny był ostatnim karnawału i ostatnim pobytu Annunziaty w Rzymie. Poszedłem do niej z wizytą pożegnalną. Wzruszona była bardzo hołdem składanym jej talentowi i cieszyła się na powrót wielkanocny, chociaż pobyt we Florencji zapowiadał się również bardzo miło, z powodu pięknej natury i prześlicznych zbiorów sztuk pięknych.

W kilku rysach dała mi tak doskonały obraz tego miasta i jego okolicy, że wszystko, lasami porośłe i willami obrzucone Apeniny, Piazza del Granduca i wszystkie wspaniałe pałace starożytne widziałem jak na dłoni.

– Zobaczę znowu tę przepyszną galerię – zawołała – gdzie po raz pierwszy obudziło się we mnie zamiłowanie do snycerstwa i gdzie uczułam potęgę ludzkiego ducha, który jak Prometeusz umiał w martwe twory tchnąć życie. O, gdybym mogła pana przenieść w tej chwili do jednego z owych pokoi, najmniejszego, ale w oczach moich najszacowniejszego – toby pan uczuł się tak szczęśliwy, jak ja byłam i dotąd jeszcze jestem na samo wspomnienie. Choć w tym małym ośmiokątnym pokoju tylko najwspanialsze arcydzieła się znajdują, wszystkie jednak nikną przed owym żyjącym posągiem medycejskiej Wenus. Nigdy nie widziałam tak wyrazistego życia w kamieniu. Oko marmurowe, bez władzy wzroku, tutaj pełne życia – artysta takie stworzył oczy, że za pomocą światła zdają się zagłębiać aż w głąb duszy naszej, to jest bogini prawdziwa, urodzona z piany morskiej. Na ścianie za posągiem wiszą dwa prześliczne obrazy Tycjana przedstawiające Wenere; życiem i kolorytem są boginiami piękności, ale tylko ziemskiej, rozkosznej piękności; bogini zaś marmurowa – niebiańskiej. Nieziemskie Madonny Rafaela wzruszają moją duszę i serce, a jednak ciągle muszę wracać do posągu Wenus, która stoi przede mną nie jako posąg, ale żywa, niewymownie piękna, okiem marmurowym w duszę moją patrząca. Nie znam żadnego posągu, żadnej grupy, która by mnie tak zajmowała; nawet *Laokoon* nie, chociaż ów kamień jęczeć się zdaje z bóleści; jedynie *Apollo* watykański, którego pan zna, wydaje mi się godny obok niej stanąć. Siła i wielkość duchowa, jaką artysta oddał w bożku poetów, przedstawiona jest w bogini piękności więcej kobiecą, szlachetniejszą.

– Znam tę piękną statwę w gipsowym odlewie – odpowiedziałem.

– Ależ martwa bryła gipsowa odejmuje rysom życie, marmur zaś nadaje życie i duszę. Marmur zamienia się w ciało, zdaje się, że krew krąży pod delikatną skórą. Chciałabym, żeby pan jechał ze mną do Florencji, aby podziwiać i uwielbiać te arcydzieła. Byłabym pana przewodniczką, jak pan być możesz moim przewodnikiem, skoro powrócę do Rzymu.

Ukloniłem się nisko, uszczęśliwionym jej żądaniem, a ośmielony pochlebstwem zapytałem:

– Dopiero po Wielkiej Nocy panią zobaczymy?

– Tak, na iluminację kościoła Świętego Piotra – odpowiedziała. – Tymczasem niech pan pamięta o mnie łaskawie, jak i ja w galerii florenckiej często o panu myśleć będę, życząc, ażeby pan tam mógł być ze mną i podziwiać skarby... Zawsze tak u mnie jest! Jeżeli widzę coś pięknego, tęsknię za przyjaciółmi, pragnąc mieć ich blisko, aby dzielili ze mną przyjemność. To taka tęsknota za rodzinnym domem!

Podawała mi rękę, ucałowałem ją i ośmieliłem się dodać półzartem:

– Będzie pani łaskawa dać medycejskiej Wenerze pocałunek ode mnie?

– A więc był nie dla mnie? – rzekła Annunciata. – Sumiennie to życzenie wypełnię.

Potem skłoniła się uprzejmie i dziękowała mi za te godziny, które jej śpiewem i improwizacją uprzyjemniłem.

– Znowu się zobaczymy! – dodała na koniec.

Wyszedłem z jej pokoju rozmarzony.

Byłem w dobrym nastroju do przeżycia ostatniego dnia karnawału, nie mogłem się tylko pogodzić z myślą, że Annunciata odjedzie – nasze pożegnanie było tak lekkie, jakbyśmy się nazajutrz znowu mieli zobaczyć. Choć bez maski wmieszałem się jednak ochoczo do walki na confetti. Wszystkie krzesła wzdłuż całej ulicy były zajęte, różnobarwny tłum spoglądał z okien i balkonów i tłoczył się między powozami, jak w pierwszym dniu. Aby cokolwiek mocniej odetchnąć, trzeba było ruszyć śmiało przed którymś z powozów – mała przestrzeń pomiędzy przednim a następującym pojazdem była jedynym miejscem, w którym się jeszcze jakkolwiek można było poruszać.

Rozbrzmiewała muzyka, śpiewały wesołe maski, a w którymś powozie za mną *il capitano* ogłaszał swoje wielkie czyny na lądzie i morzu; swawolni chłopcy na drewnianych koniach, którym tylko łby i ogony widać było, bo resztę okrywał barwny kobierczyk zakrywający zarazem obie nogi jeźdźca zastępujące cztery nogi konia, wcisnęli się w szczupłą przestrzeń pomiędzy powozami i zrobili jeszcze większe zamieszanie. Nie mogłem się poruszyć ani naprzód, ani wstecz. Konie idące za mną parskały pianą prosto w moje uszy. W tym ścisku wskoczyłem z tyłu do powozu, w którym siedziały dwie maski – stary, gruby mężczyzna, w szlafroku i szlafmicy, i zgrabna młoda kwiaciarka.

Ta poznała zaraz, że nie ze swawoli, lecz ze strachu wskoczyłem; pogłaskała mnie więc po rękę i podała dwie kulki confetti dla pokrzepienia. Stary jegomość zaś rzucił mi wszystkie ze swego koszyka w twarz, a gdy poza mną plac cokolwiek pusty się ukazał, kwiaciarka zrobiła to samo, tak że zwyciężony, a nieopatrzony w tę samą broń musiałem uciekać. Dwaj arlekinie porządnie mnie przetrzepali swoimi trzepaczkami, a gdy ów powóz znowu mnie mijał, spotkała mnie powtórna burza; postanowiłem więc ubezpieczyć się, zaopatrując się w confetti, ale wtem rozległy się strzały armatnie, pojazdy musiały pojeżdżać w ciasne ulice poboczne, aby zrobić miejsce wyścigom konnym i wkrótce straciłem obie maski z oczu. Zdawało mi się, że mnie znają, kim jednak one były, nie miałem pojęcia. Bernarda nie widziałem na Corso cały dzień. Przyszła mi myśl, że owym jegomościem w szlafroku i szlafmicy mógł być on, a ładna kwiaciarka – jego tak nazwany, obłaskawiony ptaszek. Bardzo rad chciałbym zobaczyć jej twarzyczkę.

Znalazłem miejsce na krzeselku przy samym narożniku; wkrótce znowu wystrzelono z armaty, a konie pędziły przez Corso ku Weneckiemu placowi. Tłumy napelniły zaraz za nimi

ulicę. Już chciałem sobie pójść, gdy wtem posłyszałem krzyk przest్రachu: *cavallo!*

Jednego z koni, który pierwszy dobiegł do mety, nie przytrzymało, dlatego nawrócił i puścił się tą samą drogą z powrotem. Gdy sobie wystawimy ogromny natłok i bezpieczeństwo, o którym każdy po skończonych wyścigach był przekonany, łatwo się domyślić, jakie nieszczęście wydarzyć się mogło. Wspomnienie śmierci mej matki mignęło w duszy mojej jak błyskawica; uczułem na nowo okropność owej chwili, kiedy rozhułkane konie po nas przebiegły. Osłupiałem okiem patrzyłem przed siebie, stojąc nieruchomo. Tłumy rozstały się w mgnieniu oka, jakby za uderzeniem czarodziejskiej laski, sądziłbyś, iż wszyscy w siebie się zwinęli. Patrzyłem, jak ów koń prychnął, pianą okryty, pokrwawiony, z rozczochraną grzywą wichrem przeleciał – widziałem iskry spod kopyt się syjące i jak padł trupem na ziemię, jakby go ktoś kulą ugodził. Z trwogą pytał każdy, czy się nie wydarzyło jakieś nieszczęście, ale Madonna wyciągnęła dłoń opiekuńczą nad swoim ludem, bo nie słychać było o żadnym wypadku. Niebezpieczeństwo zaś tak nagle i szczęśliwie minione upoiło umysły jeszcze bardziej niż przedtem, radością jeszcze dzikszą.

Zwykły znak oznajmił, że porządek szeregowy pojazdów się skończył, a pyszne *moccolo*, owo świetne zakończenie karnawału, miało się zacząć. Powozy uwijały się bez porządku; zamieszanie i wrzawa się powiększyły; ciemność wzrastała z każdą chwilą; wtedy zapalił każdy swoją świeczkę, wielu nawet całe wiązki. We wszystkich oknach ukazały się osoby ze świecznikami. Domy i pojazdy wyglądały jakby posiane iskrzącymi gwiazdkami.

Na próżno zasłaniałem moją, co chwilę gasła, wreszcie ją rzuciłem. Damy stojące pod ścianami kamienic chowały swoje świeczki w otwarte okna sklepów i wołały na mnie głośno ze śmiechem: *senza moccoli*, mniemając, że tym sposobem ochronią swoje, ale dzieci w sklepach się znajdujące wspinały się do okien i gasiły je. Z okien wyższych pięter spuszczano papierowe balony i palące się lampy, gdzie gromady osób siedziały z zapalonymi świeczkami, trzymając je na długich trzcinkach nad ulicą i wołając: śmierć temu, kto nie ma światła! – gdy tymczasem inne osoby ukazały się aż na rynnach między dachami z chustkami na długich kijach, którymi owe światła gasząc, a swoje do góry ponosząc, krzyczały na całe gardło: *senza moccoli!* Kto tego nie widział, ten sobie nie może wyobrazić, jaka zapanowała ogłuszająca wrzawa. Powietrze było aż duszne i gorące od masy ludu i gorejących świeczek.

Naraz, gdy właśnie kilka powozów skręcało w ciemną uliczkę, spostrzegłem wprost przed sobą moje dwie znajome maski. Świeczki mężczyzny w szlafroku zgasły, ale młoda kwiaciarka trzymała pęczek palących się, przywiązanych do trzciny cztery do pięciu łokci długiej, wysoko do góry. Śmiała się z radości po każdym próżnym usiłowaniu osiągnięcia tych świeczek chustkami do kijów przywiązanymi, a jegomość w szlafroku obsypywał każdego, kto się ośmielił za blisko przystąpić, confetti.

Ja nie dałem się odstraszyć, wskoczyłem z szybkością błyskawicy poza powóz i pomimo dochodzącego mnie błagalnego głosu: O nie, nie! – nie zważając przy tym na kulki gipsowe, którymi mnie jej towarzysz hojnie obsypał, uchwyciłem silnie trzcinę, aby nagiąwszy ją, świeczki pogasić, ale złamała się w moim ręku i promienisty bukiet upadł na ziemię, wśród okrzyków tłumu.

– Wstydz się, Antonio! – zawołała kwiaciarka głosem, który mnie wskroś przejął, bo był to głos Annuniaty. Rzuciła mi w twarz wszystkie confetti, a na końcu i koszyczek. Na taką niespodziankę zeskoczyłem, a powóz ruszył dalej, lecz spostrzegłem wiązkę kwiatów rzuconą ku mnie jakby na zgodę; pochwyciłem ją w powietrzu i chciałem się puścić za nimi, ale nie mogłem

się w żaden sposób precyzyjnie, bo powozy, krzyżując się to w tę, to w tamtą stronę, zaplątały się. Nareszcie udało mi się pomimo ścisłu dostać w ciemną uliczkę, lecz skoro tylko wolniej odetchnąłem, uczułem tym większy ciężar na sercu. Z kim jeździła Annunciata? Że chciała użyć ostatniego dnia karnawału, uznałem za bardzo naturalne, ale ten jegomość w szlafroku! Ach tak! Pierwszy mój domysł był z pewnością prawdziwy – to musiał być Bernardo! Chciałem się o tym przekonać; przebiegłem co tchu przez uliczkę, dostałem się na Piazza Colonna, gdzie mieszkała Annunciata, i stanąłem przy drzwiach kamienicy, oczekując jej powrotu. Wkrótce nadjechał pojazd, a ja udając domowego lokaja, podbiegłem; Annunciata wyskoczyła z powozu, wcale na mnie nie patrząc, ale ów jegomość w szlafroku wysiadał, jak na Bernarda, zbyt niezgrabnie.

– Dziękuję, przyjacielu! – rzekł, a po głosie poznałem starą damę. Przekonałem się także, widząc nogi i szarą suknię wystającą przy wysiadaniu spod szlafroka, jak bardzo się omyliłem w moim domyśle.

– *Fellicissima notte, signora!*⁴ – zawołałem pełen radości. Annunciata zaśmiała się, nazwała mnie złym człowiekiem i dodała, że dlatego wkrótce ucieka do Florencji, ale jej ręka ścisnęła moją. Uszczęśliwiony opuściłem ją z lekkim sercem i powtarzałem głośno ów dziki okrzyk: śmierć każdemu, kto nie ma świeczki!, chociaż sam jej nie miałem. Tymczasem myślałem tylko o Annunciacie i dobrej matronie, która zapewne tylko dla jej rozweselenia szlafrok włożyła, szlafmycę wsadziła na głowę i udział brała w karnawale, który jej pewno nie sprawiał żadnej przyjemności. Uważałem to za piękny i naturalny postępek ze strony Annunciaty, że nie jeździła z nikim obcym, i ani Bernarda, ani kapelmistrza nie przyjęła do swego pojazdu. Że w chwili, kiedy ją poznałem, zazdrościłem owej szlafmycy, sam przed sobą przyznać się nie chciałem. Szczęśliwy i wesoły, jakim byłem, chciałem jeszcze te kilka godzin, nim karnawał zniknie jak marzenie, spędzić wesoło.

Pospieszyłem na Festino – cały teatr ustrojony był girlandami z lamp i świec, wszystkie łoże wypełnione obcymi w maskach i bez masek. Z parteru prowadziły szerokie, wysokie schody przez miejsce dla orkiestry, nad którym wznosiły się na scenę przystrojoną draperiami i wieńcami w salę balową. Dwie orkiestry grały na przemian; mnóstwo osób przebranych za kwaków i vetturinów tańczyło rażno koło Bachusa i Ariadny. Wciągnęli mnie do koła, a ja w wesołym będąc humorze, pierwszy raz w życiu skakałem i tak mi się to spodobało, że na tym nie poprzestałem – o nie! Wracając bowiem późno do domu, zatańczyłem jeszcze raz z wesołymi maskami i wołałem z nimi pospołu: Najszczęśliwszej nocy po pięknym karnawale!

Sen mój był krótki. Z brzaskiem pięknego poranku pomyślałem o Annunciacie, która może w tej chwili z Rzymu wyjeżdżała; wspomniałem wesołe dni karnawału, które mnie nowym natchnęły życiem, a teraz z całą swą rozkoszą znikły. Dręczył mnie jakiś niepokój, musiałem wyjść na świeże powietrze. Wszystko było jakby nagle przemienione; wszystkie drzwi i okna pozamykane, na ulicach i Corso ludzi mało. Gdzie wczoraj ledwo się można było precyzyjnie przez różnobarwny tłum, dziś uwijało się tylko kilku więźniów w białych w szerokie niebieskie pasy ubiorach, zamiatając confetti, które jak grad leżały na ulicach. Wychudła szkapka z wiązką siana u boku, które ciągle skubała, ciągnęła wózek, na który śmieci wrzucano. Vetturino stał przed jedną kamienicą i układał w powozie pudełka i skrzyneczki, nakrył całą brykę wielką plecionką z łyka i przyciągnął mocno łańcuchami cały stos kuferków w tyle powozu. Z jednej ulicy poprzecznej wyjechał podobnie wypakowany powóz. Wszyscy wyjeżdżali do Neapolu lub Florencji – Rzym miał przez całe pięć długich tygodni, od środy popielcowej do Wielkiejnocy, spoczywać jak martwy.

1 Horacjusz Kokles (łac. Horatius Cocles, dosł. Horacjusz Jednooki) – bohater z legendy rzymskiej, który obronił w pojedynkę ważny most na Tybrze (Pons Sublicius) w wojnie przeciwko Etruskom Porsenny.

2 Marek Kurcjusz (łac. Marcus Curtius) – postać legendarna; młodzieniec rzymski, który poniósł bohaterską śmierć dla dobra swej ojczyzny; bohater jednego z podań przekazanych przez Tytusa Liwiusza.

3 *senza moccoli* (wł.) – bez świeczki

4 *Felicissima notte, signora!* (wł.) – Szczęśliwej nocy, signora!

XII

Post. *Allegro Miserere* w Kaplicy Sykstyńskiej. Odwiedziny u Bernarda. Annunciata

Dzień przeszedł mi smutno i nudno. W myślach odgrywał mi się wciąż na nowo karnawał, owo najważniejsze w moim życiu zdarzenie. Ale z każdym dniem powiększała się jednostajność i cisza grobowa wkoło mnie. Czuję czczość, której książki zapełnić nie były zdolne. Bernardo był dla mnie dawniej wszystkim, teraz jakby nas przepaść rozdzielała. W jego towarzystwie nie czułem się swobodny i coraz jaśniej poznawałem, że tylko Annunciatą jestem zajęty.

Chwilami czułem się szczęśliwy, ale bywały godziny i noce, w których myślałem o Bernardzie kochającym ją wcześniej niż ja. On to do niej mnie wprowadził; przed nim udawałem, że tylko uwielbienie dla niej czułem i nic więcej; względem niego, jedynego przyjaciela, którego tak często zapewniałem o niezmienności mego serca, względem niego byłem fałszywy i niesprawiedliwy. Wtedy gorączka żalu dręczyła moje serce, ale myśl nie mogła się jednak od Annuncciaty odczepić. Każde o niej wspomnienie, wspomnienie najmilszych godzin, jakie przeżyłem, pogrążało mnie w słodkiej żałości. Z takim samym uczuciem patrzymy na żywy, uśmiechnięty obraz zmarłej już, ukochanej osoby, a im pełniejszy życia, im milej się uśmiecha, tym większa zdejmuje nas żałłość. Ciężkie zapasy życia, o których tak często była wzmianka w szkole, a które, jak wówczas sobie wyobrażałem, nie powstają z niczego więcej niż tylko z trudnych zadań albo niechęci i pedantyzmu nauczyciela, zacząłem teraz poznawać. Czy nie powinienem z obudzoną w duszy namiętnością walczyć, ażeby wrócił potem dawny mój spokój? Do czegoż bowiem doprowadzić mogła ta miłość? Annuncciata zajmowała wprawdzie wysokie i piękne stanowisko w sztuce swojej, jednakże świat by mnie potępił, gdybym opuścił moje stanowisko, aby pójść za nią; rozgniewałbym Madonnę, na której cześć się urodziłem i wychowałem; Bernardo nigdy by mi tego nie przebaczył – na koniec nie wiedziałem wcale, czy Annuncciata mnie kocha. To było dla mnie najboleśniej. Na próżno upadałem w kościele na kolana przed obrazem Madonny, daremnie ją błagałem, aby duszy mojej dodała w tej walce mocy. W takich nawet chwilach pomnażał się mój grzech; zdawało mi się bowiem, że Madonna podobna jest do Annuncciaty; wydawało mi się, że każda piękna twarz niewieścia przybiera ten duchowy wyraz, jaki posiadała Annuncciata. Nie, te uczucia wydrzeć muszę z serca, mawiałem wtedy sam do siebie, już jej nie chcę widzieć!

Przekonałem się teraz dobrze o tym, czego dawniej nigdy pojąć nie mogłem, że można uczuć potrzebę umartwiania ciała, aby przez udręczenie cielesne osiągnąć zwycięstwo duchowe. Gorącymi ustami całowałem zimne, marmurowe stopy Madonny i na chwilę wracał spokój w moją duszę.

Przypominałem sobie dziecinne lata, kiedy jeszcze żyła moja droga matka, moje ówczesne ciche szczęście, rozliczne uciechy, które mi wtedy nawet ów przedwielkanocny spokój przynosił. Wszystko było przecież jeszcze tak samo jak dawniej. Przy narożnikach i na placach stały jak niegdyś zielone, srebrnymi i złotymi gwiazdkami ustrojone altanki; wszędzie wisiały jeszcze piękne tablice z wierszami, w których wyliczone były wyborne potrawy w czasie postu tutaj

przyrządzane. Co wieczór zapalano różnobarwne papierowe latarki wśród zielonych gałązek. Jak się niegdyś tym cieszyłem, będąc małym chłopcem! Jak szczęśliwy uczynił mnie wówczas kram kupca wiktuałów, błyszczący podczas postu w moich oczach jakby świat zaczarowany – gdzie ładne aniołki z masła tańczyły w świątyni z filarami z kiszek obwijanych srebrnym papierem, a kopułą z parmezanu. Pierwszy mój wiersz opiewał tę piękność, a signora kupca nazwała go *divina commedia di Dante*. Wtedy nie znałem jeszcze tego boskiego pieśniarza ani też śpiewaczki; ach gdybym tylko mógł być zapomnieć Annunciatę!

Obchodziłem w procesji siedem świętych kościołów Rzymu i łączyłem głos mój z głosami pielgrzymujących – uczucia moje były szczerze i głębokie, ale Bernardo szeptał mi ze złośliwym szyderstwem do ucha o wesołym adwokacie z Corso, śmiałym improwizatorze z żalem pokutniczym w oczach i popiołem na licach!

– Ej, zrobiłeś ogromne postępy w wykształceniu, umiesz każdą rolę odegrać, w tym nie umiałbym cię naśladować, Antonio! – W jego mowie było szyderstwo, lecz zarazem prawda, co mnie dotkliwie obrażało.

Nadszedł ostatni tydzień postu; cudzoziemcy zaczęli zjeżdżać się do Rzymu. Powozy bezustannie wtaczały się bramami del Popolo i del Giovanni, bo w środę po południu odprawić się miało sławne *Miserere* w Kaplicy Sykstyńskiej. Dusza moja pragnęła muzyki; w świetle harmonii chciałem znaleźć współczucie i pociechę. Tłok w samej kaplicy był ogromny; część przednią zajęły już damy. Pyszne siedzenia ozdobione aksamitnymi i złotymi draperiami, urządzone dla księżąt z obcych dworów, wznosiły się ponad sztucznie rzeźbioną kratę, która damy przedzielała od wielkiego ołtarza. Gwardia papieska stała dwoma szeregami w barwnych mundurach świątecznych; oficerowie przybrani byli w lekkie zbroje, a na ich hełmach powiewały pióropusze; szczególnie wspaniale wyglądał wysmukły Bernardo, kłaniający się pięknym i młodym znajomym paniom.

Mnie dostało się miejsce tuż za kratą, niedaleko balkonu zajętego przez papieskich śpiewaków, za mną siedziało kilku Anglików, widziałem ich podczas karnawału w pstrych ubiorach, tutaj podobnie byli ubrani. Chcieli (nawet dziesięcioletni chłopcy) zapewne uchodzić za oficerów, bo wszyscy mieli na sobie kosztowne mundury w kolorach najbardziej w oczy się rzucających i najdziwaczniej dobrane. Jeden na przykład miał jasnobrunatny surdut haftowany srebrem, złote naszywki u butów i jakiś zawój z perłami i piórami na głowie. Nie była to zresztą nowość podczas uroczystości w Rzymie, gdzie mundur pomaga do pozyskania dobrego miejsca. Wszyscy się na to uśmiechali, ja tylko chwilę byłem tym zajęty.

Ukazali się poważni kardynałowie w pysznych fioletowych płaszczach aksamitnych, obramowanych gronostajami; zasiedli dużym półkolem poza kratą przed ołtarzem, księża, którzy nieśli ogony ich płaszczy, zajęli miejsca przy ich nogach. Z drzwiczek obok ołtarza umieszczonych wyszedł ojciec święty w purpurowym płaszczu i srebrnolitej tiarze i zasiadł na tronie. Biskupi kołysali dokoła niego kadzielnicami, podczas gdy młodsze duchowieństwo w czerwonych sutannach klęczało przed ołtarzem z gorejącymi gromnicami w ręku.

Zaczęto lekcje¹, lecz niepodobna mi było utrzymać oczu na martwych głoskach księgi. Zwróciłem je razem z myślą na ów cudowny świat, który Michał Anioł na ścianach i sklepieniu farbami przedstawił. Podziwiałem jego wspaniałe sybille i arcypięknych proroków, z których każdy z osobna podaje treść do obszernego dzieła o sztuce. Oczy moje napawały się tymi wspaniałymi rysunkami i widokiem pięknych chórów anielskich. Nie były to dla mnie obrazy martwe, o nie! Wszystko oddychało życiem! Drzewo wiadomości dobrego i złego, pod którym

Ewa podaje Adamowi owoc zakazany; wszechmocny Bóg unoszący się nad wodami, nie jak go dawniejsi przedstawiali malarze, przez aniołów unoszony, ale przeciwnie, gromady aniołów na szacie swojej unoszący. Wprawdzie oglądałem już te obrazy nie raz przedtem, ale nigdy takiego na mnie nie zrobiły wrażenia jak w tej chwili, gdy umysł mój podniesiony był do egzaltacji, liczne zgromadzenie, a zapewne i liryczny polot mej myśli sprawiły, że na wszystko spoglądałem ze strony czysto poetycznej.

Te śmiałe skrócenia, ta wskroś przejmująca wybitność, z jaką każda postać występuje, zdumiewają. Jest to najpotężniejsze kazanie w kolorach i kształtach. Stajemy razem z Rafaelem zdjęci podziwem na widok takiej potęgi twórczej Michała Anioła. Każdy jego prorok to Mojżesz, jak ów, którego z marmuru wykuł. Jakież to olbrzymie postacie! Są one takie, że od razu zniewalają oczy nasze i myśli nasze, lecz oko, jakby uświęcone tym widokiem, zwraca się w głąb kaplicy, gdzie cała ściana okryta obrazem jest jakoby wielkim ołtarzem dla myśli i sztuki. Ów wielki, na pierwszy rzut oka chaotyczny wizerunek sięgający od posadzki aż do stropu jest brylantem, a wszystko, co go otacza, tylko jego oprawą. Jest to *Sąd Ostateczny*.

Chrystus jako sędzia stoi na obłokach, apostoł i Matka Boska wyciągnęli dłonie złożone do modlitwy za biednym rodem ludzkim; umarli wstają z grobów, duchy błogosławione unoszą się na skrzydłach modlitwy przed obliczem Boga, a potępionych pochłania przepaść. Tu duch ku niebu się wznoszący chce wybawić potępionego brata, którego już opłoty piekielne węże; synowie z rozpaczyny tłuką twarze swoje zaciśniętą dłonią i lecą w otchłanie! Całe legiony duchów w śmiało skróconych postaciach unoszą się pomiędzy niebem a ziemią lub spadają w otchłań. Litość aniołów, radość kochających się wzajemnie z oglądania się znowu, owo dziecię tulące się do piersi matki na głos trąby zmartwychwstania – wszystko to tak piękne, że zdaje się patrzacemu, iż sam należy do liczby oczekujących ostatecznego wyroku. Michał Anioł wypowiedział farbami to, co Dante wyśpiewał.

Zachodzące słońce rzucało właśnie ostatnie promienie przez górne okna, Chrystus i otaczający go błogosławieni jaśnieli w tym promiennym świetle, podczas gdy dolną część obrazu, gdzie umarli z martwych wstają, a duch ciemności łodzią potępieńcami napełnioną od brzegu odbija, prawie całkiem zakrywał mrok. Razem z zachodem słońca skończyła się ostatnia lekcja, ostatnią świecę zgaszono. Cały ów świat w obrazach zniknął w pomroce, lecz w tej samej chwili zabrzmiał śpiew. Co farby przedstawiły cieleśnie, powtórzyło się w muzyce. Dzień sądu ostatecznego brzmiał nad nami pełnym głosem rozpaczyny i radości.

Ojciec kościoła, złożywwszy świetne ubranie papieskie, stanął przed ołtarzem i modlił się przed krzyżem Chrystusa Pana. Wśród potężnego odgłosu trąb zagrział chór do głębi duszę przejmującym głosem: *Popule mi, quid feci tibi?*², a głosy anielskie ulatywały nad tym uroczystym i głębokim śpiewem. Nie były to ani głosy męskie, ani kobiece, niepodobna zdawało się, aby miały płynąć z ludzkiej piersi, ale ze świata duchów; był to płacz aniołów rozptywający się w melodie.

Z tej muzyki zaczerpnęła dusza moja siły do życia. Uczułem się tak szczęśliwy i rześki, jakim dawno nie byłem. Annuncjata, Bernardo i wszyscy, których kochałem, stanęli mi na myśli. Taką miłością, jaką ja w tej chwili kochałem, kochają zapewne tylko duchy błogosławione. Pokój, którego na próżno szukałem w modlitwie, dopiero podczas tego śpiewu spłynął w moją duszę.

Po skończonym *Miserere*, gdy już się wszyscy porozchodzili, poszedłem do Bernarda. Szczerze uścisnąłem jego dłoń i wypowiedziałem wszystko, co mi natchniony duch mój poddał,

usta moje były wymowne. *Allegro Miserere*, nasza przyjaźń, przygody całego mego życia dostarczyły mi treści obficie. Opowiadałem mu, jak muzyka uzdrowiła mi duszę, jaki ciężar ścisnął przedtem me serce; opisałem moje cierpienia, moją trwogę i smutek w ciągu postu, nie wspomniawszy jednak ani słowem o udziale, jaki we wszystkim mieli on i Annunciata. Była to jedyna tajemnica mego serca, której nie odsłoniłem.

On śmiał się ze mnie, powtarzając, że nie ma we mnie nic męskiego, że życie pasterskie u Domeniki, signora, kobiece wychowanie, a wreszcie jezuicka szkoła zupełnie mnie zepsuły; że krew moja włoska rozrzedzona jest kozim mlekiem; że moja trapistyczna wstrzeźliwość o chorobę mnie przyprawia, że mi potrzeba oswojonego ptaszka, który by mnie śpiewem swoim wywabił ze świata marzeń. Mówił, ażebym został człowiekiem jak inni, a będę zdrow na ciele i duszy.

– Jesteśmy bardzo różnego usposobienia, Bernardo! – rzekłem. – A jednak serce moje dziwnie jest do ciebie przywiązane. Często sobie życzę, ażebyśmy zawsze mogli być razem.

– Źle by wtedy było z naszą przyjaźnią! – odpowiedział. – Nim byśmy się zorientowali, wniwecz by się obróciła. Nie! Nie! Z przyjaźnią rzecz ma się jak z miłością, wzmacnia się rozłączeniem. Często o tym myślę, głębiej się zastanowiwszy, jak nudne muszą być więzy małżeńskie. Zawsze i zawsze aż w najskrytsze tajniki serca zaglądać. Dlatego też większa część małżonków przykrzy się sobie wzajemnie; jest to tylko pewien rodzaj przyzwoitości, pewna dobroć, która ich przez dłuższy czas nawzajem wiąże. Czuję to w głębi duszy, że chociażby serce moje najgorętszym pałało ogniem i choćby serce tej, którą bym kochał, równym pałało uczuciem, jednakże zgasłyby te płomienie, gdyby się ciągle ze sobą stykały. Miłość jest żądzą, a żądza, zaspokojona, znika.

– Ale – rzekłem – gdyby twoja bogini była piękna i mądra, jak...

– Jak Annunciata – wtrącił Bernardo, kiedy na chwilę się zaciąłem, chcąc znaleźć wyrażenie dla mego przedmiotu. – Wtedy, Antonio, przypatrywałbym się tej pięknej róży dopóty, dopóki by była świeża, a gdyby listki jej uwiędły, woń uleciała, wtedy, Bóg wie, jaki by mi kaprys przyszedł. W tej chwili mam na przykład bardzo dziwną zachciankę, chciałbym się oto dowiedzieć, jakiego koloru jest twoja krew, Antonio! Ale jestem rozsądnym człowiekiem, ty jesteś moim przyjacielem, bić się nie będziemy, nawet wtedy nie, gdybyśmy się w jednej i tej samej wyprawie miłosnej spotkać mieli! – Potem zaśmiał się głośno, przycisnął mnie do piersi i rzekł półzartem:

– Słuchaj! Odstępuję ci mego obłąkowanego ptaszka; on zaczyna być czuły, z pewnością więc tobie się będzie podobał! Pójdź dzisiaj wieczorem ze mną. Zaufani przyjaciele nie powinni nic przed sobą tać. Będziemy mieli wesoły wieczorek, a w przyszłą niedzielę ojciec święty udzieli nam wszystkim pospołu błogosławieństwa.

– Nigdzie z tobą nie pójdę! – oświadczyłem.

– Tchórz z ciebie, Antonio! – odpowiedział. – Nie pozwól, aby kozie mleko krew twoją zupełnie rozrzedziło. Oko twoje może tak dobrze ogniem błyszczeć jak moje, może się zmysłową żądzą zapalić, już to zauważałem! Twoje cierpienia, twoja trwożliwość, twoja pokuta w czasie postu – no! Mam ci otwarcie powiedzieć, jaka jest przyczyna tego wszystkiego? Tą przyczyną jest żądza, żądza świeżych ust, pięknych kształtów. Wiem to dobrze, Antonio! Przede mną się nie ukryjesz. No! Przyciśnijże tę piękność do serca! Ale ty nie masz odwagi, jesteś zanadto bojaźliwy, tchórz z ciebie!

– Gadasz takie rzeczy, Bernardo – przerwałem – które mnie obrażają.

– Jednak musisz je znieść! – odpowiedział.

Wtedy wystąpiła mi krew na policzki, ale i łzy wytrysły mi z oczu.

– Jak możesz tak bawić się moją w stosunku do ciebie ustępliwością? – zawołałem. – Myślisz, że ja stanąłem między tobą a Annunciatą, ponieważ milej patrzyła na mnie niż na ciebie?

– O nie! – przerwał Bernardo. – Wiesz dobrze, że moja wyobraźnia nie jest szczególnie żywa. Ale pomińmy ją w naszej rozmowie! Co zaś do ustępliwości, o której zawsze wspominasz, to jej nie pojmuję. Podajmy sobie ręce, jesteśmy przyjaciółmi, rozsądnymi przyjaciółmi. Ale twoje wyobrażenia są przesadzone, powinieneś mnie sądzić takim, jakim jestem.

To był kolec naszej rozmowy, który utkwiał w moim sercu i, że tak powiem, w krew się zamienił. Poczulem się obrażony, ale jednak znalazłem w tym coś tak serdecznego, że byłem zmuszony podać mu rękę.

Na drugi dzień powołały mnie dzwony do kościoła Świętego Piotra, w którego przedsiönku tak wielkim, że jakiś cudzoziemiec myślał, iż już w samym kościele się znajduje, cisnęła się ciżba, przez którą na ulicy i na moście Świętego Anioła się przeprawiałem. Zdawało się, że cały Rzym tutaj się zbiega, aby równo z cudzoziemcami podziwiać wielkość kościoła, ponieważ zdawał się z napływającymi tłumami powoli zwiększać. Wszyscy się cisnęli, aby zobaczyć obmywanie nóg, które się właśnie rozpoczęło.

Z kraty, gdzie siedziały obce damy, jedna skłoniła się uprzejmie ku mnie, była to Annunciata, która już powróciła i znalazła się w kościele. Serce moje żywiej uderzyło – stałem tak blisko, że ją mogłem słowem pozdrowić i dowiedzieć się, że przybyła już wczoraj, ale za późno, aby usłyszeć *Allegro Miserere*; była jednak w kościele na *Ave Maria*.

– Szczególniejszy mrok – mówiła – przyczynił się do tego, że wszystko na mnie większe niż w dzień zrobiło wrażenie. Nie paliła się żadna świeca, tylko lampy przy grobie świętego Piotra tworzyły wieniec światła, lecz nie dość jasny, aby najbliższe filary oświecić. Wszyscy wokół klęczeli w najgłębszej ciszy, ja sama upadłam na kolana, czując nader żywo, jak wiele zawiera w sobie czasem rzecz marna i jaka cudowna siła utajona jest w pobożnym milczeniu.

Jej stara przyjaciółka, którą teraz dopiero spostrzegłem, gdy odsłoniła welon, ukłoniła mi się uprzejmie. Uroczysty obrzęd wnet się tymczasem skończył, a one na próżno wyglądały swego służącego, by je do powozu odprowadził. Kilkunastu młodych paniczów zwróciło swoją uwagę na Annunciatę; ona zdawała się niespokojna, rada by wyjść, ośmieliłem się wtedy oświadczyć, że ją z kościoła do pojazdu przeprowadzę. Stara dama wsparła się na moim rękę, Annunciata postępowała za nami sama; nie miałem odwagi ofiarować jej ręki. Kiedy przyszliśmy do drzwi i wpadli w ciżbę, uczulem jej rękę na mojej, ogień przebiegł w moich żyłach.

Znalazłem powóz, a Annunciata, zajmwszy już w nim miejsce, prosiła mnie, abym tego dnia przyszedł do niej na obiad.

– To tylko skromny posiłek – dodała – na jaki w czasie postu zdobyć się można.

Byłem uszczęśliwiony! Stara dama, która niedobrze słyszała, poznała z wyrazu twarzy Annunciaty, że jest mowa o jakichś zaprosinach i że tu chodzi o wspólną jazdę. W jednej chwili odsunęła na bok chusty i szale leżące na siedzeniu i podała mi rękę, mówiąc:

– Zapewne, zapewne, bądź pan łaskaw, signor abate, tutaj miejsca jest dosyć!

Nie taka była myśl Annunciaty, co wyczytałem z lekkiego na jej twarzy rumieńca, lecz już

siedziałem naprzeciw niej, a powóz ruszył.

Oczekiwał nas skromny, ale wytworny obiad. Annunciata opowiadała o swoim pobycie we Florencji i o dzisiejszej uroczystości, wypytywała o post w Rzymie i jak ten czas spędziłem, na co niezupełnie szczerze odpowiedziałem.

– Zapewne będziesz pani chciała zobaczyć chrzest Żydów na Wielkanoc? – zapytałem, spojrzawszy równocześnie na jej towarzyszkę, o której całkiem zapomniałem.

– Ona nie słyszała – rzekła Annunciata – a chociażby usłyszała, nie byłaby wcale zdziwiona. Ja bywam tylko tam, gdzie ona może mi towarzyszyć, a dla niej nie byłoby stosownie być na uroczystości w kaplicy chrzestnej Konstantyna³. I mnie to niewiele zajmuje, bo rzadko się zdarza, ażeby Żyd lub Turek szczytający się tym, że został chrześcijaninem, czynił to z wewnętrznego przekonania. Pamiętam jeszcze z lat dziecińczych, że taki obrzęd niemiłe zrobił na mnie wrażenie. Widziałam, jak chrzczono chłopca żydowskiego sześć lub siedem lat mającego – wystąpił w brudnych trzewikach i pończochach, z nieuczesanymi włosami, z tym wszystkim szkaradny stanowiła kontrast piękna biała suknia jedwabna, którą dostał w podarunku od kościoła. Rodzice, nieporządni jak ów chłopiec, szli za nim. Oddali duszę jego zbawieniu, w które sami nie wierzyli.

– Widziała to pani tutaj w Rzymie? Dzieckiem będąc? – zapytałem.

– Tak – odpowiedziała zarumieniona – a jednak nie jestem Rzymianką.

– Kiedy pierwszy raz panią zobaczyłem i śpiew jej posłyszałem, zdawało mi się, że znam ją już od dawna. Nie wiem, skąd to pochodzi, ale jeszcze dotąd tak myślę. Gdybyśmy wierzyli w przechodzenie dusz, wnosiłbym, że byliśmy oboje kiedyś ptakami i na jednej siadywali gałęzi od bardzo dawna. Nie mówią pani żadne wspomnienia w duszy, żeśmy się dawniej widzieli?

– Żadne! – odpowiedziała Annunciata, patrząc mi w oczy.

– Kiedy powiedziała mi pani przed chwilą, że w dzieciństwie byłaś w Rzymie, a zatem nie wszystkie pierwsze lata spędziłaś w Hiszpanii, jak mniemałem, obudziło się w mej duszy wspomnienie takie samo jak wtedy, kiedy panią po raz pierwszy ujrzałem w roli Dydony. Nie miała pani, dzieckiem będąc, podczas Bożego Narodzenia występu dla *Bambino*⁴ w kościele Ara coeli, jak inne dzieci?

– Miałam – odpowiedziała żywo. – A pan, signor Antonio, byłeś owym chłopczykiem, który na siebie powszechną zwrócił uwagę?

– Ale mnie pani zapomniała! – odpowiedziałem.

– To był pan? Antonio! – zawołała głośno, uchwyciwszy mnie za rękę i patrząc mi w oczy z wyrazem nie do opisania miłym. Stara przyjaciółka przysunęła się bliżej z krzesłem i patrzyła na nas surowo. Annunciata opowiedziała jej wszystko, a ona śmiała się z tej sceny naszego poznania się.

– Ileż to moja matka i my wszyscy nie nagadaliśmy się o pani – mówiłem dalej – o pani delikatnych, prawie duchowych kształtach, pani słodkim głosem! Doprawdy zazdrościłem pani, moja próżność nie mogła tego znieść, żeby mnie ktokolwiek miał tak zupełnie zaćmić. Jak dziwnie krzyżują się drogi życia!

– Przypominam sobie pana dobrze! – odrzekła. – Miałeś na sobie krótki kaftanik ze świecącymi guziczkami, które wówczas najbardziej mnie u pana zainteresowały.

– A pani – rzekłem – miałaś piękną czerwoną kokardę na piersi, ale nie ta kokarda, lecz pani oczy i krucze włosy zajęły mnie całkiem! Tak, musiałem panią znów poznać; jesteś taka sama,

tylko rysy stały się bardziej wyraziste. Poznałem panią, a nawet powiedziałem to Bernardo, lecz on temu zaprzeczył i całkiem inne miał myśli.

– Bernardo! – przerwała i zdawało mi się, że głos jej zadrżał.

– Tak! – mówiłem dalej cokolwiek zmieszany. – I on sądził, że panią poznał. Że panią widział, chciałem powiedzieć, w miejscu, które musiało moje domysły zniweczyć. Pani czarne włosy, pani oczy, tak! Pani się o to nie będzie gniewać, on zmienił natychmiast swoje zdanie; sądził w pierwszej chwili, że pani nie należysz do Kościoła katolickiego i że zatem nie mogłem słyszeć panią w kościele Ara coeli.

– Może jestem jednej wiary z tą przyjaciółką moją? – spytała Annunciata, wskazując na matronę.

– Ja... – przywtórzyłem mimowolnie, lecz w tej samej chwili uchwyciłem jej rączkę i zapytałem: – Gniewa się pani na mnie?

– Że pana przyjaciel za Żydówkę mnie uważa? – zapytała z uśmiechem. – Dziwny z pana człowiek!

Zrozumiałem, że nasz stosunek z lat dziecinnych zbliżył nas ku sobie; zapomniałem o wszystkich cierpieniach, lecz zarazem i o postanowieniu niewidzenia i niekochania jej nigdy, bo tylko dla niej biło moje serce.

Galerie były przez ostatnie dwa dni przed Wielkanocą zamknięte. Annunciata zauważyła, jakby to pięknie było, gdyby je można w tym czasie wygodnie zwiedzić, ale to niemożliwe. Lecz dla mnie wypowiedziane przez nią życzenie stało się rozkazem; wszakże znałem stróża, odźwiernego i wszystkich służących w pałacu Borghese, w którym jeden z najznakomitszych zbiorów Rzymu się znajduje; gdzie, dzieckiem będąc, przechadzałem się z Franceską i z każdym amorkiem we Francesco Albaniego *Porach roku* byłem zaznajomiony.

Zapytałem, czy bym ją z jej towarzyszką mógł tam następnego dnia zaprowadzić. Przyzwoliła na to z wdzięcznością, a ja byłem nadzwyczajnie uszczęśliwiony.

Będąc potem sam w domu, myślałem znowu o Bernardzie. Nie, on jej nie kocha, pocieszałem sam siebie – jego uczucie jest tylko zmysłowe, nie tak czyste i serdeczne jak moje. Ostatnia nasza rozmowa zdawała mi się jeszcze bardziej żółcią zaprawiona, niż była w rzeczy samej. Widziałem tylko jego pychę, czułem obrazę, którą mi wyrządził, i tym sposobem obudziłem sam w sobie gniew większy, niżeli go kiedykolwiek odczuwałem. Uprzejmość Annunciaty na pozór dla mnie większa obraziła jego dumę, myślałem sobie – prawda, że on sam do niej mnie wprowadził, ale kto wie, może w zamiarze wystawienia mnie na śmiech, dlatego tak się zadziwił moim śpiewem i moją improwizacją. To mu się ani śniło, że ja mógłbym się odważyć pomimo jego pięknej postaci, jego zręcznego i gładkiego wysławiania, jego śmiałości – wstąpić w szranki, jako współzawodnik. Teraz z pewnością miał zamiar odstraszyć mnie od dalszych odwiedzin Annunciaty. Dobry mój anioł zrządził inaczej! Jej łagodność, jej oczy, wszystko mi mówi, że jest mi przychylna, nawet więcej niż przychylna, bo musi to przeczuwać, że ją kocham!

W takim rozkosznym upojeniu całowałem gorącymi ustami poduszki, lecz wraz z uczuciem szczęścia miłości wzrastała także zawziętość moja na Bernarda. Gniewałem się sam na siebie, że nie więcej posiadałem tęgości duszy, nie więcej zapału, nie więcej żółci – teraz nasuwały mi się setki wybornych odpowiedzi, jakich mu mogłem udzielić, kiedy się ostatnim razem obszedł ze mną jak z chłopcem – najmniejsza obraza z jego strony stanęła mi żywo przed oczyma. Po raz pierwszy uczułem, że krew wrze w moich żyłach; dziki zapał, najczystsze, najlepsze uczucia

zmieszane ze szkaradną zawziętością snu mnie pozbawiły. Dopiero nad ranem cokolwiek zasnąłem, lecz za to obudziłem się pokrzepiony, z lekkim sercem. Zawiadomiłem odźwiernego o obcych damach, które chciałem oprowadzić po galerii, i wkrótce udałem się do Annunciaty. Pojechaliśmy wszyscy troje do pałacu Borghese.

1 Przed odśpiewaniem *Miserere* odczytują piętnaście lekcji. Po skończeniu każdej gaszą jedną ze świec palących się na wielkim świeczniku o piętnastu ramionach.

2 *Popule mi, quid feci tibi?* (wł.) – Ludu, mój ludu, cóżem ci uczynił?

3 W Rzymie chrzczą corocznie w Wielkanoc kilku Żydów i Turków. W *Diario Romano* piszą o tym dniu: *si fa il batesimo di Ebrei e Turchi*.

4 *bambino* (wł.) – dzieciątko

XIII

Galeria obrazów. Blizsze objaśnienie. Święta wielkanocne. Zwrot mojego przeznaczenia

Dziwne to we mnie budziło uczucia, że miałem Annunciatę wprowadzić tam, gdzie bawiłem, będąc chłopcem, gdzie signora Francesca pokazywała mi obrazy i nieraz się bawiła mymi naiwnymi pytaniami i odpowiedziami. Znałem wszystkie wiszące tam obrazy, lecz Annunciata znała je lepiej, pojmowała je bowiem duchowo. Jej uwagi były bardzo trafne, wprawnym okiem i wrodzonym uczuciem umiała odkryć wszelką piękność. Staliśmy właśnie przed sławnym obrazem Gerarda del Rotti – *Lot ze swymi córkami* – wychwalałem wielkie wrażenie, jakie sprawia ten obraz, wyrazistą twarz Lota, pełną życia córkę nalewającą mu wino i śliczne niebo wieczorne, przezierające spośród cienistych drzew.

– Obraz ten jest pełen ognia i natchnienia! – przerwała mi. – Podziwiam pędzel mistrza pod względem kolorytu i wyrazu, lecz wybór tematu wcale mi się nie podoba, żądam nawet w malarstwie pewnego rodzaju zręczności, szlachetnej czystości w wyborze treści. Dlatego nie tyle mi się podoba Corregia *Danäe*, jak by słusznie powinna. Jest piękna, boski jest ów aniołek z różnobarwnymi skrzydełkami, siedzący na łożu i pomagający jej zgarniać pieniądze; lecz przedmiot nie jest szlachetny i obraża, jeżeli tak powiedzieć się godzi, uczucie piękna w mojej duszy. Dlatego Rafael jest w moich oczach tak wielki we wszystkim, jest apostołem niewinności i tylko jako taki zdolny był przedstawić nam Madonnę.

– Lecz piękność dzieła – wtrąciłem – może nas nakłonić do niezwracania uwagi na nieszlachetność pomysłu.

– Nie! – odpowiedziała Annunciata. – Sztuka jest we wszystkich swoich cząstkach święta i wzniosła, a duchowa czystość głębsze robi wrażenie niż czystość form. Dlatego naiwne obrazy Madonny dawniejszych mistrzów mogą sprawiać na nas głębokie wrażenie, jakkolwiek surowe rysy są twarde i sztywne, wydające nam się często jak chińskie malowidła.

Duch w obrazie malarza powinien być czysty jak w pieśni poety, pojedyncze wybryki można jednak przebaczyć pomimo żalu, że artysta pozwolił opanować się szalonej myśli, ponieważ możemy się cieszyć całością.

– Lecz – przerwałem jej – odmienność pomysłu budzi w nas zainteresowanie, ciągle to samo...

– Zechciej mnie tylko pan zrozumieć! Ja nie żądam bynajmniej, aby tylko Madonny malować, nie! Piękny krajobraz, żywa scena z życia ludowego, okręt wśród burzy i Salvatora Rosy obrazy rozbójników bardzo mnie zajmują, lecz nie chcę nic niemoralnego, nic wstręt budzącego w dziedzinie sztuki, a takim nazywam nawet Scidoniego dobrze namalowany obraz w pałacu Sciarra. Zapewne go pan sobie przypomina? Dwaj wieśniacy przejeżdżają na osłach koło muru. Leży na nim trupia głowa, w której mysz, bąk i glista deszczownik mają swoje siedlisko; a na murze czytamy te słowa: *et ego in Arcadia*¹.

– Znam go – odpowiedziałem – wisi obok pięknego skrzypka Rafaela.

– Tak – rzekła Annunciata – lepiej gdyby ów napis znajdował się pod tym, nie pod owym brzydkim obrazem!

Stanęliśmy potem przed *Porami roku* Francesco Albaniego. Opisywałem jej wrażenie, jakie te amoretki kiedyś zrobiły na mnie; jak przebywałem w tej galerii, swobodnie ją przebiegając.

– Miałeś pan w swoim dzieciństwie jasne promyczki światła! – rzekła, tłumiąc westchnienie, obudzone zapewne wspomnieniem jej własnych lat dziecięcych.

– Pani miałaś ich zapewne nie mniej! – rzekłem. – Kiedy pierwszy raz panią widziałem, wydawałaś się szczęśliwym, podziw budzącym dzieckiem. A kiedy spotkaliśmy się po raz drugi, wprowadziłaś w zdumienie cały Rzym. Zdawałaś się szczęśliwa i jesteś nią rzeczywiście – w duszy!

Nachyliłem się ku niej, ona patrzyła mi dziwnie żalonym wzrokiem prosto w oczy i szepnęła:

– To podziwiane, szczęśliwe dziecko zostało sierotą, bez ojca i matki ptaszkiem na uschłej gałązce niemającym ojczyzny. Byłby umarł z głodu, gdyby mu wzgardzony Żyd nie dał mu przytułku i żywności, dopóki ptaszek nie stał się zdolny wzlecieć ponad burzliwe morze.

Umilkła, a po chwili dodała, potrząsając główką:

– Ale to nie jest opowieść, która by mogła zająć obcego, i nie wiem, skąd mi przyszło do głowy o tym mówić.

Chciała pójść dalej, lecz ja uchwyciłem jej rączkę i zapytałem:

– Czyż ja jestem dla pani zupełnie obcy?

Milcząc, patrzyła przez chwilę przed siebie, uśmiechnęła się boleśnie i odpowiedziała:

– Miałam i piękne chwile w moim życiu, to prawda, i – dodała ze zwykłą sobie żywością – tylko te będę pamiętała, na przykład o naszym spotkaniu w dzieciństwie! Pana szczególnie marzenia o przeszłości zaraziły i mnie i uwodzą serce, aby się nimi zajmowało, zamiast otaczającymi nas dziełami sztuki.

Kiedy, opuściwszy galerię, przybyliśmy do jej hotelu, dowiedzieliśmy się, że był tam Bernardo, aby oddać wizytę. Powiedziano mu, że signora ze starą damą wyjechały w moim towarzystwie. Przewidywałem wprawdzie jego namiętne szamotanie się na tę wiadomość, ale zamiast mnie jak dawniej zasmucić, obudziła miłość moja ku Annunciacie opór i oburzenie przeciw niemu. Wszakże życzył mi tak często, ażebym okazał męstwo i wolę nieugiętą, chociażbym przez to miał w stosunku do niego okazać się niesprawiedliwy. Teraz postanowiłem okazać mu jedno i drugie.

Ciągle brzmiały w uszach moich słowa Annunciaty o wzgardzonym Żydzie, który opuszczoną ptaszynę wziął pod swoje skrzydła. Musiała więc być tą samą, którą Bernardo widział u starego Hanoka. Bardzo mi o to chodziło, aby się w tej sprawie upewnić, lecz nie można jej było nakłonić do podjęcia na nowo przerwanej w galerii wątku rozmowy.

Gdy poszedłem do niej nazajutrz, przebywała we własnym pokoju i uczyła się nowej roli. Rozmawiałem długo z jej towarzyszką, która okazała się daleko bardziej głucha, niż sądziłem, i jak zauważyłem, bardzo mi była wdzięczna, że z nią rozmawiam. Przypomniałem jej, że po mojej improwizacji pierwszy raz łaskawie na mnie spojrzała, stąd wnosiłem, że mnie słyszała.

– To prawda – odpowiedziała – z wyrazu twarzy pana i pojedynczych słów, które doszły mego ucha, zrozumiałam wszystko, a to było piękne! Takim też sposobem rozumiem dokładnie Annunciaty recytatywy i to jedynie ze znaków mimicznych – oko moje stało się bystrzejsze od czasu, gdy słuch mój stępsiał.

Pytała o Bernarda, który wczoraj był u nich podczas naszej niebytności, i żałowała, że nam nie towarzyszył. Okazała dziwną życzliwość i współczucie dla niego.

– Tak – mówiła, kiedy ja się nad tym zastanawiałem – on ma szlachetny charakter. – Znam jeden uczynek jego, niech go za to Bóg izraelski i chrześcijański ma w swojej opiece!

Wreszcie całkiem się rozgadała i poznałem, że jej miłość ku Annunciacie była rzewna i szczerą. Tyle się dowiedziałem z mnóstwa przerywanych i po części niejasnych opowieści – że Annunciata z rodziców hiszpańskich w Hiszpanii urodzona, w pierwszej młodości przybyła do Rzymu i że tutaj, kiedy nagle została sierotą, stary Hanok, przebywający niegdyś w jej ojczyźnie i znający jej rodziców, był jedynym, który się nią zajął. Że później, jeszcze będąc małą dziewczynką, powróciła do swojej ojczyzny, gdzie znalazła opiekę u pewnej damy, która wykształciła jej głos i talent dramatyczny. Pewien pan wielkiego znaczenia zakochał się w miłej dziewczynce, lecz jej chłód względem niego taką go napełnił złością, że ją potajemnie zaczął prześladować. Starej nie wolno było, jak sądziłem, odsłonić tych okropności. Życie Annunciaty znalazło się w niebezpieczeństwie, potajemnie uszła do Włoch, gdzie u swego przybranego ojca w żydowskiej dzielnicy Rzymu czuła się bezpieczna. Spędziła tam półtora roku; w tym to więc czasie musiała Bernarda widzieć i wino mu nalewać, o czym tyle mi naopowiadał. Jakże nieostrożna mi się wydała, ukazując się obcemu, kiedy w każdym takim mogła się spodziewać najemnego zabójcy. Lecz ona wiedziała, że Bernardo taki nie jest, słyszała tylko pochwały na temat jego odwagi i jego szlachetnego czynu. Wkrótce potem dowiedziała się, że jej prześladowca umarł, wyszła więc z ukrycia wiedziona zapalem artystycznym i zachwyciła lud swoim śpiewem i pięknnością. Jej towarzysza towarzyszyła jej do Neapolu, gdzie Annunciata pozyskała pierwsze wieńce sławy, i odtąd już jej nie opuściła.

– Tak, ona jest niczym anioł – mówiła dalej gadatliwa staruszka. – Pobożna w wierze, jak kobieta być powinna, a rozumu posiada tyle, ile dobremu sercu życzyć go można.

Gdy wyszedłem na ulicę, zagrzmiały właśnie strzały wesela. Na wszystkich ulicach, w altanach i oknach strzelano z pistoletów na znak, że post się skończył. W tej chwili poopadały po kościołach i kaplicach czarne zasłony, którymi obrazy przez pięć długich tygodni były zakryte. Wszystko oddychało radością wielkanocną. Czas żałoby minął, nazajutrz zajaśniała Wielkanoc, dzień wesela, a dla mnie podwójnego, bo byłem zaproszony do towarzyszenia Annunciacie na uroczystość kościelną i oświetlenie kopuły Świętego Piotra.

Wszystkie dzwony wielkanocne zabrzmiały, kardynałowie przejeżdżali przez ulice w świetnie malowanych karetach, za którymi stali lokaje; pojazdy bogatych cudzoziemców, roje pieszych zapełniały całkiem wąskie ulice. Na zamku Świętego Anioła powiewały ogromne chorągwie z herbami papieża i obrazem Matki Boskiej; na placu Świętego Piotra grała muzyka, a wokoło sprzedawano różańce i drzeworyty przedstawiające papieża udzielającego błogosławieństwo. Fontanny były w górę olbrzymimi słupami wody, dokoła kolumnad stały łóża i ławy, które jak plac cały zapełnione były ludem.

Wtem wyroiły się wielkie tłumy z kościoła, w którym procesje, śpiewy i pokazywane relikwie świętych, takie jak ułamki włóczni, gwoździ i tym podobne, rozradowały niejednego pobożny umysł. Cały ten obszerny plac wydawał się niczym morze ludem płynące, a rozkołysane pojazdy pojeżdżały się w ściśnione szeregi, wieśniacy i chłopcy powłazili na podstawy figur świętych. Zdawało się, że w tej chwili cały Rzym tutaj napływa, żyje i oddycha.

Wyniesiono w procesji papieża, siedzącego na wspaniałym krześle tronowym, które niosło na ramionach sześciu w liliowe sutanny ubranych księży, dwaj młodzi duchowni powiewali nad

głową papieża wielkimi wachlarzami z pawich piór, osadzonymi na długich trzonkach, inni machali przed nim kadzielnicami, a za nim postępowali kardynałowie, śpiewając psalmy. Skoro ta procesja wyszła z przysionka kościoła, zagrzmiały wszystkie chóry muzyczne na jej powitanie.

Wniesiono ojca świętego po marmurowych schodach na galerię, a wkrótce ukazał się na balkonie otoczony kardynałami. Wszyscy upadli na kolana – całe szeregi żołnierzy, starcy i dzieci, tylko protestanci stali, nie chcąc się nachylić pod błogosławieństwem sędziwego starca. Annunciata na pół klęcząca w powozie patrzyła pełnym rzewnego uczucia okiem na ojca świętego, podczas gdy dokoła najgłębsze panowało milczenie, a błogosławieństwo ulatywało nad naszymi głowami jak niewidome ogniste języki.

Dwie karty spadły z papieskiego balkonu – jedna z odpustem zupełnym, druga z klątwą na nieprzyjaciół kościoła. Lud wydzierał je sobie, aby choć kawałeczek schwycić na pamiątkę. Potem zabrzmiały wszystkie dzwony bazyliki, a muzyka wtórowała tym odgłosom wesela – doznawałem takiego szczęścia jak Annunciata. Skoro nasz pojazd ruszył z miejsca, przejechał tuż koło nas Bernardo, skłonił się obydwu damom, lecz mnie, zdawało się, wcale nie spostrzegł.

– Jaki on blady! – rzekła Annunciata. – Czy chory?

– Raczej nie – odpowiedziałem, wiedziałem bowiem dobrze, co mu krew z twarzy spędziło. Takim sposobem dojrzałem do działania; czułem, jak bardzo kocham Annunciatę, czułem, że gdyby ona odwzajemniła moje uczucie, wszystko bym dla niej mógł uczynić. Chciałem pójść w jej ślady, nie wątpiąc o własnym dramatycznym talencie i wiedząc, jakie wrażenie robił mój śpiew – a gdybym się tylko raz na taki krok odważył, byłbym z pewnością z chwałą wystąpił na scenie! Gdyby mnie kochała, jakie pretensje mógłby mieć wówczas Bernardo? Przecież on, jeżeli miłość jego była tak silna, jak moja – mógł starać się o jej rękę, a jeżeliby jego kochała, wtedy ja byłbym natychmiast odstąpił.

Wszystko to napisałem mu jeszcze tego samego dnia i jestem przekonany, że listem moim dałem dowód gorącego i szczerzego serca, bo dużo łez wylałem na ten papier, kiedy wspominałem o dawniejszych relacjach naszych i dziwnym moim serdecznym przywiązaniu do niego. Po wysłaniu listu poczułem się spokojniejszy, chociaż myśl o utracie Annunciaty rozkrwawiała mi serce ostrymi szponami jak sęp Prometeusza. Tymczasem jednak marzyłem o przyszłości, kiedy jako towarzysz Annunciaty będę i sławę, i szczęście wspólnie z nią zbierał.

Po *Ave Maria* nadal towarzyszyłem Annunciacie i jej opiekunce, pojechaliśmy obejrzeć oświetlenie kopuły. Cały kościół Świętego Piotra z wysoką kopułą, dwie mniejsze po bokach i cała ściana frontowa ozdobione były papierowymi lampami różnego koloru, tak zręcznie umieszczonymi na architektonicznych ozdobach, że cały ten olbrzymi gmach zdawał się odmalowany gorejącymi farbami na ciemnym tle niebios. Tłumy zebrały się jeszcze większe niż przed południem, jechaliśmy więc bardzo wolno. Dopiero z mostu Świętego Anioła ujrzeliśmy cały oświetlony gmach, odbijający się w żółtej wodzie Tybru, po którym pływało mnóstwo łodzi pełnych wesołych ludzi, co niezmiernie cały ten obraz ożywiało.

Gdyśmy się dostali na plac Świętego Piotra, gdzie wszystko oddychało muzyką, dźwiękiem i radością, dano znak do zmiany iluminacji. Kilkaset ludzi siedziało na dachu i kopułach, w okamgnieniu powysuwali wielkie żelazne kagańce ze smolnymi wieńcami – zdawało się, że każdy kaganiec roztacza się w płomienie – cała bazylika zamieniła się w jednej chwili w gorejącą świątynię pańską, przyświecającą całemu Rzymowi, jak ongiś gwiazda owa nad

żłobem w Betlejem. Radość ludu rosła w głos coraz potężniejszy, Annunciata całkiem się zatraciła w tym widoku.

– Jednak to okropnie! – zawołała. – Niech tylko pan pomyśli o tym nieszczęśliwym człowieku, który musi zapalać lampę tam na wierzchołku krzyża kopuły. Dostaję zawrotu głowy na samą myśl o tym. Jest to wysokość tak wielka jak piramid egipskich! Potrzeba wielkiej odwagi, aby aż tam wleźć i powrozy założyć. Ojciec święty każe zawsze udzielić ostatni sakrament temu, co się tam wejść odważy.

– Jak to życie ludzkie na niebezpieczeństwo wystawione być musi – dodała z westchnieniem – dla piękności i szczęścia chwilę trwającego!

– Przecież to na chwałę bożą! – odpowiedziałem. – Czyż nie narażamy życia naszego często dla rzeczy bardziej marnych?

Koło nas przejeżdżały z turkotem powozy, najwięcej jechało na Monte Pincio, aby stamtąd przypatrzeć się oświetleniu kościoła z daleka i zobaczyć całe miasto w ogniu stojące.

– Piękny to pomysł – rzekłem – ażeby cały blask kościoła roztaczał się promieniami na miasto – może Corregio stąd wziął pomysł do swego nieśmiertelnego obrazu *Noc*.

– Przepraszam – przerwała – chyba pan zapomniał, że ów obraz wcześniej został wykończony niż kościół. Zapewne Corregio znalazł ten pomysł we własnej duszy, co dużo bardziej mi się podoba. Lecz przypatrzmy się temu wspaniałemu widokowi z jeszcze większego oddalenia. Nie pojechalibyśmy na Monte Mario? Tam będzie mniejszy tłok niż na Monte Pincio – jesteście blisko bramy.

Objechaliśmy kolumnadę i wkrótce znaleźliśmy się w polu. Pojazd zatrzymał się przed małą karczmą przy drodze, na wzgórzu stojącą. Kopuła wyglądała stamtąd przepyszenie, zdawała się z samych słońc złożona. Wprawdzie frontu kościoła nie było wcale widać, lecz to właśnie dawało zupełnie nowy widok – albowiem jasność rozlana w powietrzu sprawiła, że kopuła iskrząca gwiazdami zdawała się unosić na świetlanych obłokach. Odgłos muzyki i dzwonów aż tu nas dolatywał, a dokoła panowała ciemność tym większa, że gwiazdy świeciły na niebie tylko jak białe kropki, jakby przytłumiały swój blask dla lepszego pokazania ogni wielkanocnych Rzymu.

Wysiadłem z powozu i wszedłem do małej przydrożnej karczmy, aby przynieść Annunciacie coś na ochłodzenie. Gdy z powrotem wyszedłem do wąskiej sieni, gdzie paliła się lampa przed obrazem Madonny, stanął przede mną Bernardo bladej jak wówczas, kiedy w szkole jezuickiej otrzymał wieniec. Oko jego skrzyło się niczym w gorączce, uchwycił mnie za rękę silnie, wręcz namiętnie jak szaleniec.

– Ja nie jestem skrytobójcą, Antonio! – rzekł dziwnie stłumionym głosem. – Bo przebiłbym już twoje fałszywe serce, lecz musisz się ze mną bić, czy twoje tchórzostwo zezwoli na to, czy nie! Pójdź za mną!

– Bernardo! Czyliś ty oszalał? – zawołałem, usiłując wydrzeć się z jego rąk.

– Krzycz, a głośno! – mówił dalej stłumionym głosem. – Zwołaj ludzi na pomoc, kiedy nie masz odwagi rozprawić się ze mną sam na sam. Lecz nim moje ręce zostaną skrepowane, zginiesz!

Podał mi pistolet i zawołał:

– Pójdź! Strzelaj się ze mną albo zrobisz mnie twoim mordercą!

I pociągnął mnie za sobą. Ja, chcąc się oprzeć, zastawiłem się pistoletem, który mi podał.

– Ona ciebie kocha, a ty myślisz to ludowi rzymskiemu i mnie okazać dumą nadętą, mnie, któregoś fałszywymi, obłudnymi słowami oszukiwał, chociaż ci nigdy do tego nie dałem powodu!

– Ty jesteś chory, Bernardzie, szalony!

Wtem uderzył na mnie, ja go odepchnąłem i w tejże chwili usłyszałem strzał. Ręka moja zadrżała, wszystko wkoło zaćmił dym, lecz głośny jęk doszedł do mych uszu i przeszył na wskroś serce! Bernardo leżał u moich nóg zboczony krwią.

Stałem niczym lunatyk, trzymając mocno pistolet. Dopiero po chwili usłyszałem głosy domowników, okrzyk Annuncciaty:

– Jezus Maria! – A potem ją samą i jej towarzyszkę ujrzałem przed sobą, uczułem rozmiar nieszczęścia.

– Bernardo! – zawołałem z rozpaczą i chciałem się rzucić na jego ciało, lecz Annuncciatka już klęczała przy nim i usiłowała zatamować krew. Widzę jeszcze dotąd jej bladość i surowy wzrok, który we mnie utkwiała, gdy tam stałem jak wryty.

– Chronić się pan! Uciekaj pan! – wołała stara, ciągnąc mnie za rękę.

Wtedy zawołałem boleścią przejęty:

– Ja nie jestem winien! Najświętsza Matko Boża, ty wiesz, że jestem niewinny. On mnie chciał zabić, sam mi wepchnął w rękę ten pistolet, który przypadkiem wypalił.

I czego bym może nigdy nie śmiało głośno wypowiedzieć, wyrzekłem teraz w rozpacz:

– Tak, Annuncciatko, obydwaj ciebie Kochamy! Dla ciebie chciałbym tak jak on umrzeć! Który z nas był ci miłszy? Powiedz w chwili mojej rozpacz, czy mnie Kochasz? Potem się oddalę.

– Precz! – rzekła tylko, ciągle zajęta zabitym.

– Uciekaj! – zawołała stara.

– Annuncciatko! – zawołałem aż do ziemi boleścią przyciśnięty. – Który z nas był ci miłszy?

Wtedy ona schyliła główkę nad umarłym, usłyszałem jej łkanie, widziałem, jak jej usta dotknęły czoła Bernarda.

– Żandarmi! – wołano zewsząd. – Uciekaj, uciekaj!

I jakby ręką niewidzialną wywleczono mnie z domu.

XIV

Chłopi z Rocca del Papa. Jaskinia zbójców. Parka mego życia

„Ona kocha Bernarda” – mówiło mi moje serce. – To był postrzał śmiertelny, zatruwający krew moją, który mnie w świat pędził i nawet ów głos zagłuszał, który się w duszy mojej odzywał: „Zabiłeś Bernarda, twego przyjaciela i brata!”

Idąc za popędem natury, przedzierałem się przez drzewa i krzewy, przełaziłem przez mury otaczające winnice na wzgórzach. Kopuła Świętego Piotra oświecała szeroki okrąg, tak samo gorzały ołtarze Kaina i Abla, kiedy zabójca uciekał.

Przez kilka godzin szedłem ciągle wprost, zatrzymałem się dopiero nad brzegiem Tybru, który mi drogę przecinał. Od Rzymu aż do Morza Śródziemnego nie było na Tybrze mostu, nawet żadnego czółna nie mogłem wypatrzeć, które by mnie przewiozło. Ta niespodziewana przeszkoda była dla mnie jak pchnięcie nożem, które na chwilę przecięło robaka kłusującego moje serce, lecz za chwilę już znowu się zrastał, a ja czułem ból jeszcze dotkliwiej.

O kilka kroków ode mnie znajdowały się szczątki grobowca, większych rozmiarów, lecz bardziej zapadłego niż ów, w którym, dzieckiem będąc, żyłem ze starą Domeniką. Spozregłem trzy konie przywiązane do obalonych głązów, jedzące siano.

Szeroki otwór prowadził kilku stopniami w dół, wewnątrz palił się ogień. Dwaj młodzi wieśniacy silnej postury w kozuchach baranich, wełną na lice przewróconych, w wielkich butach i spiczastych kapeluszach, na których błyszcząły wizerunki Madonny, leżeli przy ogniu i kurzyli tytoń. Mniejsza postać owinięta wielkim szarym płaszczem w kapeluszu z szerokim obwisłym rondem stała oparta o mur i piła z foglietty na pożegnanie i szczęśliwe zobaczenie się. Ledwie tę całą grupę obejrzałem, już i mnie spostrzeżono. Schwycili wszyscy trzej za broń przy nich leżącą, jakby się obawiali napaści, i postąpili żwawo ku mnie.

– Czego tu chcecie? – zapytali.

– Czółna, ażeby się dostać za Tyber.

– Możecie go długo szukać! Tutaj nie ma ani mostu, ani promu, jeżeli się go ze sobą nie przywiezie.

– Ale – rzekł drugi, mierząc mnie od stóp do głowy bystrym okiem – zesłiśmy daleko z bitej drogi, a w tak późną noc nie bardzo tu bezpiecznie! Banda de Cezarego podobno jeszcze mocno się trzyma, chociaż ojciec święty tak zażywa rydla, że aż sobie własne ręce pokaleczył.

– Powinniście byli wziąć ze sobą przynajmniej jakąś broń – dodał inny – jak myśmy uczynili. Patrzcie tylko, strzelba i pistolet za pasem, gdyby flinta zawieść miała.

– Dlatego też i ja wziąłem ze sobą dobry nożyk – wtrącił pierwszy. Dobył dobrze wyostrzony nóż i bawił się nim.

– Schowajcie go do pochwy, Emilio! – rzekł pierwszy. – Nieznajomy signor zupełnie zbladł, to młody człowiek, który nie lubi tak ostrej broni. Pierwsi lepsi urwisze odbiorą mu jego parę skudów; z nami zaś nie tak łatwą będą mieli sprawę. Słuchajcie no – rzekł ów parobczak,

zwróciwszy się do mnie – dajcie mi wasze pieniądze do schowania, a możecie być pewni, że będą bezpieczne.

– Możecie wziąć wszystko, co mam – odpowiedziałem, sprykrzywszy sobie życie, zobojętniały cierpieniem – ale niewiele dostaniecie.

Poznałem, w jakim byłem towarzystwie, prędko więc sięgnąłem do kieszeni, w której, o ile wiedziałem, miałem tylko dwa skudy. Lecz ku wielkiemu zadziwieniu znalazłem w niej woreczek. Wydobyłem go, był delikatnej kobiecej roboty, widziałem go dawniej w ręku starej towarzyski Annuncjaty, zapewne w ostatniej chwili wsunęła mi go do kieszeni, abym miał pieniądze potrzebne w mojej nieszczęsnej ucieczce. Sięgnęli wszyscy trzej po pełny woreczek, ja wysypałem z niego wszystko na płaski kamień przy ogniu.

– Złoto i srebro! – zawołali, spostrzegłszy luidory błyszczące pomiędzy piastrami. – Grzechem byłoby, gdyby te ładne duszyczki dostać się miały w ręce zbójców.

– Teraz mnie zabijcie – rzekłem – jeżeli wam się to podoba, wtedy będzie przynajmniej koniec moim cierpieniom!

– *Madonna mia!* – zawołał pierwszy. – Co to o nas myślicie? My jesteśmy uczciwi wieśniacy z Rocca del Papa. My nie zabijamy żadnego brata chrześcijanina! Wypijcie kubek wina z nami i opowiedzcie, co was zmusza do tej podróży.

– To pozostanie moją tajemnicą – odpowiedziałem i chwyciłem podany kubek, bo usta moje spragnione były chłodnego napoju.

Poszeptali trochę. Mężczyzna w szerokim kapeluszu wstał, skinął na pożegnanie towarzyszy głową i rzekł, śmiejąc mi się w oczy szydlerczo:

– Będziecie mieli chłodną noc po ciepłym, wesołym wieczorze.

Odszedł, a wkrótce usłyszeliśmy go kłusującego przez Kampanię.

– Chcieliście się przeprawić za Tyber? – rzekł jeden. – Jeżeli nie pojedziecie z nami, będziecie musieli długo czekać. Siądźcie za mną na konia, bo za nim płynąć, trzymając się ogona, pewnie nie bylibyście radzi.

Nie byłem w tym miejscu bezpieczny, poznałem, że jestem w ręku łotrów. Wieśniak podsadził mnie na wielkiego, silnego konia i sam nań wsiadł przede mną.

– Tymi powrozami was obwiążę – rzekł – bo byście mogli spać, a nie znaleźlibyście gruntu. – I zarzucił powróż na moje piersi i ręce i sam się nim opasał tak, żeśmy siedzieli do siebie plecami. Nie mogłem ręką ani nogą ruszyć. Powoli, nogami próbując, koń wszedł do wody, wkrótce złała się nad jego grzbietem i przepłynął na drugi brzeg. Skorośmy tam stanęli, odwiązał mój towarzysz powróż do niego mnie wiążący, ale dlatego tylko, aby moje ręce jeszcze mocniej przywiązać do popręgu.

– Moglibyście spać i kark skręcić! – rzekł. – Trzymajcie się mnie, bo teraz przejedziemy Kampanię.

Ścisnął konia nogami, jego towarzysz zrobił to samo i puścili się galopem, jako dobrze wyćwiczeni jeźdźcy, przez wielką, pustą równinę. Ja trzymałem się rękoma i nogami. Wiatr igrał z długimi czarnymi włosami wieśniaka, smagały mnie po twarzy, przelataliśmy jak wiatr koło zapadłych grobowców; dostrzegłem poniszczone akwedukty, a księżyc czerwony jak krew wznosił się na widnokręgu, podczas gdy lekkie, przejrzyste obłoczki płynęły nad nim.

Że Bernarda zabiłem, z Annuncjată i domem moim ojczystym byłem rozdzielony, do konia zbójcy przywiązany w szalonym pędzie Kampanię przelatuję – wszystko to snem mi się

wydawało, okropnym snem! Pragnąłem przebudzić się i pozbyć przerażającego obrazu. Zamknąłem oczy i czułem tylko chłodny wiatr z gór w twarz mi wiejący.

– Teraz jesteśmy bezpieczni, jak na łonie Abrahama! – zawołał jeździec, gdyśmy się dostali w góry. – Czyż nie jest to wyborny koń, na którym jedziemy? Otrzymał w tym roku błogosławieństwo świętego Antoniego. Mój chłopak ubrał to zwierzę we wstęgi i kwiaty, trzymano przed nim Biblię i pokropiono je święconą wodą – ani diabeł, ani złe oczy nic mu w tym roku nie zrobią.

Po wschodniej stronie już się zaczęło rozjaśniać, gdyśmy wjechali w góry.

– Ranek świta – rzekł drugi jeździec – a ta jasność mogłaby oczom signora zaszkodzić, ja mu dam zasłonkę.

To mówiąc, zarzucił mi chustkę na oczy i zawiązał tak mocno, że nie mogłem w żaden sposób nic zobaczyć. Ręce miałem skrępowane, zostałem ich niewolnikiem, ale boleścią przejęty znosiłem wszystko cierpliwie. Poczułem, że jedziemy pod górę, lecz wkrótce znowu zaczęliśmy zjeżdżać w dół. Gałęzie i krzewy uderzały mnie w twarz, jechaliśmy drogą wcale nieprzejezdną. Wreszcie kazano mi zsiąść. Prowadzili mnie, nie mówiąc ani słowa, na koniec zeszlśmy przez ciasny otwór po schodach. Byłem zanadto sam sobą zajęty w duszy, aby zważać na kierunek, w jakim mnie prowadzono. Dopiero kilka lat później poznałem to miejsce. Wielu cudzoziemców je zwiedzało, a wielu malarzy przedstawiło ołówkiem i pędzlem. Znaleźliśmy się w pobliżu starożytnego Tusculum. Za Frascati, gdzie stok góry porasta las kasztanów i wysokie krzewy lauru, stoją jeszcze ruiny z odwiecznych czasów. Wysokie ciernie i głogi wyrastają spośród stopni amfiteatru. W kilku miejscach góry pokryte są tu bujną trawą i drzewami, głębokie jaskinie i murowane budowle są w ten sposób całkiem zakryte. Z tamtej strony doliny widać wysokie Abruzzy otaczające Błota i dodające całemu krajobrazowi wiele dzikości, która tutaj wśród ruin odwiecznego miasta tym większe robi wrażenie. Wprowadzono mnie przez jeden z otworów na pół zasłonięty barwinkiem i wiciokrzewami. Stanęliśmy nareszcie – usłyszałem lekki świst, a zaraz potem łoskot otwierających się opuszczanych drzwi.

Znowu zeszlśmy kilka schodów na dół, wtem usłyszałem jakieś głosy, zdjęto mi opaskę z oczu i zobaczyłem, że znajduję się w przestronnym pomieszczeniu. Silnie zbudowani mężczyźni w długich kozuchach, jak moi towarzysze, siedzieli przy długim prostym stole, na którym paliły się dwie mosiężne lampy o kilku knotach oświetlające mocno ich dzikie, wyraziste twarze. Grali w karty, a przed nimi stało wino w dużych butelkach. Moje przybycie nie zadziwiło nikogo; zrobiono mi miejsce przy stole, podano kubek wina i kawałek salami – rozmawiali językiem, którego nic a nic nie rozumiałem, zdawało się jednak, że ich rozmowa wcale mnie nie dotyczyła.

Nie byłem głodny, lecz bardzo spragniony, dlatego napiłem się wina. Rzuciwszy okiem po ścianach, widziałem dokoła broń i ubiory. W rogu pomieszczenia znajdował się dół, nad nim wisały dwa zające odarte do połowy ze skóry, lecz pod nimi spostrzegłem istotę innego rodzaju – stara, chuda kobieta, dziwnej, prawie młodzieńczej postaci przędła kądziel; jej siwe włosy wymknęły się spod opaski i zwieszały się na policzki i brunatnożółtą szyję, czarne oko patrzyło ciągle na kądziel, była ona żywym wizerunkiem parki. Przy jej nogach leżało dużo żarzących się węgli, jakby koło czarodziejskie, oddzielające ją od tego świata.

Niedługo byłem pozostawiony samemu sobie, rozpoczęto pewien rodzaj indagacji, dotyczącej mego stanu, majątku i rodziny. Odpowiedziałem im, że już wszystko, co posiadałem, zabrali. Że nikt w Rzymie, gdyby za mnie okupu zażądać chcieli, nie da ani skuda, że jestem

chudopacholek, który dawno miał zamiar udać się do Neapolu i tam sprzedawać swój talent jako improwizator. Nie zataiłem bynajmniej właściwej przyczyny mojej ucieczki ani nieumyślnego strzału, nie odkrywając jednak bliższych okoliczności.

– Jedyne wykup, jaki możecie za mnie dostać – dodałem – jest ten, który wam da sąd, jeżeli mnie wydacie w jego ręce. Uczynicie to! W tej chwili nie wiem, co bym lepszego mógł sobie życzyć.

– To zabawna zachcianka – rzekł jeden z nich. – Macie zapewne w Rzymie dziewczkę, która da za waszą wolność złote zausznice. Możecie jeszcze dostać się do Neapolu na improwizację. Doskonale nadajemy się do tego, aby was przez granicę przeprowadzić. Ale jeżeli wykup ma być zadatkiem na dobre braterstwo między nami, to oto daję na to moją rękę. Trzeba wam wiedzieć, żeście dostali się pomiędzy poczciwych ludzi! Lecz idźcie teraz spać i bądźcie dobrej myśli; tu oto łóżko, dostaniecie jeszcze kołdrę, która już nie raz była na wicherze i deszczu siroccowym, mój brunatny płaszcz tam z haka.

Rzucił mi go, wskazał na słomiane posłanie w końcu stołu i odszedł, nucąc albańską pieśń ludową: *Discendi o mia Bettina!*

Rzuciłem się na łożo, nie myśląc wcale o odpoczynku. Ostatnie wypadki przesuwają się przede mną w straszliwych obrazach, mimo to moje powieki opadły, siły fizyczne były całkiem wyczerpane, spałem mocno i twardo przez cały dzień. Po przebudzeniu uczułem się zaskakująco pokrzepiony.

Wszystko, co moją duszę tak strapiło, wydawało się niczym sen, ale miejsce, w którym się znajdowałem, i posępne wkoło twarzy wnet mnie przekonały, że wspomnienia są aż nazbyt prawdziwe. Jakiś obcy z pistoletami za pasem, w długim szarym płaszczu niedbale na ramiona zarzuconym siedział tyłem do mnie, na ławie, zajęty rozmową z innymi zbójcami. W kącie pomieszczenia siedziała jeszcze ciągle stara, śniada jak Mulatka kobieta i przędła kądziel, nieruchoma jak przedtem – był to obraz na ciemnym tle odmalowany. Świeże węgle leżały przed nią na kamiennych płytach i oddawały ciepło.

– Strzał przeszył mu bok – mówił obcy – stracił odrobinę krwi, ale za miesiąc wyzdrowieje.

– Ej, signor! – zawołał mój jeździec, spostrzegłszy, że się obudziłem – dwunastogodzinny sen to dobra poduszka! Gregorio przywozi z Rzymu wiadomości, które was zapewne ucieszą. Wysokiemu senatorowi bardzo na ogon przydepnęliście! Tak, to wy jesteście! Wszystkie okoliczności się zgadzają. Strzeliliście w skórę senatorskiego siostrzeńca, to był strzał zuchwały!

– Czy umarł? – tylko to zdołałem wyjąknąć.

– Nie, zupełnie nie – odpowiedział nowo przybyły. – Tym razem nawet na pewno nie umrze, tak przynajmniej zapewnia lekarz. Piękna obca signora, która śpiewa jak słowik, czuwała przy nim całą noc, dopóki jej lekarz nie zapewnił, że może być spokojna, bo nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

– Chybiliście – dodał drugi – i do jego, i do jej serca. Puśćcie te ptaszki, oni tworzą parę, a zostacie u nas! Życie nasze wesołe i wolne, możesz zostać książątkiem, a niebezpieczeństwa tylko tyle, co przywiązane do każdej korony. Będziesz miał wino, awantury i pięknych dziewcząt całą gromadę za ową jedną, która ci uszła. Lepiej życie wesołe haustem wychylić, niż po kropelce cedzić.

„Bernardo żyje, nie jestem jego zabójcą!” Ta myśl natchnęła duszę moją nowym życiem, lecz nie zdołała złagodzić bólu na samo wspomnienie Annuniaty. Odpowiedziałem owemu towarzyszkowi spokojnie i stanowczo, że może ze mną robić, co mu się podoba, ale wejść z nim

w jakiś inny stosunek, prócz tego, do którego mnie przypadek zmusił, zakazuje mi moja natura, moje wychowanie i wyobrażenia.

– Sześćset skudów to najmniejsza suma za twoją wolność! – rzekł ów człowiek z ponurą powagą. – Jeżeli nie przyjdą za sześć dni, to będziesz nasz, żywy czy umarły. Twoja piękna twarz i moja życzliwość cię nie zbawią. Bez sześciuset skudów zostaje ci tylko taki wybór: albo się z nami zbratać, albo z tymi, którzy na dnie owej studni spoczywają bratersko ujęci. Pisz do twego przyjaciela albo do pięknej signory. Głębiej rzeczy biorąc, oboje powinni być ci wdzięczni, ponieważ przyśpieszyłeś ich wzajemne oświadczyiny. Z pewnością chętnie za ciebie zapłacą tę lichą sumę! Tak tanio nikt jeszcze nie wyszedł z naszej oberży. Pomyślcie tylko – mówił, śmiejąc się – mieliście tu dotąd darmo podróż, a teraz stół i nocleg przez sześć dni! Nikt nie może powiedzieć, że to niesłuszne żądanie.

Powtórzyłem moją poprzednią odpowiedź.

– Jakiś ty uparty, to mi się u ciebie podoba! – rzekł zbójca. – I ja obstanę przy moim, nawet wtedy, kiedy ci serce kulą przeszyję. Nasze wesołe życie musi koniecznie zajmować młodą duszę, a ty, co jesteś poetą, improwizatorem, nie zachwycasz się wcale wolnym i śmiałym pędem naszego życia? Gdybym zażądał, ażebyś uczcił poematem dumnych władców wśród skał, nie powinienes wtedy sławić ich życia, które zdajesz się poniżać? Napij się wina i daj nam dowód twej sztuki. Przedstawisz nam, jak powiedziałem przed chwilą, dumnych władców, jacy w górach się znajdują, a jeżeli to wykonasz po mistrzowsku, jeszcze ci termin wykupu o jeden dzień przedłużę.

Podał mi ze ściany gitarę, zbójcy otoczyli mnie wokół, żądając, abym śpiewał.

Zastanowiłem się kilka chwil. Miałem opiewać lasy i skały, a nigdy w nich nie byłem. Podróż minionej nocy odbyłem z zawiązanymi oczyma, a w czasie pobytu w Rzymie zwiedziłem tylko las piniowy w willi Borghese i Pamfili. Góry zajmowały mnie wprawdzie już w chłopięcym wieku, lecz tylko te, które widywałem z mieszkania Domeniki, jedyny raz byłem u ich podnóża podczas nieszczęśliwej podróży do Genzano na święto kwiatów. Posępny i spokojny był ten las, który tkwił w mej pamięci z czasu przechadzki pod wyniosłymi platanami nad jeziorem Nemi, gdzie owego wieczoru wiliśmy wieńce. Wszystko odżyło w mej pamięci, a myśli zaczęły się w duszy składać. W jednej chwili wszystkie ówczesne obrazy przesunęły się żywo w mojej wyobraźni – uderzyłem kilka akordów i myśl wypłynęła mową, mowa potokiem wierszy. Opisałem głębokie, lasem okolone jezioro, skałę wysoko w obłoki nad nim się wznoszącą. Na szczycie siedziała w gnieździe orlica i uczyła orlęta, jak mają używać siły skrzydeł; wprawiała ich bystre oko, każąc im patrzeć w słońce. Wy jesteście królami ptaków, mówiła im, bystry jest wzrok wasz, ostre wasze szpony – lećcie precz od waszej matki, wzrok mój pośle za wami, a serce moje śpiewać będzie jak łabędź, kiedy go obejmuje śmierć. Opiewać będę dumnych władców! I orlęta wyleciały z gniazda, jedno tylko na najbliższy szczyt skały i tam przysiadło spokojnie z okiem zwróconym na słońce, jakby się chciało pokrzepić jego żarem, gdy tymczasem drugi orlik wielkimi krążył kołami wysoko ponad lasem i w dole leżącym jeziorem. Powierzchnia wodna była zwierciadłem dla otaczającego ją lasu i lazurowego nieba. Na niej spoczywała wielka ryba nieruchoma jak trzcina okrywająca brzegi jeziora. Niczym piorun uderzył orlik na swoją zdobycz, utopił w jej grzbiecie ostre szpony, a serce matki orlicy zadrżało z radości – ale siły ryby i orła były wyrównane. Ostre szpony za głęboko się wcisnęły, aby je wyrwać, i rozpoczęła się walka, od której gładkie zwierciadło jeziora zadrżało ogromnymi kręgami – na chwilę wszystko ucichło – potężne skrzydła spoczywały na wodzie szeroko

rozpostarte jak liście lotosu – naraz uderzyły w górę, rozległ się trzask, jedno skrzydło opadło; podczas gdy drugie biło w wodę, aż się pieniała, i zniknęło; i ryba, i orzeł poszli pod wodę. Wtedy wydała matka krzyk boleści i posłała potem znowu wzrok za drugim synem, który spoczywał na szczycie skały. Już go tam nie było, lecz wysoko ku słońcu spostrzegła czarną plamkę coraz wyżej się wznoszącą, aż znikła w jego promieniach, a serce jej aż drżało z rozkoszy i śpiewała o dumnym władcy, który tylko przez wzniosły cel swych usiłowań staje się potężny.

Śpiew mój skończył się – oddano mi głośne oklaski, lecz oko moje było ciągle zwrócone na starą kobietę w kącie jaskini. Spostrzegłem, jak podczas mojego śpiewu upuściła wrzeciono, posępne, lecz bystre oczy na mnie zwróciła, i zdawało mi się, że to powtórzenie sceny, na którą patrzyłem, będąc dzieckiem. Wtem powstała, a zbliżywszy się do mnie żwawym krokiem, zawołała:

– Wyśpiewałeś sobie wykup! Dźwięk głosu silniejszy niż złota. Widziałam w twoim oku gwiazdę szczęścia, gdy ryba i orzeł, konając, w głęb się zanurzyli. Leć ku słońcu, mój śmiały orle, stara siedzi w gnieździe i cieszy się z twego lotu. Nikt nie ośmieli się wiązać ci skrzydeł!

– Mądra Fulwio – zapytał zbójca, który zażądał improwizacji, a teraz z dziwaczną powagą skłonił się przed starą – czy znasz tego signora? Słyszałaś go kiedyś improwizującego?

– Widziałam gwiazdę w jego oku! – rzekła. – Blask nieśmiertelny, który opromienia dzieci szczęścia! On wił swój wieniec, wić będzie jeszcze piękniejszy, ale niezwiązanymi rękoma. Za sześć dni myślisz mego orlika zastrzelić, bo nie chce swoich szponów zatapiać w grzbiecie ryby? Sześć dni tutaj w tym gnieździe odpocznie, a potem poleci ku słońcu.

To rzekłszy, otworzyła małą szafkę w ścianie, wydobyła kartę papieru i chciała pisać.

– Inkaust twardy jak ta skała – rzekła – ale ty, Kosmo, masz tego czarnego płynu dość, draśnij się w rękę. Stara Fulwia myśli i o twoim szczęściu.

Stary zbójca, nie mówiąc ani słowa, dobył noża, drasnął się lekko w rękę i umoczył pióro we krwi, stara podała mi je i kazała napisać tylko te słowa: *Udaję się do Neapolu*.

– Teraz podpisz swoje nazwisko – rzekła – ono tyle ważne, co papieska pieczęć!

– Co z tego będzie? – bąknął jeden z młodszych półgłosem, rzuciwszy niechętnie spojrzenie na starą.

– Ten robak znalazł język? – rzekła. – Strzeż się szerokiej stopy, która cię zdepcze!

– Wierzymy w twoją mądrość, matko! – rzekł starszy. – Twoja wola jest monstrancją błogosławieństwa i szczęścia!

Nie mówiono już nic więcej, wesołość znowu wróciła; butelka z winem zaczęła krążyć – poklepywano mnie poufale po ramieniu, podawano mi najlepsze kąski zwierzyny. Jedliśmy, stara zasiadła nieruchomo jak pierwej i przędła, a młody zbójca sypał świeże węgle przy jej nogach i mówił: Tobie zimno, stara matko!

Z jej mowy, z wymienionego nazwiska poznałem, że była tą samą, która mi jako dziecku wróżyła, kiedy z matką i Mariuccią wiłem wieniec nad jeziorem Nemi. Przekonałem się, że mój los spoczywa w jej ręku. Kazała mi napisać, że idę do Neapolu, co było wprawdzie moim życzeniem, lecz jakże mogłem przebyć granicę bez pasportu? Jakież mieć mogłem widoki w obcym mieście, gdzie nikogo nie znałem? Jako zbieg z sąsiedniego państwa nie miałem odwagi wystąpić w roli improwizatora, lecz znajomość języków i niepojęte dziecinne zaufanie do Madonny pokrzepiały mego ducha. Nawet myśl o Annunciacie, która się w dziwną jakąś pogryzła żalność, napełniła duszę moją spokojem, jakiego doznaje żeglarz, kiedy statek jego

zatonął, a on w małej łódce płynie do nieznanego brzegu.

Dzień po dniu upływał – zbójcy wychodzili i wracali, nawet Fulwia oddaliła się na cały jeden dzień, a ja zostałem w jaskini z jednym zbójcą sam na sam. Był to młodzieniec mający lat dwadzieścia jeden – rysy jego nieszlachetne, lecz oczy smętne, czasami dzikością połyskujące i długie, na ramiona spadające włosy odznaczały jego postać. Siedział milczący, wsparłszy głowę na rękę, potem zwrócił się do mnie i rzekł:

– Ty umiesz czytać, przeczytaj mi modlitwę z tej książki! – I wydobył małą książeczkę. Czytałem, a z jego dużych, ciemnych oczu przeświecała pobożność.

– Czemu nas chcesz opuścić? – zapytał, podając mi przyjaźnie rękę. – Krzywoprzysięstwo i obłuda mieszkają tak w mieście, jak w lesie, lecz w lesie jest przynajmniej zdrowsze powietrze i mniej ludzi.

Stąd wywiązało się między nami pewne wzajemne zaufanie, wzdrygałem się na jego dzikość, lecz jego nieszczęście wzruszało mnie.

– Słyszałeś zapewne opowieść o księciu Savelli – zapytał – o pełnym radości weselu w Ariccia? Był to tylko biedny wieśniak i biedna dziewczyna, ale była piękna i wesele się odbyło. Bogaty pan Savelli zaszczycił pannę młodą, tańcząc z nią, i namawiał, aby go czekała w ogrodzie. Lecz ona powiadomiła o tym swego męża, który ubrał się w jej suknię i ślubną zastonę i stawiał się za nią w umówionym miejscu. Gdy księżę chciał ją przycisnąć do piersi, wbił sztylet w jego szlachetne serce. – Znałem pewnego hrabiego i podobnego do owego nowożeńca, lecz panna młoda nie była tak otwarta; hrabia obchodził nocne wesele, a pan młody wyprawił jej pogrzeb. Jej pierś błyszczała jak śnieg, gdy nóż przebił serce.

Patrzyłem mu w oczy, milcząc – nie miałem bowiem słów na wyrażenie mego współczucia.

– Myślisz, że nigdy nie zaznałem miłości, że nigdy nie ssałem jak pszczoła z wonnego kielicha? Pewna znakomita Angielka jechała do Neapolu, towarzyszyła jej piękna dziewczyna kwitnącego zdrowiem liczka, oczu pełnych ognia. Towarzysze moi zmusili je do wyjścia z powozu i kazali im przez czas rabunku siedzieć spokojnie na ziemi. Obie kobiety i młodego mężczyznę, kochającego i kochanego, jak mniemam, uprowadziliśmy w góry; jego przywiązaliśmy do drzewa, młoda dziewczyna była piękna, była narzeczoną – mogłem także stać się księciem Savelli. Gdy później przysłano za wszystkich troje wykup, pobladyli lica młodej dziewczyny – oko już nie takim paliło się ogniem; pochodziło to ze zbyt cienia wśród gór. – Odwróciłem się od zbójcy, on niby się usprawiedliwiając, dodał: – Ta dziewczyna była protestantką, nie chrześcijanką, córką szatana.

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Przeczytaj mi jeszcze jedną modlitwę – prosił, a ja przeczytałem.

Wieczorem powróciła Fulwia. Oddała mi list, lecz nie pozwoliła go czytać.

– Góry przywdziały mglisty kaptur – rzekła – czas już wylecieć z gniazda. Jedz i pij, daleką mamy przed sobą drogę, a na gołej skalistej ścieżce nie rosną pagnotty¹.

Młody zabójca postawił żwawo strawę na stole, którą cokolwiek się posiłem; potem Fulwia zarzuciła płaszczyk na ramiona i pociągnęła mnie prędko za sobą przez ciemne, wydrażone w skale korytarze.

– W liście są twoje skrzydła – rzekła. – Żaden żołnierz graniczny piórka ci nie złamie, mój młody orle! Jest także dołączona różdżka czarodziejska, która użyczy ci złota i srebra dosyć, dopóki sobie sam skarbów nie odgrzebieesz.

Nagimi, wyschlými rękoma rozgarniała bluszcz, który jak zasłona zwieszał się przy wejściu do jaskini. Na dworze była już ciemna noc; wilgotna mgła okrywała góry. Trzymałem się mocno jej sukni i zaledwie mogłem za nią nadążyć; jak duch biegła po ciemku wydeptaną ścieżką, krzaki i zarośla rozstępowały się na obie strony.

Nasza wędrówka trwała już kilka godzin, znajdowaliśmy się w wąskiej dolinie pomiędzy górami. Przed nami stała chata bez ścian, jakie się znajdują na Błotach Pontyjskich; dach ze słomy i trzciny sięgał aż do ziemi. Światło błysnęło w szczelinie niskich drzwi, wewnątrz wszystko poczerniało było od dymu, który jedynie przez niskie drzwi się wyciskał. Słupy i belki, nawet trzcina aż się świeciła od sadzy. Pośrodku znajdował się na ziemi murek na parę łokci długi i prawie pół tak szeroki, na nim leżały węgle i popiół, tam gotowano i stamtąd rozchodziło się ciepło po izbie. W głębi znajdował się otwór w ścianie, a raczej w dachu, wiodący do mniejszej chaty, przyczepionej do większej jak mniejsza cebulka do swojej matki. Tam leżała kobieta, z kilkorgiem dzieci, wszystko we śnie pogrążone. Nad nimi ukazał się łeb osła i patrzył na nas. Mężczyzna już w latach, prawie nagi, tylko w podartych spodniach z koziej skóry wyszedł naprzeciw nam – pocałował Fulwię w rękę i nie rzekłszy ani słowa, zarzucił kozuch na moje plecy, wyprowadził osła i skinął na mnie, abym nań wsiadł.

– Rumak szczęścia lepiej będzie kłusował niż osioł kampański – rzekła Fulwia.

Wieśniak wyprowadził potem osła, na którym siedziałem, a serce moje uczuło głęboką wdzięczność dla osobliwej staruszki. Schyliłem się, aby ją pocałować w rękę, lecz ona, potrząsnąwszy głową, odgarnęła włosy z mego czoła i uczułem jej zimny pocałunek. Skinęła jeszcze raz ręką na pożegnanie, a wkrótce potem rozdzieliły nas gałęzie i zarośla. Wieśniak popędził osła batem i biegł z nim na wyścigi ścieżką pod górę. Przemówiłem do niego, on wydał słaby głos i dał mi przez znaki do zrozumienia, że jest niemy. Ciekawość treści listu, który mi dała Fulwia, nie dała mi ani chwili spokoju – wydobyłem go i otworzyłem. W kopercie było kilka papierów, lecz ciemność nie pozwoliła odczytać ani słowa, pomimo wyteżania oczu.

Gdy ranek zaświtał, znajdowaliśmy się na grzbiecie gór, których granity porośnięte były gdzieniegdzie pojedynczymi wiciokrzewami i szarozieloną wonną bylicą. Niebo było pogodne, błyszczącymi gwiazdami zasiane – pod nami znajdował się świat płynący mgłami, były to Błota Pontyjskie rozciągające się od Gór Albańskich pomiędzy Velletri a Terraciną, ograniczone Abruzzami i Morzem Śródziemnym. Pod nami białły srebrzyste mgły, niezmierzone szafirowe niebo przybrało wkrótce kolor liliowy, a potem najczystszy różowy – góry zaś wydawały się jak jasnoniebieski aksamit; olśnił mnie ten przepych kolorów. Stok góry wydawał się jak płomień błyszczący na jasnym tle. Dłonie moje złożyły się do modlitwy, serce ukorzyło się przed Panem w tej ogromnej świątyni natury i wymówiłem z cicha: Niech się stanie wola twoja!

Jasność dzienna zrobiła się tymczasem tak mocna, iż mogłem zobaczyć, co list zawiera. Był tam paszport na moje imię wystawiony przez policję rzymską i wizowany przez posła neapolitańskiego; dodatkowo weksel na pięćset skudów na dom Falkonet w Neapolu i karteczka zawierająca tylko tyle: Życiu Bernarda nic nie zagraża, lecz nie przyjeżdżaj w pierwszych paru miesiącach do Rzymu.

Fulwia miała słuszność, tutaj były i skrzydła, i różdżka czarodziejska. Poczułem się wolny, westchnienie wdzięczności wydobyło się z mego serca. Wkrótce dostaliśmy się na bardziej wydeptaną drogę i spotkaliśmy kilku pasterzy siedzących przy śniadaniu. Mój przewodnik się zatrzymał – wnoszę z tego, że go znali, bo gdy zaczął rozmawiać na migi, zaprosili nas do swego śniadania składającego się z chleba, bawolego sera i oślego mleka. Ja, zjadłszy cokolwiek,

poczułem się posilony. Potem wskazał mi mój przewodnik dróżkę, a drudzy powiedzieli, że prowadzi z gór w dolinę i ponad Błotami do Terraciny, gdzie jeszcze przed wieczorem mogę stanąć. Kazali mi trzymać się ciągle drożyny po lewej stronie gór idącej, dodając, że po kilku godzinach przyjdę do długiego kanału ciągnącego się od gór do wielkiego traktu, którego drzewa wnet zobaczę, skoro mgły opadną – że idąc wzdłuż kanału, wyjdę na wielki trakt niedaleko pustego klasztoru, gdzie teraz stoi gościniec nazwany *torre di tre ponti*.

Chętnie bym mojemu przewodnikowi dał mały podarek, lecz nie posiadałem nic! Wtem przypomniałem sobie, że wychodząc z Rzymu, miałem jeszcze dwa skudy w kieszeni, oddałem tylko sakiewkę z włożonymi mi tajemnie pieniędzmi. Dwa skudy stanowiły więc w tej chwili całą moją gotówkę. Jednego przeznaczyłem mojemu przewodnikowi, drugiego umyśliłem schować dla siebie na drogę do Neapolu, bo tam dopiero mogłem użyć weksła. Sięgnąłem do kieszeni, lecz szukanie było daremne – już dawno obrano mnie z tej małej sumy. Nie miałem nic! Zdjąłem więc jedwabną chustkę z szyi i dałem przewodnikowi, a innym podałem rękę i puściłem się sam drożyną ku Błotom.

XV

Błota Pontyjskie. Terracina. Dawny znajomy. Fra Diavola miasto rodzinne. Ogród pomarańczowy przy Molo di Gaeta. Neapolitańska signora. Neapol

Wielu uważa, że Pontyjskie Błota są trzęsawiskiem, opustoszałą płaszczyzną zalaną nieczystą stojącą wodą, a okolicą dla podróżnego bardzo smutną. Przeciwnie! Są one bardzo podobne do żyznych dolin Lombardii, nawet jeszcze żyźniejsze. Trawy i zioła są takie tu bujne i soczyste, że podobnych nie znajdziesz w całych północnych Włoszech.

Żadna droga nie może być powabniejsza, jak prowadząca przez te błota. Pojazd toczy się jak po zwierciadlanej koleinie, długą aleją wysadzoną lipami, których gęste gałęzie zasłaniają przed palącymi promieniami słońca. Po obu stronach drogi rozciąga się niezmierna równina zarosła bujną trawą i roślinami o jędrnej zieloności. Kanały przerzynające ją w różnych kierunkach chłoną wodę, która wszędzie stoi cichuteńko, jakby stawy i jeziora oprawione w wysoką trzcinę i szerokolistne lilie wodne. Po lewej stronie drogi z Rzymu wiodącej ciągną się wysokie Abruzzy, a na nich kilka miasteczek świeci białymi murami wśród ciemnych skał, jak górskie zamki. Po prawej stronie chyli się ta zielona równina ku morzu, gdzie sterczy przylądek Circello (dawniej wyspa Cyrcei, gdzie, jak niosą podania, Ulisses przybił do brzegu).

Kiedy już kawał drogi uszedłem, podniosła się mgła wisząca nad tą zieloną równiną i zaświeciły kanały, niczym płótno na bielniku. Słońce paliło jak w porze letniej, choć dopiero luty miał się ku końcowi. Stada bawołów pasły się w bujnej trawie, ich tabun biegał luzem i wierzgał nogami, aż woda w górę tryskała. Ich śmiałe postawy i szalone susy mogły jakiemuś malarzowi za wzór posłużyć. Po lewej spostrzegłem ogromny, czarny słup dymu wznoszący się z dużego ognia, który palili pasterze, aby oczyścić powietrze w pobliżu swoich chat. Spotkałem wieśniaka, którego bladeżółta, chorobliwa cera dziwnie sprzecznie wyglądała przy niezmiernie żyznych dolinach. Trzymał w ręku pewien rodzaj długiej piki, którą zawracał bawoły brodzące po grząskim pastwisku. Niektóre spoczywały w trawie i widać było tylko ich brzydkie czarne łby ze złośliwymi ślepiami. Domy pocztowe trzy- i czteropiętrowe stojące pojedynczo nad drogą całe pokryte były grubą szarzieloną pleśnią. Na murach i ludziach dało się dostrzec ślady niszczących wyziewów, co szczególną przedstawiało sprzeczność z bujną okoliczną roślinnością, jędrną zielenią i słonecznym ciepłem.

Skołatany duch mój widział w otaczającej mnie przyrodzie obraz złudnego szczęścia w życiu. Tak to zawsze prawie patrzy człowiek na świat przez szkiełka własnego uczucia, a ten wydaje się mu ciemny lub różowy, stosownie do szkiełka, przez które nań spogląda.

Z godzinę przed *Ave Maria* wyszedłem z Błot Pontyjskich, zbliżałem się do gór urozmaiconych łomami żółtawych skał, a tuż przede mną stała Terracina wśród rozkosznej hesperyjskiej przyrody. Trzy wysokie palmy okryte owocami stały wzdłuż drogi – obszerne sady okrywające stoki gór wydawały się jak ogromny zielony kobieriec posiany milionami złotych kropek. Gałęzie gięły się aż do ziemi pod ciężarem owoców cytryn i pomarańczy. Przed jednym

domem wieśniaczym przy drodze leżało mnóstwo w stos ułożonych cytryn, które same opadły tak rześście, jak utrżęsione kasztany. Rozmaryn i dzikie ciemnoczerwone lewkonie rosły bujnie po rozpadlinach aż ku szczytowi skały, na której widniały wspaniałe ruiny grodu Teodoryka, króla Gotów, spoglądając na miasto i całą okolicę.

Ten piękny obraz olśnił moje oczy – pogrążony w miłe marzenia wszedłem do Terraciny. Przede mną morze rozlało swoje wody. Po raz pierwszy widziałem morze, cudownie piękne Morze Śródziemne, jakby niebo najczystszej barwy ultramaryny u stóp moich rozesłane płaszczyzną bez granic. Daleko, daleko ujrzałem wyspy, niczym pływające obłoki najpiękniejszego liliowego koloru, dojrzałem nawet Wezuwiusza, gdzie czarny słup dymu kłębił się powoli w niebieskawe obłoczki. Powierzchnia morza zdawała się zupełnie spokojna, a jednak w brzeg, nad którym stałem, biły bałwany tak niebieskie, tak przezroczyste jak eter, a szum ich rozlegał się grzmotem po górach.

Nie mogłem oczu oderwać, stałem jak wryty i pełną duszą chłonałem rozkosz. Doznawałem uczucia, jak gdyby wszystko, co cielesne, krew i serce, zamieniło się u mnie w ducha, abym mógł bujać swobodnie pomiędzy tymi dwoma niebami – między nieskończonym morzem a niebiosami. Rozrzewniłem się jak dziecko, aż poczułem łzy na policzkach.

Niedaleko miejsca, gdzie stałem, wznosił się wielki biały budynek, bałwany biły w brzeg, na którym był zbudowany. Dolne piętro od strony ulicy zajmował wielki sklepiony przysionek, gdzie zatrzymały się powozy podróżnych. Był to hotel Terraciny, najobszerniejszy i najpiękniejszy na całym trakcie od Rzymu do Neapolu.

Trzask bicza odbił się o skaliste ściany i przed hotel zajechał zamknięty czworokonny powóz. Uzbrojeni lokaje siedzieli na kozle, a w środku rozpieął się blady, chudy jegomość, owinięty w obszerny kwaciasty szlafrok. Pocztylion zszedł z kozła, trzasnął jeszcze kilka razy z bicza i zaprzężono inne konie. Jegomość chciał jechać dalej, ale ponieważ żądał eskorty przez góry, gdzie Fra Diavolo i Cesari śmiałych zostawili następców, musiał kwadrans czekać, przeklinał więc pół po angielsku, pół po włosku lenistwo ludu, wszystkie cierpienia i niewygody, które cudzoziemiec musi znosić, nareszcie zrobił z chustki szlafmycę, wsadził ją na głowę, rzucił się w kąt powozu, zamknął oczy i zdawał się poddawać swemu losowi.

Dowiedziałem się, że to Anglik, który w dziesięć dni zwiedził Włochy północne i środkowe, w tym czasie poznał te kraje zupełnie. Rzym obejrzał jednego dnia, a teraz jedzie do Neapolu, aby być na Wezuwiuszu, a potem pojedzie parowcem do Marsylii, aby także poznać południową Francję, co jednakże wykona jeszcze prędzej. Nareszcie ukazało się ośmiu dobrze uzbrojonych jeźdźców, pocztylion trzasnął z bicza, a powóz i jeźdźcy zniknęli poza bramą przy wielkiej żółtawej skale.

– Pomimo całej swojej eskorty i uzbrojenia nie jest jednak tak bezpieczny jak moi podróżni – rzekł jakiś krępy woźnica, klasnąwszy batem. – Anglicy muszą bardzo lubić jazdę, zawsze pędzą galopem! Dziwne to ptaszki! Santa Filomena di Napoli.

– Dużo macie osób w waszym powozie? – zapytałem.

– W każdym kącie jedno serce – odpowiedział. – Więc jak widzicie cztery osoby, a w kabriolecie jest tylko jedna. Jeżeli signor chcesz zobaczyć Neapol, to możesz tam pojutrze stanąć, gdy słońce jeszcze oświecać będzie Sant Elmo.

Zgodziliśmy się niebawem i uwolniłem się tym sposobem od kłopotu, jaki mi sprawiał zupełny brak pieniędzy¹.

– Zapewne pan przyjmie zadatek? – zapytał vetturino i podał mi pięciopapolówkę.

– Postaraj się dla mnie o miejsce przy stole i dobre łóżko – odpowiedziałem. – A zatem jutro pojedziemy?

– Tak, jeżeli święty Antonio i moje konie na to zezwolą, wyruszymy o godzinie trzeciej. Jutro najcięższy dla nas dzień! Musimy dwa razy na *dogana* i trzy razy w papiery kazać się wpisywać.

To rzekłszy, uklonił się grzecznie i odszedł.

Dano mi pokoik z oknami na morze, gdzie wiał wiatr chłodny, a bałwany z szumem o brzeg się roztrącały – obraz zupełnie inny niż Kampania! A jednak myśli przywodziły mi na pamięć dom rodzinny i starą Domenikę. Ciężyło mi na sercu, że ją nie dość często odwiedzałem, a ona kochała mnie całym sercem i zapewne tylko ona jedna. *Eccellenza* i *Franceska* kochali mnie także, lecz ich miłość była innego rodzaju. Wiązały nas wzajemnie dobrodziejstwa, a gdzie te nie mogą być odwdzięczone, zostaje zawsze pomiędzy dobroczyńcą a tym, który dobrodziejstwa odbiera, wielki rozdział, który wprawdzie po latach wielu pokryją kwiaty wdzięczności, ale nigdy go całkiem zapełnić nie są zdolne. Pomyślałem o Bernardzie i Annunciacie – a usta moje poczuły słone krople, pewnie z oczu moich, a może trysnęły z morza, bo bałwany obryzgiwały mury wysoko.

Na drugi dzień przed wschodem słońca wyruszyłem z vetturinem i jego podróżnymi z Terraciny. Na granicy stanęliśmy o świcie. Wszyscy wysiedli z powozu, podczas gdy przeglądano nasze paszporty. Teraz dopiero mogłem się przypatrzeć całemu towarzystwu. Był tam mężczyzna około trzydziestu lat mający, blondyn z niebieskimi oczyma, szczególnie na niego zwróciłem uwagę, bo mi się zdawało, że go już gdzieś widziałem, lecz nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. Kilka słów, które wymówił, zdradzały cudzoziemca.

Paszporty dosyć długo nas zatrzymały, ponieważ były po większej części w obcych językach, których strażnicy nie rozumieli. Cudzoziemiec tymczasem wyciągnął bloki z białymi kartami i szkicował otaczającą nas okolicę. Dwie wysokie wieże z bramą, przez którą idzie droga, malownicze jaskinie tuż obok się znajdujące, a w dali małe miasteczko wysoko w górach.

Poszedłem bliżej, a on zwrócił moją uwagę na piękną grupę kóz stojących w obszernej jaskini. W tej chwili poskoczyły do góry, wyciągnięto pęk gałęzi, którym jeden z otworów był zatknięty, a kozy wyskakiwały parami, jak owe zwierzęta z arki Noego. Mały pastuszek siedł za stadem. Jego spiczasty kapelusik obwiązany sznurkiem, podarte pończochy i sandały, przy tym krótki brunatny płaszczyk zarzucony na ramiona – przedstawiały widok malowniczy.

Kozy biegały wysoko nad jaskinią pomiędzy niskimi krzaczkami. Chłopiec stanął na skale wzniesionej nad pieczarą i przypatrywał się nam i malarzowi, który jego i całą okolicę rysował.

– *Maladetto!* – zawołał vetturino biegnący ku nam co żywo; w jednym z paszportów nie wszystko było dobrze. Trwożliwe uczucie szepnęło mi zaraz, że to w moim i krew zrumieniła moje policzki. Cudzoziemiec gniewał się na ciemnych żołnierzy nieumiejących czytać, jak mówił, i poszliśmy za vetturinem na jedną z wież, gdzie znaleźliśmy pięciu czy sześciu ludzi nad stołem schylonych i sylabizujących leżące przed nimi paszporty.

– Kto się nazywa Fryderyk? – zapytał najstarszy urzędnik.

– Ja – odpowiedział cudzoziemiec. – Na imię mi Fryderyk, po włosku Federigo!

– A więc Federigo Six?

– Nie! To imię mego króla, które napisane jest na wierzchu paszportu.

– Aha! – mruknął urzędnik i czytał powoli: – *Frederic Six, par la grace de dieu Roi de*

Danemarc, des Vandales, des Gothes etc. A to co? – rzekł sam do siebie. – Jesteś pan Wandalem? To barbarzyński naród!

– Tak – odpowiedział nieznajomy ze śmiechem. – Jestem barbarzyńcą, który przybył do Włoch, aby się wykształcić. U dołu jest moje imię, nazywam się Fryderyk, jak mój król – Fryderyk, czyli Federigo.

– To Anglik – rzekł jeden z piszących.

– O nie! – wtrącił inny. – Ty wszystkie narody mieszasz, wszak czytałeś, że on jest z północy, to Rosjanin.

Federigo, Dania, te nazwy oświeciły mnie jak błyskawica. Był to mój przyjaciel z lat dziecińczych, który mieszkał u mojej matki, ten sam, z którym zwiedzałem katakumby, który mi podarował ładny srebrny zegarek i rysował piękne obrazki.

Paszport był dobry, a pogranicznicy przekonali się o tym podwójnie, gdy im dał paola w łapę, aby nas dłużej nie zatrzymywali.

Skoro wyszliśmy na dwór, przypomniałem mu się. Był w rzeczy samej tym, za kogo go wziąłem, nasz duński Federigo, mieszkający niegdyś u mojej matki. Bardzo się ucieszył z naszego spotkania i nazywał mnie jeszcze swoim małym Antoniem.

Mieliśmy tysiące pytań i opowiadań o różnych rzeczach. Namówił swego dotychczasowego sąsiada w kabrioletcie, żeby się z nim zamienił na miejsce, i usiedliśmy obok siebie. Uściskał jeszcze raz moją rękę, śmiał się i dowcipkował.

Opowiedziałem mu pokrótce przygody mego życia, od czasu jak byłem w domu Domeniki, aż do dnia, w którym zostałem abatem.

Opuściłem wszystko, co miało styczność z ostatnimi wypadkami, i zakończyłem tym, że jadę do Neapolu.

Przypomniał sobie, że mi przyrzekł przy ostatnim widzeniu się ze mną w Kampanii przyjść kiedyś po mnie i zaprowadzić do Rzymu – lecz wkrótce potem odebrał list z domu, wzywający go do ojczyzny, tak że mnie już odtąd więcej nie widział. W domu tęsknił co dzień bardziej za Włochami i dlatego przybył tu po raz drugi.

– Teraz dopiero używam wszystkiego należycie! – mówił. – Upajam się powietrzem i poznaję każdy kawałek ziemi, po którym dawniej chodziłem. Tutaj uśmiecha się do mnie ojczyzna mojej duszy, tu są barwy, tu formy. Włochy są rogiem obfitości i błogostawieństwa.

Czas prędko mi zszedł w towarzystwie Federiga; zaledwie dostrzegłem, jak długo zabawiliśmy w Fondi przy doganie. Umiał on w każdym przedmiocie pochwycić wszystko, co poetycznie piękne – tym miłszym i droższym stał się dla mnie i najlepszym dla strapionej duszy mojej pocieszycielem.

– Otóż moje brudne Itri! – zawołał, wskazując leżącą przed nami mieścinę. – Trudno w to uwierzyć, Antonio, lecz w krajach północnych, gdzie ulice tak regularne, czyste, odmierzone, bardzo tęskniłem za jakimś brudnym miasteczkiem włoskim – to bowiem ma coś charakterystycznego, zajmującego właśnie malarza! Te wąskie brudne uliczki, szare, nieczyste kamienne altany pełne pończoch i koszul, okna bez porządku – jedno niżej, drugie wyżej – jedno duże, drugie małe; tu schody cztery do pięciu łokci wysokie aż do drzwi sięgające, gdzie gospodyni domu siedzi z kądzielą, a potem drzewo cytrynowe z dużym złocistym owocem wyglądające zza muru – ach! To cały, zupełny obraz! Owe zaś ucywilizowane ulice, gdzie kamienice stoją szeregami, jak żołnierze, gdzie schody i narożniki poobcinane, niewiele warte.

– Tutaj urodził się Fra Diavolo! – zawołano z powozu, gdyśmy wjechali do ciasnego, nieporządnego Itri, które Federigo znajdował tak malowniczo piękne. Mieścina ta stoi na wysokiej skale nad głęboką przepaścią. Główna ulica jest po większej części tylko tak szeroka, że jeden wóz się zmieści. Część dolnych pięter bez okien, natomiast stały otworem szerokie bramy, przez które patrzyło się w głąb, jak do ciemnego sklepu; wszędzie pełno było brudnych dzieci i kobiet. Wszystkie wyciągały ręce po jałmużnę. Kobiety z uśmiechem, dzieci krzycząc i wykrzywając twarze. Nikt nie śmiał głowy wychylić z powozu, aby się nie zdruzgotała o wystające domy, których galerie w niektórych miejscach tak daleko nad nas wystawały, iż wydawało się, że jedziemy sklepionym krążgankiem. Po obu stronach czerniły się ściany, dym wydobywał się otwartymi bramami i wił kłębami po okopconych murach.

– Jakie to piękne miasto! – wykrzyknął Federigo, klaszcząc w dłonie.

– To zbójce miasto – rzekł vetturino, gdyśmy z niego wyjechali. – Policja nakazała połowie mieszkańców wyprowadzić się do innego miejsca poza góry, ale i to nie pomogło. Wszystko, co tutaj sadzą, zamienia się w zielsko. A ci biedacy przecież także muszą żyć.

Położenie przy głównym trakcie z Rzymu do Neapolu nęci do rozbojów; dokoła wabią głębokie kryjówki z gęstych lasków oliwnych, z jaskiń górskich, olbrzymich murów i wielu innych ruin.

Federigo wskazał mi stojący osobno olbrzymi mur okryty wiklinami i różnymi pnącymi się roślinami. Był to grobowiec Cycerona – tutaj to ugodził chroniącego się zabójczy sztylet, tutaj w proch się rozsypały wymowne usta.

– Vetturino będzie popasał przy jego willi w Mola di Gaeta – rzekł Federigo. – To najlepsza oberża, a widok stamtąd tak piękny, że równa się widokom Neapolu.

Kształty gór były prześliczne, roślinność nadzwyczaj bujna. Wkrótce wjechaliśmy w morwową aleję, a przed nami stał wspomniany hotel. Cameriere czekał już z serwetą pod pachą przy szerokich popiersiami i kwiatami ozdobionych schodach, wyglądając naszego przybycia.

– *Eccellenza!* To pani jesteś? – zawołał, wysadzając nieco otyłą damę z powozu. Przypatrzyłem jej się lepiej – twarz była ładna, bardzo ładna, a czarne oczy powiedziały mi zaraz, że jest Neapolitanką.

– Ach tak, to ja jestem – odpowiedziała. – Przybywam tu z moją służącą, która jest moim *cicisbeo*. To cała moja służba, nie mam żadnego z moich lokajów. Cóż powiecie na moją odwagę, że tak sama jadę z Rzymu do Neapolu?

Jakby cierpiąca rzuciła się na sofę, podparła ładne liczko delikatną rączką i poczęła przeglądać kartę obiadową: Brodetto, Cipollette, Fagioli.

– Wiecie, że ja nie lubię żadnej zupy, nabrałabym bowiem takiej figury jak *castello dell' novo*. Cokolwiek *animelle dorate* i kilka *finocchi* to dla mnie dosyć – musimy bowiem jeść znowu w Santa Agata. Ach! Teraz swobodniej oddycham – mówiła dalej, rozwiązując wstążki u czepka. – Teraz czuję orzeźwiająco mnie powietrze neapolitańskie. *Bella Napoli!* – zawołała i otworzywszy drzwi na galerię, wyciągnęła ręce i oddychała pełną piersią.

– Czy widać już Neapol? – zapytałem.

– Jeszcze nie – odpowiedział Federigo – lecz Hesperię, zaczarowany ogród Armidy.

Weszliśmy na loggię z kamienia murowaną, nad ogrodem wiszącą. Jaki przepych! Bogatszy niż go fantazja stworzyć może! Pod nami znajdował się gaj cytrynowy i pomarańczowy, którego

drzewa aż do ziemi się gięły pod złotym owocem. Niezmiernie wysokie cyprysy, jak topole Włoch północnych, otaczały ogród i wydawały się tym ciemniejsze przy niebieskiej przezroczystej wodzie morza, które się poza nimi rozciągało, tocząc fale przez szczątki starożytnych łaźni i świątyń poza niskim murem ogrodu sterczące.

Oko moje spoglądało olśnione od tyłu piękności.

– Widzisz, jak Wezuwiusz dymi? – zapytał Federigo, wskazując w lewo, gdzie wznosiło się górzyste wybrzeże, niczym lekkie obłoki spoczywające nad prześlicznym morzem. Przepyszny tym widokiem cieszyłem się jak dziecko, a Federigo był równie uszczęśliwiony jak ja. Musieliśmy zejść pomiędzy wysokie drzewa pomarańczowe, a ja całowałem złoty owoc wiszący na gałęziach – podniosłem kilka z leżących obficie na ziemi i rzucałem je jak złote kule daleko w sine morze.

– Piękne Włochy! – wykrzyknął Federigo. – Takim to przedstawiał mi się wasz obraz w dalekim północnym kraju! Moje wspomnienia owiewała ta woń, którą teraz za każdym oddechem wciągam w siebie. Myślałem o twoich lasach oliwnych, siedząc pod wierzbami; śniłem o obfитоści pomarańczy, patrząc na złotawe jabłka w sadach wiejskich obok pól wonnych koniczyn, lecz zielone wody Bałtyku nie były nigdy tak piękne jak niebieskie Morze Śródziemne. Niebo północne nie było nigdy tak wysokie i bogate w kolory jak niebo ciepłych krain południowych! – Radość jego zamieniła się w uniesienie, mowa w poezję.

– W ojczyźnie będąc, jakże pragnąłem tutaj powrócić! – mówił. – Szczęśliwszy ten, kto nigdy rajy nie oglądał, niż ten, który w nim przebywał i wyszedł z niego, aby już nigdy doń nie wrócić. Ojczyzna moja jest piękna, Dania jest kwitnącym ogrodem, który się może równać ze wszystkim, co jest poza Alpami; ma bory bukowe i morze, lecz czymże jest piękność ziemską przy niebieskiej. Włochy są krainą fantazji, piękności, szczęśliwy ten, kto je wita po raz drugi.

I całował jak ja złote pomarańcze. Objął mnie i ujrzałem w jego oczach łzy. Wtedy moje serce otworzyło się zupełnie dla niego. Nie był przecież obcym, ale przyjacielem z lat dziecińczych. Wtedy to opowiedziałem mu ostatnie wydarzenia mego życia i czyniąc to zwierzenie, poczułem ulgę. Federigo słuchał mnie ze współczuciem, jak prawdziwy przyjaciel.

Opowiedziałem mu o mojej ucieczce, o przygodzie w jaskini zbójców, o Fulwii. Nareszcie o tym, co mi doniesiono o wyzdrowieniu Bernarda. Podał mi po tym rękę szczerze i po przyjacielsku.

Wtem usłyszeliśmy stłumione westchnienie gdzieś w tyle za krzakami, ale wysokie laury i morele zasłaniały wszystko zgiętymi aż do ziemi gałęziami. Wcześniej nie pomyślałem o tym, że ktoś mógł usłyszeć całą naszą rozmowę. Rozgarnęliśmy gałęzie i zobaczyliśmy neapolitańską signorę siedzącą tuż za nami, przy wejściu do ruin cycerońskich łaźni. Zalana była łzami.

– Ach, młody panie! – zawołała. – Jestem niewinna. Już tutaj siedziałam, kiedy nadszedłeś ze swoim przyjacielem, tutaj tak chłodno i przyjemnie. Pan mówiłeś głośno i byłeś już w połowie opowieści, nim zmiarkowałam, że ta wyłącznie tylko ciebie dotyczy. Wzruszyła mnie głęboko! Nie pożałuje pan tego, że się stałam współsłuchaczką – język mój niemy jest jak umarłych.

Zmieszany skłoniłem się nieznajomej signorze, która tym sposobem została uczestniczką tajemnic mego serca. Później starał się Federigo tym mnie pocieszyć, że nikt wiedzieć nie może, na co się to jeszcze przyda.

– Ja jestem co do wiary w przeznaczenie prawdziwym Turkiem – mówił – zresztą nie zawiera cała ta historia żadnej tajemnicy stanu. Każde serce ma w swoich archiwach takie smutne pamiętniki. Może ona usłyszała historię własnej młodości w twojej opowieści; prawie

bym chciał za to ręczyć, bo ludzie rzadko mają łzy dla cudzych cierpień, jeżeli te nie budzą podobnych w ich własnej piersi. Jesteśmy wszyscy nawet w największych troskach i boleściach samolubami.

Wkrótce potem wsiedliśmy do powozu i ruszyliśmy dalej. Piękna bujność okolicy coraz bardziej się powiększała. Tuż przy drodze stały szerokolistne, na chłopa wysokie aloesy służące za płoty. Wielkie wierzby płaczące zdawały się swymi powiewnymi gałązkami całować własny cień na ziemi.

O zachodzie słońca przebyliśmy rzekę Garigliano, gdzie niegdyś stało starożytne Minturnae – przede mną żółcił się grzybieniec okolony trzcina, jak wówczas kiedy Mariusz przed okrutnym Syllą szukał tutaj schronienia. Lecz jeszcze daleko było do Santa Agata. Zrobiło się ciemno, a signora obawiała się rozbójników i ciągle wyglądała, czy nie idzie kto odrzynać tłumoków z powozu. Na próżno zacinał vetturino konie, powtarzając swoje *maledetto*! Ciemna noc toczyła się prędzej nad nami niż jego powóz. Nareszcie spostrzegliśmy światło – była to Santa Agata.

Signora mówiła przy wieczerzy bardzo mało, lecz nie uszło mojej uwagi, że jej oczy często się na mnie zwracały, a kiedy następnego poranka wyszedłem na kawę, wyszła naprzeciw mnie z wielką uprzejmością. Byliśmy sami, podała mi rękę i mówiła szczerze i z zaufaniem:

– Wszakże pan się na mnie nie gniewasz? Wstyd mi przed panem, a jednak wszystko to stało się niewinnie.

Uspokoilem ją i zapewniłem, że zupełnie się zdaję na jej kobiecą delikatność.

– Pan mnie wcale jeszcze nie zna – odpowiedziała. – lecz to może nastąpić. Może mój mąż będzie panu mógł być użyteczny w tym wielkim, obcym dla pana mieście. Musi pan mnie i jego odwiedzić. Pan zapewne nie ma jeszcze żadnych znajomości, a młody człowiek tak łatwo może w świecie się zabłąkać.

Podziękowałem jej serdecznie za tę propozycję, wzruszyło mnie to bardzo. O! Wszędzie znaleźć można dobrych ludzi.

– Neapol jest niebezpiecznym miastem – mówiła, lecz tu przerwał jej nadchodzący Federigo.

Wkrótce ruszyliśmy dalej, okna pospuszczano, już wszyscy lepiej się poznaliśmy i niedaleko byliśmy wspólnego celu podróży, Neapolu. Federigo zachwycił się malowniczymi grupami, które widział za oknem. Kobiety w czerwonych, na głowę zarzuconych płaszczykach przejeżdżały koło nas na osłach, trzymając dzieci przy piersi, a jeśli większe, to spało w koszyku przy nogach matki. Cała rodzina jechała na jednym osle – żona siedziała za mężem wsparta ręką lub głową na jego plecach i zdawało się, że drzemie. Mąż miał małego chłopca przed sobą, ten bawił się batem – była to grupa tak piękna, jak owa, którą Pignelli odmalował w swoich scenach z życia ludu.

Było pochmurno, deszcz kropił. Nie było widać ani Wezuwiusza, ani Capri. Na polu stało bujne zielone zboże pod wysokimi drzewami owocowymi i topolami, na które pięły się winogrona.

– Patrz pan – mówiła signora – nasza Kampania jest jak stół suto zastawiony chlebem, winem i owocami, a wkrótce zobaczysz nasze wesołe miasto i spienione morze.

Przybyliśmy na miejsce przed wieczorem, wjechaliśmy na wspaniałą ulicę Toledo, Corso Neapolu. Wszędzie sklepy, przed nimi stoły z pomarańczami i figami oświetlone lampami i kolorowymi latarkami. Cała ulica, z niezliczonymi światełkami pod gołym niebem, wyglądała jak strumień gwiazdami posiany. Po obu stronach wysokie kamienice z balkonem przed każdym oknem, często nawet przez cały front się ciągnącym. Na balkonach stali mężczyźni i kobiety,

jakby pośród karnawału. Powozy migały w różnych kierunkach, a konie ślizgały się na gładkich płytach z lawy, którymi ulica została wyłożona. Przejeżdżały dwukolne kabriolety, w których po pięć i sześć siedziało osób, a odarte chłopaki stały z tyłu – pod wózkiem zaś leżał wygodnie w kołyszącej się sieci półnagi lazzaroni – jeden koń ciągnął tę całą gromadę, a jednak pędzono galopem. Przed pewną kamienicą narożną palił się ogień – dwóch półnagich chłopaków tylko w spodniach kąpielnych i westce o jednym guziku na piersiach spiętej leżało przy nim i grało w karty, a katarynka i pozytywka powiększały hałas, któremu wtórował śpiew kobiet. Wszyscy krzyczeli, wszyscy biegali i potracali się – żołnierze, Grecy, Turcy i Anglicy.

Czułem, że jestem w innym świecie; otaczało mnie powietrze gorętsze i życie pełniejsze niż to, które dotąd znałem. Signora klasnęła w dłonie na widok swego wesołego miasta – Rzym wydawał się grobem w porównaniu z jej śmiejącym się Neapolem.

Stanęliśmy na Largo del Castello, największym placu w pobliżu portu. Tutaj zastaliśmy taki sam hałas i równie wielką cizbę. Dokoła widzieliśmy oświetlone teatry, a przed nimi różne obrazy przedstawiające główne sceny granych sztuk. Na wysokim rusztowaniu hałasowała cała rodzina pajaców. Żona zwoływała widzów, mąż trąbił, a najmniejszy synek smagał oboje batem, na dole zaś przy rusztowaniu siedział mały konik na tylnych nogach i czytał książkę. Jakiś człowiek stał wśród gromady na ziemi siedzących majtków i śpiewał, machając dokoła rękoma – był to, jak mówiono, improwizator. Stary jakiś czytał głośno *Orlanda szalonego*. Jego słuchacze klaskali mu właśnie, gdyśmy przejeżdżali.

– Monte Vesuvio! – zawołała signora i zobaczyłem na końcu placu, gdzie stoi latarnia morska, w obłoki sterczący Wezuwiusz i ognistą lawę płynącą po jego stoku jak strumień krwi. Nad kraterem wisiał nieruchomo obłok zaczerwieniony blaskiem wrzącej lawy, lecz tylko chwilę zachwycałem się tym widokiem, bo pojazd powiózł nas przez plac do hotelu Casa Tedesca. Niedaleko stał mały teatr marionetek, jeszcze mniejszy zaś urządzony był na dworze, gdzie poliszynel wyprawiał pocieszne skoki, gwizdał, skrzeczał i komiczne prawił mowy.

Wszyscy naokoło huczeli śmiechem – mało kto słuchał zakonnika, który kazał na przeciwnym narożniku i z wysokich, wystających schodów kamiennych przemawiał do zgromadzonych. Stary, barczysty mężczyzna wyglądający na majtkę trzymał krzyż. Mnich ciskał oczyma błyskawice na drewniane lalki dyrektora marionetek, który od niego odwracał uwagę ludu.

– Jest to czas postu? – wołał. – Jest to czas poświęcony Bogu, czas, kiedy z pokorą w worach i popiele chodzić powinniśmy? U nas ciągle karnawał, karnawał w każdym czasie, karnawał dniem i nocą, rok w rok, aż wszyscy zginiecie w otchłaniach piekielnych! Tam możecie płakać, tam skwierczeć, festyny wyprawiać i tańce wśród wiecznych mąk piekielnych! – Głos jego podnosił się coraz silniej, miękki dialekt neapolitański brzmiał w moich uszach jak potoczyste wiersze, wyrazy wiązały się same melodyjnie, ale im głośniej rozbrzmiewał głos zakonnika, tym bardziej krzyczał poliszynel i wyprawiał coraz pocieszniejsze, od ludu oklaskami nagradzane, skoki. Wtedy wyrwał mnich w zapale religijnym krzyż z rąk tego, który go trzymał, wybiegł naprzód i zawołał, wskazując na ukrzyżowanego Chrystusa:

– Patrzcie! To prawdziwy poliszynel, tylko na tego patrzeć powinniście, tylko tego słuchać, na to wam dane oczy i uszy, *Kyrie eleison!*

Wzruszony jego świętością tłum cały padł na kolana i zawołał: *Kyrie eleison!* Nawet właściciel marionetek kazał uklęknąć swemu poliszynelowi. Ja stałem przy powozie dziwnie tym widokiem wzruszony.

Federigo pobiegł poszukać dla signory dorożki, która by ją zawiozła do domu. Podała mu na podziękowanie rękę, a mnie uścisnęła za szyję i uczułem jej gorący pocałunek na ustach, przy czym szepnęła:

– Witaj w Neapolu!

Z powozu, w którym odjechała, jeszcze kilka razy dłonią się ukloniła, a my udaliśmy się do pokoi hotelu, które nam wskazał odźwierny.

¹ Kiedy się jedzie z vetturinem, nie płaci się naprzód, on to się stara o nocleg i stół przez całą podróż, taka zwykle bywa ugoda.

XVI

Smutek i pociecha. Bliższa znajomość z signorą. Profesor. Miałoby to być nieporozumienie?

Gdy Federigo już się położył, ja jeszcze siedziałem na otwartym balkonie wychodzącym na ulicę, z widokiem na Wezuwiusz. Czarowny świat, o którym mniemałem, że tylko marzę, nie dozwolił mi zasnąć. Powoli zaczęło się uciszać na dole ulicy – światła pogasły – północ dawno minęła. Oko moje zawisło na górze, gdzie słup ognisty wznosił się z krateru aż pod obłoki krwawo połyskujące i złączony z nimi wydawał się jak olbrzymia z płomieni stworzona pinia, a strumienie lawy, którymi oplotła górę, tworzyły jej korzenie.

Dusza moja zachwycona była tym przepysznym widokiem, tym głosem bożym, który z wulkanu i spokojnych wśród nocy niebios do niej przemawiał. Była to chwila jedna z tych, kiedy jak to mówią, okiem w oko Boga patrzymy. Pojąłem wszechmoc, mądrość i dobroć tego, któremu pioruny i wichry posłuszne, bez którego woli ani wróbelek na ziemię nie spadnie. Własne moje życie widziałem jasno jak na dłoni; dostrzegłem we wszystkim opatrność i cudowny układ – każde nawet nieszczęście, każde zmartwienie było tylko przejściem do lepszej doli. Nieszczęśliwa śmierć mojej matki przez rozbrykane konie, uczyniwszy mnie sierotą, zdawała się zagradzać mi drogę do lepszej przyszłości – a tymczasem była może jedyną szlachetniejszą pobudką dla *eccellenzy* do zajęcia się później moim wychowaniem. Kłótnia Mariuccii z Peppem, okropne chwile spędzone w jego domu wypędziły mnie w świat – a gdybym się nie dostał do starej Domeniki w Kampanii, może by *eccellenza* na mnie nigdy nie zwrócił uwagi.

Tak wspominając wszystkie przygody mego życia, znalazłem w całym ich szeregu dowody najwyższej mądrości i dobroci Boga. Dopiero przy końcu zdawało się wszystko zerwane. Znajomość z Annunciatą była jak poranek majowy, który w jednej chwili pootwierał wszystkie pączki kwiatów w mej duszy, przez nią mogłem stać się wszystkim, jej miłość dopełniały szczęścia mego żywota. Uczucie Bernarda było czysto zmysłowe. Chociażby z początku bolał nad jej utratą, smutek jego byłby krótkotrwały, wnet by się z losem pogodził i pocieszył, ale że Annunciata kochała jego, moje życie zatruło na zawsze. Tu nie mogłem pojąć mądrości Wszechmocnego i czułem tylko żal, że się rozwiały wszystkie moje marzenia.

Wtem posłyszałem dźwięk gitary pod balkonem. Spostrzegłem mężczyznę w lekko na ramiona zarzuconym płaszczu brzdąkającego na gitarze piosenkę miłosną.

Niedługo potem uchyliły się po cichu drzwi przeciwległej kamienicy i nieznajomy zniknął. Zapewne szczęśliwy kochanek śpieszący po całusy i uściski.

Patrzyłem w jasne gwiazdziste niebo, na morze jak stal błyszczące, odbłaskiem lawy i wybuchów zaczerwienione.

– Piękna przyrodo! – zawołałem przepęlniony rzewnym uczuciem – ty jesteś oblubienicą moją, ty mnie tulisz do serca, otwierasz niebo. Każdy twój powiew całuje mnie w usta i czoło! Ciebie będę opiewać; twoją piękność, twoją wspaniałą wielkość. Powtórzę ludowi głębokie

melodie, które śpiewasz mojej duszy. Niech serce moje będzie sobie rozdarte! Wszakże motyl trzepoczący się na szpilce najpiękniej połyskuje. Rzeka, jeżeli kaskadą ze skał spada i w pianę się rozpryskuje, wydaje się tym piękniejsza. Takie jest przeznaczenie poety. Życie tylko krótkim marzeniem. Gdy w krainie nadziemskiej znów spotkam Annunziata, ona mnie pokocha, bo wszystkie czyste duchy kochają się nawzajem.

Takie były marzenia moje! A odwaga i zapał, aby wystąpić jako improwizator, zajęły całą moją duszę. Jedno tylko ciążyło mi na sercu: co powiedzą *eccellenza* i Francesca na moją ucieczkę z Rzymu i wystąpienie w roli improwizatora? Oni myślą, że siedzę spokojnie w domu przy książkach. Ta uwaga zaniepokoiła mnie bardzo. Postanowiłem jeszcze tej nocy do nich napisać.

Z dziecięcym zaufaniem opisałem wszystko, co się wydarzyło, każdy szczegół – miłość moją do Annunciaty i pociechę, jaką jedynie w naturze i sztuce znalazłem, a zakończyłem prośbą usilną o odpowiedź tak łagodną, na jaką serce ich zdobyć się może. Przyrzekłem, że dopóki jej nie odbiorę, nie uczynię żadnego kroku i nie wystąpię publicznie. Dodałem wreszcie, iż sądzę, że nie dłużej jak miesiąc oczekiwać mi pozwolą.

Odczułem ulgę, skończywszy pisać ten list, po czym zasnąłem tak twardo i spokojnie, jak nie pamiętam.

Na drugi dzień uporządkowaliśmy z Federigiem nasze rzeczy. On wyprowadził się do swego pomieszczenia na przyległej ulicy, a ja zostałem w Casa Tedesca, gdzie miałem przed oczyma Wezuwiusz i morze – dwa nowe dla mnie cuda przyrody.

Pilnie odwiedzałem Muzeo Borbonico, teatry i promenady, tak że po trzydniowym pobycie już dosyć się zapoznałem z obcym mi miastem.

Przysłano dla mnie i Federigo zaproszenie do profesora Maretiego i jego żony signory Santa. W pierwszej chwili myślałem, że to omyłka; nie znałem bowiem obojga, a w bilecie zapraszającym szczególnie ja byłem uwzględniony. Miałem przyprowadzić ze sobą Federiga. Na zapytanie powiedziano mi, że Maretti jest to bardzo uczony badacz starożytności, a signora dopiero co powróciła z Rzymu. Ja i Federigo zapoznaliśmy się z nią w podróży – a więc była to nasza neapolitańska signora.

Poszliśmy tam wieczorem. W oświetlonym salonie, gdzie marmurowa posadzka błyszczała od światła, a wielki *scaldino* z ruchomą kratą żelazną łagodne rozszerzał ciepło, zastaliśmy liczne towarzystwo.

Signora Santa, bo już znaliśmy jej imię, przyjęła nas nadzwyczaj uprzejmie. W szafirowej jedwabnej sukni bardzo jej było do twarzy. Gdyby była nieco mniej otyła, mogłaby uchodzić za prawdziwą piękność. Przedstawiła nas swoim gościom i prosiła, abyśmy czuli się swobodni, jak w domu.

– Do mojego domu przychodzą tylko przyjaciele! Wkrótce ich pan pozna wszystkich – rzekła i wskazując osoby obecne, wymieniła mnóstwo nazwisk. – Rozmawiamy, tańczymy, słuchamy śpiewu i tak czas nam schodzi.

Zajęliśmy wskazane miejsca. Młoda panienka zasiadła do fortepianu i zaśpiewała. Była to ta sama aria, którą Annunziata śpiewała w *Dydonie*; lecz wtedy brzmiała całkiem inaczej, chwytając za duszę siłą potężniejszą. Jednak musiałem z innymi oddać pochwały śpiewaczce, która uderzywszy potem kilka akordów, zagrała wesołą melodię do tańca. Trzech czy czterech mężczyzn ujęło rączki dam i puściło się w tany po gładkiej posadzce. Ja usunąłem się we framugę okna. Mężczyzna niskiego wzrostu ze szklistymi, ruchliwymi oczyma uklonił się przede

mną głęboko. Zauważyłem go wcześniej, że jak usłużny duch ciągle wchodził i wychodził wszystkimi drzwiami z kolei. Aby jakąkolwiek zawiązać rozmowę, zacząłem o wybuchu Wezuwiusza i wyraziłem podziw nad pięknnością płynącej lawy.

– To jest niczym, mój przyjacielu – odpowiedział – niczym w porównaniu z rewolucją roku 79 opisaną przez Pliniusza. Wtedy leciały popioły aż do Konstantynopola. Nawet już za mojej pamięci nosiliśmy w Neapolu parasole, aby się zasłonić przed popiołem; lecz Neapol a Konstantynopol to wielka różnica! Czasy klasyczne były we wszystkim znakomitsze od naszych; czasy, w których trzeba się było modlić: *serus in coelum redeas!*¹

Mówiłem o teatrze San Carlo, a on zaszedł aż do wózka Thespisa i rozprawiał o masce komicznej i tragicznej. Uroniłem słówko o mustrze królewskiego wojska, a on zaraz się przeniósł do starożytnych i opowiadał o ich sposobie prowadzenia wojny i komenderował całą falangą. Zadał mi tylko jedno pytanie: czy się uczę historii sztuk pięknych i czy mnie zajmują starożytności? Odpowiedziałem, że mnie zajmuje życie całego świata, że czuję powołanie do poezji – wtedy uderzył w dłonie i zaczął deklamować odę Horacego.

– Już pana złapał! – rzekła signora Santa z uśmiechem, zbliżywszy się. – Pewnie już jesteście w czasach Sezostriśa? Lecz i nasze czasy mają do pana pretensje, tam siedzą damy, z którymi musi pan tańczyć.

– Ja nie tańczę, nigdy nie tańczyłem! – odpowiedziałem.

– A gdybym ja, gospodyni domu, prosiła pana do tańca, mógłbyś mi odmówić?

– Wolę odmówić, niż okazać się niezgrabny, tak byśmy może oboje padli na śliską posadzkę.

– Piękne widoki! – rzekła i pobiegła do Federiga, a wkrótce potem koło nas się przewinęli.

– Wesoła kobieta – zauważył mąż, dodając: – i piękna, bardzo piękna, signor abate.

– Bardzo piękna – powtórzyłem z grzecznością i w tejże chwili, Bóg wie przy jakiej sposobności, wpadliśmy na etruskie wazy. Zaproponował, że będzie moim przewodnikiem w Museo Borbonico, potem zwrócił moją uwagę na wielkie mistrzostwo tych, co te kruche skarby pomalowali, gdzie każda kreseczka przyczynia się do podniesienia piękności figur w wyrazie i postawie, a które musiały być malowane, kiedy glina jeszcze była ciepła, tak że nic nie mogło być starte, lecz najmniejszy, raz zrobiony znaczek musiał pozostać.

– Głęboko zaszliście w historię? – zapytała pani Santa, zbliżywszy się znowu. – Dalszy ciąg nastąpi! – zawołała, śmiejąc się, a odciągając mnie od uczonego, dodała półgłosem: – Nie krępuj się pan wcale moim mężem. Masz być wesoły, masz brać udział w zabawie! Ja pana przyprowadzę do dobrego humoru! Proszę mi opowiedzieć, co widziałeś, co słyszałeś, czego doznałeś.

Opowiedziałem jej więc, jak mi się podoba Neapol; opowiadałem, co zrobiło na duszy mojej wrażenie; a była to wycieczka w południe do grotty Posillipo, za którą znalazłem w gęsto winoroślami okrytej winnicy szczątki kościołka zamienione w dom mieszkalny. Miłe dzieci i ładna kobieta, która mi podała wina, przyczyniły się, że wszystko wydało się jeszcze romantyczniejsze.

– A więc nawiązałeś znajomość? – rzekła z uśmiechem, grożąc mi paluszkami. – Tego się pan nie masz co wypierać! W pana wieku serce nie przestaje na postnych kazaniach.

Na tym skończyło się tego wieczoru poznanie moje Santy i jej męża. W jej mowie była pewna lekkość, właściwa Neapolitankom naturalność i serdeczność, która mnie dziwnie zobowiązywała. Mąż jej był uczniem, a to nie było wadą – w muzeum mógł okazać się

wybornym przewodnikiem. I był też takim, a signora Santa, którą odwiedzałem często, wydawała mi się coraz miłsza. Grzeczność, jaką mi okazywała, schlebiała mi, a jej współczucie otworzyło moje serce i rozwiązało usta. Tak mało jeszcze znałem świat, w wielu rzeczach byłem dzieckiem, chwytalem więc pierwszą lepszą dłoń, którą mi przyjaźnie podano, i za jeden uścisk ręki oddawałem całe zaufanie.

Pewnego dnia poruszyła Santa najważniejszą sprawę mego życia, rozłączenie z Annunciatą. Znalazłem pociechę w tym, że opowiedziałem wszystko szczerze współczującej mi kobiecie. Że po moim opisie Bernarda umiała w jego charakterze odkryć ciemne rysy, stało się dla mnie pociechą, lecz że i w Annunciacie odkryła niedoskonałości, nie mogłem jej przebaczyć.

– Ona za mała dla sceny – mówiła – za delikatnie zbudowana, to pan powinienes przyznać. Trzeba mieć więcej ciała, dopóki jesteśmy na świecie. Wiem wprawdzie dobrze, że i tu w Neapolu młodzież została jej pięknoscią oczarowana, lecz to był głos, jedynie piękny głos, który ich uniósł w krainę duchów, dokąd ona swoją wątłą postacią należy. Gdybym ja była mężczyzną, nie mogłabym się w takiej postaci nigdy zakochać, obawiałabym się, abym jej przy pierwszym uścisku nie udusiła.

To pobudziło mnie do śmiechu, co zapewne było jej celem. Annunciaty talentowi, rozumowi i nieskalanemu sercu oddała wszelką sprawiedliwość.

W ostatnie wieczory – uniesiony pięknoscią otaczającej mnie natury, a idąc za osobistym usposobieniem do egzaltacji, napisałem parę drobnych poezji: Tasso w więzieniu, kwestarz i jeszcze jeden kawałek liryczny – utwór chorobliwej imaginacji, malujący moją nieszczęśliwą miłość, zniweczony świat obrazów słaniający się w mej duszy. Zacząłem je odczytywać signorze Santa, lecz doczytawszy połowy pierwszego, tak mnie opanowały uczucia w nim wylane, że łzy głos mój stłumiły. Wtedy ona uściśnieła moją rękę i płakała równo ze mną. Tymi łzami przywiązała mnie do siebie na zawsze. Jej dom stał się dla mnie domem rodzinnym; tęskniłem za godzinami, które miałem na rozmowie z nią spędzić. Jej humor, dziwaczne pomysły, którymi hojnie szafowała, często pobudzały mnie do śmiechu, choć przy tym czułem głęboko, jak zupełnie inaczej, czystiej i szlachetniej wyrażał się duch Annunciaty, ale że Annunciaty już dla mnie nie było, czułem wdzięczność dla Santy i całkiem stałem się jej oddany.

– Jak dawno widział pan – zapytała pewnego razu – tę ładną kobietę przy Posillipo i ów romantyczny domek będący na pół kościołem?

– Tylko raz jeszcze! – odpowiedziałem.

– Czy była uprzejma? – zapytała Santa. – Dzieci nie było zapewne w domu, a mąż na morzu? Strzeż się pan! Z tamtej strony Neapolu znajduje się świat podziemny!

Szczerze jej zaręczałem, że tylko romantyczna okolica nęciła mnie do groty Posillipo.

– Kochany przyjacielu! – rzekła poufale. – Ja znam to wszystko lepiej. Serce pana przepęniała miłość dla tej, której nie chcę nazwać niegodną, lecz która się jednak względem pana okazała nieszczerą. Nie! Nie spieraj się pan ze mną! Ona zajmowała całkiem serce i duszę pana, a pan musiał oderwać się od tego obrazu, musiał ją porzucić, jak mi sam wyznałeś – tym sposobem powstała w duszy twojej próżnia, która musi być zapełniona. Przedtem żyłeś tylko w książkach i marzeniach, śpiewaczka wprowadziła pana w świat ludzi. Stałeś się wtedy, jak my wszyscy, krwią i ciałem, a oboje żądają swego. Dlaczegoż byś nie miał być takim? Ja młodzieńca nie potępiam nigdy surowo, a prócz tego wolno przecież mężczyznom czynić, co im się podoba.

W tej ostatniej sprawie zaprzeczyłem jej, lecz co do próżni w mej duszy po utracie

Annunziaty, czułem, że ma słuszość. Ale cóż było zdolne zapełnić miejsce straconego obrazu?

– Pan nie jest takim człowiekiem jak inni! – mówiła dalej. – Pan jest poetą, ale nawet idealna Annunziata potrzebuje męża! Dlatego mogła woleć Bernarda, który o tyle jest niższym od pana, lecz – mówiła dalej – pan mnie wodzi na takie tematy, jakie kobietom prawie nie przystoją. Pana niewinność i mała znajomość świata czynią innych tak niewstrzymałymi w mowie, jak pan jesteś w myślach. – Tu rozśmiała się głośno i musnęła mnie rączką po twarzy.

Wieczorem, kiedy z Federigiem siedzieliśmy sami, rozweselił się, serce przede mną otworzył i opowiadał o szczęśliwych chwilach w Rzymie, o gwałtownym biciu swego serca, a Mariuccia grała także w tej historii pewną rolę.

W domu Maretiego i Santy bywało kilku młodych ludzi. Tańczyli dobrze, umieli zręcznie prowadzić rozmowę, zyskiwali przychylne spojrzenia dam, a od mężczyzn poważanie. Niedługo ich znałem, a już powierzali mi swoje serdeczne tajemnice, podobne do tych, jakimi mnie niegdyś przestraszał Bernardo, a które tylko dlatego puszczałem mimo uszu, że go serdecznie kochałem. Tak, oni wszyscy różnili się ode mnie! Miałaby Santa w rzeczy samej mieć słuszość? Czy tylko ja jeden w całym świecie byłbym poetyczną figurą? Że Annunziata kochała Bernarda, miałem jasnych dowodów aż nadto. Moja duchowość była jej może miła, lecz jej samej nie zdołałem tym pozyskać.

Już miesiąc bawiłem w Neapolu, a jeszcze nic nie słyszałem o niej ani o Bernardzie. Wtem odebrałem z poczty list. Pochwyliłem go z bijącym sercem i chciałem odgadnąć z adresu i pieczęci, od kogo pochodzi i co może zawierać. Poznałem herb Borghese i pismo *eccellenzy*. Ledwo się zdobyłem, żeby go otworzyć. „Święta Matko Boża! – modliłem się – bądź miłościwa! Niech się stanie wola twoja, która wszystko prowadzisz ku dobremu!” Otworzyłem list i przeczytałem:

Signor!

Kiedy ja sądziłem, że korzystasz ze sposobności przeze mnie ci podanej, abyś się czegoś nauczył i został pożytecznym członkiem społeczeństwa, ty idziesz innymi, moim zamysłem, co do pana, przeciwnymi drogami. Jako niewinny powód śmierci matki pana uczyniłem swoje. Nie winniśmy sobie nic! Występuj sobie jako improwizator, jako poeta, kiedy i jak ci się podoba – daj mi tylko jeden dowód tak często ślubowanej wdzięczności; nie wspominaj nigdy w swoich publikacjach mojego imienia ani mojej troskliwości, z jaką się panem zajmowałem. Wielkiej przysługi, którą mi powinieneś być wyświadczyć, to jest nauczyć się czegoś – nie chciałeś dopełnić; tą małą zaś, to jest ogłoszeniem mnie swoim dobroczyńcą, tak dalece pogardzam, że nie mógłbyś mi większej sprawić przykrości niż właśnie tym.

Krew prawie skrzepła w moim sercu, ręce opadły bezwładnie, lecz płakać nie mogłem, choć to by mej duszy przyniosło ulgę. Zdołałem tylko jęknąć: Jezus, Maria! i głowa moja na stół się pochyliła. Ogłuszony, nie czując nawet boleści, pozostawałem nieruchomo w tym położeniu. Nie mogłem nawet zdobyć się na słówko modlitwy do Boga i jego świętych. Zdawało mi się, że i oni, jak cały świat, od siebie mnie odepchnęli. Wtem wszedł Federigo.

– Czyś ty chory, Antonio? – zapytał, ściskając moją rękę. – Nie trzeba tak się zagrzebywać w smutku. Kto wie, czy byś z Annunziatą był szczęśliwy. Zawsze przychodzi dla nas to, co najlepsze. Tego na sobie doświadczyłem kilkakrotnie, choć w nie najprzyjemniejszy sposób.

Milcząc, podałem mu list. Czytał, a tymczasem popłynęły mi łzy; lecz wstyd mi było

pokazać je, więc się odwróciłem. Wtedy on przycisnął mnie do serca i rzekł:

– Płacz! Wypłaczesz boleść i będzie lepiej!

Gdy się nieco uspokoiłem, zapytał mnie, co postanowiłem uczynić. Wtedy błysnęła nagle w duszy mojej myśl, którą wykonawszy, mogłem przebłagać Madonnę, której poświęcony byłem jeszcze w dzieciństwie. Tam czekała mnie obrona, a przyszłość moja była zapewniona.

– Najlepiej jak zostanę mnichem! – rzekłem. – Do tego stanu już mnie los przygotował. Dla mnie nie ma już nic na tym świecie! Jestem poetą, nie takim jak wy zwyczajni ludzie! Tak! Na łonie kościoła jest moje domowe ognisko; tylko tam uśmiecha się do mnie spokój!

– Bądź rozsądny, Antonio – mówił Federigo – niech się przekona *eccellenza*, niech się przekona świat, że w tobie duch silny; niechaj cię przeciwności życia podniosą, nie do ziemi tłoczą. Lecz spodziewam się i myślę, że ty tylko dzisiejszego wieczoru chcesz zostać mnichem – a jutro, gdy ci słońce serce ogrzeje i blaskiem w oczy zaświeci, nie będziesz sobie tego życzył. Jesteś improwizatorem, poetą, masz umysł wyższy, wszystko jeszcze pójść może pięknie i wybornie. Jutro weźmiemy dorożkę, pojedziemy do Herkulanum i Pompei, zobaczymy Wezuwiusz. Jeszcze tam nie byliśmy; trzeba, abyś się rozerwał, nabrał dobrego humoru, a gdy złe myśli ulecą, pomówimy rozsądnie o przyszłości. Teraz chodź ze mną na Toledo, zabawimy się! Życie ucieka galopem, a wszyscy nosimy, jak ślimaki, ciężary nasze na grzbietach; czy to ołów, czy zabawki, wszystko jedno – kiedy ciężar równy!

Troskliwość ta mnie wzruszyła; przekonałem się, że jeszcze jestem w objęciach przyjaciela. Milcząc, wziąłem kapelusz i wyszliśmy. Na placu w jednej z drewnianych budek rozlegała się wesoła muzyka. Stanęliśmy wśród gromady ludzi. Cała rodzina sztukmistrzów stała, jak zazwyczaj, na rusztowaniu; mąż i żona ubrani jaskrawo aż chrypli od krzyku; mały, błądy chłopczyk w białym stroju grał na skrzypcach, a dwie małe jego siostry tańczyły. Całość ta wydawała mi się tragiczna.

„Nieszczęśliwe istoty! – pomyślałem. – I moja przyszłość taka, jak wasza!” Przytuliłem się do Federiga, nie mogąc stłumić westchnienia pochodzącego z głębi piersi.

– Bądź spokojny i rozsądny! – rzekł po cichu Federigo. – Teraz pochodzimy sobie trochę, aby ochłodzić zapłakane oczy, a potem odwiedzimy signorę Maretti. Ona cię rozśmieszy albo z tobą popłacze, ona to umie lepiej niż ja.

Spacerowaliśmy po owej szerokiej ulicy i tak doszliśmy do kamienicy Marettiego.

– Wreszcie przychodzi pan, nie oglądając się na zasady! – zawołała signora Santa uradowana, gdyśmy weszli.

– Signor Antonio jest w swoim elegijnym usposobieniu, trzeba je zastąpić humorem. Czy mogłem więc w lepsze zaprowadzić go miejsce niż do pani? Jutro jedziemy do Herkulanum i Pompei, zwiedzimy Wezuwiusz. Obyśmy tylko mogli być tak szczęśliwi, żeby zobaczyć wybuch!

– *Carpe diem!*² – zawołał Maretti. – Mam ochotę przyłączyć się do tej wycieczki, lecz nie aby wejść na Wezuwiusz, ale aby zobaczyć, jak tam daleko z odgrzebywaniem Pompei. Otrzymałem właśnie stamtąd kilka szklanych ozdób różnego koloru, uporządkowałem je podług odmian i napisałem o tym *pusculum*. Musi pan te skarby zobaczyć – rzekł do Federiga – i objaśnić mnie co do kolorów, a pan – rzekł, zwracając się do mnie i uderzając po ramieniu – pan zaczniesz od tego, że się rozweselisz. Potem wypijemy po kieliszku falernu.

Zostałem sam z Santą.

– Napisał pan coś nowego? – zapytała. – Bo właśnie tak wyglądasz, jakbyś składał jedną z tych zwrotek, które tak czule przemawiają do serca. Kilka razy myślałam o panu i jego Tassie, a przy tych wspomnieniach bardzo się rozrzewniałam, choć, jak to panu wiadomo, nie należę do płaczkliwych. Bądź więc wesół, mój panie! Patrz na mnie! Powiedz mi coś pięknego! Nie chce mi pan żadnej zrobić przyjemności, to powiedz mi co o mojej nowej sukni. Nieprawda, że mi do twarzy? Poeta powinien mieć uwagę na wszystko. Jestem w niej wysmukła jak pinia – wręcz szkaradnie chuda! Nieprawda?

– To od razu widać! – odpowiedziałem.

– Pochlebco! – zawołała. – Nie jestem taka jak zawsze? Suknia wisi na mnie jak wór! No, czemuż się rumienisz? A to mi mężczyzna! Powinieneś żyć więcej z nami kobietami, my pana wykształcimy, to podobno umiemy bardzo dobrze. Teraz siedzą obydwaj – mój mąż i Federigo, aż po uszy w błogosławionej starożytności, my żyjemy w teraźniejszości. Skosztujesz pan naszego wybornego falernu i to zaraz, potem możesz pan z drugimi znowu pić.

Podziękowałam i chciałam zawiązać rozmowę zwyczajną, o nowinach codziennych, lecz byłam bardzo roztargniona.

– Jestem pani tylko ciężarem – rzekłam, wstając, i chciałam wyjść. – Wybacz, signora! Niedobrze mi, a to czyni mnie, jak widzę, nietowarzystkim.

– Pan nie może mnie opuścić – rzekła, sadzając mnie na krzesło i patrząc ze współczuciem i smutkiem w oczy. – Cóż się to stało? Bądź pan względem mnie otwarty. Ja panu szczerze i dobrze życzę. Przecież pana moja pustota nie obraziła? Już taka moja natura! Lecz powiedz mi, co się stało? Odebrałeś listy? Czy Bernardo umarł?

– Nie! Chwała Bogu! – odpowiedziałem. – To zupełnie co innego. – Wcześniej postanowiłem nie wspomnieć nic o liście *eccellenzy*; jednakże zdjęty boleścią wyjawiałem jej wszystko z pełną zaufania otwartością, a ona błagała ze łzami w oczach, abym się nie smucił.

– Zostałem odrzucony ze świata – utyskiwałem – opuszczony przez wszystkich. Nikt, już nikt mnie nie kocha!

– Nieprawda, Antonio – rzekła po cichu i pogładziwszy ręką moje czoło, złożyła na nim gorący pocałunek. – Jesteś kochany! Jesteś piękny, jesteś dobry! Ja kocham cię, bardzo kocham, Antonio!

I roznamiętniona objęła mnie. Policzek jej spoczywał na moim. Krew zawrzała w mych żyłach – drzenie przeszło po całym ciele, jakby mi tchu nie stawało. Nigdy jeszcze nie doznałem nic podobnego. Wtem zaszeleściły drzwi – otworzyły się i wszedł Federigo z Marettim.

– Pana przyjaciel ma gorączkę – rzekła zwyczajnym, lekkim tonem, aż mnie prawie przestraszył – w jednej chwili blednie i czerwieni się! Myślałam, że zemdleje w moim objęciu, ale teraz już lepiej! Nieprawda, Antonio?

I żartowała ze mnie, jakby nic nie zaszło, jakby nic nie powiedziano. Serce moje biło silnie, w duszy obudziło się uczucie wstydu i oburzenia. Odwróciłem się od tej pięknej grzesznicy.

Falernejskie wino pieniało się w szklanicach. Santa trąciła w moją i rzekła ze znaczącym spojrzeniem:

– Pomyślniejszych czasów!

– Pomyślniejszych czasów! – powtórzył Federigo. – Przyjdą! Nie trzeba nigdy tracić nadziei!

Maretti także zadzwonił z nami w szklanicę, życząc mi pomyślniejszych czasów. Santa rozśmiała się i pogładziła mnie po twarzy.

1 Potem możesz trafić do nieba.

2 Chwytaj dzień.

XVII

Wycieczka do Herkulanum i Pompei. Wieczór na Wezuwiuszu

Na drugi dzień wstąpił po mnie Federigo, Maretti wsiadł także z nami. Od morza zawiewał chłodny wiatr, jechaliśmy, okalając Zatokę Neapolitańską, do Herkulanum.

– Jak wysoko wzbija się dym z Wezuwiusza! – mówił Federigo, wskazując na wulkan. – Będziemy mieli piękny wieczór.

– Inaczej buchał dym w 79 roku naszej ery – przerwał Maretti. – Rozpostarł się jak cień obłoków nad całą okolicą, gdy miasta, które teraz mamy zwiedzić, znikły pod popiołami i lawą.

Zaraz tam, gdzie się kończy Neapol, przytykają do przedmieść miast pogrzebanych miasteczka San Giovanni, Portici i Rezina, które leżą tak blisko siebie, że można je uważać za jedno miasto. Stanęliśmy u celu szybciej, niż się spodziewaliśmy, i wysiedliśmy przed małym domkiem w Rezinie. Pod traktem i całym miasteczkiem rozciąga się zapadłe Herkulanum, które niegdyś w kilka godzin pokrył popiół z lawą; zapomniano nawet, że było, a nad nim wyrosło później miasteczko Rezina.

Weszliśmy do najbliższego domu. W podwórzu znajdowała się wielka, otwarta studnia, a w niej ślimakowe schody.

– Patrz, signor! – rzekł Maretti. – Było to w roku 1620, gdy książę Elbeuf kazał kopać tę studnię. Gdy wykopano kilka stóp w głąb, znaleziono posągi; natychmiast zakazano kopania i przez trzydzieści lat nikt nie tknął tej pracy, dopóki tu nie przybył Karol Hiszpański, który kazał studnię kopać głębiej, aż się dokopano potężnych schodów kamiennych, które oto widać.

Światło dzienne oświecało małą ich częśćkę, były to ławy wielkiego teatru w Herkulanum. Przewodnik nasz zapalił dla każdego świecę i tak zeszedliśmy w głąb studni i stanęliśmy wkrótce na stopniach, gdzie przed siedemnastu wiekami widzowie zbici w jedno olbrzymie ciało śmiali się, wzruszali i wykrzykiwali radośnie na przedstawieniach.

Przez małe, niskie drzwi weszliśmy na wielki, obszerny korytarz; zeszedliśmy aż do orkiestry i tam na dole oglądaliśmy kolejno miejsca dla muzyków, ubieralnie i samą scenę. Wielkość tego wszystkiego wprawiła mnie w zdumienie. Tylko częściowo mogliśmy ten gmach oświetlić, a jednak wydawał mi się większy niż San Carlo. Puste, posępne i ciche było wszystko dokoła; nad nami hałasował świat inny. Jak sobie wyobrazimy, że zmarłe pokolenie może w postaci duchów mieszać się w nasze sprawy i życie, tak mnie zdawało się w tym miejscu, jakbym wystąpił z kolein mego czasu, a błędził jako duch w odległej przeszłości. Zatęskniłem za światłem dziennym i wkrótce odetchnęliśmy jego ciepłem.

Idąc ulicą Reziny, udaliśmy się w prawo i zobaczyliśmy odkopany plac, ale nie duży. Wszystko, co słońce oświecało, było herkulańskie. Widzieliśmy ulicę, domy z małymi pokoikami, czerwono i niebiesko pomalowane ściany – wszystko to było jednak niczym w porównaniu z tym, co nas czekało w Pompei.

Wyszedszy z Reziny, zobaczyliśmy dokoła równinę podobną do czarnego jak smoła,

spienionego i w żelazne żuźle skrzepłego morza. Ale i tu wznosiły się budynki, zieleniły się małe winnice, stał nawet kościółek na pół zapadły w tej krainie śmierci.

– To spustoszenie stało się za mojej pamięci – rzekł Maretti. – Byłem dzieckiem, ale dnia tego nie zapomnę nigdy! Te żuźle, po których stąpamy, były wówczas gorejącym strumieniem ognia. Widziałem, jak się toczył z wulkanu ku Torre del Greco. Ojciec mój, *beati sunt mortui* – sam mi tutaj rwał dojrzałe winogrona, gdzie teraz ta czarna, twarda jak kamień pokrywa. Świece w tym oto kościółku płonęły niebieskim światłem, a mury oblewał czerwony odblask wulkanicznego ognia. Winnice pokryła lava, lecz kościółek sterczał z ognistego morza jak pływająca arka.

Jak winogrona z ogromnymi gronami rozwieszane od drzewa do drzewa jedną tylko wydają się girlandą, tak nad Zatoką Neapolitańską stoi miasto przy mieście. Cała droga w tej okolicy, wyjąwszy dopiero co wspomnianą, opustoszałą przestrzeń, wygląda jak ulica Toledo. Przepelnione ludźmi kabriolety, jeźdźcy na koniach i osłach, całe karawany podróżnych płci obojga przyczyniały się do ożywienia tego obrazu.

Herkulanum i Pompeję wyobrażałem sobie zawsze pod ziemią; ale tak nie jest. Z góry objąłem jednym rzutem oka wszystko – całe winnice aż do błękitnego morza. Co krok wstępowaliśmy wyżej i stanęliśmy nareszcie u przekopanego wału z szarych popiołów, któremu gdzieś rosnące zielone krzewy i rośliny bawełny usiłowały przyjemniejszy nadać pozór. Ukazała się straż wojskowa i weszliśmy na przedmieście Pompei.

– Czytałeś pan zapewne listy do Tacyta? – spytał Maretti. – Znasz Pliniusza Młodszeo, teraz zobaczysz komentarze do jego dzieł, jakich nikt jeszcze nie ma.

Ulica grobów, na której staliśmy, nazywa się ulicą Długą. Pełno tutaj pomników: przed dwoma znajdują się bogate mozaikowe kobierce z pięknymi ozdobami; tutaj w dawnych czasach wypoczywali córki i synowie Pompei podczas przechadzek za miasto. Siedząc na grobach, patrzyli na kwitnącą przyrodę i żywy ruch na trakcie i zatoce. Widzieliśmy po obu stronach szeregi domów, wszystkie ze sklepami; patrzyły ku mnie jak kościotrupy jamami bez oczu. Dokoła widać było ślady trzęsienia ziemi, które przed owym wielkim spustoszeniem miasto nawiedziło. Kilka domów właśnie budowano, kiedy je ogień i popiół zasypały na wieki. Niedokończone gzymsy marmurowe leżały na ziemi, a przy nich modele z terakoty.

To wszystko obejrawszy, dopiero przyszedliśmy do murów miasta. Prowadziły do nich schody szerokie jak w amfiteatrze. Przed nami rozciągała się długa ulica wyłożona, jak w Neapolu, flizami z lawy, a zatem szczątkami jeszcze wcześniejszego wybuchu niż ów, który przed siedemnastu wiekami zniszczył Herkulanum i Pompeję. Na flizach widać głębokie ślady kół, a na domach nazwiska mieszkańców, wyryte jeszcze za ich życia. Przed niektórymi domami wiszą godła, z których jedno oznajmia, że w tym domu wykonywano roboty mozaikowe.

Wszystkie pokoje były małe, światło wpadało przez pułap lub otwór nad drzwiami. Czworoboczny portyk zamyka dziedziniec zazwyczaj tylko tak duży, iż się w nim mieścił klombik na kwiaty lub wanna z wodotryskiem. Dziedzińce i posadzki ozdobione śliczną mozaiką, w której się krzyżują sztuczne formy, koła i czworoboki. Ściany pomalowane w różne jaskrawe kolory biało, niebiesko i czerwono, a na tym tle tancerki, muzy; lekkie, powiewne postaci, wszystkie nadzwyczaj pięknego kolorytu i rysunku, a tak świeże, jakby dopiero wczoraj malowane. Federigo z Marettim zajęci byli głęboko rozmową o cudownym doborze farb, które tak dobrze czasowi się oparły i ledwo się obejrzałem, oni już się zagłębili w Bayardiego dziesięciotomowe dzieło o starożytnych pamiątkach herkulańskich. Zrobili tak, jak robi tysiące

innych – zapomnieli o poetycznej rzeczywistości na oczach im leżącej, a zajęli się jej oceną i rozprawianiem o niej. Zapomnieli nawet o Pompei wśród uczonych badań. Ja nie byłem obeznany z tymi tylko pamięcią objąć się dającymi misteriami; otaczająca rzeczywistość była dla mnie światem pełnym poezji, w którym dusza moja czuła się jak w swoim żywiole. Wieki zamieniły się tutaj w lata, przedstawiły się jako chwile; wszystkie troski moje znikły, a myśli odzyskały znowu spokój i zapach.

Stanęliśmy przed domem Sallustiusza.

– Sallustiusz! – rzekł Maretti i zdjął kapelusz. – *Corpus sine animo!*² Dusza uleciała, lecz oddajmy cześć martwemu ciału.

Wielki obraz przedstawiający Dianę i Akteona okrywał ścianę naprzeciw drzwi głównych. Wtem robotnicy zakrzyknęli głośno i uradowani wskazali nam przy świetle pochodni prześliczny stół z marmuru tak białego jak kararyjski, stojący na dwóch sfinksach; lecz mnie bardziej zajęły żółtkłe kości leżące tuż przede mną i odcisk pięknej piersi kobiecej w popiele.

Poszliśmy przez forum do świątyni Jowisza. Słońce oświecało białe marmurowe filary, daleko poza świątynią wznosił się dymiący Wezuwiusz, czarne kłęby buchały z krateru, a nad strumieniem lawy torującym sobie drogę stokiem góry kurzył się śnieżnobiały opar.

Oglądaliśmy teatr i siedliśmy na ławach ustawionych stopniami. Scena z filarami, murowana ściana w głębi i drzwi wejściowe, wszystko to stało, jakby przedstawienie dopiero się skończyło; lecz żaden głos nie zabrzmiał w orkiestrze, żaden Roscjusz nie przemówił do rozradowanej publiczności – wszystko było martwe, tylko otaczająca nas wielka scena natury oddychała życiem. Zielone winnice, ludźmi i bydlęm ożywione, a pełne ruchu drogi z Salerno, w głębi modre góry ostro się rysujące na bladym tle niebios – wszystko to przedstawiało scenę, na której Pompeja wydawała się jak chór w tragedii opiewający potęgę anioła śmierci. Widziałem go tutaj w jego własnej postaci ze skrzydłami z czarnych popiołów i płynącej lawy, które nad wie i miasta roztacza.

Dopiero pod wieczór chcieliśmy iść na Wezuwiusz, wtedy bowiem rozpalona lawa i światło księżycy największe robiły wrażenie. W Rezinie najęliśmy osły i udaliśmy się w góry drogą pomiędzy winnicami i samotnymi budynkami. Wkrótce ukazała się skarłowaciała roślinność; małe smutne krzaczki i suche, do trzciny podobne łodygi. Wiatr był chłodny i silny, wieczór piękny. Zachodzące słońce wyglądało jak płomienisty ogień, niebo błyszczało złotem, morze szafirem, a wyspy wydawały się bladoniebieskimi obłoczkami. Był to świat zaczarowany! Neapol bladł coraz bardziej nad brzegiem krzywej zatoki – w oddali sterczały pokryte śniegiem góry, połyskujące pięknie jak szczyty Alp, a w prawo i lewo tuż koło nas gorzała czerwonym ogniem lawa Wezuwiusza.

Przybyliśmy na równinę bezdrożną, okrytą czarną lawą. Nasze osły stawały zawsze ostrożnie jedną nogę, nim stąpiły mocno. Tak dostaliśmy się powoli na wyżynę, która jak przylądek sterczała ponad skamieniałym morzem. Wąskim wąwozem, gdzie tylko trcinowate rosły badyle, zbliżyliśmy się do mieszkania pustelnika. Siedziała tam gromada żołnierzy przy ogniu pijących *Lacrime Christi* ze swoich foglietów. Bronili oni podróżnych przed rozbójnikami z gór. Zapalono pochodnie, wiatr migotał płomykami, jakby je chciał do iskierek pogasić i rozwiać. Przy niepewnym migającym świetle jechaliśmy w ciemny wieczór wąską skalistą ścieżką po kruchych bryłach lawy, nad głębokimi przepaściami. Nareszcie ukazał się czarny jak cała góra wierzchołek z popiołów, dokąd się chcieliśmy dobić, lecz osły nie mogły wyżej podleźć, zostawiliśmy je więc przy chłopakach, którzy je prowadzili.

Przewodnik szedł naprzód z pochodnią, my za nim, lecz ukosem; szliśmy bowiem po miękkim popiele, grzęznąc aż po kolana, stromo pod górę. Jeden za drugim iść nie mógł, bo w popiele leżały duże kamienie i bryły lawy, które za lekkim stąpnieniem na dół się staczały. Co dwa kroki ześlizgiwaliśmy się o jeden w tył; wpadaliśmy w czarny popiół, a nogi tak nam ciążyły jak ołowiane.

– Śmiało! Śmiało! – wołał przewodnik na przedzie. – Wnet staniemy u szczytu!

Lecz szczyt ten zdawał się ciągle w jednej od nas pozostawać odległości. Ciekawość i upragnienie końca drogi podwajały moje kroki. Upłynęła godzina, nim wdrapaliśmy się na wierzchołek – ja byłem pierwszy.

Wtem usłyszeliśmy huk, który by zaledwie wystrzałem ze stu armat można naśladować. Dym się rozdzielił, a ku niebu buchnął słup ognisty na milę wysoki. Rozpalone kamienie wylatywały w górę wśród białych płomieni jak krwawe rubiny. Już byliśmy pewni, że spadną na nas jak rakiety, lecz nie – spadały z powrotem w krater lub staczały się rozżarzone z góry popielnej na dół.

„Wiekuisty Boże!” – westchnąłem w duchu, nie mogąc ani odetchnąć.

– Wezuwiusz dzisiaj w niedobrym humorze – rzekł przewodnik i skinął na nas, abyśmy szli naprzód. Myślałem, że już koniec wędrówki, lecz przewodnik wskazał równinę, gdzie cały widnokrąg zdawał się stać w płomieniach. Olbrzymie postacie poruszały się jak czarne cienie na jasnym tle ognistym. Byli to podróżni, znajdujący się między nami a ognistą lawą. Aby ją ominąć, obeszlśmy kawał góry i wdrapaliśmy się od strony przeciwnej na wschód leżącej. Mimo to nie mogliśmy jednak w tak niespokojnym czasie zbliżyć się do samego krateru, ale tylko do miejsca, gdzie strumienie lawy toczyły się jak źródła ze stoku góry. Pozostawiliśmy więc krater w lewo i drapaliśmy się przez płaszczyznę po ogromnych bryłach lawy. Tu nie było żadnej drogi – każdy cień, każda wklęsłość wyglądała jak przepaść przy bladym świetle księżyca i czerwonym blasku pochodni migającym po nierównej drodze, a dokoła rozpostarła się gruba ciemność. Znowu się pod nami rozległ potężny grzmot i wszystko okryła noc, którą wnet rozświecił kolejny wybuch.

Bardzo powoli i po omacku przeprawialiśmy się do celu, to idąc, to czołgając się, lecz wkrótce uczuliśmy, że wszystko, czegośmy się dotknęli, było gorące. Spomiędzy kawałów lawy buchało ciepło duszące jak z pieca. Dalej ukazała się przed nami równina; był to strumień lawy dopiero przed dwoma dniami skrępiły po wierzchu ledwo na pół łokcia, a pod tą powłoką stała głęboka, wrząca lawa. Jak lód jezioro, tak tutaj twarda powłoka pokrywała płyn ognisty. Tędy musieliśmy się przepawić. Na drugiej stronie znajdowały się znowu zawadzające w drodze głazy, na których stali nieznajomi przypatrujący się nowemu strumieniowi lawy, który dopiero stamtąd można było zobaczyć.

Postępując jeden za drugim, a przewodnik na czele, weszliśmy na ową skorupę. Parzyło przez podeszwy obuwia, a w kilku miejscach powstały od gorąca wielkie rozpadliny i widzieliśmy czerwony żar pod stopami! Gdyby skorupa pękła, bylibyśmy wpadli w ogniste jezioro. Stawialiśmy ostrożnie zawsze jedną nogę, a potem prędko drugą, aby ruszyć o krok naprzód, bo parzyło w nogi. Jak żelazo zaczynające stygnąć czernieje, lecz za dotknięciem natychmiast czerwonością błyska, tak i tu te same okazywały się skutki. Na śniegu wyciskaliśmy czarne, a tutaj czerwone ślady. Nikt z nas nie przemówił ani słowa, żaden z nas nie wyobrażał sobie, że ta wędrówka okaże się tak okropna. Jakiś Anglik wracał ze swoim przewodnikiem – właśnie przeszedł koło mnie po skorupie rozpadlinami porysowanej.

- Są tu Anglicy? – zapytał.
- Tylko Włosi i jeden Duńczyk – odpowiedziałem.
- A niech to... – rzucił tylko.

Tymczasem dostaliśmy się do wielkich głazów, na których stało kilku cudzoziemców. Wdrapałem się tam także; przede mną płynął powoli po spadzistości góry świeży strumień lawy, a wyglądał jak szlam ognisty albo stopiony kruszec z pieca płynący. Toczył się przed oczyma naszymi niczym ogromna rzeka. Żaden wyraz, żaden obraz nie zdoła przedstawić tego zjawiska w całej jego wspaniałości i grozie. Samo nawet powietrze wyglądało jak siarczysty ogień. Nad potokiem lawy unosił się opar czerwony jak luna, a dokoła panowała ciemna noc. Znowu zagrzmiało we wnętrzu góry i znowu buchnął ogień słupem, miotając rozpalone kamienie. Nigdy przedtem nie czułem się tak bliski Boga! Jego wszechmoc i wielkość napępiały moją duszę! Zdawało się, że ten ogień wypalił w niej wszelką słabość, a dodał jej siłę i odwagi – duch mój nieśmiertelny rozwinął skrzydła.

– Potężny Boże! Będę twoim apostołem, wśród burzy świata śpiewać będę chwałę twego imienia, twoją moc nieogarnioną i wspaniałość. Głośniejsze niż mnicha w samotnej celi. Jestem poetą! Dodaj mi siły, zachowaj duszę moją czystą, abym stał się godny być kapłanem twoim i przyrody!

Złożyłem ręce do modlitwy, a stojąc między obłokami a ogniem, ukorzyłem się w duchu przed tym, którego cuda i wielkość do mnie przemawiały.

Zeszliśmy na dół, a o kilka kroków od miejsca, na którym staliśmy, zapadł się z hukiem ogromny kawał lawy w rozpadlinę nowo rozpekłą i wyrzucił kłęb iskier w powietrze. Lecz nie zdrząłem na ten widok, bo czułem, że Bóg jest blisko. Była to chwila mego życia, w której dusza uszczęśliwiona świadomością swej nieśmiertelności wyższa jest nad boleść i trwogę.

Wokół tryskały iskry z małych kraterów, a z większego powtarzały się co chwila nowe wybuchy. W powietrzu słychać było szum, jakby naraz całe stada ptactwa z lasów się zerwały. Federigo unosił się równo ze mną, a zejście z góry po miękkim popiele odpowiadało naszemu wzruszeniu. Biegliśmy, jakby z powietrza spadając, ślizgaliśmy się, pędzili na złamanie karku i grzęzli na przemian. Popiół okrywał górę jak świeżo spadły śnieg. Tylko dziesięć minut trwał nasz powrót, a nim tam weszliśmy, potrzebowaliśmy więcej niż godzinę. Wiatr ustał, osły już na nas czekały, a w pustelni siedział nasz uczony towarzysz, który nie miał ochoty odbywać z nami uciążliwej wędrówki na górę.

Czułem się zupełnie rześki, zwracałem się ciągle wzrokiem na górę. Lawa wydawała się z daleka jak olbrzymie na ziemię spadłe gwiazdy – księżyc świecił tak jasno, że było widno niczym w dzień. Jechaliśmy nad zatoką i widzieliśmy odbłask księżyca i lawy drżący na wodnym zwierciadle dwoma długimi promieniami, czerwonym i srebrnym. Uczułem w duszy taką siłę, taką jasność w wyobraźni i jeżeli wolno porównywać się z wielkim człowiekiem, to stałem wtedy na równi z Boccacciem, bo i na jego całe duchowe życie wywarło wpływ stanowczy wrażenie miejsca i chwilowe natchnienie. Grób Wergiliusza widział jego łyż. Świat jego poetycką wartość ocenił – mnie zaś otrząsnęła z niezadowolenia i z wątpliwości wspaniałość wulkanu, dlatego widoki tego dnia i wieczoru stoją tak żywo w mej duszy, dlatego tak długo zabawiłem nad ich opisem i skreśleniem tego, co tchnęły w pierś moją i co później zmuszony byłem wypowiedzieć.

Maretti uprosił, abyśmy go odprowadzili do domu. Wtedy uczułem się w przykrym położeniu, opanował mnie lęk zobaczenia znowu Santy po ostatnim zajściu pomiędzy nami.

Lecz większe i ważniejsze postanowienie powstałe w mej duszy stłumiło wkrótce to małe zakłopotanie. Po naszym przybyciu uścisnęła przyjaźnie moją rękę, nalewała wino, była naturalna i wesoła, tak że sobie nareszcie poczałem czynić wyrzuty za mój surowy o niej osąd. Czułem, że to we mnie była myśl nieczysta. To współczucie i współudział, które tak namiętnie, po południowemu objawiła, uważałem za namiętność zmysłową. Uprzejmością i żartami, które teraz odpowiadały mojemu usposobieniu, starałem się szczególnie moje postępowanie z dnia wczorajszego znowu naprawić. Ona zdawała się mnie rozumieć i wyczytałem w jej oczach serdeczną miłość siostrzaną.

Nikt z nich nie słyszał mnie jeszcze improwizującego i tego wieczoru namówili mnie do tego. Opiewałem wędrownkę po Wezuwiuszu i zyskałem poklask i uwielbienie. Co mi wyraził niemy wzrok Annuniaty, wypłynęło z ust Santy pełną wymową. W czasie swej mowy była jeszcze piękniejsza, oko jej świeciło myślą aż w głąb mej duszy.

¹ Błogosławieni ci, którzy umarli.

² Ciało bez duszy.

XVIII

Niespodziewane spotkanie. Mój występ w teatrze San Carlo

Stało na tym, że postanowiłem wystąpić jako improwizator. Co dzień więcej ku temu nabierałem odwagi; w domu Maretiego, w niektórych innych rodzinach, z którymi tam się zapoznałem, przyczyniłem się moim talentem do zabawienia towarzystwa i zyskiwałem największe pochwały oraz zachętę. Było to balsamem dla mojej zbolącej duszy. Czułem wtedy rozkosz i nikt, kto by umiał czytać w moim sercu, nie mógłby zapału tego poczytać za próżność. Była to czysta radość! Oddawane mi pochwały prawie mnie trwożyły. Obawiałem się stać się ich niegodny lub nie móc zachować ich na zawsze. Odczuwałem je głęboko i ośmielałem się wyznać, chociaż to moją osobę bardzo blisko obchodzi, że pochwały i zachęta są najlepszą szkołą dla szlachetnej duszy, gdy tymczasem surowość i niesłuszna przygana albo zniechęca, albo hardość i pychę pobudzą. Przekonałem się o tym z własnego doświadczenia. Maretti okazywał mi wielkie względy i więcej współczucia, niż było u niego zwyczajem. Wprowadził mnie w towarzystwo osób, których znajomość mogła mi w obranym zawodzie stać się pożyteczna. Santa zaś była dla mnie nadzwyczajnie dobra i miła, a jednak coś mnie od niej odpychało. Zawsze przychodziłem do niej z Federigiem, albo kiedy wiedziałem, że towarzystwo już się zebrało. Obawiałem się powtórzenia ostatniej sceny, a jednak wzrok mój na niej spoczywał, kiedy na mnie nie patrzyła, i musiałem ją uznać piękną. Stało się ze mną, jak to często w świecie bywa, żartując z ciebie, powiadając, żeś się zakochał w osobie, o której nigdy nie pomyślałeś, na którą nie zwróciłeś nawet uwagi, a wtenczas dopiero budzi się w tobie chęć dowiedzenia się, jakie ta osoba posiada zalety, dlaczego właśnie na nią paść miał twój wybór. Jest to ciekawość, lecz ciekawość jest zainteresowaniem, a przykłady dowodzą, że zainteresowanie łatwo się zamienia w miłość.

U nas było tylko zainteresowanie, pewien rodzaj zmysłowego wpatrywania się, jakiego dawniej nigdy nie zaznałem, ale co gorsza, stąd powstało bicie serca i trwożliwość czyniąca mnie nieśmiałym i wstrzymująca mnie od zbliżenia się do Santy.

Już dwa miesiące bawiłem w Neapolu. Następną niedzielę przeznaczono na mój występ w wielkim teatrze San Carlo. Miano odegrać operę *Cyrulik sewilski*, a potem miałem improwizować, co mi publiczność podda. Nie mając odwagi kazać na afiszu wydrukować prawdziwe moje nazwisko, przybrałem imię Cenci.

Duszę moją napełniała dziwna tęsknota za owym dniem, mającym sławę moją ustalić, lecz często także ścinała krew moją trwoga połączona z dreszczem. Federigo pocieszał mnie, mówiąc, że to wpływ Wezuwiusza, którego wybuchy znacznie się powiększyły. Strumień lawy dosięgnął już podnóża góry i płynął ku Torre dell Annunciata. Wieczorem rozlegał się w górach huk grzmotu, powietrze wciąż miotano popioły, okrywając drzewa i kwiaty grubymi warstwami. Szczyt wulkanu zakrywały czarne, gromami ciężarne chmury, a za każdym wybuchem wystrzelały z nich bładoniebieskie pioruny łamanym węzykiem.

Santa także czuła się niezdrowa.

– To gorączka – mówiła, a oczy jej błyszczały, twarz była blada. Cierpienie bardzo ją zasmuciło, bo tego wieczoru, kiedy miałem improwizować, chciała koniecznie być w San Carlo. – Tak! – mówiła – chociażbym nazajutrz trzy razy silniejszej dostać miała gorączki, nie zostanę w domu! Trzeba dla przyjaciół narażać nawet życie swoje, chociażby ten postępek miał nie być oceniony!

Tułałem się to po promenadzie, to po kawiarniach, to po różnych teatrach; w niektórych zaś godzinach prowadził mnie duch mój niespokojny do różnych kościołów przed obrazy Madonny. Tam spowiadałem się z każdej grzesznej myśli i błagałem o odwagę i siłę do działania w zgodzie z potężnym uczuciem mej duszy. Ale i tam nawet przywodził mi zły duch obrazy na oczy, szepcząc mi do ucha: *che bella ragazza!*¹, a policzki moje płonęły i uciekałem stamtąd na miasto. Duch mój toczył z naturą walkę o pierwszeństwo. Byłem w takim stanie, jakby jaźń moja pozostawała w przesileniu. Wieczór niedzielny uważałem za punkt kulminacyjny mego życia.

– Trzeba nam choć raz zobaczyć wielką salę gry! – mawiał często Federigo. – Poeta powinien wszystko znać! Jednak nigdy tam jeszcze nie byliśmy, a lęklivość nie dozwalała mi pójść samemu. Bernardo miał w samej rzeczy słuszość, kiedy mówiąc o mnie, powiedział raz pewnego, że wychowanie moje u dobrej Domeniki i rygor klasztorny jezuickiej szkoły rozrzedziły krew moją kozim mlekiem, co on w obraźliwy dla mnie sposób nazwał tchórzostwem. Potrzeba mi było więcej odwagi. Chcąc świat odmalować, trzeba mi było więcej w nim żyć. Takie to myśli żywo mnie zajmowały, kiedy już dosyć późno w noc przechodziłem koło znanej sali gier w Neapolu.

„Wstąpię – rzekłem sam do siebie – właśnie dlatego, że mało czuję w sobie odwagi, wszakże nie potrzebuję grać. Federigo i inni przyjaciele moi powiedzą, że uczyniłem bardzo rozsądnie”.

Jak można być tak słabym! Serce biło mi niespokojnie, jakbym się dopuszczał śmiertelnego grzechu, gdy tymczasem rozsądek podszeptował mi, że nic w tym nie ma złego. W bramie stali odźwierni, schody były rzęsiście oświetlone. W przedpokoju uwijająca się służba odebrała kapelusze i laskę. Otworzyły się przede mną podwoje do szeregu zbyt licznych pokoi. Tu znalazłem liczne zgromadzenie pań i panów. W obawie, aby nie dostrzeżono mego zmieszania, przeszedłem pierwszy salon prędkim krokiem tak, że nikt nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Wszyscy siedzieli przy wielkich stołach, a przed nimi leżały duże stopy *colonnati* i luidorów.

Jakaś już niemłoda, ale niegdyś zapewne bardzo piękna kobieta w bogatym stroju, uróżowana, siedziała przy zielonym stole, wlepiwszy sokołe oczy w stos złota, ściskając wychudłą ręką karty. Młode, bardzo ładne dziewczęta zajęte były poufałą rozmową z kilkoma panami. Wszystkie te piękne córki grzechu zdobywały niegdyś serca, nawet owa niemłoda dama z sokolim okiem i teraz jeszcze stawiała na ten kolor. W jednym z mniejszych pokoi stał stolik pomalowany w szachownicę zielono i czerwono. Widziałem, że stawiano jednego lub więcej *colonnati* na ten lub ów kolor i puszczano kulkę. Jeżeli stanęła na obranym kolorze, wygrywał stawiający jeszcze raz tyle, ile wynosiła stawka. Odbywało się to szybko, jak bicie tętna – złoto i srebro przesuwało się wciąż po stoliku. Sięgnąłem także do kieszeni i rzuciłem na stół *colonnati*, padł na czerwone pole. Mężczyzna kierujący grą spojrział na mnie pytająco, ja dałem mimowolnie znak twierdzący, kulka się potoczyła i stawka moja się podwoiła. Nieco zmieszany zostawiłem wszystko. Kulka krążyła co chwila, szczęście mi służyło – krew się wzburzyła – pieniądze bowiem, które stawilem, puszczane były na przegraną. Wkrótce urosła przede mną

spora kupka srebra, a przy niej zabłyśły i luidory. Wypiłem pełną szklanekę wina, bo podniebienie moje wyschło. Stos złota i srebra powiększał się coraz bardziej, ponieważ nie ściągałem nic do kieszeni – wtem potoczyła się znowu kulka, a bankier zgarnął z zimną krwią mój cały stos pieniędzy. Moje piękne złote marzenie znikło, lecz i ja się zbudziłem. Straciłem tylko jednego *colonnati*; tym się pocieszyłem i przeszedłem do innej sali.

Spomiędzy młodych dam moją uwagę zajęła szczególnie jedna, bardzo podobna do Annunciaty, tylko nieco wyższa i pełniejsza. Oko moje ciągle za nią biegło. Spostrzegłszy to, podeszła do mnie i wskazując mały stoliczek, zapytała, czy bym nie rozegrał z nią partyjki. Lecz ja wymówiłem się i wróciłem do pokoju, z którego przed chwilą wyszedłem, choć ona ściagała mnie wzrokiem. Kilku młodych grało w bilard. Chociaż grały także i damy, mężczyźni ściągali z siebie fraki. Ani o tym pomyślałem, że w takim towarzystwie tak swobodnie zachować się można. W samych drzwiach stał plecami do mnie obrócony młodzieniec pięknego wzrostu. Złożył kij do piłki i uderzył po mistrzowsku, co mu zjednało głośną pochwałę. Nawet dama, która mnie zajęła, kiwnęła przyjaźnie główką i szepnęła mu coś zapewne ważnego, bo prędko się odwrócił i pocałował ją w policzek, a ona poklepała go figlarnie po ramieniu – serce moje zadrżało – poznałem w nim Bernarda.

Nie miałem odwagi do niego się zbliżyć, chciałem się jednak przekonać, czy to na pewno on. Przemknąłem pod ścianą i wszedłem przez otwarte drzwi do słabo oświetlonej sali, aby mu się stamtąd lepiej przypatrzeć, sam nie będąc spostrzeżony. Sala ta zostawała w półcieniu. Lampy czerwone i białe szerzyły blade światło. Znajdował się tam sztuczny ogród z altankami, ale liście były z malowanej blachy, a otaczały je pomarańczowe drzewa w donicach. Wypchane papugi z kolorowym pierzem kołysały się na gałązkach, a ukryta pozytywka grała przytłumionym głosem lekkie i miłe sercu melodie. Z arkad wiał w otwarte drzwi miły chłodek. Ledwo się temu wszystkiemu miałem czas przypatrzeć, gdy zbliżył się lekkim krokiem Bernardo. Bez myśli prawie schroniłem się do stojącej obok altanki. Spostrzegłszy mnie tam stojącego, kiwnął głową z uśmiechem, jakby na powitanie znajomego, i położył się w sąsiedniej altance na dywanie, nucąc półgłosem jakąś piosnkę.

Najrozmaitsze uczucia kołatały się w mej piersi. On tutaj? Ja tak blisko niego? Uczułem słabość i musiałem usiąść. Pachnące kwiaty, cicha muzyka, przyćmione światło, nawet miękki dywan – wszystko to składało się na jakiś świat wysniony i myślałem, że tylko w takim spotykam Bernarda. Nim przyszedłem do siebie, weszła znajoma nam już młoda dama. Zapuściła się do altanki, w której ja siedziałem, gdy wtem Bernardo zaśpiewał głośniejsze. Poznawszy głos, zwróciła się prędko i usłyszałem pocałunek, który mi się aż na duszy wypalił.

Tego wiarołomcę, lekkomyślnego Bernarda przekłada Annunciata nade mnie? Jego, co tak rychło po szczęśliwej miłości o niej zapomniał, kalając usta swoje na obrazie piękności utworzonym z błota?

Wybiegłem z sali i domu tego, serce moje biło gwałtownie z gniewu i bóleści, zasnąłem dopiero o świcie.

Tego dnia wieczorem miałem wystąpić w San Carlo. Myśl o tym i przygoda z dnia poprzedzającego sprawiły w duszy mojej wielkie zamieszanie. Nigdy nie modliłem się goręcej do Madonny i świętych pańskich niż wówczas. Poszedłem do kościoła, wypowiadałem się i przyjąłem z rąk kapłańskich ciało i krew Chrystusa Pana, błagając go, aby mnie umocnił i oczyścił, i doznałem jego cudownej łaski. Tylko ta jedyna myśl, czy tu jest Annunciata, czy Bernardo za nią przybył, zakłócała jeszcze tak potrzebny mi spokój duszy. Federigo zapewnił

mnie, że jej nie ma, a Bernardo znajduje się tutaj już od czterech dni. Wiedziałem, że Santa ma gorączkę, a jednak chce być w teatrze. Na wszystkich rogach ulic rozlepiono afisze. Federigo opowiadał różne historie, Wezuwiusz wyrzucał coraz więcej ognia i popiołów, wszystko było w pełnym biegu.

Opera już się zaczęła, kiedy mój powóz stanął przed teatrem. Gdyby się wtedy do mnie zbliżyła parka i przyłożyła nożyce do nici mego życia, byłbym zawołał: przetnij! Takie mam przekonanie.

W pokoju przeznaczonym dla aktorów zastałem gromadę artystów i kilku miłośników sztuki, nawet improwizatora Sontiniego, który był profesorem języka francuskiego. Zapoznałem się z nim przez Maretiego. Ich rozmowa była lekka, dowcipkowali i śmiali się. Śpiewacy z *Cyrulika sewilskiego* przychodzili odpoczywać i znów wychodzili, jakby w czasie tańców. Scena była ich drugim domem.

– Zadamy panu temat – rzekł Sontini – trudny, jak twardy orzech do zgryzienia, ale pójdzie! Pamiętam dobrze, jak drżałem, występując pierwszy raz, ale udało się dobrze. Miałem swoje sztuczki; małe, niewinne sposoby, które mi wskazał rozsądek: kilka wersów miłosnych o przeszłości, o piękności Włoch, o poezji, nauczyłem się na pamięć, aby ich użyć w stosownym czasie – miałem nawet kilka poematów pod ręką – trzeba z tego wszystkiego umieć korzystać.

Zaręczałem, że o podobnych rzeczach nawet nie pomyślałem.

– Tak się tylko mówi! – odpowiedział, śmiejąc się. – No, niech i tak będzie! Pan jest rozsądnym młodzieńcem, doznasz świetnego powodzenia!

Sztuka już się skończyła, wystąpiłem sam jeden na scenę.

– Szafot już gotowy! – rzekł reżyser z uśmiechem i dał znak maszyniście. Zasłona się podniosła.

Widziałem przed sobą tylko czarną otchłań, spostrzegłem jedynie głowy członków orkiestry i pierwsze łoże teatru o pięciu galeriach. Owiało mnie gęste gorące powietrze. Uczułem się tak śmiały, że sam się zadziwiłem. Dusza moja była wprawdzie wzruszona, ale tak jak być powinna, giętka i dla każdej myśli otwarta. Jak powietrze najczystsze bywa zimą, kiedy dobry mróz je przejmie, tak ja uczułem naraz sprężystość i siłę. Wszystkie moje władze duchowe były ożywione, jak w tym razie było potrzeba.

Każdemu wolno było podać mi napisany na karteczce temat do improwizacji. Najpierw przeglądał je komisarz policji, czy nie zadano czegoś przeciwnego prawu. Potem mogłem wybierać. Na pierwszej stało: *il cavaliere servente*². O tym rodzaju służby nigdy nie rozmyślałem. Wiedziałem wprawdzie, że *cicisbeo*, jak go czasem zowią, jest rycerzem naszych czasów, który nie mogąc wstępować w szranki na cześć swej damy, został jej towarzyszem, zastępującym miejsce męża³. Przypomniałem sobie znany sonet, ale w tej chwili nie chciały się żadne pomysły zbudzić w mej duszy, stosowne do danego przedmiotu. Z niecierpliwą ciekawością otworzyłem drugą kartkę – znalazłem wyraz Capri i to mnie zmieszało. Nie byłem bowiem nigdy na tej wyspie, a widziałem tylko z Neapolu śliczne zarysy jej gór. Czego nie znałem, o tym też nie mogłem improwizować, a więc musiałem trzymać się pierwszego zadania – *cavaliere servente*.

Rozwinąwszy trzecią kartkę, wyczytałem: katakumby neapolitańskie. I tam nie byłem, ale na wspomnienie katakumb przypomniałem sobie moją wycieczkę w dzieciństwie z Federigiem i cała nasza przygoda żywo stanęła mi przed oczyma. Uderzyłem kilka akordów, wiersze zaczęły się składać, sam nie wiem jak. Opowiadałem, co czułem i co mi się wydarzyło, tylko że zamiast

neapolitańskich, opisałem katakumby rzymskie. Po dwa razy podejmowałem ten szczęśliwie poddany mi wątek. Uzyskałem kilkakrotne głośnie oklaski, które krew moją wzburzyły jak szampan. Potem zadano mi: *Fata Morgana*⁴. Tego cudownego zjawiska napowietrznego, ukazującego się koło Neapolu i Sycylii nie widziałem, ale znałem piękną czarodziejkę Fantazję, która w tych błyszczących pałacach mieszka. Potrzebowałem tylko własne marzenia opisać, w nich były także ogrody i zamki, a w sercu moim mieszkały najpiękniejsze *Fata Morgana* życia.

Prędko przebiegłem myślą moje materiały i zaczęły się składać w powiastkę; a w czasie improwizacji przychodziły mi coraz nowe pomysły. Zacząłem od opisu opuszczonego kościółka przy grocie Posillipo, nie wymieniając jednak nazwy. To romantyczne mieszkanie bardzo mnie zajęło – dałem więc obrazek kościółka zamienionego w dom rybacki. Mały chłopczyna spał w łóżeczku pod oknem, na którego szybie odmalowany był święty Grzegorz. W cichą, jasną noc księżycową przysła do niego piękna dziewczynka, miła jak anioł, lekka jak powietrze, ze ślicznymi w różne kolory mieniącymi się skrzydełkami u ramion. Bawiła się z nim czas jakiś, potem wywiodła go na zielone winnice, ukazywała mu tysiące precudownych rzeczy, których przedtem nigdy nie widział. Poszli w góry, gdzie im się ukazały wspaniałe, błyszczące kościoły pełne ołtarzy i obrazów, płynęli po błękitnym morzu ku dymiącemu Wezuwiuszowi, a cały był przezroczysty jak kryształ; widzieli, jak się w nim ogień pali i lava warzy; zwiedzali odwieczne miasta pod ziemią, które znał tylko z opowieści, a wszyscy mieszkańcy znów byli żywi; widział ich skarby i przepych większy, niż go widzimy w pozostałych szczątkach.

Odpięła swoje skrzydełka i przypawiła je do jego ramion, bo i bez nich lekka była jak powietrze, nie potrzebowała ich wcale. Tak lecieli oboje ponad pomarańczowymi gajami, wyżej szczytów gór, ponad bujnymi Błotami Pontyjskimi, do starożytnej Romy, do obumarłej Kampanii, potem ponad ślicznym błękitnym morzem, minęli wyspę Capri i spoczęli na jasnym, różowym obłoku, a dziewczynka ucałowała swego towarzysza, powiedziała, że się nazywa Fantazja, ukazała mu precudowny z powietrza i promieni utkany pałac swej matki i bawili się w nim oboje szczęśliwie i wesoło. Ale im bardziej chłopiec wzrastał, tym rzadziej przychodziła dziewczynka. Tylko przy świetle księżycy wyglądała jej główka spośród winorośli oplatającej altanki i gałązek drzew pomarańczowych. Kiwała na niego, a on się smucił i zamyślał. On musiał ojcu towarzyszyć w wyprawach na morze, uczył się używać wiosła, żagle zwijać i w czasie burzy łódką sterować. Ale kiedy wyrósł na młodzieńca, zwracały się myśli jego coraz częściej za miłą towarzyszką zabaw, która już nie pokazywała się wcale. Często, kiedy w noc jasną, o księżycu płynął łódką po spokojnym morzu, opuszczał wiosło i patrzył nieruchomo przez głębokie, przezroczyste wody na dno morza pokryte piaskiem i roślinami. Wtedy wyglądała ku niemu z głębin Fantazja czarnymi oczyma i zdawała się kiwać i wabić go ku sobie. Pewnego poranku zeszło się kilku rybaków nad brzeg morza. Niedaleko Capri ukazała się w promieniach wschodzącego słońca nowa, piękna, z tęczy barw złożona wyspa z błyszczącymi wieżami i gwiazdami, osłonięta przejrzystym purpurowym obłokiem. *Fata Morgana!* – zawołali wszyscy, ucieszeni bardzo tak pięknym zjawiskiem, ale młody rybak poznał to cudo od razu. Tam się bawił i mieszkał z czarownicą Fantazją. Dziwna żalność i tęsknota ścisnęła jego duszę, a gdy mu oczy zaszyły łzami, poblądł i na koniec znikł znajomy mu obraz.

Wieczorem, gdy księżyc jasno zaświecił, ukazała się znowu z woni i promyczków uwita wyspa z pałacem. Od brzegu przylądka, na którym stali rybacy, odbiła łódka i puściła się lotem strzały ku cudownej wyspie, tnąc morskie bałwany, i znikła. Nagle zgasł promienisty pałac, nad

morzem zawisła czarna chmura, po gładkiej powierzchni sunęła trąba morska, piętrząc spokojną wodę w ogromne ciemnozielone bałwany. Skoro tylko znikła, morze znów się uspokoiło; księżyc oglądał się w modrych toniach, ale łódka nie wracała; młody rybak zniknął razem z piękną *Fata Morgana*.

Znowu mnie obsypano rześistymi oklaskami, a odwaga moja wzrastała razem z zapalem poetyckim. W każdym zadaniu znajdowałem wspomnienia mego życia, które tylko zobrazować było potrzeba. Zadano mi także improwizację o Tassie. Tassesem byłem ja sam; Leonorą – Annunciata; widywaliśmy się na dworze księcia Ferrary; cierpiałem z nim w więzieniu, odzyskałem wolność, serce mając obumarłe, kiedy z Sorrento patrzyłem na wzburzone morze ku Neapolowi; siedziałem z nim pod dębem przy klasztorze Świętego Onufrego; dzwony kapitolinckie biły, kiedy wieńczono go koroną laurową, ale anioł śmierci zbliżył się doń wcześniej i podał mu koronę nieśmiertelności.

Serce biło mi jak w gorączce – byłem bardzo wzburzony, splot myśli porywał mnie za sobą; zaimprovizowałem jeszcze tylko jeden poemat: śmierć Safony. Doznawałem męczarni z zazdrości na wspomnienie Bernarda. Pocałunek Annunciaty złożony na jego czole palił mi duszę. Piękność Safony miała i Annunciata, ale jej cierpienia miłosne ponosiłem ja. Safonę pochłonęła otchłań wodna.

Improwizacja moja poruszyła widzów, potężne oklaski zabrzmiały w całym teatrze; gdy opadła zasłona, wywołano mnie dwa razy. Jakaś rozkosz, radość nie do opisanego na wskroś mnie przejęła, lecz tak zarazem ścisnęła serce, iż myślałem, że pęknie. Gdy zszedłem ze sceny, gratulowano mi i wieszano. Opanowało mnie wtedy gwałtowne, kurczowe łkanie.

Wieczór spędziłem wesoło w towarzystwie Sontiniego, Federiga i kilku śpiewaków, którzy pili moje zdrowie. Byłem szczęśliwy, ale usta moje nieme.

– On jest perłą – mówił o mnie podochocony Federigo. – Jedyńą jego wadą, że jest Józefem drugim, którego, aby nie pomylić z cesarzem, o takie błędy nieobwinionym, wolimy nazywać Józefem, synem Jakuba. Używaj życia, Antonio! Zrywaj róże, nim przekwitną.

¹ Piękna dziewczyna.

² kawalerska służba

³ Cicusbeatura powstała podobno w Genui pomiędzy kupcami. Sprawy handlowe zatrzymywały wielu często długi czas z dała od domu; jeżeli nie chcieli żon swoich zamykać, musieli oddawać je w opiekę jakiegoś przyjaciela, który by im mógł towarzyszyć. Powszechnie wybierano księży. Wkrótce weszło to w modę i nikt nie mógł się obejść bez cicusbea. Stosunek ten bywał często szlachetny i niepokalany i mamy przykłady, że wykonywanie ścisłe a uczciwe obowiązków cicusbea nawet nad grobem zmarłego głośno wysławiano.

⁴ Miraże wróżki Morgany, od których powstało słowo fatamorgana.

XIX

Santa. Wybuch Wezuwiusza. Dawne stosunki

Na drugi dzień czułem się jakby odrodzony i poszedłem do Federiga. Odzyskałem zdolność, by wypowiedzieć moją radość, czego wczoraj wieczór nie byłbym w stanie dokazać – świat i otaczające życie nabrało w moich oczach powabu. Poczułem się dojrzały, zdawało mi się, że przyczyniła się do tego orzeźwiająca rosa, jaka spadła na drzewo żywota mego. Musiałem odwiedzić signorę Santę. Słyszała mnie w teatrze, pragnąłem więc i tu zebrać pochwały, bez których, pomyślałem, pewnie się nie obejdzie.

Maretti przyjął mnie z uniesieniem, lecz Santa, powróciwszy z teatru, dostała ciężkiej gorączki, która męczyła ją przez całą noc. W tej chwili spała, a sen miał ją pokrzepić. Musiałem przyrzec, że przyjdę znów przed wieczorem. Obiad jadłem w towarzystwie Federiga i moich nowych przyjaciół; wiwaty następowały jeden po drugim dosyć często, piliśmy białe Lacrymae Christi na przemian z winem kalabryjskim, ja już nie chciałem więcej pić, bardzo byłem rozgrzany, chłodziłem się szampanem. Rozeszliśmy się weseli i podochoceni. Wyszedłszy na ulicę, spostrzegliśmy wielką jasność pochodzącą z Wezuwiusza i szerokiego strumienia lawy. Wielu już wyjeżdżało, aby się temu straszliwie pięknemu widokowi przypatrzeć; ja poszedłem do Santy – było to dopiero co po *Ave Maria*. Służąca powiedziała mi, że pani jest sama i ma się lepiej; sen ją wzmocnił, mnie wolno było tam wejść, poza tym nikomu.

Otworzyła mi piękny, miły pokój z długimi z gęstej materii zasłonami u okien, ozdobiony ładną marmurową figurką przedstawiającą Amora ostrzącego strzały i lampą, która rzucała dokoła magiczne światło. Santa spoczywała w lekkim ubiorze rannym na miękkiej jedwabnej sofie. Gdy wszedłem, podniosła się, jedną ręką otulała się w kołdrę, a drugą podała mi na powitanie.

– Antonio! – zawołała. – Występ udał się wybornie, szczęśliwy z pana człowiek! Wszystkich wprawileś w uniesienie! Ach, nie wie pan, ile się natrwożyłam, jak mi serce biło i z jaką rozkoszą odetchnęłam, gdy przewyższyłeś wszelkie moje nadzieje.

Ukloniłem się, zapytałem o zdrowie, a ona podała mi rękę, zapewniając, że ma się znacznie lepiej.

– Tak, jestem dużo zdrowsza, a i pan – dodała – wygląda, jakbyś się odrodził. Byłeś piękny, bardzo piękny! Kiedy cię natchnienie unosiło, zupełnie taki, jak mój ideał. Widziałam pana w każdym poemacie! Przy opisie małego chłopca z malarzem w katakumbach musiałam myśleć o panu i Federigu!

– Bo też to my byliśmy – przerwałem. – Wszystko, co śpiewałem, przeżywałem osobiście!

– Tak – mówiła Santa – przeszedłeś szczęście i cierpienia miłości! Obyś był tak szczęśliwy, jak zasługujesz!

Opowiadałem jej, jakie w całej istocie mojej zaszły zmiany, jak zupełnie inaczej zapatruję się teraz na życie – ona uchwyciła mnie za rękę i zaglądała mi czarnymi oczyma pełnymi wyrazu aż w głąb duszy. Była ładna, ładniejsza niż zwykle, delikatny rumieniec ożywiał jej policzki, czarne lśniące włosy spadały gładko w tył, odsłaniając piękne czoło. Postacią podobna była do Junony,

jaką tylko dłuto Fidiasza wykonać było zdolne.

– Tak, pan powinienes żyć dla innych! Pan należysz do wszystkich, miliony będziesz rozweselał i rozkoszą napełniał; nie pozwalaj więc myśli swojej zajmować się tylko jedną osobą i szczęście swoje tym sposobem niweczyć. Pan jesteś godzien miłości, wszystkich porwasz za sobą potęgą ducha, talentem. – Tu pociągnęła mnie ku sobie na sofę. – Musimy ze sobą pomówić na serio; od owego wieczoru, kiedy pana tak ciężki trapił smutek, jeszcześmy nie mówili poważnie. Pan zdawałeś się wtedy – ale jakby to wyrazić? – nie rozumieć mnie.

– Tak, rzeczywiście w głębi mego serca zaszło nieporozumienie i często już o to czyniłem sobie wyrzuty. Niegodzien jestem dobroci pani – rzekłem, całując jej rączkę, i patrzyłem w czarne oczy, najczystsze mając zamiary w duszy i na myśli. Lecz jej oko błyszczało surowo, przenikając mnie prawie na wskroś. Gdyby nas podpatrywał ktoś obcy, byłby może dostrzegł cień tam, gdzie była tylko czystość i światło. Biorę serce na świadka, że uczucie moje dla Santy było całkiem braterskie.

Ona zaś była wzruszona, widziałem, jak pierś jej silniej oddychała, odwiązała nawet wstążeczkę, aby swobodniej odetchnąć.

– Pan jest mnie zupełnie godzien, szlachetna dusza i piękność droga jest każdej kobiecie – rzekła, obejmując mnie rączką i patrząc mi w oczy. Potem dodała z nadzwyczaj wymownym uśmiechem: – A ja myślałam prawie, że pan marzy tylko w świecie ideałów. Pan jest delikatny i mądry, a te przymioty zwyciężają. Dlatego chorowałam. Pan mnie miał całkiem w swej mocy, Antonio. Zawsze marzę o twoim pocałunku i myślę o twojej miłości!

Przycisnęła mnie silnie do siebie, usta jej paliły, paliły jak ogień krew moją, duszę i myśli.

„Cudowna Matko Boża!” – zdołałem pomyśleć. Wtem spadł twój obraz ze ściany na moją głowę. Nie był to przypadek, nie! Ty sama dotknęłaś mego czoła, wybawiłaś mnie, kiedy właśnie miałem zanurzyć się w wirze namiętności.

– Nie! Nie! – zawołałem, zrywając się nagle, krew moja była jak wrząca lawa.

– Antonio! – krzyknęła. – Zabij mnie! Zabij, ale nie opuszczaj!

Jej twarz, oczy, spojrzenie, każdy wyraz, wszystko zdradzało namiętność, a jakaż była piękna; obraz piękności malowany ognistymi farbami. Mocne drżenie wstrząsnęło wszystkimi moimi nerwami, nie odpowiedziałwszy ani słowa, wyszedłem z komnaty i zbiegłem po schodach, jakby przez złego ducha ścigany.

Wszystko na dworze stało w ogniu, jak moja krew; powietrze było gorące; Wezuwiusz buchał płomieniami, które wszystko wokół oświecały! Powietrza, powietrza pragnęła pierś moja! Pobiegłem ku molo, nad otwartą zatokę, gdzie biły bałwany. Krew aż do oczu się cisnęła; chłodziłem czoło słoną wodą, rozpiąłem odzież, aby wiatr mógł mnie owiać, ale wszystko się paliło. Nawet morze drżało czerwonym odbłaskiem wrzącej lawy płynącej z Wezuwiusza. Gdzie spojrzałem, stał w płomieniach obraz Santy patrzącej na mnie okiem błagalnym a ognistym. „Zabij mnie! Ale nie opuszczaj!” – słyszałem ciągle. Zamknąłem oczy, myśli moje próbowałem zwrócić do Boga, lecz pogrążałem się w nich bezsilnie, jakby ogień grzechu wszystko duchowe we mnie wypalił. Złe sumienie powinno być zdolne zabić, kiedy sama myśl o grzechu łamie męstwo i siłę.

– Nie zechce *eccellenza* łodzi do Torre dell Annunciata? – zapytał ktoś tuż obok mnie. Imię Annunciaty znów ożywiło moją odrętwiałą duszę. – Strumień lawy płynie trzy łokcie na minutę – dodał, przytrzymując łódkę wiosłem przy brzegu – za pół godziny tam staniemy.

„Morze ochłodzi” – pomyślałem i wskoczyłem do łodzi, rybak odbił od brzegu, rozpiął

żagiel i płynęliśmy tak szybko po morzu łuną zaczerwienionym, jakby na skrzydłach wiatru niesieni. Chłodny wietrzyk owiewał skroń moją, oddychałem swobodniej, a stanąwszy po drugiej stronie zatoki, poczułem się spokojniejszy i zdrowszy.

„Nigdy już nie zobaczę się z Santą” – postanowiłem w głębi duszy, ucieknę przed węzłem piękności, wskazującym mi owoc zakazany. Tysiące będą się ze mnie naśmiewać, ale wolę ich szyderstwo znosić niż krzyk bóleści mego serca. Madonna kazała spaść ze ściany swemu obrazowi, abym tylko ja nie upadł. Głębokie uczyniła na mnie wrażenie jej opiekuńcza łaska.

Dziwna mnie zdjęła radość, wszystko szlachetne i dobre w sercu moim głosiło wesoły hymn zwycięstwa, znów byłem dzieckiem w duchu i myśli. „Ojcze niebieski, prowadź wszystko ku dobremu!” – modliłem się i ucieszony, jakbym szczęście moje na zawsze ustalił, szedłem przez ulice małego miasteczka aż na trakt.

Tu panował ruch wielki – powozy i kabriolety przepełnione ludźmi przelatywały koło mnie. Słychać było krzyki, odgłosy radości i śpiewy, a wszystko oświecały płomienie wulkanu. Strumień lawy dosięgnął jedno z miasteczek leżących z tamtej strony góry; całe rodziny uciekały stamtąd czym prędzej – widziałem kobiety z niemowlętami na ręku i zawiniątkami pod pachą, słyszałem ich narzekanie, musiałem między nich podzielić pieniądze, jakie miałem przy sobie. Szedłem pod górę winnicami opasanymi białym murem, ku miejscu, gdzie toczyła się lawa. Rozpacz uciekających, uniesienie cudzoziemców nad wspaniałością tego przerażającego widoku; wrzaski woźniców i przekupniów, gromady pijanych chłopów otaczających kosze z wódką. Jadący wozami i konno – wszystko to oświetlone czerwonym ogniem, przedstawiało obraz, którego żadnymi słowami przedstawić niepodobna. Do strumienia lawy płynącego bardzo wolno w jedną stronę można się było zbliżyć. Wielu maczało w niej laski albo pieniądze, które wyciągano oblepione lawą.

Piękny, ale przerażający to był widok, kiedy dla zbytnej wysokości swojej rwała się ta ognista masa – był to istny obraz rozbijania się o skały bałwanów morskich; urwana część lawy zostawała zwykle na boku, jak błyszcząca wielka gwiazda – najpierw stygły brzegi, czerniały, a cała taka bryła wyglądała jak najczystsze złoto w czarnej sieci. Na jednej winorośli powieszono obrazek Madonny w pobożnej myśli, że to wstrzyma potok lawy; ale ten wciąż toczył się w raz obranym kierunku. Gorąco jego suszyło gałązki i liście nawet wysokich drzew, które skłaniały korony swoje ku wrzącej ogniem rzece, jakby błagając miłosierdzia. Wiele oczu zwróciło się z nadzieją ratunku na obraz Madonny, lecz już się pochylił razem z winoroślą sięgającą gorejącego strumienia.

Wtem podniósł do góry ręce stojący obok mnie kapucyn i zawołał:

– Obraz Madonny się pali, ratujcie go, a i Madonna wybawi was za to z płomieni wiekiuistych!

Wszyscy przelekli się tego wezwania, gdy spojrzeli w ową stronę; wtem wybiegła z tłumu kobieta i wezwawszy Matki Boskiej, bieżyła na zgubę w płynący ogień – lecz w tej samej chwili podskoczył jakiś oficer na koniu i wstrzymał ją, nadstawiając dobytą szablę, choć tuż przy nich roztopiona lawa jak mur się wznosiła.

– Szalona! – zawołał. – Madonna nie potrzebuje twojej pomocy, ona chce, ażeby spalił się ten jej obraz, bo pokalany grzeszną ręką.

Był to Bernardo, poznałem go po głosie. Jego przytomność umysłu i odwaga uratowały życie kobiety, a zręczna mowa zapobiegła zgorszeniu. Uczułem dla niego szacunek i żałowałem w duszy, żeśmy się rozbratali. Lecz wnet silniej serce moje uderzyło, uczułem, że nie mam ani

odwagi, ani chęci zająrzeć mu z bliska w oczy.

Winorośl z obrazkiem Madonny pochłonał wrzący strumień, oddaliłem się stamtąd i stanąłem pod murem, gdzie kilku cudzoziemców siedziało przy stoliku.

– Antonio! Ty żeś to w rzeczy samej? – usłyszałem kogoś wołającego i znowu myślałem, że to Bernardo, potem ktoś uściśnął przyjaźnie moją dłoń, lecz to nie był Bernardo, ale Fabiani, zięć *eccellenzy*, który mnie znał od dzieciństwa, który, jak wnosiłem z otrzymanego listu, także się na mnie pogniewał i od siebie odepchnął.

– Aż tu się spotykamy? – mówił. – Signora Francesca bardzo się ucieszy, gdy cię zobaczy. Ale to niepięknie z twojej strony, żeś nas dotąd nie odwiedził, od tygodnia już jesteśmy w Castellamare.

– O tym nie wiedziałem – odrzekłem – a po tym...

– Tak, tak, przemieniłeś się naraz w innego człowieka, wdałeś się w miłość, a nawet – dodał poważniej – w pojedynki! Dlatego nas unikasz, co mi się wcale nie podoba! Właśnie nam o tym wszystkim doniósł *eccellenza* ku wielkiemu zadziwieniu naszemu. Zapewne i do ciebie napisał, i to w nie bardzo przychylnych wyrazach.

Serce moje żywo się poruszyło, uczułem się znowu w dawnych więzach, którymi mnie dobrodziejstwa skrępowały, i wyznałem mój żal i boleść, że mnie wszyscy od siebie odepchnęli.

– Nie! Nie, Antonio! Tak źle rzeczy nie stoją. Jedź ze mną! Twoim zjawieniem się zrobisz Francesce dzisiejszego wieczoru niespodziankę. Wnet staniemy w Castellamare, a w hotelu znajdzie się dla ciebie pokój. Wszystko mi musisz opowiedzieć, co się z tobą działo. Rozpaczać to nierozumnie, *eccellenza* jest porywczy, o tym wiesz, ale prędko daje się udobruchać, wnet znowu wszystko się naprawi.

– Nie, nie! – odpowiedziałem półgłosem, pogrążony całkiem w odnowionym smutku. – Nigdy nie będzie już dobrze!

– Musi być i będzie! – rzekł Fabiani stanowczo i zaprowadził mnie do swego powozu.

Musiałem mu wszystko opowiadać.

– Przecież teraz mi nie improwizujesz? – zapytał z uśmiechem, kiedy mu opisałem moją ucieczkę i Fulwię w jaskini zbójców. – To wszystko jest tak poetyczne, jakby nie z pamięci pochodziło, ale z fantazji twojej.

– Surowy, bardzo surowy – powiedział, kiedy mu opisałem treść listu od *eccellenzy* – ale właśnie dlatego, że cię tak wysoko ceni, napisał tak surowo. Ale przecież nie występowałeś na scenie?

– Wczoraj wieczorem! – odpowiedziałem.

– Jaka śmiałość! – zawołał. – I jak się udało?

– Szczęśliwie! Wybornie! – wyjaśniłem uradowany. – Gromko mnie oklaskiwano, dwa razy wywołano.

– Takie cię szczęście spotkało? Czy podobna?

W tych słowach zabrzmiało tyle powątpiewania, że mnie głęboko uraziły; lecz stosunek wdzięczności odmienił moje usta, a nawet stłumił myśli. Byłem zafrasowany na samo wspomnienie, że mam stanąć przed Franceską, bo wiedziałem, jak poważna i surowa okazać się umie. Fabiani pocieszał mnie półzartem, że nie usłyszę wymówek i pokutnego kazania, choć na nie zasłużyłem.

Przybyliśmy do hotelu.

– Ach, Fabiani! – zawołał jakiś młody wystrojony, ufryzowany jegomość, wybiegając naprzeciwko nas. – Dobrze, iż przybywasz! Twoja signora bardzo się niecierpliwi. Ach! – przerwał nagle, spostrzegłszy mnie – zabrałeś ze sobą młodego improwizatora. Cenci! Czy tak?

– Cenci? – powtórzył Fabiani, patrząc na mnie z zadziwieniem.

– To moje nazwisko na afiszach – odpowiedziałem.

– To bardzo rozsądnie! – rzekł.

– Jak umie malować miłość! – dodał nieznajomy. – Szkoda, że nie byłeś wczoraj w San Carlo. Prawdziwy talent!

Podał mi uprzejmie rękę i wyraził radość z poznania mnie.

– Będę dzisiaj z wami na wieczery – rzekł do Fabianiego – sam się wpraszam do waszego wyborczego poety. Ty i twoja małżonka nie wzbronicie mi pewnie wstępu?

– Wiesz, że zawsze jesteśmy ci radzi! – odpowiedział Fabiani.

– Ależ mnie przecież przedstaw temu panu!

– Niepotrzebne ceremonie! – mówił Fabiani. – Jesteśmy z sobą w zażyłości, moi przyjaciele nie potrzebują być jemu przedstawiani. Poznanie ciebie jest dla niego wielkim zaszczytem.

Ukloniłem się, lecz nie byłem zadowolony ze słów Fabianiego.

– W takim razie ja muszę sam się przedstawić! – rzekł młody nieznajomy. – Pana mam zaszczyt znać, a moje nazwisko: Gennaro. Jestem oficerem w gwardii króla Ferdynanda i – dodał z uśmiechem – z dobrej familii neapolitańskiej. Niektórzy naznaczają jej nawet numer pierwszy. Może to i prawda, przynajmniej ciotki moje wielką do tego przykładają wagę. Bardzo mnie to cieszy, że poznałem młodzieńca z takimi zdolnościami, który...

– Dajże pokój! – przerwał Fabiani. – On takich mów niezwykajny. Teraz już się znacie! Signora Franceska nas oczekuje, będzie scena pojednania pomiędzy nią a twoim improwizatorem. Może tam będziesz miał sposobność wykazać się wymową.

Nie podobały mi się słowa Fabianiego, ale oni żyli w przyjaźni, a mego przykrego położenia nie był zdolny pojąć. Wprowadził nas do pokoju Franceski, ja mimowolnie zostałem kilka kroków za nimi.

– No, wreszcie przybywasz, mój drogi Fabiani! – zawołała.

– Wreszcie? – powtórzył. – Ale za to prowadzę dwóch gości.

– Antonio! – wykrzyknęła. – A potem powtórzyła ciszej: – Signor Antonio? – Spojrzała surowo na mnie i Fabianiego. Ukloniłem się, chciałem pocałować jej rączkę, lecz ona zdawała się tego nie uważać, podała ją młodemu oficerowi i wyraziła radość z powodu jego przybycia na wieczery. – Powiedz mi coś o wybuchu Wezuwiusza – rzekła do Fabianiego. – Czy strumień lawy zmienił swój kierunek?

Fabiani opowiadał i zakończył tym, że mnie tam znalazł, że jestem jego gościem i że teraz przebaczenie – łaskę wyrzec należy, nim sąd nastąpi.

– Tak, tak! – zawołał Gennaro – nie wiem wprawdzie, czym zawinił, ale geniuszowi należy wszystko przebaczyć!

– Jest pan dzisiaj w wyborzym humorze – rzekła na to, a potem skłoniwszy mi się bardzo łaskawie, zapewniła Gennara, że nie ma czego wybaczać. – Cóż przynosi pan nowego? – zapytała. – Co piszą gazety francuskie? Gdzie pan spędził wczorajszy wieczór?

Pierwsze zapytanie zbył krótko, na drugie odpowiedział z większym zajęciem.

– Byłem w teatrze – rzekł – słyszałem ostatnią scenę *Cyrulika*. Józefina śpiewała jak anioł,

ale kto słyszał Annunciatę, tego nikt zadowolić nie jest zdolny! Poszedłem też jedynie dlatego, aby słyszeć improwizatora.

– Czy pana zadowolił? – zapytała Francesca.

– Przewyższył moje najśmielsze wyobrażenia, jak też wszystkich! Nie z pochlebstwa dla niego to mówię, bo cóż by mu mogło zależeć na moim sądzie! Był zupełnie panem swego przedmiotu i wszystkich nas porywał! Pełen głębokiego uczucia! Fantazja ognista! Śpiewał o Tassie, Safonie, katakumbach, były to poematy godne druku.

– Piękny talent, którego nigdy należycie ocenić i uwielbić nie umiemy! – rzekła Francesca. – Żałuję, że tam nie byłam.

– Ależ tu mamy tego pana – rzekł Gennaro, wskazując na mnie.

– Antonio? – zawołała, jakby nie dowierzając. – On improwizował?

– On, i to po mistrzowsku! – odpowiedział Gennaro. – Ale wszak go pani zna, musiałaś więc słyszeć go improwizującego.

– Prawda, bardzo często! – odpowiedziała, śmiejąc się. – Zadziwił nas, będąc jeszcze małym chłopcem.

– Ja sam go uwieńczyłem, słysząc pierwszy raz – dodał Fabiani żartobliwie. – Improwizował na cześć signory, nim żeśmy się zaślubili, a zatem jako kochanek złożyłem jej hołd, wieńcząc jej chwałcę. Ale czas do stołu! Ty prowadź signorę Franceskę, a my, ponieważ nie mamy dam, pójdziemy obydwaj z improwizatorem. Signor Antonio, podaj mi rękę!

Wkrótce potem zasiedliśmy do stołu.

– Ależ nigdy mi nic nie mówiłeś o Cencim, czy jak się tam nazywa nasz młody przyjaciel – rzekł Gennaro.

– My go nazywamy Antoniem! – odpowiedział Fabiani. – Ani nam na myśl nie przyszło, że to on występował jako improwizator. Otóż to właśnie było powodem wspomnianej sceny pojednania. Trzeba ci wiedzieć, że on jest, że tak powiem, synem naszego domu. Nieprawda, Antonio? – Skłoniłem się, dodając spojrzenie pełne wdzięczności. – Wyborny z niego chłopiec! Jego charakterowi nie można nic zarzucić, ale uczyć się nie ma ochoty!

– Ale kiedy wszystko łatwiej wyczytać może z wielkiej księgi przyrody, po co się ma dręczyć nauką z ksiąg drukowanych?

– Nie psuj go pan pochwałami – rzekła Francesca żartobliwie. – Myśleliśmy, że siedzi po uszy wśród klasyków, w fizyce i matematyce, a on tymczasem romansuje z jakąś młodą śpiewaczką z Neapolu!

– To dowodzi jego delikatnych uczuć! – odparł Gennaro. – Czy ładna? Jak się zwie?

– Annunciata – odpowiedziała Francesca – wielce utalentowana dziewczyna!

– Ja sam się w niej kiedyś kochałem! – wtrącił Fabiani. – Dobry uczynił wybór, zdrowie Annunciaty, panie improwizatorze. – To mówiąc, trącił w mój kieliszek, a ja nie mogłem się ani na jedno słówko zdobyć, tak mnie to dręczyło, że Fabiani nielitościwie odsłania moje rany, lecz on całkiem inaczej na wszystko się zapatrywał.

– Tak – mówił dalej – pojedynekował się nawet o nią z siostrzeńcem senatora i ranił go; byli rywalami; dlatego musiał uciekać. Bóg wie, jakim sposobem przebył granicę. Naraz występuje na teatrze San Carlo. Śmiałość, jakiej bym się po nim nie spodziewał!

– Siostrzeniec senatora? – powtórzył Gennaro. – To ciekawe! Przybył tu w ostatnich dniach i wstąpił do królewskiego pułku; przystojny, bardzo zajmujący młodzieniec. Ach, teraz wszystko

rozumiem! Annunciata także niezadługo przybędzie, kochanek ją poprzedził, przygotuje dla niej gniazdko i wkrótce będziemy czytali po rogach ulic, że śpiewaczka występuje po raz ostatni.

– Sądzi pan, że się z nią ożeni? – zapytała signora Francesca. – To by było hańbą dla rodziny!

– Mamy dowody – rzekłem drżącym głosem – że już nie raz szlachcic żenił się z artystką i czuł się zaszczycony i szczęśliwy.

– Szczęśliwy, może – przerwała – ale zaszczycony, nigdy!

– To prawda, zacna pani – rzekł Gennaro – co mówi Antonio, ja bym się czuł zaszczycony, gdyby jej wybór padł na moją osobę, to samo myślę o każdym innym.

Rozmawiali dużo, bardzo dużo o niej i Bernardzie, nie domyślając się wcale, jakiego ciężaru przydawało każde ich słowo mojemu sercu.

– Ale musi nas pan rozweselić jakąś improwizacją. Signora poda temat.

– Doprawdy! – rzekła Francesca z uśmiechem. – Improwizuj nam o miłości! Jest to przedmiot zajmujący pana Gennaro, tobie także znajomy.

– Tak, tak! Miłość i Annunciata! – zawołał Gennaro.

– Innym razem, co tylko państwo zażądacie – odpowiedziałem – lecz dzisiaj niepodobna! Nie czuję się zupełnie zdrow, przepłynąłem przez zatokę zbyt lekko ubrany, przy strumieniu lawy było bardzo gorąco, potem znów jechałem chłodną nocą.

Gennaro prosił mnie usilnie, abym improwizował; lecz w tym miejscu i na ten temat nie byłem zdolny.

– Już nabrał artystowskiego zwyczaju – rzekł Fabiani – każe się przymuszać! Nie pojechałbyś z nami do Paestum? Tam znajdziesz do poezji treści dosyć. Czy i w tym będziesz się drożył? Zapewne w Neapolu nie masz nic, co by cię wiązało.

Ukloniłem się zmieszany, czując, że się od tego wymówić nie zdołam.

– Musi jechać z nami! – zawołał Gennaro. – A gdy stanie w świątyniach greckich, zstąpi na niego duch i śpiewać będzie jak Pindar.

– Jutro wyjeżdżamy – dodał Fabiani. – Cała wycieczka zabierze cztery dni. W drodze powrotnej obejrzymy Amalfi i Capri. Jakże? Jedziesz z nami?

Jedno „nie” byłoby może, jak się okaże później, cały mój los zmieniło. Owe cztery dni podróży skróciły mi życie młodzieńcze o sześć lat – i człowiek nazywa się wolnym? Prawda, że możemy chwycić wątki przed nami rozpostarte, lecz nie widzimy, jak są powikłane.

Przyjąłem to wezwanie z wdzięcznością i podjąłem tym sposobem nić życia, która zasłonę mojej przyszłości ściągnęła w jeszcze gęstsze fałdy.

– Jutro się zobaczymy! – rzekła Francesca, gdyśmy wstali od stołu. Tym razem podała mi rękę do pocałunku.

– Jeszcze dzisiaj napiszę do *eccellenzy* – szepnął mi Fabiani do ucha. – Przygotuję wstęp do pojednania.

– A ja będę marzył o Annunciacie! – zawołał Gennaro. – Wszakże nie potrzebuję się obawiać za to wyzwania? – dodał z uśmiechem, ściskając mi rękę.

Napisałem kilka słów do Federiga, donosząc o zejściu się z rodziną Borghese i zaplanowanej wycieczce w okolice południowe. Złożyłem list, a tysiące uczuć kołatało w mej piersi. Ileż to różnych rzeczy przyniósł mi ten wieczór! Ileż najrozmaitszych zdarzeń naraz się poplątało!

Myślałem o Sancie, o Bernardzie przy płonącym obrazku Madonny i o ostatnich godzinach spędzonych wśród dawniejszych stosunków. Wczoraj oddawało mi cześć zupełnie obce

zgromadzenie. Byłem uwielbiany i podziwiany, dzisiaj jeszcze błagała mnie piękna kobieta o jedno czułe spojrzenie, a kilka godzin potem znalazłem się wśród znajomych i przyjaciół, którym wszystko byłem winien, i zostałem znowu biednym chłopcem, którego główną powinnością była wdzięczność.

Ale Fabiani i Francesca byli dla mnie nadzwyczaj uprzejmi. Przyjęli marnotrawnego syna, dali mi miejsce przy swoim stole, zaprosili na jutrzejszą przejażdżkę, obsypali dobrodziejstwami, byłem im miły. Ach, dary podawane lekką ręką bogaczy stają się ciężarem na sercu dla biednych!

XX

Podróż do Paestum. Świątynie greckie. Niewidoma dziewczyna

Piękność Włoch nie w Kampanii, nie w Rzymie; poznałem ją tylko z wędrowki nad jeziorem Nemi i z tego, co widziałem w drodze do Neapolu. Dlatego tym silniej, więcej nawet niż cudzoziemca, który widział piękności innych krajów i może czynić porównanie, przejąć mnie musiała ta przecudowna piękność. Widoki z owego czasu są dotąd w oczach moich, jak ów świat zaczarowany, który w snach widywałem. Lecz niezdolny jestem skreślić obraz, który się odbił w duszy mojej i, że tak powiem, w krew zamienił.

Piękności przyrody żadna powieść przedstawić nie zdoła. Wyrazy składają się pojedynczo jak kawałeczki mozaiki, obraz powstaje częściowo, nie przejmie nas wspaniałość doraźnej całości, jak w naturze – zawsze pozostaną puste przestrzenie. Podając pojedyncze części, każemy obcemu składać sobie z nich całość; lecz gdybyśmy mogli widzieć, jak każdy z osobna ten obraz pojmuje, ujrzelibyśmy go w stu rozmaitych postaciach. Tak się dzieje z przyrodą, jak z piękną twarzą, z części pojedynczych nie zdołamy powziąć wyobrażenia o całości, trzeba się uciekać do znajomego przedmiotu i dopiero wtedy, jeżeli z matematyczną pewnością powiedzieć możemy, że do siebie są podobne, wyjąwszy drobne szczególiki – nabywamy jako tako zadowolające wyobrażenia.

Gdyby mi jednak kazano improwizować o piękności hesperyjskiej krainy, przedstawiłbym w wiernych rysach, co widziałem, a ty, co nigdy Włoch południowych nie oglądałeś, chociażbyś wszystką ich piękność najbujniejszą fantazją ubarwił, jeszcze byś nie utworzył dokładnego obrazu, bo fantazja przyrody przewyższa ludzką.

Przecudny był poranek, kiedyśmy wyjeżdżali z Castellamare. Jeszcze dziś widzę dymiący Wezuwiusz, piękną dolinę na górze z rozległymi winnicami, gdzie winogrona rozwieszają się girlandami od drzewa do drzewa, a białe zamki wiszą na zielonawych skałach wysoko, wysoko, albo świecą na pół zakryte w oliwnych gajach. Dotąd widzę starożytną świątynię Westy z jej marmurowymi filarami i kopułą, dzisiaj zamienioną w kościół, nazwany Santa Maria Maggiore. Kawałek muru się wywrócił, czaszki i kości zapełniały ten wyłom, a zielone dzikie winorośle zwiesiły nad nimi gałązki, jakby jędrnym liściem swoim chciały oczom ludzkim zasłonić panowanie i krainę śmierci.

Widziałem w dali góry dziwnego kształtu, samotne wieżyce, gdzie porozpinano siatki na przelatujące ptaki morskie; w dole leżało Salerno nad brzegami modrego morza, a tuż koło nas przejechała kawalkada, która mi cały ten obraz jeszcze mocniej w pamięć wdrożyła. Para białych wołów z sążnistymi rogami ciągnęła wóz, na którym siedziało czterech rozbójników okutych w kajdany, patrzących dziko, bluzgających szkaradne szyderstwa. Czarnoocy Kalabryjczycy o dorodnych postaciach z bronią na ramieniu jechali konno po bokach.

W dniu pierwszym celem naszej podróży było Salerno sławne naukami w wiekach średnich.

– Księgi w proch się rozsypują, sława naukowa Salerno przygasła! – zawołał Gennaro. –

A księga natury ukazuje się co rok w nowym wydaniu. Nasz Antonio myśli tak samo jak ja, z tej księgi więcej się nauczyć można niż z uczonych pyłów.

– Z obu nam się uczyć trzeba! – odpowiedziałem. – Wino i chleb powinny znajdować się obok siebie.

Signora Francesca przyznała, że moja odpowiedź była rozsądna.

– Na wymowie mu nie zbywa – zauważył Fabiani – lecz na czynach. A więc i te musisz okazać, Antonio, gdy wrócisz do Rzymu!

„Do Rzymu? Ja do Rzymu?” Jeszcze na tę myśl nie wpadłem; zamilkłem, ale w duszy zbudziły się żywe uczucia na samo wspomnienie, że znów zobaczyć mogę Rzym i wrócić jeszcze do dawnych stosunków.

Fabiani rozmawiał ciągle z innymi i wkrótce stanęliśmy w Salerno. Pierwsze kroki skierowaliśmy do kościoła.

– Tutaj mogę posłużyć za cicerona – rzekł Gennaro. – To kaplica Grzegorza siódmego, papieża, który umarł w Salerno. Oto jego posąg z marmuru tam na ołtarzu. Tu leży Aleksander Wielki – mówił dalej, wskazując wspaniały sarkofag.

– Aleksander Wielki? – powtórzył z powątpiewaniem Fabiani.

– Tak jest! Czy nie prawda? – zapytał Gennaro kościelnego.

– Jak *eccellenza* powiada! – odpowiedział tenże.

– To omyłka! – zawołałem, przypatrując się bliżej nagrobkowi. – Aleksander nie tu spoczywa, to przeciw podaniom historycznym! Oto na sarkofagu wyryty pochód triumfalny Aleksandra, stąd zapewne poszło jego nazwisko.

Zaraz na wstępie do kościoła widzieliśmy podobny sarkofag z pochodem triumfalnym Bachusa, wywieziony z którejś świątyni w Paestum i użyty na pomnik grobowy dla jakiegoś salernejkiego księcia, którego posąg nowożytny z marmuru, naturalnej wielkości, stał nad sarkofagiem. Do tego się odwołując, wnosilem, że tak samo zapewne rzecz się ma z sarkofagiem Aleksandra. Ucieszony, że pierwszy wpadłem na tę myśl, stawałem się coraz wymowniejszy, na co Gennaro odparł oziębło:

– Być może.

Signora Francesca zaś szepnęła mi do ucha, że to nie wypada, ażebym się okazywał mędrszym od Gennara, że zresztą sam tego nie wiem z pewnością. Umilkłem i ustąpiłem z uszanowaniem.

Kiedy dzwoniło na Anioł Pański, siedziałem sam z Franceską w wielkiej altanie na dachu domu. Fabiani i Gennaro wyszli na przechadzkę, mnie polecono bawić panią.

– Jaka cudna gra kolorów – rzekłem, wskazując na morze rozciągające się niczym olbrzymia szyba mlecznego szkła od ulicy wyłożonej taflami lawy aż do różowego widnokągu. Górzyste wybrzeże jaśniało kolorem tak niebieskim jak indygo. Tak pysznych kolorów nigdy nie widziałem w Rzymie.

– Ten obłoczek już powiedział: *Fellicissima notte* – rzekła Francesca, wskazując ku górom, gdzie zawisł obłok wysoko ponad willami i oliwnymi gajami, ale głęboko w dole pod starożytnym grodem sięgającym basztami aż do szczytów gór panował jeszcze dzień.

– Tam bym chciał żyć i mieszkać! – zawołałem. – Jeszcze wyżej niż ten obłok i patrzeć na wiecznie mieniące się morze.

– Tam byś mógł improwizować – rzekła z uśmiechem – ale nikt by cię nie słyszał, a to by

było szkoda, Antonio!

– Prawda! – odpowiedziałem równie żartobliwie – bo jeżeli mam szczerze wyznać, to życie bez oklasków jest jak drzewo bez światła słonecznego. To zapewne równie okropnie dręczyło Tassa w więzieniu, jak nieszczęśliwa miłość.

– Kochany przyjacielu! – przerwała mi z powagą. – Teraz mówimy o tobie, a nie o Tassie. Skąd ci przyszło do głowy, aby o nim mówić?

– Tylko dla przykładu – odpowiedziałem – Tasso był poetą, a...

– Ty myślisz, że także nim jesteś! Na Boga, kochany Antonio, nie wspominaj nigdy nieśmiertelnego imienia, kiedy mowa o twoim! Nie myśl przecież, iż jesteś już poetą, improwizatorem. Wiem, że posiadasz żywy umysł i żywą wyobraźnię, ale takich jak ty są tysiące! Nie czyńże się sam nieszczęśliwy.

– Ależ mi niedawno tysiące sypały oklaski – odpowiedziałem zarumieniony – naturalnie więc, że mam tę myśl, takie przekonanie, a wiem także, iż się pani cieszy moim szczęściem i wszystkim, co we mnie dobrego.

– Nikt ze wszystkich przyjaciół twoich tak bardzo jak ja! Cenimy twoje wyborne serce, twój szlachetny charakter; dla tych właśnie dwóch przymiotów *eccellenza* ci przebaczy, już dzisiaj cię zapewniam. Masz wielkie zdolności, które się mogą rozwinać, ale o to trzeba się w rzeczy samej postarać, Antonio! Nic nie przychodzi samo, trzeba też pracować. Talent twój jest piękny w towarzyskim kole, możesz wielu przyjaciół nim bawić; ale nie dość wielki, aby występować publicznie.

– A jednak – odważyłem się wtrącić – Gennaro, który mnie nie znał, unosił się nad moim pierwszym wystąpieniem.

– Gennaro? – powtórzyła. – Ja niewiele cenię jego zdanie o sztukach pięknych, pomimo że go poważam; a cóż dopiero zdanie licznego zgromadzenia! Ach! Często zupełnie inny ma słuch artysta niż wszyscy inni; to jeszcze szczęście, że cię nie wygwizdano; co bardzo by mnie zmartwiło. Tak zaś skończyło się wszystko spokojnie, a niezadługo pójdziesz w zapomnienie i ty, i twoja improwizacja. Występowałeś nawet pod przybranym nazwiskiem. Za trzy dni dotrzemy do Neapolu, a dzień później wyruszymy z powrotem do Rzymu! Potraktuj to wszystko jako sen, którym było rzeczywiście, i okaż nam pilnością i wytrwałością, żeś się znowu przebudził. Tylko mi nie przerywaj! Ja ci dobrze życzę, tylko ja jedna mówię ci prawdę.

Na drugi dzień wyjechaliśmy o świcie, aby się dostać do Paestum, zabawić tam parę godzin i jeszcze tego samego dnia wrócić do Salerno, bo nocować w Paestum nie można i droga tam niebezpieczna. Konni żandarmi towarzyszyli nam jako straż.

Po obu stronach ciągnęły się ogrody pomarańczowe, a raczej lasy; przejeżdżaliśmy przez rzeczkę Sela, w której czystych wodach przeglądały się płaczące wierzby i krzewy laurowe. Góry dziwnego kształtu otaczało żyzne pole zasiane żytem. Aloesy i kaktusy rosły dziko przy drodze; wszędzie widać było niezmierną bujność i ujrzelśmy przeszło dwa tysiące lat mające w najczystszej i najpiękniejszej stylu zbudowane świątynie, które wraz z nędzną szynkownią, trzema kamieniczkami i kilkoma chatami z trzciny składały się dziś na sławne niegdyś miasto. Nie widać tu teraz ani jednego krzaczka róży, a niegdyś słygnęło Paestum z obfitości i piękności róż; niegdyś całe pola strojne były purpurową barwą, a teraz niebieskie, wiecznie niebieskie, jak ów łańcuch gór, wonne fiołki okrywały tę obszerną równinę, wyrastając spomiędzy ostów i ciernia. Widać było wszędzie wielką, ale zdziczałą bujność. Aloesy, dzikie figi i czerwone *Pyrethrum indicum*¹ czepiały się jedno drugiego.

Tutaj widać sycylijską przyrodę w całym jej dzikim przepychu, greckie świątynie i nędzę. Otaczały nas całe tłumy żebraków podobnych do dzikich ludzi na wyspach południowego oceanu; mężczyźni w długich kozuchach i boso, z długim czarnym włosiem zwieszającym się na brunatnożółte twarze; dziewczęta pięknej kibici półnagie w czarnych sukienkach, podartych aż do kolan, a odziane jakimiś płaszczkami z brzydkiej ciemnej materii, z długimi kruczymi włosami związanymi w pęk, z oczyma pełnymi ognia!

Spostrzegłem pomiędzy nimi dziewczynkę ledwo jedenaście lat mającą, wyglądającą jak bogini piękności, a jednak niepodobną ani do Annuniaty, ani Santy. Mimo woli przypomniałem sobie medycejską Wenus, o której mi powiadała Annunziata. Nie mogłem jej kochać, lecz podziwiałem, korzyłem się głęboko przed jej urodą.

Stała cokolwiek oddalona od żebraków, na jednym ramieniu zawieszony miała kawałek ciemnej materii, drugie zaś i ręce były zupełnie odsłonięte, nogi boso. Że jednak miała zmysł i upodobanie w stroju, dowodziły tego gładko zaczesane i ładnie ułożone włosy, w których zatknęła pęczek fiołków nad pięknym czołem. Na jej policzku widać było wstydlivość, dużo duszy i szczególny wyraz głębokiej bolesti. Oczy miała spuszczone, jakby szukała czegoś na ziemi.

Pierwszy spostrzegł ją Gennaro, a chociaż ust nie otworzyła, dał jej sowitą jałmużnę, pogłaskał pod brodę i powiedział, że za piękna dla warunków, w jakich zostaje. Fabiani i signora Franceska byli tego samego zdania. Spostrzegłem lekki rumieniec na śniadej twarzy dziewczynki, podniosła oczy i zauważyłem, że była niewidoma.

Chętnie bym i ja dał jej jałmużnę, lecz nie śmiałem. Kiedy towarzystwo moje ścigane przez żebraków weszło do osterii, powróciłem czym prędzej i wsunąłem jej w rączkę skuda. Musiała dotknięciem poznać, jaki to pieniądz, bo żywy rumieniec twarz jej oblał, skłoniła się głęboko, a jej piękne usta dotknęły mojej ręki; uciekłem najszybciej jak potrafiłem i udałem się za moimi towarzyszami.

Na kominie prawie tak szerokim jak cała izba paliły się wielkim płomieniem gałęzie. Dym wił się po okopconej powale, nie mogliśmy wytrzymać; przygotowywano do śniadania w cieniu wysokich wierzb płaczących, a my poszliśmy tymczasem zwiedzić świątynie. Musieliśmy się stamtąd przedzierać przez zarośla, drózkami nie bardzo utorowanymi. Fabiani i Gennaro uchwycili się na krzyż za ręce i utworzyli w ten sposób lektykę dla signory.

– Okropna przechadzka! – zawołała, śmiejąc się.

– O, *eccellenza* – rzekł jeden z przewodników – teraz to jeszcze, ale przed trzema laty nie można się tu było przedrzeć przez osty, a gdy byłem dzieckiem, to te filary były do połowy prawie ukryte w piasku i ziemi.

Cała gromada potwierdziła jego słowa i tak szliśmy dalej, a za nami cały tłum żebraków przypatrujący się nam w milczeniu. Na którego tylko spojrział kto z nas, choć przypadkiem, zaraz wyciągał mechanicznie rękę i wymawiał: *miserabili*. Ładnej niewidomej dziewczynki nie spostrzegłem, siedziała zapewne jeszcze przy drodze. Przechodziliśmy przez ruiny teatru i świątyni pokoju.

– Teatr i pokój! – zauważył Gennaro. – Jak mogli stać zgodnie tak blisko siebie?

Dalej spostrzeżliśmy świątynię Neptuna. Na nią, potem zwaną Bazyliką, i na świątynię Cerery składają się wspaniałe, przepyszne ruiny, które jak pompejańskie, w nowszych czasach z zapomnienia i ziemi odgrzebano. Zarosłe zielskiem, zasypane gruzami spoczywały całe wieki w ukryciu, aż jakiś cudzoziemski malarz, szukający pięknych widoków, przyszedłszy tutaj,

odkrył wierzchołki filarów. Ich piękność bardzo go zajęła; naszkicował je, dowiedziano się o nich tym sposobem w świecie, odgrzebano z gruzów, oczyszczono z zielska i otóż stoją te wielkie otwarte przysionki, jakby dopiero co zbudowane. Filary są z żółtego trawertynu, dzikie winorośle oploty je swymi gałązkami, dzikie figi rozpościerają się po posadzkach, a w szczelinach rosną fiołki i ciemnoczerwone lewkonie.

Siedliśmy na podstawie rozbitego filaru. Gennaro odpędził żebraków, zażywaliśmy spokojnie wszystkich przyjemności otaczającej nas bogatej przyrody. Niebieskie góry, przyległe morze, samo to miejsce, gdzieśmy się znajdowali – budziły we mnie najżywsze zajęcie.

– Zaimprovizuj nam cokolwiek bądź – rzekł Fabiani, a Francesca powtórzyła jego życzenie.

Oparłszy się o najbliższy filar, począłem śpiewać na melodię z lat dziecińczych o wszystkim, na co patrzyłem, o piękności przyrody i wspaniałych pomnikach sztuki. Wspomniałem biedną niewidomą dziewczynkę, dla której wszystkie te cudowne rzeczy były zasłonięte. Podwójnie biedna, podwójnie opuszczona. Oczy moje zaszyły łzami, Gennaro zaklaskał w dłonie, a Fabiani i jego małżonka stwierdzili, że jestem czuły!

Zeszli ze schodów świątyni, ja szedłem powoli za nimi, za filarem, przy którym stałem, siedziała, a raczej leżała pod krzakiem wonnej mirty jakaś istota z głową na kolana pochyloną, z załamanyimi rękoma – było to niewidome dziewczę.

Słyszała mój śpiew, słyszała, jak opiewałem jej gorące pragnienie tego, na czym jej zbywało, serce mi się ścisnęło. Schyliłem się nad nią – ona, posłyszawszy szelest liści, podniosła głowę; zdawało mi się, że pobladła. Nie śmiałem się poruszyć. Słuchała!

– Angelo! – zawołała półgłosem.

Nie wiem sam dlaczego, ale wstrzymałem oddech. Ona siedziała chwilę nieruchoma, milcząca. Wyglądała jak grecka bogini wdzięków, z okiem bez siły wzroku, przenikającym jednak duszę, jak niegdyś mówiła Annunciata. Siedziała na podnóżu świątyni, wśród dzikich fig i krzewów wonnego mirtu, przyciskając z uśmiechem jakiś przedmiot do ust.

Był to mój skudo, wzruszyło mnie to nadzwyczaj, mimowolnie schyliłem się jeszcze bardziej i złożyłem pocałunek na jej czole.

Zakrzyknęła przeraźliwie, aż dreszcz przeszedł moje serce. Jak spłoszona łania zerwała się z miejsca i znikła. Zaćmiło mi się w oczach, zacząłem uciekać przez osty i krzaki.

– Antonio! Antonio! – usłyszałem wołającego mnie Fabianiego i wnet się opamiętałem.

– Czy zające gonisz? – zapytał. – Czy też był to twój lot poetycki?

– On chce nam pokazać – rzekł Gennaro – że umie latać tam, gdzie my za ledwie powolnym krokiem przejść możemy, jednak mógłbym pójść z nim w zawody. – I stanął koło mnie, szykując się do wyścigów.

– Myślicie, że ja z moją signorą pod rękę będę mógł wam dotrzymać kroku? – zapytał Fabiani, a Gennaro natychmiast stanął.

W drodze do osterii daremnie wypatrywałem niewidomej dziewczyny. Ciągłe jeszcze brzmiał mi w uszach jej okrzyk. Zdawało mi się, że słyszę w nim silne bicie własnego serca. Tak byłem zmartwiony, jakbym jakiś grzech popełnił. Najpierw napełniłem jej duszę, aczkolwiek niewinnie żalem i boleścią, opisaawszy jak najdokładniej jej kalectwo, potem przestraszyłem ją okropnie pocałunkiem w czoło, pierwszym, który w moim życiu dałem kobiecie. Gdyby na mnie patrzyła, nie byłbym się na to odważył; jej nieszczęście, jej bezbronność ośmieliły mnie do tego. A ja tak surowo potępiałem Bernarda; ja – sam grzesznik, jak on, jak wszyscy. Byłbym przed nią

zgiął kolana i prosił o przebaczenie, ale nigdzie jej nie mogłem znaleźć.

Wsiadliśmy do powozu, aby wrócić do Salerno, jeszcze raz obejrzałem się za nią, ale zapytać nie miałem śmiałości. Wtem odezwał się Gennaro:

– Gdzie ta niewidoma dziewczynka?

– Lara? – zapytał nasz przewodnik. – Siedzi zapewne w świątyni Neptuna, gdzie najczęściej przebywa.

– *Bella divina!* – zawołał Gennaro i ręką przesłał pocałunek od ust ku świątyni. – No, jedźmy!

Więc na imię jej Lara. Siedziałem tyłem do koni i patrzyłem, jak filary świątyni powoli znikają w oddaleniu, lecz w moim sercu jeszcze się odzywał krzyk trwogi dziewczynki – sam tę boleść czułem. Na drodze rozłożyła się gromada Cyganów, a w rowie palił się duży ogień, przy którym sobie gotowali i piekli. Stara Cyganka bębniła na tamburynie i chciała nam wróżyć, ale przejechaliśmy dalej. Dwie czarnookie dziewczyny biegły kawał za nami. Były ładne, a Gennaro wychwalał ich lekki bieg i ognisty wzrok; lecz piękne i szlachetne jak Lara nie były.

Przed wieczorem przybyliśmy do Salerno, aby na drugi dzień puścić się do Amalfi i Capri.

– Jeden tylko dzień zabawimy po powrocie w Neapolu – rzekł Fabiani. – W końcu tego tygodnia musimy wrócić do Rzymu. Zapewne swoje interesy wkrótce załatwisz, Antonio?

Nie mogłem i nie chciałem wracać do Rzymu, ale pewna nieśmiałość i bojaźliwość, jaką mi ubóstwo i wdzięczność na całe życie w duszę zaszczepiły, ledwo na taką odpowiedź zdobyć mi pozwoliła:

– *Eccellenza* zapewne by się rozgniewał, że ośmieliłem się powrócić!

– Wszystko bierzemy na siebie – przerwał Fabiani.

– Wybacz, pani! Ale ja nie mogę pojawić się znowu w Rzymie – wyjąkałem, uchwyciwszy rękę signory Franceski. – Czuję głęboko, jak wiele jestem pani winien...

– Ani słowa o tym, Antonio! – odpowiedziała, kładąc mi dłoń na ustach.

Wtem oznajmiono gości.

Milcząc, usunąłem się w kąt pokoju, zmartwiony własną słabością. Dopiero dwa dni temu byłem wolny i niepodległy, jak ptak w powietrzu, a ten, który nie dopuści ani wróblikowi spaść na ziemię, byłby i o mnie pamiętał. Jednak pozwoliłem, ażeby słaba nić nogi moje wiążąca zamieniła się w kajdany. Myślałem sobie: w Rzymie także masz przyjaciół prawdziwych i szczerych, choć nie tak uprzejmych jak w Neapolu. Myślałem o Sancie, której postanowiłem nie odwiedzić nigdy; o Bernardzie, z którym w Neapolu mogłem się co dzień spotkać; o Annunciacie, która tam także miała przybyć, wreszcie o jego i jej miłości wzajemnej. „Do Rzymu, do Rzymu jedź – daleko lepiej zrobisz!” – szeptało mi serce, gdy tymczasem duch wydzierał się do wolności i niepodległości.

¹ Złocien (Chrysanthemum) – rodzaj roślin należący do rodziny astrowatych. Należy do niego 37 gatunków pochodzących głównie z Azji Wschodniej, dwa tylko gatunki występują naturalnie również w Europie.

XXI

Przygoda w Amalfi. Capri. Niebieska grotta

Kiedy nazajutrz w piękny poranek puściliśmy się statkiem na morze, prześlicznie stamtąd wyglądało Salerno. Sześciu dzielnych chłopaków wzięło się do wiosł, u steru siedział chłopiec tak ładny, że tylko go malować, imieniem Alfonso. Woda była szklisto zielona, wybrzeża po obu stronach podobne do olbrzymich ogrodów wiszących, jakie chyba Semiramis za pomocą najbujniejszej fantazji założyć była zdolna. Jaskinie nadbrzeżne od morza otwarte były jakoby arkady, w których się ustawicznie piętrzyły ogromne bałwany. Na wystającym szczycie skały stał zamek, poniżej jego murów słańiał się obłoczek. Widać było Minori i Maiori, a wkrótce potem rodzinne miasto Masaniella i Flawiusza Gioi, który udoskonalił kompas – Amalfi, wyzierające spośród zielonych winnic.

Tyle piękności w jednym miejscu nagromadzonych oczarowało mnie zupełnie. Oby wszystkie narody ziemi oglądać mogły te cuda przyrody! Żaden wichur ani z północy, ani z zachodu nie przywieje zimy w ten kwitnący ogród, na którego terasach zbudowano Amalfi. Tylko od wschodu i południa wieją łagodne, ciepłe wiatry z krainy palm i pomarańczy, przez piękne morze.

Miasto wisi nad brzegiem morskim wysoko, na stoku góry, świecąc z dala białymi domkami o płaskich wschodniej budowy dachach, a wyżej nad nim zielenią się winnice. Na grzbiecie góry, gdzie stary zamek z murem obronnym za łożę służy obłokom, samotna pinia wznosi zieloną koronę ku niebu.

Rybacy musieli nas przez łamiące się fale wynieść na ląd. Głębokie jaskinie w skałach ciągną się aż pod miasto; w niektórych pluskała wysoko woda, inne były próżne, leżały w nich łodzie wyrócone na boki, a w tych bawiły się gromadki wesołych dzieci po większej części tylko w koszulkach albo kaftanikach, stanowiących cały ich ubiór. Na pół nadzy *lazzaroni*, zażywając południowego spoczynku, leżeli na ciepłym piasku, naciągnawszy na oczy i uszy brunatne kaptury będące główną częścią ich ubioru. Uderzono we wszystkie dzwony, koło nas przeszedł szereg młodych księży w liliowych sutannach, śpiewając psalmy. Wieniec świeżych kwiatów zdobił skronie obrazu Chrystusa.

W lewej stronie, nad samym brzegiem głębokiego parowu, stoi wysoko nad miastem wspaniały klasztor – jest to gospoda dla wszystkich podróżnych. Signorę Franceskę niesiono w lektyce, my szliśmy za nią pieszo, drogą w skale wykutą. Przezroczyste a niebieskie morze rozlewało się głęboko w dole. Stanęliśmy u bramy klasztoru, głęboki parów rozwierał swą paszczę tuż koło nas. Stały w nim trzy krzyże: Chrystusa Pana i dwóch złoczyńców, a nad nimi, na wypukłościach skały, klęczeli aniołowie w różnobarwnych szatach z wielkimi białymi skrzydłami. Nie były to dzieła sztuki, ale grubo z drzewa wyciosane figury, lecz pobożna dusza tchnie swoją własną piękność w te niekształtne obrazy.

Wkrótce weszliśmy przez mały dziedziniec klasztorny do przeznaczonych nam pokoi. Z mego okna miałem widok na rozległe morze aż do Sycylii, na dalekim widnokręgu świeciły statki białymi żaglami, jak srebrzyste gwiazdki.

– Panie improwizatorze! – rzekł Gennaro. – Nie zeslibyśmy w niższe sfery, aby się przekonać, czy i tam tak pięknie jak tutaj? Kobięce piękności z pewnością tam znajdziemy! Angielki, które mieszkają w naszym sąsiedztwie, bardzo zimne i blade! Pan także lubisz kobiety! Wszakże to one wypędziły pana w świat, a mnie zapewniły tym sposobem przyjemny wieczór i zajmującą znajomość.

Zeszliśmy skalistą dróżką w dolinę.

– Niewidoma dziewczynka w Paestum była piękna – mówił Gennaro. – Myślę, żeby ją sobie sprowadzić do Neapolu, razem z kilku antałkami kalabryjskiego wina. W sam raz się nadadzą, żeby moją krew wzburzyć.

Weszliśmy tymczasem do miasta tak dziwnie spiętrzonego, że Getto rzymskie wydałoby się obok niego jak Corso. Pomiędzy wysokimi kamienicami ciągnęły się ulice wąskie jak korytarze. Przechodziliśmy przez długi przedsionek mający w ścianach małe otwory, prowadzące do ciemnych pokoi; potem wąską uliczką, między murami i ścianami skał się wijącą – to znowu przez labirynt ciemnych, okopconych korytarzy i często nie wiedziałem, gdzie jestem, czy w pokoju jakimś, czy na ulicy. W wielu też miejscach paliły się lampy, bo inaczej byłoby zupełnie ciemno, choć to był jasny dzień.

Nareszcie odetchnęliśmy wolniej, stanąwszy na dużym murowanym moście łączącym szczyty dwóch skał. Mały plac znajdujący się w dole pod nami był niewątpliwie największy w całym mieście. Dwie dziewczynki tańczyły tam saltarello, a na uboczu stał naguteńki, ogorzały chłopczyk, ładny jak amorek, i przypatrywał się tańczącym. Tutaj nigdy nie ma zimy, powiadano mi, że największe zimno w Amalfi w ostatnich kilku latach było osiem stopni.

Tuż koło wieżyczki wzniesionej na wystającej skale, skąd widać piękną zatokę aż do Maiori i Minori, wije się wąska ścieżka pomiędzy aloesami i mirtami, a wkrótce zakryły nas wysokie zasklepiające się winorośle.

Uczuliśmy wielkie pragnienie, udaliśmy się więc do białego domku, który czołem zwrócony ku morzu wyglądał bardzo ładnie spomiędzy zielonych drzew. Miłe, ciepłe powietrze tchnęło przyjemnie wonią, a wszędzie uwijały się, brzęcząc, prześliczne, żywych kolorów owady.

Domek, do którego się zbliżyliśmy, wyglądał bardzo malowniczo. Dla ozdoby wmurowano w ścianę kilka nagłówek filarów i w gruzach znalezioną piękną rękę i nogę z marmuru. Nawet na dachu był śliczny ogródek z pomarańczy i bujnych wiklin, które jak aksamitne zielone kobierce zwieszały się na ściany. Przed domkiem kwitło mnóstwo róż. Dwie bardzo ładne dziewczynki sześć do siedmiu lat mające bawiły się splataniem wieńców, ale najpiękniejsza była młoda kobietka w białej płóciennej chustce na głowie, stojąca w progu.

Oko jej było nadzwyczajnie żywe, rzęsy czarne a długie, postać cała szlachetna, trudna do opisanía. Powitaliśmy ją zdjęci podziwem.

– Najpiękniejsza kobieta jest, jak widzę, właścicielką tego domu? – zapytał Gennaro. – Czy nie byłaby gospoia tak dobra podać znużonym podróżnikom chłodnego napoju?

– Gospoia chętnie to uczyni – odpowiedziała z uśmiechem, a białe ząbki dodały jeszcze więcej powabu jej czerwonym ustom. – Zaraz przyniosę wina, ale mam tylko jeden rodzaj.

– Jeżeli wy będziecie nalewać, to okaże się wyborne – rzekł Gennaro. – Najlepiej mi smakuje, kiedy je nalewa tak piękna, jak wy, dziewczeczka.

– Co dzisiaj musi *eccellenza* od mężatki przyjąć.

– Już macie męża? – zawołał Gennaro, śmiejąc się. – Taka młoda!

– O, ja już jestem bardzo stara! – odpowiedziała z uśmiechem.

– W jakim wieku? – zapytałem.

Ona spojrzała mi figlarnie w oczy i rzekła:

– Dwadzieścia osiem lat.

A miała ledwie szesnaście, ale ślicznie była rozwinięta. Hebe nie mogła być piękniejsza.

– Dwadzieścia osiem lat to ładny wiek, dobrze przy tym wyglądacie – odparł Gennaro. – Dawno już za mężem?

– Od dwudziestu lat – odpowiedziała. – Proszę spytać się moich córek.

Dziewczątka, które widzieliśmy bawiące się, nieśmiało teraz do nas przystąpiły.

– Czy to wasza matka? – zapytałem, choć byłem przekonany, że nieprawda. Spojrzały na nią z uśmiechem, kiwnęły główkami, że tak jest, a potem przytuliły się do niej z oznakami serdecznego przywiązania. Przyniosła nam wybornego wina, wypiliśmy jej zdrowie.

– Patrz! To jest poeta, improwizator! – rzecze Gennaro, wskazując na mnie. – On wszystkim Neapolitankom głowy pozawracał, ale nieczuły, jak kamień, szczególnie młodzieniec. Wyobraźcie sobie, on nienawidzi wszystkich kobiet. Nigdy jeszcze żadnej nie pocałował!

– To niepodobna! – rzekła, śmiejąc się.

– Ja zaś jestem inny! Ja lubię wszystko, co piękne, całuję wszystkie słodkie usta. Jestem jego nieodstępnym towarzyszem i przepraszam za niego świat i kobiety, gdziekolwiek jesteście. To mi się udaje, upominam się więc u każdej ładnej kobiety o całus, jak o rzecz słusznie mi się należąca, dlatego spodziewam się i tutaj odebrać moją należytość. – To powiedziawszy, uchwycił jej rączkę.

– Odmawiam tego i waszej, i tej *eccellenzy*, ja nie oddaję żadnych należności, tym zawsze się mój mąż zajmuje.

– A gdzie jest?

– Niezbyt daleko – odpowiedziała.

– Tak pięknej rączki nie widziałem nawet w Neapolu! – zawołał Gennaro. – Ile kosztuje złożenie na niej pocałunku?

– Skuda! – oznajmiła.

– A więc pocałunek w usta dwa razy tyle? – dodał.

– Ten wcale nie jest na zbyciu, bo mój mąż wszystkie dzierżawi! – I znowu dołała nam wina, śmiejąc się i dowcipkując równo z nami. Wśród tych żarcików dowiedzieliśmy się, że ma dopiero czternaście lat, a w zeszłym roku oddała swoją rączkę przystojnemu młodzieńcowi, który obecnie jest w Neapolu, a jutro powróci. Dziewczynki to jej siostry, bawiące przez czas nieobecności mężczyzn. Gennaro prosił ją o pęczek róż – pobiegła zaraz naciąć, a on obiecał jej za to karlina.

Daremnie prosił ją o jeden całusek, gadając tysiące słodkich pochlebstw i obejmując jej kibić. Ona się wydzierała, dąsała, ale potem znowu podchodziła, bo ją to widać bawiło. Gennaro, dobywszy luidora, liczył, ile to pięknych wstążek można za niego kupić, które by ślicznie przystroiły jej ciemne włosy – a wszystkie mogłaby mieć zaraz teraz za jedyny jeden całusek.

– Ten drugi *eccellenza* daleko lepszy – rzekła, wskazując na mnie. Krew zagrała w moich żyłach, uchwyciłem ją za rączkę, powiedziałem, żeby Gennara wcale nie słuchała, żeby nie patrzyła na kuszący pieniądz. Dodałem, że on niedobry człowiek, na którym powinna się zemścić, mnie dając pocałunek.

Zwróciła na mnie oczy.

– On tylko w jednym nie skłamał, co tu nagadał, że jeszcze żadnej kobiety nie całowałem. Zachowałem usta moje niepokalane, dopóki nie znajdę najpiękniejszej, dlatego spodziewam się, że mi tę cnotę nagrodzicie.

– A to mi przebiegły zwodziciel! – zawołał Gennaro. – Przewyższa nawet mnie, tak biegłego w tej sztuce!

– Pan ze swoim złotem jesteś zły człowiek – rzekła – i ażeby pokazać, że nic sobie nie robię ze złota ani z pocałunku, dam go poecie. – To powiedziawszy, ścisnęła lekko moją twarz rączkami, pocałowała mnie w usta i znikła zaraz za domem.

Po zachodzie słońca siedziałem w mojej celce w klasztorze i patrzyłem oknem na morze ubarwione różowym blaskiem i ogromnie wzburzone. Rybacy wyciągali swoje łodzie na piaszczyste wybrzeże, a ze wzrastającą ciemnością powiększało się światło gorejących świec – bałwany przybrały kolor modry. Wszędzie panowało najuroczystsze milczenie, tylko na brzegu morskim śpiewali rybacy z żonami i dziećmi chorał. Czyste i cienkie głosy dziecięce mieszały się z głębokim basem, serce moje rzewnych doznawało uczuć. Z podniebia spadła gwiazda i znikła za winnicami, gdzie mnie pocałowała trzpiotowata młoda narzeczona. Przypominając sobie jej ładną buzię, wspomniałem także niewidome dziewczę, ów obraz piękności na gruzach świątyni, lecz w głębi stała Annunciata i duchowo, i cieleśnie piękna – a zatem podwójnie. Pierś moja rozszerzyła się, dusza usychała z miłości, tęsknoty i pragnienia rozkoszy. Ów czysty ogień, który Annunciata roznieciła w moim sercu, znicz, którego była kapłanką, rozrzuciła sama i opuściła. Ten ogień palił teraz wszystkie cząstki mej istoty.

Dłużej nie mogłem znieść tego stanu; poszedłem nad morze, gdzie się rozbijały bałwany, gdzie rybacy śpiewali, a wiatry huczały do wtóru. Znowu zaszedłem na ten sam most, na którym byłem za dnia. Przesunęła się koło mnie jakaś postać odziana szerokim płaszczem, poznałem Gennara. Szedł dróżką wprost do białego domku, ja ruszyłem za nim. Przemknął się tuż pod oknem, z którego biło na nas światło.

Ukryłem się za zwieszającą się winoroślą tak, że mogłem oknem patrzeć do pokoju, tego znajdującego się w drugiej części domu; naprzeciwko było zupełnie takie samo okno; wysokie schodki prowadziły do pobocznej izdebki. Dziewczęta prawie całkiem rozebrane, w rozpuszczonych sukienkach klęczały przed stołem, na którym stał krzyżyk i lampa. Najstarsza siostra, gospodyni domu, klęcząca w środku, wyglądała jak Madonna z dwoma aniołami, żywy obraz ołtarzowy, jakby przez Rafaela malowany. Czarne oczy podniosła w górę, bujne włosy okrywały całe jej plecy i odsłonięte ramiona, ręce złożyła na piersi.

Serce moje żywo się poruszyło, ledwo śmiałem oddychać. Wtem powstały wszystkie trzy. Małe siostry zaprowadziła po schodkach do bocznej sypialni, a zamknawszy drzwi, zaczęła się krzątać po pierwszej izbie. Widziałem, że wyjęła z szuflady czerwony pugilares, oglądała go na wszystkie strony i uśmiechała się; miała nawet, jak się zdawało, chęć otworzyć go, lecz wstrząsnęła główką.

– Nie! – I wrzuciła go czym prędzej do szuflady, jakby ją ktoś spłoszył.

Zaraz potem usłyszałem lekkie pukanie do okna z tamtej strony domu, wprost naprzeciw mnie. Przestraszona spojrzała w tę stronę i słuchała – znów zapukano...

– *Eccellenza?* – zapytała głośno. – Czego chcesz? Czemu o tej godzinie przychodzisz? Na Boga! Ja się gniewam, bardzo gniewam o to.

On coś odpowiedział.

– Tak, prawda, tak jest! – rzekła. – Zostawił pan swój pugilares; moja mała siostra odnosiła go do hotelu tam na dole, aby go panu oddać, ale pan zapewne stoisz w klasztorze. Jutro rano byłabym go tam sama przyniosła, oto jest!

To mówiąc, wydobyla pugilares, on znowu coś mówił. Ona potrząsnęła główką.

– Nie! Nie! Co pan sobie myśli? Ja drzwi nie otworzę. Pan tu nie może wejść!

To powiedziawszy, zbliżyła się do okna i otworzyła je, aby mu oddać jego własność. Uchwycił ją za rękę, ona upuściła pugilares, został na oknie. Gennaro wsadził głowę w okno, ona poskoczyła co tchu do drugiego, pod którym ja stałem, a wtedy dochodziło mnie każde słowo Gennara.

– A więc nie chcecie mi pozwolić ani rączki pocałować na podziękowanie? Nie chcecie przyjąć najmniejszego należnego ani szklaneczki wina mi podać? Aż usycham z pragnienia! Przecież w tym nie ma nic złego. Czemu mnie nie chcecie wpuścić?

– Nie! – odpowiedziała. – My o tej godzinie nie mamy nic do mówienia. Weź sobie pan, coś zostawił, bo zamknę okno.

– Nie odejdę – odparł Gennaro – dopóki mi nie podacie rączki i nie dacie całusa, którego mnie dzisiaj ów młokos pozbawił.

– Nie! Nie! – zawołała rozgniewana, ale mimo to śmiała się z pustoty i dodała: – Chcecie wymusić, czego wam nie dano z dobrej woli, dlatego nie dam!

– Już ostatni raz! – błagał Gennaro pokornie. – Z pewnością ostatni raz widzimy się ze sobą i jeszcze się wzbraniacie nawet rączkę mi podać? Więcej nie żądam, choć chowam w sercu tysiące życzeń, które bym wam chciał powiedzieć. Nawet Madonna każe nam wszystkim się kochać jak bracia i siostry! Jako brat podzielę się z tobą moim złotem. Możesz się ładnie wystroić, a dzięki temu staniesz się jeszcze piękniejsza. Wszystkie przyjaciółki będą ci zazdrościły, nikt się nie dowie o naszym szczęściu! – I jednym skokiem stanął w pokoju.

Kobieta zakrzyknęła głośno:

– Jezus, Maria!

Uderzyłem silnie w okno, aż szyby zadzwoniły i jakby niewidzialną siłą gnany obiegłem dom, przypadłem do otwartego okna z kawałem łąty, którą urwałem z altanki, aby mieć jakąkolwiek broń.

– Czy to ty, Nicolo? – zawołała.

– Ja! – odpowiedziałem grubym, silnym głosem. Gennaro wyskoczył oknem i uciekał jak zając; jego płaszcz łopotał w powietrzu. Tymczasem w pokoju zrobiło się ciemno, bo lampa zgasła.

– Nicolo! – wołała drżącym głosem, stojąc przy oknie. – Już wróciłeś? Dzięki Madonnie!

– Signora! – przemówiłem.

– Ach, wszyscy święci! – zakrzyknęła i zatrasnęła okno. Ja stałem jak skamieniały. Po chwili usłyszałem jej stąpanie po podłodze, drzwi do sypialni otworzyły się i znowu zamknęły. Coś tam pukało, jakby ktoś drzwi gwoździami zabijał.

„Teraz już bezpieczna” – pomyślałem sobie i oddaliłem się powoli, a na sercu było mi lekko i w duszy wesoło. „Teraz wywdzięczyłem się za pocałunek dzisiejszy – mówiłem sam do siebie. – Może by mnie jeszcze raz pocałowała, gdyby wiedziała, że byłem jej aniołem stróżem”.

Po moim przybyciu do klasztoru zawołano mnie zaraz na wieczerzę, ale Gennaro się nie pokazał. Francesca była niespokojna, Fabiani wysyłał posłańców jednego po drugim, nareszcie

przybył. Opowiadał, że zabłądził w górach, lecz szczęściem spotkał wieśniaka, który go znowu na prostą drogę wyprowadził.

– Pana ubiór zupełnie podarty – zauważyła Francesca.

– Tak! – rzekł Gennaro, uchwyciwszy wiszącą szmatkę. – Kawałek, którego tu brakuje, został na krzaku cierniowym, nawet nie wiem gdzie. Bóg wie, jakim sposobem mogłem tak pobłądzić! Winien temu piękny wieczór, ciemność mnie zaskoczyła, a gdy sobie chciałem drogę skrócić, właśnie zabłądziłem.

Śmialiśmy się z jego przygody, którą dobrze znałem, i piliśmy do niego na dobre powodzenie. Wino było doskonałe, rozweseliliśmy się wszyscy. Gdyśmy się potem udali do naszych celek, a mieszkalem koło Gennara, wszedł do mnie na pół rozebrany, położył rękę poufale na moim ramieniu i radził mi, abym sobie na próżno głowy nie zaprzętał ładną kobietką, którą dzisiaj widzieliśmy.

– A przecież dostałem od niej całusa! – rzekłem żartobliwie.

– Prawda! – odpowiedział, śmiejąc się. – Ale myślisz pan, że ja źle na tym wyszedłem?

– Tak mi się zdaje – rzekłem.

– Mylisz się! – odparł z powagą, lecz w głosie jego przebijała cierpkość, a równocześnie lekki uśmiech igrał na jego ustach, gdy szepnął te słowa:

– Jeżeli pan zachowa tajemnicę, to coś mu powiem.

– Powiedz pan! – prosiłem. – Nikt nie dowie się z tego ani słowa. Myślałem bowiem, że się przede mną użali na nieszczęśliwą wyprawę. Początek na to wskazywał.

– Zostawiłem dzisiaj umyślnie mój pugilares u owej młodej gosposi, aby mieć wymówkę na wieczorne odwiedziny, bo wtedy kobiety nie są tak nieużyte, i byłem tam. Frak rozdarłem o gałąź, gdy przełaziłem przez mur.

– A piękna gosposia? – zapytałem.

– Była jeszcze piękniejsza! – odpowiedział, kiwnąwszy znacząco głową. – Wiele piękniejsza i nie tak dzika sam na sam ze mną. Ja to przewidziałem. Panu dała jednego całusa, a mnie tysiąc i serce w dodatku. Całą noc będę śnił o moim szczęściu. Biedny Antonio! – Skłonił się i poszedł do swego pokoju.

Następnego poranka, kiedy wyszliśmy z klasztoru, niebo było ciemne, jakby szarą krepą powleczone. Przy brzegu czekali na nas zręczni wiosłarze i znowu nas pownosili do łodzi. Wybraliśmy się na wyspę Capri. Kwef zasłaniający niebiosa począł się rozwiewać w lekkie obłoczki, powietrze znów się wypogodziło, morze spokojne wydawało się jak pomarszczona mokra, ogromna chusta. Cudne Amalfi zniknęło za skałą. Gennaro przesłał w tamtą stronę pocałunek i szepnął mi do ucha:

– Tam rwaliśmy róże!

„Przynajmniej się kolcami pokłułeś” – pomyślałem sobie, kiwnąwszy obojętnie głową.

Przed nami rozlewało się nieskończone morze aż do Sycylii i Afryki. W lewo wznosiły się skaliste wybrzeża włoskie z osobliwymi jaskiniami, przy niektórych stoją małe miściny – zdaje się, jakby powychodziły z tych jaskiń, aby się wygrzać na słońcu; w głębi niektórych siedzieli rybacy poza łamiącymi się ustawicznie bałwanami i gotowali sobie jadło lub smołowali łodzie.

Morze wyglądało jak niebieska oliwa, maczaliśmy w nim ręce i zdawały się także niebieskie jak ta woda. Cień, który łódź rzucała na zwierciadło morskie, był ciemnoszafirowy, a cienie

wioseł wijące się jak węże grały we wszystkie odcienie niebieskiego koloru.

– Przecudowne morze! – zawołałem z uniesieniem. – Nie ma w całej przyrodzie nic piękniejszego, wyjąwszy chyba niebo! Przypomniałem sobie, jak dzieckiem będąc, kładłem się często twarzą do góry i marzyłem, że bujam w nieskończonym przestworzu niebios; teraz zdawało mi się owo marzenie rzeczywistością.

Ominęliśmy trzy skaliste wysepki, jakoby ogromne, na kupę zwałone głazy, wynurzające się z morskiej otchłani, a na nich znowu porozrzucane głazy. Modre bałwany roztrącały się o te zielonawe masy kamienne. W czasie burzy musi tam być Scylla z wyjącymi psami.

Dokoła Przylądka Minerwy, gdzie według podań starożytnych mieszkaly syreny, stała spokojnie woda, przed nami wznosiła się romantyczna wysepka Capri, gdzie Tyberiusz zbyt kochał niegdyś w rozkoszach i przez zatokę patrzył na neapolitańskie wybrzeża. Rozpięto żagiel naszej łodzi, a pędzeni wiatrem i falami zbliżaliśmy się do wyspy. Teraz dopiero spostrzegliśmy nadzwyczajną czystość wody. Tak była przezroczysta, że nam się zdawało, iż płyniemy po powietrzu; widzieliśmy każdy kamyczek, każdą roślinkę na dnie w znacznej nawet głębokości; aż mi się w głowie kręciło, gdy z łodzi patrzyłem w te otchłanie, nad którymi się przemykaliśmy.

Wyspa Capri jest tylko z jednej strony dostępna; dokoła wznoszą się strome, prostopadłe skały; od strony Neapolu ciągną się amfiteatralne winnice, gaje oliwne i pomarańczowe. W dole stoją nad brzegiem chatki rybaków i strażnica, trochę wyżej wyziera spośród kwitnących ogrodów miasteczko Capri, do którego się wchodzi po zwodzonym moście przez małą bramę. W oberży przy Pagani, gdzie stoi wysoka palma przed drzwiami, postanowiliśmy wypocząć.

Po obiedzie mieliśmy wyjechać na osłach do willi Tyberiusza, a obecnie czekało nas śniadanie. Fabiani i signora Francesca postanowili udać się na spoczynek aż do obiadu, aby nabrać sił na czekającą nas wyprawę. Gennaro i ja nie czuliśmy tej potrzeby. Wyspa wydała mi się mała, sądziłem więc, że w parę godzin będziemy ją mogli opłynąć i obejrzeć wysokie skalne bramy, wznoszące się po stronie południowej nad powierzchnią morską.

Wzięliśmy łódkę z dwoma wioślarzami; wiatr nam sprzyjał, tak że połowę drogi odbyliśmy za pomocą żagla. Bałwany rozbijały się o niskie rafy, między którymi były porozpinane sieci rybackie; musieliśmy je więc z daleka omijać. Piękna to była przejażdżka w owej małej łódce! Wkrótce ujrzeliśmy same skały prostopadłe od morza ku niebu się wznoszące; były to masy szarych kamieni. Ze szczelin, gdzie się ledwo dzika koza mogła ucześcić, wyrastały aloesy i dzikie lewkonie. Na dole, gdzie fale pluskają jak niebieskie płomyki, rosną na skale czerwone jak krew jabłka morskie, które obryzgane wodą połyskiwały barwą jeszcze żywszą. Zdawało się, że za każdym uderzeniem fali krew ze skały tryska.

Na prawo rozciągało się otwarte morze, na lewo wyspa. W skałach widać było długie jaskinie, których otwory tylko mało co nad powierzchnią się wznosiły; niektóre widać było tylko po odpływie bałwanów. Tam w głębi mieszkają syreny; kwitnąca Capri, którą opływaliśmy, jest tylko dachem ich kamiennego pałacu.

– Tam mieszkają złe duchy – rzekł jeden z wioślarzy, starzec siwowłosa. – Podobno w głębi bardzo pięknie, ale nie wypuszczają swojej zdobyczy, a choć nawet ktoś powróci stamtąd, nasz świat wcale go już nie obchodzi. – Potem wskazał nam cokolwiek dalej otwór większy niż inne, ale jednak tak ciasny, że choćbyśmy się byli pokładli i żagiel zwinęli, ledwie by się łódka nasza przezeń wcisnęła.

– To Jaskinia Czarownic – rzekł półgłosem młodszy, siedzący u steru, i skierował łódź w bok

od skały. – Tam wewnątrz wszystko ze złota i drogich kamieni, ale kto tam wjedzie, zaraz się spali. Santa Lucia! Módl się za nami!

– Chciałbym jedną z tych syren mieć tutaj w łodzi – rzekł Gennaro. – Ale musiałyby być piękna, reszta by się znalazła.

– Szczęście pana do kobiet i tu by się okazało! – zauważyłem z uśmiechem.

– Właśnie na rozkołysanym morzu trzeba by ścisnąć i całować, tak samo bowiem bawią się od wieków fale wodne. Ach! – dodał z westchnieniem – gdybyśmy tutaj mieli naszą ładną kobietkę z Amalfi.

– Śliczna kobieta!

– Nieprawda? Pan także posmakował cokolwiek nektaru z jej ustek. Ale jak doskonale umiała udawać cnotliwą skromniśkę. Trzeba ją panu było widzieć wczoraj wieczór, roznamiętniła się jeszcze bardziej niż ja.

– Nieprawda! – rzekłem, zniecierpliwiony jego bezwstydnymi przechwałkami. – Nie tak było; wiem ja lepiej!

– Jakże to mam rozumieć? – zapytał, patrząc mi ze zdziwieniem w oczy.

– Ponieważ byłem świadkiem tej sceny – mówiłem śmiało dalej. – Przypadek mnie tam zawiódł. Nie wątpię zresztą o wielkim pana szczęściu, ale tym razem chyba pan ze mnie żartuje.

Ciągle jeszcze we mnie się wpatrywał, nie mówiąc ani słowa.

– Nie odejdę, dopóki mi nie dacie całusa, którego mnie dzisiaj ów młokos pozbawił – rzekłem z uśmiechem, przedrzeźniając Gennara.

– Signor! Podpatrywałeś mnie! – zakrzyknął z gniewem, blednąc jak trup. – Jak pan śmiesz mnie obrażać? Musisz się ze mną bić albo ci okażę największą wzdargę.

Takiego skutku mojej mowy wcale się nie spodziewałem.

– Gennaro! Niepodobna, iżbyś to mówił na serio – rzekłem, chwytając go za rękę, lecz on wydarł ją i nie odpowiedział mi ani słowa, kazał rybakom przybić do brzegu.

– Musimy opłynąć dokoła wyspy – odpowiedział stary – tylko tam możemy wysiąść, skądśmy wypłynęli.

Dobrze przyłożyli się do wiosł i wkrótce zbliżyliśmy się do wysokiej bramy w skale sterczącej nad modrą tonią. Lecz umysł mój był gniewny i zasmucony, patrzyłem na Gennara, jak laską bił po wodzie.

– *Una tromba!* – zakrzyknął młody rybak, a około Przylądka Minerwy ukazała się czarna chmura, w kształcie słupa wznoszącego się od powierzchni morza ukośnie ku niebu i pędziła prosto ku nam. Dokoła niej burzyła się woda jakby wrząca; w lot zwinięto żagiel naszej łodzi.

– Dokąd płyniemy? – pytał Gennaro.

– Z powrotem! Z powrotem! – wołał młody wiosłarz.

– Znowu dokoła całej wyspy? – zapytałem.

– Do brzegu! Pod skałę! Trąba idzie w kierunku od nas dalekim.

– Lecz bałwany rozbiją nasz statek o skałę – rzekł stary, chwytając co żywo za wiosło.

– Wiekuisty Boże! – wymówiłem po cichu, bo czarny słup pędził z szybkością wichru po wodzie, jakby chciał się przemknąć pod skalistą ścianą, przy której się znajdowaliśmy. Mógł nas porwać w powietrze albo też pod jakąś prostopadłą skałą cisnąć. Chwyciłem za wiosło razem ze starym, Gennaro pomagał młodszemu, lecz słychać już było wycie wichru i wrzenie wody u stóp trąby, zdawało się, że nas sama od siebie odpycha.

– Święta Łucjo! Ratuj nas! – zawołali obydwaj rybacy, opuścili wiosła i upadli na kolana.

– Bierzcie się do wiosła! – wołał Gennaro, lecz oni patrzyli nieruchomo w niebo, bladzi jak śmierć. Wtem orkan zahuczał nad naszymi głowami; po lewej stronie, niedaleko, pędziła czarna chmura po bałwanach, które nas podrzuciły wysoko, wysoko i zabelone pianą pochłonęły jednym chlustem naszą łódkę. Powietrze tak było duszne, że aż krew oczyma chciała wytrysnąć – zrobiła się ciemna noc, noc śmierci. Pamiętam tylko tyle, że mnie bałwan zalał, żeśmy się wszyscy stali łupem śmierci i straciłem przytomność.

Ogromniejsze niż siła wichru, bardziej wzruszające niż moje rozłączenie z Annunciatą stoi przed mymi oczyma zjawisko, które mi się ukazało, skoro tylko otworzyłem oczy. Nade mną, na dole pode mną, dokoła mnie, wszystko było wypełnione niebieskim eterem. Poruszyłem ręką, a natychmiast zabłyśły miliony drobnych gwiazdek jak iskry elektryczne. Unosiłem się w powietrzu, bez wątplenia nie żyłem i leciałem w tej chwili przez tę eteryczną przestrzeń do nieba, lecz na głowie coś mi ciążyło, to były zapewne ziemskie grzechy w dół mnie tłoczące. Twarz moją owiewał wiatr zimny jak woda morska. Mimowolnie wyciągnąłem przed siebie rękę, poczułem jakiś twardy przedmiot i uczepliłem się go z całych sił. Opanował mnie śmiertelny bezwład, czułem, że nie ma we mnie ani krwi, ani szpiku; zapewne trup mój spoczywał na dnie morza, gdy tymczasem dusza leci do przeznaczonego jej przybytku.

– Annunciata! – westchnąłem i oczy moje znów się zamknęły. Ta omdłałość musiała trwać długo, bo gdy znów odetchnąłem, uczułem się silniejszy i wróciłem do przytomności. Leżałem na jakimś twardym łożu, jakby na grzbiecie skały wysoko wyniesionym w nieskończony, niebieski eter wokoło świecący. Nade mną było sklepienie nieba z dziwnymi kształtu obłokami takiej samej szafirowej barwy jak niebo; wszystko tonęło w spokoju, cisza panująca była nie do opisanego, ale zimny dreszcz przejmował na wskroś moje ciało. Po pewnej chwili podniosłem głowę – mój ubiór płonął niebieskim ogniem, ręce błyszczały jak srebrne, a jednak miałem w nich czucie. Natężyłem wszystkie myśli, aby się przekonać, czy żyję, czy też jestem umarły. Sięgnąłem ręką w osobliwsze powietrze świecące pode mną. Była to woda. Paliła się niebieskim płomieniem, jak spirytus, lecz zimna była niczym w morzu. Tuż obok mnie stał wysoki, niekształtny słup, podobny do trąby morskiej, ale mniejszy i świecący na niebiesko. Nie wiem, czy strach, czy tylko przypomnienie stawiało mi ten obraz przed oczyma. Po pewnym czasie ośmieliłem się z lekka go dotknąć; twardy był jak kamień i równie zimny. Wyciągnąłem rękę poza siebie w na pół ciemną przestrzeń i namacałem gładki, ale jak niebo wśród nocy ciemnoszafirowy mur.

Gdzież się znajdowałem? Pod moimi stopami, co uważałem za powietrze, było świecące jezioro płonące niebieskim, siarczanym ogniem, ale nie parzącym. Czy ta woda oświecała wszystko wokół, czy też ściany i sklepienie wydawały ten blask same z siebie? Znajdowałem się w przybytku śmierci, w celi grobowej mego ducha? Wszystkie przedmioty jaśniały najrozmaitszymi odcieniami niebieskiego – nawet ja sam się świeciłem.

Tuż obok mnie znajdowały się w skale wykute schody, których każdy stopień zdawał się z ogromnych brył szafiru być zrobiony; wszedłem po nich na górę, lecz łomy skał wyjście mi zagroziły. Nie byłem godzien zbliżyć się do mego Stwórcy? Zszedłem z tego świata obciążony gniewem ludzkim. Gdzie się podział Gennaro? Gdzie obydwaj rybacy? Byłem sam! Wspominałem matkę moją, myślałem o Domenice, Francesce, o wszystkich znajomych i przekonałem się, że fantazja moja nie przedstawia mi mamideł; blask, na który patrzyłem, był równie rzeczywisty jak to, że sam z duszą i ciałem tam się znajdowałem. W jednej rozpadlinie

skąły stało jakieś naczynie; dotknąwszy go, przekonałem się, że to wielka miednica, pełna złotych i srebrnych monet. Obmacywałem je po jednym, a miejsce mego pobytu wydało mi się jeszcze cudowniejsze. Na dole, na powierzchni wody, nad którą stałem, spostrzegłem jasną gwiazdę, rzucającą długi, ale tylko jeden przezroczysty promień na wodne zwierciadło, a gdy się w nią wpatrywałem, zaćmiła się nagle jak księżyc i ukazał się jakiś czarny przedmiot. Małe czółno ślizgało się po niebiesko płonącej wodzie; zdawało się, że wypłynęło z głębin, a teraz lekko się nad nią przesuwa. Starzec jakiś robił wiosłem powoli, a za każdym jego uderzeniem świecił na wodzie różowy pas.

Na końcu czółna znajdowała się jakaś druga istota, poznałem, że to dziewczyna. Oboje siedzieli chwilę nieruchomo jak posągi, czasem tylko starzec poruszył wiosłem. Dziwne westchnienie doleciało mych uszu, zdawało mi się, że głos ten już gdzieś słyszałem. Przez jakiś czas pływając, zataczali koła i wreszcie zbliżyli się do miejsca, gdzie stałem. Starzec położył wiosło na czółnie. Dziewczkę podniosło złożone rączki i modliło się z bolesnym, głębokim westchnieniem:

– Święta Matko Boża, nie opuszczaj mnie! Otóż jestem tutaj, wypełniłam twój rozkaz!

– Lara! – zawołałem, to była ona. Poznałem ją po głosie, po postaci; to Lara, niewidoma dziewczyna z ruin świątyni w Paestum.

– Użycz światła moim oczom! Dozwól mi ujrzeć piękny świat boży! – wołała, a głos jej zdawał się być głosem umarłej. Dusza we mnie zadrżała, myśl bowiem o piękności tego świata ja rzuciłem w jej serce, teraz żąda ode mnie, abym ją jej oczom odsłonił. Usta moje oniemiały, ona wzniosła dłonie jeszcze raz w milczeniu, powstała, potem wymówiła ciszej:

– Użycz mi! – i osunęła się w czółno. Dokoła trysnęła woda świecącymi jak iskry kroplami.

Starzec stał przez chwilę pochylony nad nią, a potem zbliżył się do miejsca, gdzie ja się znajdowałem. Wpatrzył się we mnie, przeżegnał ręką powietrze, potem pochwycił ciężką miednicę, wstawił w czółno i sam w nie wsiadł. Ja szedłem za nim machinalnie; jego ponure oko ciągle na mnie patrzyło; uchwycił wiosło – płynęliśmy wprost na ową błyszczącą gwiazdę, zawiął nas stamtąd chłodny wiatr; schyliłem się nad Larą, otoczyło nas na chwilę ciasne skaliste sklepienie – zaraz potem ukazało się wspaniałe morze bez granic, a za nami sterczały prostopadłe ściany skał. Wypłynęliśmy małym, ciemnym otworem, obok niego rozciągała się niska płaszczyna, okryta krzewami i czerwonym kwieciem. Księżyc świecił precudownie.

Lara podniosła się, nie śmiałem dotknąć jej rączki; wszakże widziałem, że była duchem; takie było moje przekonanie, nie zaś marzenie.

– Daj mi te zioła – szepnęła, wyciągając rękę. Sądziłem, że trzeba być posłusznym głosowi ducha. Spojrzałem na zielone krzewiny, na czerwone kwiatki rosnące nad brzegiem pod wysoką skałą; wyskoczyłem z czółna, zerwałem kilka dziwnie miłej woni; podałem jej wiązki – wtem słabość śmiertelna objęła wszystkie moje członki, upadłem na kolana. Spostrzegłem tylko tyle, że starzec się przeżegnał, wziął w ręce kwiaty, Larę przesadził do większej, przy brzegu stojącej łodzi, czółno do niej przywiązał, żagiel rozpiął i odpłynął na morze. Wyciągnąłem ku nim dłonie, lecz śmierć ścisnęła moje serce, myślałem, że pęknie.

– Żyje! – To było pierwsze słowo, które usłyszałem, obudziwszy się z letargu. Otworzyłem oczy i ujrzałem Fabianiego i Franceskę. Stał przy mnie jeszcze jakiś nieznajomy; trzymał mnie za rękę i patrzył mi w oczy głęboko zadumany. Leżałem w dużym, pięknym pokoju – słońce było już wysoko. Dziwiłem się, nie wiedząc, gdzie się znajdowałem. Miałem ogromną gorączkę, powoli dowiedziałem się, jakim sposobem tutaj się dostałem oraz jak mnie ocalono.

Gdyśmy wczoraj z Gennarem długo nie wracali, zaczęto się o nas niepokoić; o rybakach także nie było żadnej wieści, a ponieważ widziano trąbę morską pędzącą ponad wybrzeżem od strony południowej, myślano, że los nasz już rozstrzygnięty. Wysłano natychmiast dwie łodzie, aby opłynęły wyspę razem z przeciwnych stron, ale nie odkryto żadnego śladu ani nas, ani naszej łódki. Signora Francesca już mnie opłakała; przekonałem się, jak była do mnie przywiązana; żałowała także Gennara i biednych rybaków. Fabiani nie mógł się uspokoić, wypłynął więc sam na zwiady z zamiarem szukania nas po wszystkich rozpadlinach skał, licząc, że się tam któryś z nas schronił przed śmiercią i oczekuje może jeszcze okropniejszej ze strachu i głodu, bo niepodobna było z żadnej strony dostać się do lądu.

Wybrał się za dnia z czterema zręcznymi rybakami na morze i szukał nas po jaskiniach i szczelinach skał. Wioślarze nie chcieli w żaden sposób zbliżyć się do Jaskini Czarownic, lecz Fabiani rozkazał im podpłynąć przynajmniej do owej kwiecistej dolinki.

Zbliżając się do tego miejsca, spostrzegł tuż nad brzegiem leżącego człowieka; to byłem ja, jak nieżywy pod zielonym krzakiem. Ubiór mój już na wietrze wysechł, wzięli mnie do łodzi, Fabiani okrył swoim płaszczem, rozcierał mi piersi i ręce i nareszcie spostrzegł lekki oddech. Przewieźli mnie na ląd i przywołali lekarza. Tylko ja zostałem przy życiu – Gennaro i dwaj rybacy utonęli.

Musiałem wszystko, co tylko wiedziałem, opowiedzieć. Opisałem cudownie błyszczącą jaskinię, moje przebudzenie się, czóło; opowiadałem o starym rybaku i niewidomej dziewczynie, ale wszyscy sądzili, że to były obrazy fantazji, rojone w gorączce podczas chłodnej nocy – aż nareszcie sam począłem wątpić, czy to prawda, ale jednak nie mogłem wcale nie wierzyć, bo wszystko stało mi zanadto żywo przed oczyma i w duszy głęboko się wryło.

– Znalazł go pan przy Jaskini Czarownic? – zapytał lekarz, potrząsając głową.

– Przecież pan nie przypuszcza, że to miejsce ukrywa tajemnicze i nadprzyrodzone siły? – spytał Fabiani.

– Przyroda jest łańcuchem złożonym z samych zagadek – odpowiedział lekarz – rozwiązaliśmy dopiero ich małą częśćkę.

W myśli mojej znowu się rozjaśniło. Jaskinia Czarownic! Ów świat ognia i promieni! Czy to tam rzuciły mnie fale morskie? Przypomniałem sobie wąską czeluść, którą wypłynęliśmy; było to we śnie czy na jawie? Zajrzałem w świat duchów? Jakkolwiek bądź, dosyć, że mnie łaska Madonny zachowała od zguby. Myślą przenosiłem się do jaśniejszej – cudownie pięknej sali morskiej, gdzie aniołem stróżem moim była Lara. Wszystko to było prawdą, nie marzeniem. Widziałem więc miejsce, które dopiero kilka lat później odkryto, a obecnie uznane jest za najcudowniejsze zjawisko na wyspie Capri, nawet w całych Włoszech – Niebieską Grotę. Ową dziewczyną była rzeczywiście Lara, niewidoma z Paestum. Ale wtedy nie mogłem tego ani dopuszczać do myśli, bo wszystko było zbyt cudowne; złożyłem tylko dłonie i dumałem o moim aniele stróżu.

XXII

Powrót

Fabiani i signora Franceska zabawili na Capri jeszcze dwa dni, abyśmy podróż do Neapolu mogli odbyć razem. Chociaż nieraz przedtem czułem się obrażony ich mową i postępowaniem, to obecnie tyle mi okazywali troskliwości i przywiązania, że pokochałem ich znowu całym sercem.

– Musisz z nami powrócić do Rzymu – mówili. – Tak będzie najrozsądniej i najlepiej.

Szczególne ocalenie moje i cudowne widzenie w jaskini wywarło na mój wzburzony umysł wpływ ogromny; przekonałem się bowiem, że los mój spoczywa w ręku opatrności przedwiecznej, która wszystko wiezie ku najlepszym celom. Wyrzekłszy się zatem wiary w przypadek, uważałem wszystko za zrządzenie boże – a gdy Franceska, ścisnąwszy przyjaźnie dłoń moją, zapytała, czy mam chęć oddychać powietrzem neapolitańskim razem z Bernardem – odpowiedziałem, że muszę i chcę jechać do Rzymu.

– Bylibyśmy dużo łez za tobą wylali, Antonio! – rzekła Franceska i uściśniła znowu moją rękę. – Jesteś naszym dobrym dzieckiem, Madonna się tobą opiekowała.

– Powiemy *eccellenzy* – mówił Fabiani – że Antonio, na którego się gniewał, utonął w Morzu Śródziemnym i że przywieźliśmy ze sobą innego Antonia tak dobrego, jakim był tamten.

– Biedny Gennaro! – westchnęła potem signora Franceska. – Serce miał szlachetne. Był dowcipny i wesoły, we wszystkim osiągał mistrzostwo.

Lekarz siedział przy mnie kilka godzin. Przybył przypadkiem zwiedzić Capri, a mieszkał właściwie w Neapolu. Trzeciego dnia powrócił tam razem z nami. Zapewnił, że już zupełnie jestem zdrow. Prawda – może na ciele, ale nie na duszy. Wszak zajrzałem w krainę śmierci, czułem jeszcze jej zimny pocałunek na czole. Mimoza młodzieńczego wieku zwinęła swoje listki! Gdyśmy wsiedli na łódź, na której nam i lekarz towarzyszył, poczułem silny ucisk serca, bo gdy spojrzałem w przezroczystą wodę, zbudziło się w duszy mojej wspomnienie o śmierci, której byłem tak bliski, i o cudownym ocaleniu. Słońce oświecało jasnymi promieniami szafirowe morze. „Piękne jest życie” – pomyślałem sobie i rzewne uczucie przejęło mego ducha. Wszyscy troje tylko mną byli zajęci, nawet signora Franceska mówiła o moim pięknym talencie, nazywała mnie poetą. A gdy lekarz dowiedział się, że to ja improwizowałem w Neapolu, począł opowiadać, jak wielce uradowałem wszystkich jego przyjaciół, jak bardzo wszyscy się unosili nad moją improwizacją.

Wiatr nam sprzyjał, dlatego zamiast płynąć do Salerno, jak zrazu postanowiono, a stamtąd łądem jechać do Neapolu, puściliśmy się statkiem wprost do stolicy.

W moim pokoju zastałem trzy listy. Jeden był od Federiga, który dnia poprzedniego wyjechał do Ischii, a dopiero za trzy dni obiecywał powrócić. Bardzo mnie to zasmuciło, że się nie mogłem z nim pożegnać, bo nazajutrz w południe mieliśmy wyjechać. Drugi list przyszedł dzień po moim wyjeździe. Znalazłem w nim te słowa: „Wierne serce dobrze a szczerze panu życząc oczekuje Go wieczorem. Pana dawna przyjaciółka”. Nie było żadnego podpisu, tylko

ulica i numer domu dopisany na brzegu.

Trzeci list pisany tą samą ręką przyszedł w wigilię mego przybycia wieczorem, a zawierał te słowa: „Przybywaj pan, Antonio! Przerażenie z owej nieszczęsnej chwili, kiedy się ostatni raz widzieliśmy, przeszło szczęśliwie. Przybywaj pan co prędzej! Wszystko jest tylko nieporozumieniem – wszystko się jeszcze da naprawić; nie zwlekaj pan tylko!” Znowu była oznaczona ulica i numer domu.

Byłem przekonany, że to pismo signory Santy, chociaż na schadzku obrała jakiś obcy dom. Nie chciałem się z nią wcale widzieć, napisałem więc naprędce kilka uprzejmych słów do jej męża, z pożegnaniem, przepraszając, że z powodu nagłego wyjazdu z Neapolu nie mogę się z nim pożegnać osobiście. Dziękowałem obojgu za okazywaną mi zawsze przyjaźń i prosiłem, aby mnie zachowali w pamięci. Dołączyłem kartkę do Federiga z przyrzeczeniem, że z Rzymu napiszę list obszerny, bo teraz nie czuję się na siłach.

Nie wyszedłem nigdzie, bo nie chciałem spotkać się z Bernardem ani z żadnym z moich przyjaciół; odwiedziłem tylko lekarza, do którego pojechałem z Fabianim. Mieszkanie jego było miłe i wesołe. Niezamężna siostra, starsza od niego, trudniła się domem; była tak uprzejma i miła, że mimo woli moje serce się ku niej skłoniło. Przypomniałem sobie wtedy Domenikę, lecz siostra lekarza była wykształcona, utalentowana i o wiele doskonalsza.

Następnego poranka, ostatniego dla mnie w Neapolu, spoglądałem zasmucony ku Wezuwiuszowi, który chciałem ujrzeć raz ostatni, lecz jego wierzchołek zasłaniały gęste chmury, jakby nie miał chęci się ze mną pożegnać. Morze było spokojne, zadumałem się o cudownym widzeniu i postaci Lary w jasnej grocie. Wszystko to, cały mój pobyt w Neapolu miał wkrótce zniknąć jak sen. Wziąwszy gazetę „Diario di Napoli”, którą przyniósł odźwierny, spostrzegłem w niej moje przybrane nazwisko. Była to recenzja mojej improwizacji.

Czytałem ją z wielkim zainteresowaniem. Chwalono przede wszystkim bujność mojej fantazji i gładki wiersz. „Zdaje się – dodał autor – że jest ze szkoły Pangettiego, tylko że zbytecznie naśladuje swego mistrza!” A ja nawet go nie znałem. Tylko ja sam wiedziałem najlepiej, że nie miałem żadnych wzorów – przyrodzenie i moje własne uczucia były mi przewodnikami. Ale większa część recenzentów sama jest tak mało oryginalna, iż mniema, że trzeba koniecznie mieć przed sobą wzory. Publiczność większe mi oddała pochwały niż ten krytyk, chociaż dołożył, że z czasem mogę zostać mistrzem, bo już teraz okazuję nadzwyczajny talent, fantazję bujną, uczucie wykształcone i dużo natchnienia. Schowałem ten dziennik, aby mi kiedyś posłużyć mógl za dowód, że nie wszystko, czego tu doznałem, było snem. Widziałem Neapol, żyłem w nim, postradałem tutaj dużo, lecz i zyskałem wiele. Czy na tym miała się zakończyć świetna przepowiednia Fulwii?

Wyjechaliśmy z Neapolu, wkrótce zasłoniły go winnice. Po czterodniowej podróży stanęliśmy w Rzymie. Tą samą drogą jechałem przed dwoma miesiącami z Federigiem i signorą Santą. Ujrzałem powtórnie Mola di Gaeta z pomarańczowymi ogrodami, a drzewa właśnie kwiatem osnute rozaczały miłą woń. Chodziłem po tym ogrodzie, byłem w miejscu, gdzie niegdyś ukryta Santa wysłuchiwała przygód mego życia. Ileż od owego czasu nowych przybyło wspomnień! Przejeżdżając przez nędzne Itri, przypomniałem sobie Federiga. Na granicy, gdzie wizowano paszporty, w obszernej jaskini wciąż jeszcze stały kozy, które on naszkicował, pastuszka nie widziałem. Przenocowaliśmy w Terracinie.

Ranne powietrze było nadzwyczaj czyste. Pożegnałem morze, które miało mnie już w swoich objęciach, które mnie ukołysało w prześliczne sny i postawiło przed oczyma Larę, obraz

piękności. Na dalekim widnokregu dostrzegłem jeszcze Wezuwiusza z niebieskawym słupem dymu – wydawał się jak obłoczek pary wydmuchany w jasne niebo.

Żegnam cię! Żegnam! Wracam do ojczywego gniazda – do Rzymu! „Tam umrę” – pomyślałem z westchnieniem, gdy się pojazd toczył przez zielone błota koło Velletri. Powitałem góry, które przebywałem z Fulwią, ujrzałem znowu Genzano. Przejeżdżałem przez ulicę, gdzie matka moja skoła, gdzie jako dziecko utraciłem wszystko. Teraz wyglądałem na znakomitego pana. Żebracy uliczni nazywali mnie *eccellenzq*! Czy byłem w rzeczy samej szczęśliwszy niż wówczas? Przejeżdżaliśmy przez Albano, przed nami rozwijała się Kampania, przy drodze stał grobowiec Askaniusza opleciony gęstym bluszczem – dalej ujrzelimy inne pomniki grobowe – długie akwedukty i Rzym z kopułą Świętego Piotra.

– Rozjaśnij czoło, Antonio! – przemówił Fabiani, gdyśmy wjeżdżali w Porta San Giovanni. Kościół Laterański, wysoki obelisk, Koloseum, plac Trajana – wszystko mi przypominało, że znów jestem w domu. Przeżyte przygody pojawiały się w duszy niczym sny, a jednak był to cały rok mego życia. W porównaniu z Neapolem wydawało mi się tutaj wszystko nieme, umarłe. Długa Corso to nie Toledo! Wszędzie spostrzegałem znajome twarze. Habbas Dahdah przeszedł koło nas skwapliwym krokiem, a poznawszy pojazd, ukłonił się. Na rogu Via Condotti siedział Peppo z drewnianymi czółenkami na rękach.

– Otóż jesteście w domu! – rzekła signora Francesca.

– Prawda, jużemy w domu! – powtórzyłem, a tysiące uczuć zbudziło się naraz w mej piersi. Za kilka chwil czekała mnie spowiedź przed *eccellenzq*, lękałem się tego spotkania, a mimo to zdawało mi się, że konie idą zbyt wolno.

Stanęliśmy przed pałacem Borghese.

Wyznaczono mi dwa pokoiki na najwyższym piętrze. Z *eccellenzq* jeszcze się nie widziałem. Zaproszono mnie do stołu, zobaczywszy *eccellenzq*, oddałem mu głęboki ukłon.

– Antonio będzie pewnie musiał usiąść pomiędzy mną a Franceską – przemówił.

Rozmowa toczyła się żywo i bez przymusu. Spodziewałem się co chwila jakiejś gorzkiej przymówki, ale nie usłyszałem ani słowa przykrego, najmniejszej nawet aluzji do mego odjazdu, ani wspominki o niechęci, jaką *eccellenza* wypowiedział w swoim liście. Ta dobroć wzruszyła mnie głęboko. Tym wyżej ceniłem okazywane mi przywiązanie, a jednak bywały chwile, w których duma moja czuła się obrażona, że wcale a wcale mnie nie skarcono.

XXIII

Wychowanie. Mała ksieni

Odtąd pałac Borghese został moim domem. Obchodzono się ze mną grzecznie i łagodnie. Tylko czasem wracano do dawnego tonu pouczającego, do uwag obrażających mnie – lecz mimo to byłem przekonany, że życzone mi jak najlepiej.

Opiekunowie moi wyjechali z Rzymu na całe lato, zostałem w obszernym pałacu sam. Powrócili na zimę, a ja popadłem znowu w dawniejsze położenie, co było dla mnie nieznośne. Zapomniano bowiem, że już stałem się dorosły, że nie było już chłopca z Kampanii, który niegdyś każde słowo uważał za akt wiary, ani też ucznia jezuickiej szkoły, którego ciągle trzeba pouczać.

Ostatnich sześć lat wydawało mi się jak ogromne jezioro, na którym się pochłaniają bałwany, jeden po drugim. Chwała Bogu, że już przepłynąłem te tonie. Czytelniku, który idziesz za mną trop w trop przez wszystkie przygody mego życia – pośpieszaj! Cały bowiem ten obszar przemierzmy prędko. Przedstawię ci wrażenia z tego czasu w kilku rysach. Była to ciężka walka kształcącego się ducha. Z wyzwolonym już obchodzono się jak z uczniem, ażeby go uczynić mistrzem.

Uchodziłem za wybornego młodzieńca niepospolitych zdolności, po którym wiele sobie obiecywano; dlatego wszyscy zajmowali się moim wychowaniem. Tym, z którymi mnie wiązały ściślejsze stosunki, pozwalałem na to z miłości ku mnie, drugim zaś z wrodzonej łagodności. Żywo czułem przykre moje położenie, a jednak znosiłem je cierpliwie. Co też to było za wychowanie!

Eccellenza ganił we mnie brak gruntowności. Nie uchroniłem się od tego zarzutu, choć czytałem co niemiara; mówiono bowiem, że te słodkie miody, które z ksiązek zbieram, tylko za miłą rozrywkę mi służą. Przyjaciela domu i moi dobroczyńcy ciągle mnie porównywali z idealnym młodzieńcem, którego sami sobie wymarzyli, a ja zawsze na tym źle wychodziłem. Matematyk utrzymywał, że posiadam za wiele wyobraźni, a za mało namysłu; filolog, że nie dosyć się zajmuję łaciną; polityk wypytywał mnie zwykle w towarzystwie o nowości polityczne, choć wiedział, że się na polityce nie znam, a pytał umyślnie, aby moje braki odsłonić. Pewien młody szlachcic, żyjący tylko dla swoich koni, ubolewał, że tak mało mam wiadomości o tych szlachetnych zwierzętach i powtarzał za drugimi narzekanie, że się więcej zajmuję sobą samym niż jego końmi. Pewna przyjaciółka domu, szlachcianka, która przez wzgląd na urodzenie i szczególny rodzaj zadowolenia z siebie samej zyskała sławę mądrej i wytrawnego zdania damy, a wcale nie posiadała tak gruntownego wykształcenia, jakim się popisywała – oświadczyła mi, że będzie przeglądać moje poezje i oceniać pod względem piękności i formy, zobowiązując mnie, abym je pisał na złamanym arkuszu. Habbas Dahdah raczył wyrzec, że dawniej uważał we mnie talent wiele obiecujący, ale ten już od dawna skrzywiony. Pierwszy w mieście tancerz spoglądał na mnie z politowaniem, ponieważ na sali balowej nie zwracałem na siebie uwagi; gramatyk, że kładę kropkę, gdzie on używa średnika; a signora Franceska mawiała, że mnie psują, zajmując się mną tak wiele, dlatego ona musi być surowsza i tym staranniej przykładać się

do mego wychowania. Każdy dodawał memu sercu kroplę trucizny – musiało się więc koniecznie pozbywać delikatniejszych uczuć, jeżeli nie chciało pęknąć.

Każdy piękny i szlachetny przedmiot wprawiał mnie w uniesienie. W spokojnych chwilach zastanawiałem się często nad zdolnościami moich nauczycieli i porównywałem ich z rzemieślnikami skrzętnie pracującymi w przyrodzie i świecie towarzyskim, dla których wyłącznie żyłem. Świat ów był w oczach moich niby piękna, młoda dziewczica, której dusza, postać i strój całkiem mnie zajmowały. Lecz szewc mówił: Przypatrz się tylko jej trzewiczkom – prześliczne! One są głównym przedmiotem! Krawcowa wołała: Nie! Ale suknia! Patrz, co to za krój, jakie kolory, jakie koronki! Przyjrzyj się tylko dobrze! To nic – mówił fryzjer – lecz uważaj, jak włosy utrefione, co za sploty – na nie zwróć całą bacność! Język jednak ważniejszy niż to wszystko, mówił filolog. Tancerz zaś mniemał, że przyzwoite wzięcie ma pierwszeństwo. „Dobry Boże – pomyślałem sobie – mnie zajmuje wszystko razem. Widzę wprawdzie piękność pojedynczych części, lecz nie mogę zostać ani krawcem, ani szewcem tylko dlatego, aby się wam przypodobać. Moim powołaniem jest ogarniać piękno całości. Nie gniewajcie się o to na mnie dobrzy panowie i łaskawe panie i nie potępiajcie!”

– To dla niego za poziome, nie dość wzniosłe dla jego poetycznej duszy! – powtarzali wszyscy z szyderstwem.

Nie ma naprawdę okrutniejszego zwierzęcia niż człowiek! Gdybym był bogaty i niezawisły, wnet by się ich przekonanie zmieniło! Ale tak, wszyscy byli mądrzejsi, gruntowniejsi i rozsądniejsi ode mnie. Nauczyłem się wdzięcznie uśmiechać tam, gdzie powinienem był płakać; kłaniać się tym, którymi pogardzałem, i słuchać cierpliwie próżnego gadania głupców. To wychowanie, narzucone mi przez okoliczności i ludzi, śliczne dla mnie zrodziło owoce! – obłudę, gorycz i obrzydzenie życia. Ustawicznie wytykano moje wady. Czy już żadnych nie miałem dobrych przymiotów? Musiałem sam je wyszukiwać i starać się o zjednanie im szacunku. Często mnie zmuszano, abym na siebie samego zwracał uwagę, a potem zarzucano, że jestem tylko sobą zajęty.

Polityk nazywał mnie samolubem, bo nie zajmowałem się wyłącznie jego przedmiotem. Młody miłośnik estetyki – krewny Borghese pouczał mnie, jak powinienem myśleć – poezje pisać i sądzić, a czynił to zawsze w taki sposób, że każdy obcy mógł poznać, iż szlachcic poucza biednego pastuszka, który tym wdzięczniejszy winien się okazać, że szlachetnie urodzony raczył się do niego zniżyć. Miłośnik koni, mający tylko nimi zaprzątniętą głowę, nazywał mnie bardzo próżnym człowiekiem, ponieważ zajmowałem się jeszcze innymi rzeczami prócz jego koni. Czyż nie byli to sami egoiści? A może mieli słuszność? Byłem biednym chłopcem, dla którego uczyniono bardzo wiele, a choć nie odziedziczyłem szlacheckiego miana po przodkach, w duszy byłem bardzo dumny i czułem głęboko najmniejsze upokorzenie. Ja, co całą duszą bym się przywiązał do ludzi, zamieniony zostałem, jak żona Lota, w słup gorzkiej soli – w duszy mojej zrodziła się hardość. Niekiedy podnosiła się we mnie duchowa godność, lecz obciążona kajdanami, zamieniała się w anioła pychy, który spoglądając na nedorzecznosc swych mądrych nauczycieli, te słowa do ucha mi szeptał: Imię twoje żyć będzie długo u potomnych, kiedy ich imiona już dawno zostaną zapomniane; a jeżeli będzie o którymś z nich wzmianka, to chyba obok twego, gdy będzie mowa o mętach i goryczy twego życia. Przychodził mi wtedy na myśl Tasso, próżna Leonora, dumni książęta Ferrary, których sława jedynie do imienia Tassa przyczepiona – których pałac w gruzy się rozsypał, gdy tymczasem więzienie poety jest dotąd celem pielgrzymek. Sam to czułem, że serce moje bardzo próżne, ale skutek wychowania, jakie

odebrałem, musiało być próżne albo – pęknąć. Łagodność i zachęta byłyby zachowały czystość mego umysłu i miłość w duszy. Każdy uśmiech przyjazny, każde przyjacielskie słowo było jak promień słoneczny, który wypalał korzonki próżności. Lecz więcej otrzymywałem trucizny niż tych promyczków.

Nie byłem już tak dobry jak dawniej, a mimo to nazywano mnie doskonałym, znakomitym człowiekiem. Zająłem się gorliwie księgami, starałem się poznać dokładnie przyrodę i świat, a jednak mówiono, że nie chce mi się uczyć. Takie wychowanie trwało lat sześć, lecz w końcu ostatniego roku znów burza zmała strumień mego życia. Można by wprawdzie z tych długich sześciu lat udzielić wielu ważniejszych zdarzeń niż opisane poprzednio, lecz te wszystkie zlewały się w jedną kroplę trucizny, którą zna dobrze każdy człowiek utalentowany, niemający majątku, nie pochodzący ze znakomitego rodu.

Byłem abatem, a jako improwizator zyskałem pewną sławę. Improwizowałem w Accademia Tiberina i deklamowałem poezje, które przyjęto z wielkim uniesieniem. Ale signora Francesca miała i tutaj słusność, gdy moją dumę powściągała tymi słowy: wszystko, co tam odczytują, zyskuje poklaski. Habbas Dahdah należał do najznakomitszych członków tej akademii, to znaczy, że najwięcej mówił i pisał. Wszyscy jego współtowarzysze utrzymywali, że jest zbyt jednostronny, mrukliwy, niesprawiedliwy, a jednak znosili go w swoim gronie, a on pisał i pisał. Przejrzawszy moje prace, które nazywał akwarelami, powiedział, że nie widzi w nich ani śladu tego talentu, który okazywałem w szkole, gdzie się stosowałem do jego wyobrażeń. Sądził nawet, że przyjaciele moi nie powinni w żaden sposób dopuścić, aby moje poezje, będące tylko poronionym płodem, wyszły na świat. Całe nieszczęście stąd pochodzi – dodał – że chce naśladować tych genialnych mężów, którzy już w młodości pisali.

O Annunciacie nie miałem żadnej wiadomości, była dla mnie jakby umarła, która w chwili zgonu położyła swoje zimne uśmiercające dłonie na moje serce, ażeby je uczynić tym czulszym na każde dotknięcie bóleści. Pobyt mój w Neapolu, wszystkie wspomnienia z owego czasu porównywałem ze skamieniałą głową Meduzy. Kiedy wiał gorący sirocco, myślałem o łagodnym wietrze w Paestum, o Larze i jasnej grocie, gdzie ją drugi raz widziałem. Kiedy jak szkolny żak stałem przed moimi nauczycielami płci męskiej i żeńskiej, przypominałem sobie oklaski zyskane w jaskini zbójców i w wielkim teatrze San Carlo. Jeżeli stałem w jakimś kącie niepostrzeżony, widziałem Santę wyciągającą ku mnie ręce i wołającą: Zabij mnie, ale nie odchodź! Tak przeszło sześć długich lat obfitych w doświadczenia. Miałem tedy lat dwadzieścia sześć.

Flaminii – małej ksieni, jak ją nazywano, córki Fabianiego i Franceski, którą ojciec święty namaścił jeszcze w kolebce na służebnicę bożą – nie widziałem od czasu, kiedy ją nosiłem na ręku i rysowałem dla niej zabawne obrazki. Wychowywała się w rzymskim klasztorze zakonnicy przy Quattro Fontane, z którego nigdy nie wychodziła. Fabiani nie widział jej przez sześć lat, tylko Francesce wolno ją było odwiedzać jako matce. Powiadano, że piękna, fizycznie zupełnie rozwinięta, a jej dusza wydoskonalila się za staraniem pobożnych zakonnicy. Według dawnego zwyczaju miała młoda ksieni powrócić do domu rodzicielskiego na parę miesięcy, brać udział we wszystkich zabawach i uciechach światowych, a potem pożegnać się z nimi i ze światem na zawsze. Wolno jej nawet było uczynić w ciągu tego czasu wybór między pełnym życia światem towarzyskim a cichym klasztorze; lecz przedtem już od dawna używano wszelkich sposobów, poczynawszy od zabawek lalkami w zakonnych ubiorach aż do wychowania w klasztorze, ażeby ją sercem i duszą do niego przywiązać.

Ile razy przechodziłem koło klasztoru przy Quattro Fontane, przypominałem sobie miłą dziewczynkę, z którą tak często tańczyłem po sali, i wyobrażałem ją sobie zupełnie zmienioną, ciche prowadzącą życie w klasztorze. Raz nawet byłem w kościele klasztornym i słyszałem śpiew zakonnicy za kratą. „Czy też między nimi znajduje się mała ksieni?” – pomyślałem, lecz nie śmiałem zapytać, czy i wychowawice mają udział w śpiewie kościelnym i muzyce. Jeden głos bardzo czysty i żalony, odznaczający się między wszystkimi, podobny był do głosu Annuncjaty, zdawało mi się, że go powtórnie słyszę, a w sercu moim odżyły wszystkie wspomnienia z owego czasu.

– W przyszły poniedziałek przybędzie nasza mała ksieni – mówił *eccellenza* – oczekuję jej z wielkim upragnieniem.

Porównywałem ją z ptaszkiem w niewoli, jakim sam byłem, którego wypuszczono z klatki, aby z podwiązany skrzydełkami użył wolności w bożym świecie.

Po raz pierwszy ujrzałem ją przy obiedzie. Była zupełnie dojrzała, ale nieco blada, na pierwszy rzut oka nie mogła się nikomu wydawać piękna, lecz w jej twarzy dużo było serdecznej dobroci i przedziwnej słodyczy.

Przy stole siedziało tylko kilkoro najbliższych krewnych. Nikt jej nie powiedział, kto jestem, a chociaż mnie nie mogła poznać, odpowiadała na każde moje zapytanie z największą uprzejmością, do jakiej nie byłem przyzwyczajony. Zauważyłem, że nie robiła między nami żadnej różnicy, wmieszałem się więc do rozmowy, myśląc sobie: ona z pewnością mnie nie poznała.

Wszyscy byli weseli. Opowiadano anegdotki i zabawne zdarzenia z codziennego życia, co naszą ksienię pobudzało do śmiechu. To mnie ośmieliło powiedzieć kilka kalamburów, które w kilku towarzystwach miejscowych już poprzednio uznano za wyborne. Tylko ksieni się śmiała – inni ledwie się uśmiechnęli, dodając, że to lichy dowcip, niegodzien powtarzania. Daremnie zapewniałem, że prawie każde towarzystwo rzymskie, które je słyszało, pobudziły do śmiechu.

– To tylko czcze brzmienie wyrazów – rzekła signora Franceska. – Jak się można tak błahymi rzeczami bawić! Umysł ludzki lada czym się zajmuje!

Mnie też w rzeczy samej mało zajmowały te igraszki i tylko dlatego je przytoczyłem, aby się przyczynić do rozweselenia towarzystwa, zwłaszcza że powszechnie uznane były za bardzo zabawne.

Uwaga Franceski tak mnie zniechęciła, że zupełnie zamilkłem.

Wieczorem było dużo gości – ja stałem skromnie na uboczu i widziałem, jak wielkim kołem otoczono ulubienca salonów, Periniego. Był on w moim wieku, ale szlachcic, wesoły, bardzo zabawny – jednym słowem posiadał wszelkie zalety towarzyskie. Wiedzano, że dowcipny i umie zabawić, wszystko więc, co powiedział, uznawano za najlepsze. Słuchałem tego, stojąc opodal – całe towarzystwo się śmiało, a najbardziej *eccellenza*. Przystąpiłem bliżej – Perini właśnie powtarzał te same igraszki słowne, które ja na nieszczęście pierwszy wypowiedziałem. Nic nie ujął, nic nie dodał nowego, lecz powtórzył co do joty za mną, tak samo nawet gestykulując, i wszyscy się śmiali.

– To nadzwyczaj pocieszne! – zawołał *eccellenza*, klaszcząc w dłonie. – Nieprawda? – zapytał, obróciwszy się do stojącej obok niego i także się śmiejącej ksieni.

– Prawda, zdawały mi się równie zabawne, kiedy je Antonio opowiedział przy obiedzie.

Nie było w tych słowach żadnej goryczy, wymówiła je ze zwykłą łagodnością. Byłbym jej za to prawie do nóg upadł.

– A to wyborne! – rzekła Francesca, mając na myśli kalambury.

Serce moje uderzyło mocniej, poszedłem do okna, stanąłem za długą zasłoną, aby się orzeźwić wonnym powietrzem.

Przytaczam tylko ten mały przykład, a było ich co dzień podobnych niemało; lecz mała ksieni patrzyła mi przyjaźnie w oczy, jakby prosząc o przebaczenie za winy tych, co mi sprawiali przykrość. Byłem próżny, ale nie zarozumiąły. Przyczynami takiego usposobienia były zapewne biedne urodzenie, początkowe wychowanie, zależność i nieszczęsny stosunek wdzięczności, w którym ciągle zostawałem. Zawsze mi tkwiło w myśli, ile to winienem tym, którzy mnie otaczają, i to trzymało język mój na uwięzi i hamowało postanowienia mojej dumy.

Położenie moje nie mogło mi nigdy zjednać niezawisłości. Przyznawali mi wszyscy, że obowiązków dopełniam, że jestem sumienny, ale utrzymywali, że człowiek genialny niezdatny jest do spraw poważnych; najgrzeczniejsi zaś mówili, że mój umysł za wysoko ukształcony. Jeżeli ich mowa zgadzała się doprawdy z myślą – jakże mylnie sądzili o człowieku wyższego umysłu! Gdyby nie *eccellenza*, byłoby mi przyszło z głodu umierać. Byłem mu zatem winien wielką wdzięczność.

W tym czasie ukończyłem obszerny poemat – *Dawid* – a ożywiłem go własną duszą. W ciągu ostatnich lat mój umysł, pomimo wiecznego pouczenia, przyjął kierunek wyłącznie poetycki, podniecany wspomnieniami ucieczki do Neapolu, tamtejszymi wypadkami i rozbiciem się mojej pierwszej miłości. Nawiedzały mnie czasami chwile, w których całe moje życie przedstawiało się duszy jako prawdziwy poemat, gdzie sam odgrywałem główną rolę. Nic nie wydawało mi się mało znaczne i pospolite, nawet boleść i niesprawiedliwość, jakiej doznawałem, zamieniły się w poezję. Serce moje czuło potrzebę wylania się i znalazłem przedmiot odpowiedni mojemu usposobieniu w *Dawidzie*. Czułem żywo całą doskonałość tego poematu, a dusza moja pełna była wdzięczności i miłości – bo, szczerą powiadam prawdę, że jeśli mi się dobrze udało jakaś zwrotka, nigdy jej nie napisałem bez złożenia serdecznych dziękczynień Bogu, z głębokim przekonaniem, że to dar jego łaski, którą zesłał na mego ducha. Szczęśliwy byłem moją poezją, a cokolwiek przeciw mnie mówiono niesłusznego, słuchałem z pobożną cierpliwością, myśląc sobie: gdy się kiedyś o tym dowiedzą z mego poematu, uczują, że mi niesprawiedliwość wyrządzali i nagrodzą wszystko okazaniem tym serdeczniejszej miłości.

Poemat już był skończony, a nikt go jeszcze nie widział. Znany tylko Bogu i mnie, był według mego przekonania nieskalanym obrazem piękności, jak watykański Apollo. Z radością wyglądałem dnia, w którym zamierzałem go odczytać w Accademia Tiberina. W domu miał o nim nikt nie wiedzieć aż do owego czasu; lecz pewnego dnia wkrótce po przybyciu małej ksieni jej rodzice byli tak uprzejmi dla mnie, że nie mogłem przed nimi ukryć tajemnicy – powiedziałem im o moim poemacie, a oni uznali, że byłoby stosowniej, gdybym go najpierw im odczytał.

Natychmiast przyrzekłem to uczynić, nie bez drżenia jednak w sercu, zdjęła mnie bowiem jakaś nieopisana trwoga. W wieczór na czytanie przeznaczony przybył właśnie Habbas Dahdah. Signora Francesca prosiła, aby został i zechciał mnie zaszczyścić wysłuchaniem mego poematu. Nie mogło dla mnie być nic nieprzyjemniejszego. Znałem bowiem jego zrzędlivość, gorycz i złośliwość, a chociaż i inni także nieszczęśliwie byli ku mnie usposobieni, jednak nie straciłem odwagi, przekonany będąc o doskonałości mego utworu. Ksieni okazywała szczęście i radość, że usłyszy mego *Dawida*. Nawet w San Carlo serce moje nie biło tak silnie, jak teraz wobec tego

małego towarzystwa. Poemat ten miał mi u nich zjednać sąd korzystniejszy niż dotąd, a ich postępowanie ze mną całkiem zmienić. Miałem na nich odbyć pewien rodzaj duchowej operacji, dlatego drżałem. Przyrodzone uczucie zmusiło mnie do przedstawienia tylko tego, co znałem z własnego doświadczenia. Życie pasterskie Dawida, od którego zacząłem poemat, osnute było na tle wspomnień moich z lat dziecińczych w domu Domeniki.

– Siebie samego wystawiłeś! – zawołała Francesca. – Siebie samego w Kampanii.

– To można było przewidzieć – rzekł *eccellenza*. – Szczególny talent posiada ten młodzieniec! W każdym poemacie umie siebie umieścić.

– Wiersz powinien być staranniej wygładzony – dodał Habbas Dahdah. – Moja rada, trzymać się Horacjuszowej reguły: Niechaj spoczywa, spoczywa, aż dojrzeje.

Doznałem uczucia, jakby ktoś już strzaskał jedną część mego pięknego posągu. Przeczytałem jeszcze kilka zwrotek, lecz znów mi przerwano zimnymi, miałkimi uwagami. Gdzie serce moje wylało się najszczerzym uczuciem, mówiono, że wziąłem z innego poety; gdzie duch do najwyższego wznosił się natchnienia, gdzie się spodziewałem zrobić wrażenie i uczucie obudzić, okazywano obojętność i czyniono chłodne, pospolite uwagi. Skończywszy pieśń drugą, umilkłem, niepodobna mi było dalej czytać. Poemat według mego przekonania tak piękny i ducha pełen zamienił się teraz w lalkę befanu¹ ze szklanymi oczyma i wykrzywioną twarzą; jakby jadowite tchnienie owiało mój piękny obraz!

– Ten Dawid nie pobije Filistynów! – rzekł Habbas Dahdah. Chociaż przyznano, że są i piękne ustępy. Mówiono, że życie dziecinne i sceny uczuciowe dobrze umiałem oddać. Stałem milczący i kłaniałem się, dziękując – jak złoczyńca po ułaskawiającym wyroku.

– Trzymać się reguły Horacjusza! – szepnął mi do ucha Habbas Dahdah. Ujął moją rękę i nazwał mnie poetą, ale po chwili, kiedy zmieszany stałem w kącie, usłyszałem, jak mówił do Fabianiego, że moja praca to lada jaka zbieranina.

Ani mnie, ani mojej poezji nie umiano ocenić, dusza moja znieść tego nie mogła. Wyszedłem do przyległej sali, gdzie palił się na kominie ogień. Zgniotłem poemat w rękę, cała moja nadzieja, wszystkie marzenia wniwecz się obróciły. Uczułem się bardzo mały, lichą kopia obrazu, na którego podobieństwo byłem stworzony. Poemat tak ukochany, w który wlałem całą duszę – rzuciłem w ogień.

– Antonio! – zawołała z przestachem, pojawiając się tuż obok mnie, mała ksieni i sięgnęła w ogień po palące się karty. Wtem podwinęła jej się nóżka przy tak nagłym poruszeniu i upadła. Przerażający to był widok! Zakrzyknęła przeraźliwie – przyskoczyłem natychmiast i podniosłem ją – tymczasem poemat spłonął. W tej chwili wszyscy wpadli przelęknięci.

– Jezus Maria! – zakrzyknęła Francesca.

Młoda ksieni spoczywała w moim objęciu blada jak śmierć, po chwili podniosła główkę i rzekła z uśmiechem do matki:

– Noga mi się powinęła, oparzyłam cokolwiek rękę, gdyby nie Antonio, byłoby gorzej.

Stałem jak winowajca, nie mogąc wymówić ani słowa. Ksieni oparzyła znacznie lewą rękę, cały dom się tym poruszył. Nikt się nie dowiedział, że wrzuciłem poemat w ogień. Myślałem, że się ktoś później o niego spyta, ale że sam nigdy o nim nie wspomniałem, nikomu to nie przyszło na myśl – nikomu, prócz Flaminii. Ona była dobrym aniołem domu, jej słodycz, jej przywiązanie do mnie, jak siostry do brata, obudziły nieraz dawne moje dziecinne zaufanie, całkiem jej byłem oddany. Przeszło dwa tygodnie cierpiała na rękę. Oparzelizna sprawiała jej wielki ból, a u mnie była boleść w sercu.

– Flaminio! Wszystkiemu ja jestem winien – powiedziałem pewnego razu, siedząc w jej pokoju. – Cierpisz z mojej winy!

– Antonio – odpowiedziała – nie mów o tym, na Boga! Żeby ktoś nie usłyszał. Sam względem siebie jesteś niesprawiedliwy, to ja upadłam. Dużo gorzej by się stało, gdyby nie ty, jestem ci więc winna wdzięczność. To samo czują dla ciebie moi rodzice. Oni pokładają w tobie wielkie nadzieje, Antonio! Większe, niżeli sobie wyobrażasz.

– Jestem im winien wszystko! – odpowiedziałem. – Co dzień nowe odbieram dobrodziejstwa.

– Nie mów tego, Antonio! Oni w szczególniejszy sposób z tobą się obchodzą, są bowiem przekonani, że jest najwłaściwszy. Nie wiesz, ile dobrego powiadała mi o tobie matka. Nikt z nas nie jest bez błędów, Antonio! Ty sam – tu się zacięła – też! Jakże mogłeś tak się rozgniewać, żeby aż palić ten piękny poemat?

– Nędzny był! – przerwałem. – Powinienem go być dawno w ogień wrzucić!

Flaminia potrząsnęła główką.

– Świat niedobry, zły – mówiła. – Ach, stokroć lepiej u zakonnic w cichym, spokojnym klasztorze.

– Prawda! – rzekłem z żywością. – Tak niewinny i dobry, jak pani, nie jestem. Moje serce dłużej pamięta gorycze, którymi je karmiono, niż ożywcze dobrodziejstwa.

– W moim miłym klasztorze było jednak dużo lepiej niż tu, chociaż mnie wszyscy kochacie – powtarzała nieraz, kiedy rozmawialiśmy ze sobą sam na sam. Całą duszą ku niej się skłoniłem, bo się przekonałem, że ona jest aniołem stróżem wszystkich najszlachetniejszych uczuć moich i niewinności mojej. Zdawało mi się, że odtąd wszyscy byli dla mnie uprzejmiejsi, łagodniejsze były ich słowa i spojrzenia, a wszystko to sprawiła, jak sądzę, Flaminia.

Chętnie rozmawiałem o przedmiotach najbardziej mnie zajmujących, o poezji, precudownej, boskiej poezji – opowiadałem jej wtedy o wielkich mistrzach. Często wpadałem w natchnienie; usta moje stawały się wymowne, a ona siedziała z założonymi rączkami, jak anioł, i patrzyła mi w oczy.

– Ach, jak szczęśliwy jesteś, Antonio! – mówiła. – Szczęśliwszy od wielu innych. A jednak myślę, że stanowisko twoje i każdego poety musi być bardzo drażliwe ze względu na świat. Ileż to dobrego sprawić mogą twoje słowa! Ale również i wiele złego!

Dziwiło ją to, że poeci tak często opiewają zapasy i życie tego świata; sądziła bowiem, że poeta powinien jako prorok boży opiewać tylko najwyższą istotę i wiekiustą radość niebiańską.

– Poeta śławi Boga w jego stworzeniu – odpowiedziałem. – Uwielbia go w tym, co ku chwale swojej stworzył.

– Ja tego nie rozumiem – mówiła. – Wiem wprawdzie dobrze, co chcę powiedzieć, ale nie umiem tego wysłowić. Poeta powinien składać poezje na cześć Boga i głosić wszystko, co jest boskiego w świecie i naszym własnym sercu, a nie w świat namiętności powinien nas wprowadzać.

Potem pytała, jakie usposobienie, jakie uczucia ma poeta w czasie improwizacji, a ja opisywałem jej stan ten według możliwości.

– O myślach i pomysłach mam jasne wyobrażenie – mówiła. – Rodzą się w duszy, o tym wszyscy wiedzą, ale jak się tworzą te piękne wiersze, w jaki sposób uczucia wewnętrzne w słowa się wcielają, tego nie pojmuję.

– Nie uczyłaś się pani kiedyś w klasztorze jakiegoś psalmu albo świętej legendy wierszami na pamięć? Czyż nie zdarzyło się nieraz, kiedy może najmniej o tym myślałaś, że za jakimś wpływem zewnętrznym obudziła się w pani myśl przypominająca którąś z tych poezji? Mogłabyś ją wtedy napisać. Sam wiersz, rym nawet naprowadzał panią na to, żeś sobie zawsze przypomniła, jak wiersze po sobie następują, podczas gdy myśl, czyli treść, zupełnie jasno stała w pamięci. Tak samo dzieje się w duszy improwizatora, poety; przynajmniej w mojej. Często mi się zdaje, że niby wspomnienia, niby piosnki dziecięce z innego świata w mej duszy się budzą, a ja zmuszony jestem je wyśpiewać.

– O, bardzo często doznawałam podobnych uczuć – rzekła Flaminia. – Ale nie byłam nigdy zdolna wypowiedzieć tej dziwnej tęsknoty zdejmującej mnie nie wiedzieć za czym. Dlatego nieraz w tym świecie czuję się nieswoja. Wydaje mi się wszystko długim, cudownym snem. Dlatego ciągle wzdycham za moim klasztorom, za moją celą. Nie wiem, skąd to pochodzi, Antonio, ale tam często widywałam we śnie mego oblubieńca Chrystusa i Najświętszą Pannę, a teraz rzadziej mnie nawiedzają. Teraz śnię dużo o uciechach ziemskich, przepychu i różnych niedobrych rzeczach. Nie ma wątpliwości, że już nie jestem tak dobra, jak byłam u sióstr zakonnych. Dlaczego więc mam tak długo być z nimi rozłączona? Posłuchaj, Antonio! Tobie powiem moje tajemnice: nie jestem już niewinna, bo lubię stroje i cieszę się bardzo, kiedy słyszę mówiących, że jestem ładna! W klasztorze powiadają, że tylko dzieci grzechu myślą o takich rzeczach.

– Dałby Bóg, żeby moje myśli były tak czyste, jak są pani! – rzekłem, schyliwszy się do pocałowania jej rączki. Opowiadała mi potem, że sobie bardzo dobrze przypomina, jak się niegdyś z nią bawiłem i obrazki dla niej rysowałem.

– A po obejrzeniu darłaś je pani w drobne kawałki – dodałem.

– To było brzydko z mojej strony, nie gniewasz się na mnie?

– Ludzie zdarli najpiękniejsze obrazy mego serca, a ja mimo to nie gniewam się na nich.

Pogłaskała mnie za to po twarzy. Flaminia coraz miłsza się stawała dla mego serca odepchniętego od całego świata; ona jedna była miłościwa i okazywała współczucie.

Na dwa najgorętsze miesiące letnie wszyscy wyjechali do Tivoli, ja z nimi. Flaminia do tego się przyczyniła. Przecudowna okolica, bujne gaje oliwne i szumiące wodospady zajęły mnie tak żywo i taką napełniły rozkoszą jak morze, kiedy je pierwszy raz ujrzałem pod Terraciną. Z dala od Rzymu, pustej Kampanii i duszącego upału – odżyłem sercem i duszą. Za tchnieniem przemiłego powietrza, na widok gór okrytych oliwnymi gajami rozwinęły się znowu w mej piersi żywe obrazy Neapolu.

Flaminia jeździła często i bardzo chętnie na osiołku ze swoją garderobianą, po górskiej dolinie Tivoli, a mnie wolno było jej towarzyszyć. Flaminia okazywała dużo wrażliwości na malowniczość przyrody; musiałem jej przedstawiać obrazy pięknych okolic: rozległej Kampanii ze wspaniałą na widnokręgu kopułą Świętego Piotra, gór okrytych ciemnymi gajami oliw i bujnymi winoroślami samego Tivoli stojącego na wysokiej skale, pod którą wodospady jeden tuż przy drugim, pieniać się, z szumem spadają w przepaść.

– Wydaje się, że całe miasto stoi na luźnych łomach skał, które woda lada chwila porwie ze sobą. Tam, na ich szczycie, na ulicach nikt o tym nie myśli i przebiega lekką stopą ponad otwartym grobem – rzekła Flaminia.

– Tak zawsze czynimy – odpowiedziałem. – Szczęście, że przed oczyma naszymi zakryty! Te rwiste potoki, które tutaj widzimy w przepaść spadające, nabawiają niepokoju, ale o ileż

bardziej przerażający jest widok pod Neapolem, gdzie tak potężnie bije w górę ogień jak tutaj woda!

Opowiadałem jej o Wezuwiuszu, o mojej po nim wędrówce, o Herkulanum i Pompei, a ona pilnie zważała na każde słowo. W domu musiałem jeszcze więcej opowiadać o pięknych okolicach z tamtej strony Błot leżących.

Morza nie mogła sobie dobrze wyobrazić, bo widziała je z bardzo daleka, z wysokich gór, błyszczące na widnokręgu srebrną wstęgą. Gdy jej powiedziałem, że morze to niebo na ziemi rozpostarte – złożyła rączki, mówiąc:

– Bóg uczynił ziemię niewypowiedzianie piękną!

Rad bym był dodać: dlatego też nie trzeba odwracać się od wspaniałych dzieł jego, zamykając się w ponurym klasztorze, ale nie miałem tyle śmiałości.

Pewnego dnia staliśmy przy starożytnej świątyni Sybilli i patrzyliśmy w otchłań na dwa ogromne wodospady, które głęboko w dole w mgłę się rozbiły. Słup drobnych jak mgła kropli wodnych wznosił się pomiędzy zielonymi drzewami wysoko w jasne powietrze. Promienie słońca zamieniły go w prześliczną tęczę. We wnętrzu skalnej jaskini ponad mniejszą kaskadą gnieździło się stado gołębi; latały tam w dole, duże zakreślając koła, ponad szumiącym strumieniem rozpryskującym się w pyłki na spadzistych skałach.

– Ach, jak tu pięknie! – zawołała Flaminia. – Zaimprovizuj też dla mnie, Antonio! Niechaj ten widok obudzi w tobie natchnienie!

Wspomniałem moje serdeczne marzenia rozbite dzisiaj w mgłę jak ten potok i czyniąc zadość jej życzeniu, śpiewałem.

– To życie płynie z takim szumem jak ten strumień, ale nie każdej kropelce dostał się promyczek słońca. Tylko ponad wszystkim razem, ponad całym rodem ludzkim roztacza się gloria piękności.

– Nie – przerwała Flaminia – nie chcę nic smutnego! Lepiej nie śpiewaj, jeżeli nie masz chęci! Nie wiem czemu, Antonio, ale różnisz się zupełnie od wszystkich znajomych mi panów. Tobie wszystko mogę powiedzieć; wydajesz mi się tak bliski jak moi rodzice.

Pozyskałem więc jej zaufanie zupełnie tak, jak ona moje. Tyle było wzruszeń w mej duszy, że potrzebowałem współudziału. Pewnego wieczoru opowiadałem jej dzieje lat moich dziecięcych, o przechadzce do katakumb, o święcie kwiatów w Genzano, o śmierci matki, jak nas konie *eccellenzy* przejechały, o czym dotąd jeszcze nie słyszała.

– O Boże! – zawołała. – Więc to na nas ciąży wina twego nieszczęścia? Biedny Antonio! – I uchwyciwszy mnie za rękę, patrzyła mi w oczy zasmucona. Stara Domenika także ją żywo zajęła, pytała, czy ją często odwiedzałem, a mnie wstyd było wyznać, że w ostatnim roku tylko dwa razy u niej byłem; lecz w Rzymie często ją widywałem i zawsze się dzieliłem z nią pieniędzmi; ale ta drobnostka nie zasługiwała na wspomnienie.

Żądała, abym jeszcze więcej opowiadał, opowiedziałem więc całe dzieje mej młodości: o Bernardzie i Annunciacie, a ona patrzyła we mnie z nie do opisania pobożnym wyrazem twarzy. Starannie dobierałem słów, aby nie obrazić jej niewinnych uszu; opowiadałem o Neapolu, dotknąłem nawet i cienistej strony tej historii, ale bardzo lekko – wzdrygała się na to, co mówiłem o Sancie – pięknym wężu kusicielu w moim raj.

– Nie, nie! – zawołała. – Nie chciałabym tam nigdy być, bo grzechów i bezceństw tego wielkiego miasta ani ogień wulkanu nie spali, ani morze nie obmyje! Jesteś dobry i pobożny,

dlatego cię Madonna ma w swojej opiece.

Przypomniałem sobie obraz Matki Boskiej, który spadł ze ściany, kiedy Santę dotknąłem ustami; lecz tego nie mogłem Flaminii powiedzieć; czy nazwałaby mnie potem pobożnym i dobrym? Byłem grzesznikiem jak wszyscy. Okoliczności, łaska Madonny szczególnie czuwała nade mną; w godzinie kuszenia byłem słaby jak inni ludzie.

Lara nadzwyczajnie się Flaminii podobała.

– Tak! – mówiła. – Tylko wtedy, gdy duch twój był w niebie, mogła się do ciebie zbliżyć. Doskonale sobie wyobrażam tę niebieską, jasną grootę, gdzie ją ostatni raz widziałeś. – Za to Annunciata niezupełnie jej się podobała. – Jak ona mogła kochać tego brzydkiego Bernarda? – mówiła. – Nie chciałabym, żeby ona została twoją żoną. Kobieta, która występuje przed liczną publicznością; kobieta... ale nie umiem tego, co mam na myśli, dobrze wyrazić. Pojmuję, że może być piękna, rozumna, posiadać więcej wybornych przymiotów niż inne kobiety, ale mimo to nie życzyłabym ci mieć ją za żonę. Lara byłaby dla ciebie lepszym aniołem.

Musiałem opowiadać o mojej improwizacji, a ona mniej okazywała trwogi podczas opisu jaskini zbójców niż przy wspomnieniu wielkiego teatru. Pokazałem jej numer „Diario di Napoli”, w którym była recenzja mojej improwizacji, nieraz ją od owego czasu przeczytałem.

Ponieważ bawiły ją wszelkie wiadomości o Neapolu, przeczytała więc całą gazetę. Naraz podniosła na mnie oczy i rzekła:

– Ale nie wspomniałeś o tym ani słowa, że Annunciata była równocześnie z tobą w Neapolu. Tutaj jest informacja, że jutro wystąpi, a zatem w dzień twego wyjazdu stamtąd.

– Annunciata? – powtórzyłem zmieszany, patrząc na gazetę osłupiałym wzrokiem, bo tyle razy ją miałem w ręku, a tego nie dostrzegłem, zawsze tylko recenzją mojej improwizacji zajęty. – Tego nie wiedziałem – rzekłem i patrzyliśmy na siebie przez czas jakiś w milczeniu. – Dzięki Bogu, że jej nie widziałem, że się z nią nie zeszedłem, ona już nie moja!

– A gdyby się tak stało? – podchwyciła Flaminia. – Nie byłbyś się ucieszył?

– Byłbym tylko cierpiał – odpowiedziałem wzruszony – bo już nie tę Annunciatę byłbym ujrział, która mnie wprawiała w zachwyt, która dotąd żyje w mej duszy jako ideał. Ta, którą bym wtedy spotkał, byłaby inną istotą, obudzającą we mnie tylko bolesne wspomnienia; dawno zapomnianą, należącą do innego! Dla mnie ona już umarła!

Pewnego dnia po południu, kiedy nieznośnie było gorąco, wszedłem do wielkiej sali, gdzie pnące rośliny gęstymi splotami zasłaniały okna. Flaminia, wsparłszy główkę na ręku, spała w krześle, myślałem, że tylko dla żartu oczy zmrużyła. Oddech podnosił jej piersi, marzyła we śnie.

– Lara – wymówiła cichym głosem. Zapewne widziała w tej chwili wymarzony obraz mego serca w owym promiennym świetle, gdzie go ostatni raz oglądałem. Uśmiech igrał na jej ustach, otworzyła oczy. – Antonio, ty tutaj? – rzekła. – Drzemałam i śniło mi się, wiesz o kim?

– O Larze! – odpowiedziałem, bo i mnie przyszła na myśl przy pierwszym spojrzeniu na śpiącą Flaminie.

– Prawda! O niej śniłam! Leciałyśmy obydwie ponad niezmiernym, pięknym morzem, o którym mi opowiadałeś. Wśród wody wznosiła się skała, ty na niej siedziałeś zasmucony, jakim często cię widuję. „Polecimy do niego” – mówiła do mnie Lara i spuściła się z górnego przestworza ku tobie. Ja także chciałam się zbliżyć do ciebie z nią razem, ale mnie powietrze nie chciało na dół puścić, za każdym uderzeniem skrzydeł coraz bardziej się oddalałam. A kiedy

myślałam, że już z tysiąc mil nas przedziela, spostrzegłam ją naraz przy moim boku, i ciebie także.

– Tak nas śmierć połączy! – zawołałem. – Śmierć jest bogata, ona posiada wszystko, co sercu naszemu najdroższe! – Zacząłem mówić o umarłej już miłości mojej i o umarłych dla uczuć i myśli moich. Nie raz potem wpadaliśmy na te wspomnienia.

Pytała mnie wtedy, czy też będę o niej pamiętał po rozstaniu się naszym.

– Wkrótce powrócę do klasztoru i zostanę zakonniczką, oblubienicą Chrystusową, wtedy już nigdy się nie zobaczymy – mówiła.

Głęboki żal mnie przejął na te słowa; żywo czułem, jak droga mi była Flaminia.

Pewnego dnia, kiedy się z matką i ze mną przechadzała po ogrodzie należącym do willi d'Este, gdzie rosą wysmukłe cyprysy, weszliśmy w aleję utworzoną z samych sztucznych wodotrysków. Na ziemi leżał żebrak okryty łachmanami i wrywał trawę na ścieżce. Spostrzegłszy nas, prosił o bajoka. Dałem mu paola, Flaminia także, i wdzięczny uśmiech w dodatku.

– Niechaj Madonna nagrodi dobremu *eccellenzy* i jego pięknej narzeczonej! – wołał za nami.

Signora Francesca w głos się rozśmiała, a mnie tak się zrobiło gorąco, jakby kto ukropem krew moją podsycił. Na Flaminie nie śmiałem ani spojrzeć. W duszy mojej obudziła się myśl, której sam obudzić nigdy nie śmiałem. Z wolna, ale za to tym silniej wrosła Flaminia w moje serce – przeczuwałem, że pęknie, gdy się będziemy musieli rozłączyć. Ona była jedyną istotą, do której się przywiązałem całą duszą, jedyną, która moje myśli i uczucia podzielała. Czy była to miłość? Czy ją kochałem? Uczucie, które Annunciata obudziła w moim sercu, nawet uczucie na widok Lary innego było rodzaju. Pamięć Lary była owemu uczuciu pokrewna. Annunciata porywała mnie za sobą duchem i pięknnością idealną. Nie, miłość moja ku Flaminii nie była taka sama – nie była to dzika i pożądliwa namiętność, ale przyjaźń, najsilniejsza miłość braterska. Rozważając stosunek mój do niej ze względu na jej rodzinę i przeznaczenie, byłem prawie w rozpacz, bo niepodobna mi było się z nią rozłączyć. Ona stała się dla mnie wszystkim, najdroższym w świecie dobrem, ale nigdy nie powstało we mnie życzenie przycisnąć ją do serca lub pocałować w usta.

Słowa żebraka: *eccellenza* i jego piękna narzeczonej – ciągle brzmiały w mych uszach. Starłem się najmniejsze życzenia Flaminii odgadywać z jej oczu, byłem doprawdy jej cieniem. Kiedy ktoś obcy był razem z nami, stawałem się rozstrojony i smutny; czułem ciężar więzów, które mnie krępowały; robiłem się milczący i roztargniony, tylko dla niej zdobywałem się na wymowę. Tak droga była dla mnie, a ja miałem ją utracić?

– Antonio – mówiła nieraz – czy jesteś chory, czy zaszło coś takiego, czego mi wiedzieć nie wolno? Czemu te tajemnice przede mną?

I ona się do mnie przywiązała całym sercem. Chciałem się dla niej okazać kochającym, szczerym bratem, a jednak wszystkie mowy moje zmierzały ku temu, aby jej myśli zwrócić na życie światowe. Opowiadałem jej, że niegdyś sam miałem zamiar zostać zakonnikiem, a w końcu dodałem, że byłbym się unieszczęśliwił, gdybym to wykonał.

– Ja zaś będę bardzo szczęśliwa, gdy wrócę do klasztoru, tam mój najmilszy dom! Będę sobie wtedy często przypominać dni spędzone na wielkim świecie, a przy tym wszystkie twoje opowiadania. Będę wspominać i ciebie, i twoją dla mnie dobroć. Będzie to piękne marzenie, już dziś je przeczuwam. Będę się za ciebie modlić, aby cię zły świat nie zepsuł, aby się cieszył

twymi poezjami; abyś doznawał szczęścia, szczęścia wypływającego z głębokiego przekonania, że Bóg ciebie i nas wszystkich otacza miłością.

Na te słowa łzy mi stanęły w oczach i wymówiłem z westchnieniem:

– Wtedy nie zobaczymy się już nigdy!

– Zobaczymy się u Boga i Matki jego najświętszej – odpowiedziała ze słodkim uśmiechem. – Tam mi pokażesz Larę, tam ona wzrok odzyska. O naprawdę! Najlepiej u Madonny!

Powróciliśmy znowu do Rzymu. Mówiono, że za parę tygodni Flaminia wróci do klasztoru i zaraz potem zostanie zakonnicą. Serce moje krajało się z bóleści, a jednak musiałem wszystko ukrywać. Jakże samotny i smutny będę, gdy ona mnie opuści! Ach! Jaka to serdeczna żałość! Starłem się wszystko zataić, udawałem wesołość, chciałem okazać się zupełnie inny, niż dotąd byłem.

Rozmawiano o wspaniałym obrzędzie jej obłóczyn, jakby o jakiejś radosnej uroczystości. Ale czy ona może nas opuścić? Wykrzywiono jej umysł, wprowadzono w obłęd jej rozum! Miano jej obciąć śliczne długie włosy, w gieżło ubrać żywą; miała słuchać dzwonów pogrzebowych, a dopiero wtenczas, gdy dla nas stanie się umarłą – miała zmartwychwstać jako oblubienica niebieska. Powiedziałem to Flaminii; błagałem ją z trwogą w sercu, aby się namyśliła, co chce uczynić, zstępując żywo do grobu.

– Nie powtarzaj tego nikomu, Antonio! – odpowiedziała z taką powagą, jakiej nigdy przedtem u niej nie dostrzegłem. – Ciebie świat wiąże zbyt silnie, wznieś ducha wyżej, do niebios! – Potem zarumieniwszy się, ujęła moją rękę i jakby łagodząc te surowe słowa, dodała ze słodką uprzejmością: – Wszakże nie chcesz mnie zasmucać, Antonio?

Wtedy upadłem jej do nóg, jak świętej – całą duszą tylko do niej zwrócony byłem w tej chwili.

Ileż to łez wycisnęła mi ta skłonność, którą musiałem za grzeszną uważać, bo Flaminia była oblubienicą Chrystusa! Co dzień ją widywałem, co dzień wyżej ceniłem. Rozmawiała ze mną jak siostra, patrzyła mi w oczy, podawała rączkę; nieraz powtarzała, że za mną tęskni, że mnie wysoko ceni. Ukrywałem w głębi piersi tę zabijającą tajemnicę tak starannie, żeby nikt jej nie dostrzegł. Sercu tak cierpiącemu, jak moje, daj Panie raczej śmierć!

Zły duch szeptał mi do ucha: ty ją kochasz! Ale ja nie kochałem jej taką miłością jak Annunciatę ani też takiego nie doznawałem uczucia jak wówczas, kiedy ustami dotknąłem czoła Lary. Powiedz Flaminii, że bez niej żyć nie możesz, ona do ciebie tak przywiązana, jak czuła siostra do brata. Powiedz, że ją kochasz! *Eccellenza* i cała rodzina cię potępi, wypchną cię z domu, ale i tak, jeżeli Flaminie postradasz, postradasz wszystko! Wybór tu łatwy.

Często miałem takie wyznanie na myśli, lecz serce moje wzdrygało się i milczałem.

W pałacu czyniono przygotowania do świetnego balu, do kwiatami strojnej uroczystości dla niewinnej ofiary. Widziałem ją w cudownie pięknym białym stroju – nadzwyczaj była powabna.

– Bądź wesoły jak inni – szepnęła. – Przykro mi, że cię widzę tak smutnym. Kiedy będę siedziała w mojej celi, z pewnością będę nieraz musiała z twej przyczyny myśleć o świecie, a to grzech! Antonio! Przynieś mi, że będziesz weselszy. Przynieś mi, że przebaczysz rodzicom moim ich surowość względem ciebie, oni ci dobrze życzą. Przynieś mi, że nie będziesz zważał na gorycze tego świata. Bądź zawsze dobry i pobożny, jakim teraz jesteś, a wtedy będzie mi wolno o tobie myśleć i za ciebie się modlić, bo Madonna dobra jest i litościwa.

Jej słowa na wskroś przejęły moje serce. Widziałem ją jeszcze w przeddzień rozstania się;

była zupełnie spokojna; całowała ojca i *eccellenzę* i mówiła o rozłączeniu z rodziną tak spokojnie, jakby to tylko parę dni trwać miało.

– Pożegnaj się też z Antoniem – rzekł Fabiani. On jeden zdawał się być wzruszony; po drugich nie było tego widać. – Zbliżyłem się do niej skwapliwie i schyliłem się do ucałowania rączki.

– Antonio – szepnęła miękkiem głosem. – Bądź szczęśliwy!

Chciałem się natychmiast oddalić i nie miałem siły; raz ostatni patrzyłem w jej pobożne, łagodne oblicze.

– Bywaj zdrów! – wymówiła, ale ledwo słyszalnym głosem, i nachyliwszy się, złożyła na moim czole pocałunek, potem dodała: – Dziękuję ci za szczere przywiązanie, mój drogi bracie!

Więcej nie wiem, co się działo, bo wybiegłem z salonu i wpadłem do mego pokoju, a by tam ciężką żalność łzami wyronić. Myślałem, że świat się zapada.

Jednak raz jeszcze ją widziałem! W dzień obłóczyn. Słońce przyświecało pięknie. Ukazała się Flaminia w całym przepychu i wspaniałości, przez ojca i matkę prowadzona do ołtarza. Słyszałem śpiewy, widziałem mnóstwo ludu, lecz tylko jej blade, pełne słodczy oblicze poznałem w tym tłumie. Wyglądała jak anioł, kiedy klęczała przy ołtarzu obok kapłana. Widziałem, jak zdjęto bogatą zasłonę z jej głowy; jak bujne włosy spadły na jej ramiona; słyszałem cięcie nożyc. Zwleczono z niej drogi strój; położyła się na marach, rozpostarto nad nią giezło i kobierzec żałobny z trupimi głowami. Dzwony zajęczały głosem pogrzebowym, zabrzmiał psalm umarłych. Zaprawdę! Ona umarła dla tego świata! Podniesiono czarną kratę u wejścia do klasztoru, ukazały się siostry zakonne w białych na głowach zasłonach, śpiewając hymn anielski na powitanie nowej siostry. Biskup podał jej rękę; umarła została oblubienicą pańską. Zwano ją odtąd Elżbietą. Widziałem, jak ostatni raz spojrzała po zgromadzonych, potem podała rączkę najbliższej stojącej zakonnicy i wstąpiła do grobu żywych. Czarną kratę spuszczone. Jeszcze mignęła jej postać, jeszcze rąbek szaty i znikła.

¹ Befana – brzydka lalka, którą dzieci we Włoszech obnoszą w wilię Trzech Króli wieczorem albo w oknie stawiają.

XXIV

Stara Domenika. Odkrycie. Wieczór w Nepi. Terni. Pieśń żeglarza. Wenecja

W pałacu Borghese składano powinszowania, że Flaminia Elżbieta została oblubienicą niebieską. Signora Francesca nie mogła ukryć smutku. Spokój widoczny na jej obliczu nie była prawdziwy, bo nie miała go w sercu.

Z rzewnością mówił do mnie Fabiani:

– Utraciłeś najlepszą orędowniczkę swoją, masz słuszny powód do smutku. – Potem dał mi kilka skudów dla starej Domeniki. – Zapewne opowiadałeś Flaminii o twojej przybranej matce? Zanieś jej te pieniądze, to od Flaminii!

Uczucie śmierci ścisnęło jak wąż moje serce; przesyconie życiem ciągle mi stało na myśli; drżałem w duchu, bo mi przychodziła myśl samobójstwa. Wszystko w tej ogromnej sali było puste i smutne. „Trzeba wyjść na wolne powietrze – pomyślałem – odwiedzić dom, gdzie się wychowałem; gdzie Domenika piosenki przy kołysce śpiewała, gdzie się bawiłem i marzyłem. Pusta i ogorzała była Kampania. Żaden listek zielony nie wzbudzał nadziei; żółty Tyber toczył swoje bałwany do morza, aby w nim zginąć. Zobaczyłem znów stary grobowiec, którego dach i mury gęsty bluszcz okrywał; ujrzałem znowu ów mały światek, który w chłopięcym wieku nazywałem moim. Drzwi stały otworem; zdjęło mnie miłe, ale żalosne uczucie; myślałem o przywiązaniu Domeniki i radości, gdy mnie zobaczy. Już prawie rok u niej nie byłem, a może z osiem miesięcy, jak się z nią widziałem w Rzymie – a tak mnie prosiła, żebym ją jak najszybciej odwiedził. Często o niej myślałem, często mówiłem o niej z Flaminia; lecz pobyt letni w Tivoli i niepokój w duszy od czasu powrotu stamtąd wstrzymywały mnie od wycieczki do Kampanii. Już w duchu słyszałem jej radosny okrzyk na mój widok i podwoiłem kroku, ale zbliżywszy się do drzwi, stąpałem po cichu, aby mnie nie usłyszała.

Zajrzałem do wnętrza. Pośrodku stał na ziemi duży żelazny saganek, a pod nim paliła się trzcina; młody chłopak dmuchał w ogień. Podniósłszy oczy, spostrzegł mnie; był to Pietro, owo niegdyś dziecko, które tu kołysałem.

– San Giuseppe! – zawołał, zerwawszy się z pośpiechem. – To wy, *eccellenza*? Już dawno, dawno temu, jak byliście łaskawi nas odwiedzić.

Podąłem mu rękę, on ją chciał pocałować.

– Nie, nie, Pietro! – rzekłem. – Zdaje się prawie, że zapomniałem moich dawnych przyjaciół, ale nie!

– Nie! To samo mówiła dobra matka nasza – rzekł z żywością. – O Madonna! Jakby się też ucieszyła, gdyby was ujrzała!

– Gdzie jest Domenika? – zapytałem.

– Ach! – odpowiedział. – Już od pół roku w ziemi spoczywa. Umarła, gdy *eccellenza* byliście w Tivoli. Tylko kilka dni chorowała, ale cały czas mówiła o kochanym Antoniu! Tak, *eccellenza*, nie gniewajcie się, że mówię wam po imieniu. Ona was bardzo kochała! „Oby go

oczy moje mogły jeszcze oglądać, nim się zamkną na wieki!” – powtarzała. Kiedy zmiarkowałem, że już następnej nocy nie przeżyje, poszedłem po południu do Rzymu. Byłem przekonany, że nie odmówicie mojej prośbie; chciałem was uprosić, żebyście ze mną przyszli do starej matki. Ale was nie było, pojechaliście z państwem do Tivoli. Powróciłem tedy ze smutkiem, a wszedłszy do domu, zastałem Domenikę już nieżywą.

Zasłonił sobie twarz rękoma i płakał. Każde jego słowo padało mi ciężarem na piersi; w godzinie skonu myślała tylko o mnie, a moje myśli były w tym samym czasie od niej dalekie. Gdybym się przynajmniej z nią pożegnał przed wyjazdem do Tivoli! Czyniłem sobie wyrzuty, że jestem niedobrym człowiekiem. Oddałem Pietrowi woreczek od Flaminii i wszystkie pieniądze, jakie miałem przy sobie, a on uklęknął przede mną, zowiąc mnie swoim aniołem stróżem. Brzmiały te słowa w uszach moich niby szyderstwo. Z podwójną w duszy boleścią opuściłem Kampanię. Nie pamiętam już, jak się przywlokłem do domu. Trzy dni leżałem bez zmysłów, ciężką złożony gorączką. Bóg wie, co gadałem wtedy, ale Fabiani często mnie odwiedzał, a pilnowała głucha Fenella. O Flaminii nie wspomniano ani razu. Powoli zacząłem do sił przychodzić, lecz na próżno starałem się odzyskać swobodę, myśli i wesołość. Sześć tygodni po złożeniu przez Flaminie ślubów zakonnych pozwolił mi lekarz wyjść. Prawie nie wiedząc o tym, zaszedłem do Porta Pia; wpatrywałem się nieruchomo w Quattro Fontane, lecz nie śmiałem przejść koło klasztoru. Kilka dni potem, kiedy księżyc stał w pełni na niebie, znowu zawiodło mnie tam serce; przyglądałem się szarym murom klasztoru, zakratowanym oknom, grobowi Flaminii.

– Czemuż nie ma być wolno przypatrywać się przybytkowi umarłych? – mówiłem sam do siebie i sam w sobie znalazłem na to usprawiedliwienie. Co wieczór umyślnie tam chodziłem. Jeżeli mnie spotkał ktoś ze znajomych, mówiłem, że bardzo lubię zwiedzać willę Albani. „Bóg wie, na czym się to skończy!” – myślałem sobie po cichu, stojąc u celu.

Wieczór był ciemny; z jednego okna klasztoru padał promień światła na mur. Oparty o ścianę narożnej kamienicy wpatrywałem się w ów jasny cień i myślałem o Flaminii.

– Antonio – rzekł ktoś do mnie. – Antonio! Co tutaj robisz? Pójdź ze mną do domu. – Był to Fabiani.

Szedłem za nim, nie mówiąc ani słowa. On wszystko wiedział tak dobrze jak ja; byłem o tym przekonany. Okazałem się niewdzięczny, nie śmiałem spojrzeć na niego. Weszliśmy obydwaj do pokoju.

– Ty jeszcze jesteś chory, Antonio! – rzekł dziwnie surowym głosem. – Trzeba ci zajęcia, rozrywki. Będzie z pożytkiem dla ciebie, gdy zwiedzisz cokolwiek świata. Już raz rozwinąłeś skrzydła, aby użyć wolności; może źle zrobiłem, sprowadziwszy ptaszka znowu do klatki. Człowiek powinien iść zawsze za własną wolą, a jeżeli wtedy wpadnie w niebezpieczeństwo mu grożące, tylko samemu sobie winę przypisze. Jesteś już na tyle dojrzały, że możesz sam się rządzić. Mała podróż będzie dla ciebie zbawienna, to samo utrzymuje lekarz. Widziałeś tylko Neapol, zwiedźże teraz i północne Włochy. Ja ci dam wyprawę. To najlepsze, co możesz uczynić, nawet konieczne, przy tym sądzę – dodał poważnie i tak surowo, jak nigdy jeszcze – że nigdy nie zapomnisz dobrodziejstw, które ci wyświadczyliśmy; że nigdy nie sprawisz nam smutku, zmartwienia i kłopotu przez nierozwagę lub ślełą namiętność. Człowiek wszystkiego może dokazać, jeżeli tylko dobro ma na celu.

Te słowa raziły mnie jak piorun.

– Wiem dobrze – mówił z lekką ironią – żeśmy dla ciebie zawsze byli niesprawiedliwi, ale

też nikt nie może być dla ciebie szerszy i życzliwszy od nas. Usłyszysz piękniejsze frazesy, słodkie słówka, ale nie będą to słowa serdeczne jak nasze. Możesz z rok podróżować, a potem zobaczymy twoje skłonności i czy okazaliśmy się względem ciebie niesprawiedliwi.

To powiedziałwszy, wyszedł.

Ach, świat ten tyle ma goryczy coraz nowych, tyle trucizny dla mnie. Nawet to jedyne, co podtrzymuje mego ducha – wolność zwiedzania świata bożego, zaprawiają mi żółcią! Precz więc z Rzymu, ze stron południowych, gdzie rosną wszystkie kwiaty wspomnień! Za Apeniny – hen ku północy! Tam śniegi leżą na wysokich górach, tam powietrze alpejskie ostudzi żar mego serca. Ku północy, do pływającej Wenecji, narzeczonej morza! Boże! Nie daj mi wracać nigdy do Rzymu, do grobu moich pamiątek! Żegnam cię, domu mój rodzinny! Żegnam, ojczyzno moja!

Powóz mój toczył się przez pustynię Kampanii. Kopuła Świętego Piotra skryła się za pagórkami; mineliśmy Monte Soracte, a przebywszy góry, stanęliśmy w małym Nepi. Wieczór był jasny, mnich prawił kazanie przed drzwiami osterii. Zgromadzony lud tłoczył się za nim na ulicach, wykrzykując: *eh viva Santa Maria!* i śpiewając. Oddaliłem się od tego tłumu. Starożytne akwedukty ukryte za gęstymi wiklinami i ciemne gaje oliwne przedstawiały obraz odpowiadający mojemu usposobieniu.

Wyszedłem sobie tą samą bramą, przez którą wjechałem. Tuż za nią znajdują się ruiny zamku czy klasztoru; wielki trakt przechodzi przez na wpół zapadłe przedsionki. Mała ścieżka prowadzi w środek tych zwalisk. Bluszcz i włosy Wenery okrywają ściany samotnej celi. Znalazłem się w obszernym przybytku – wysoka trawa wyrasta spośród gruzów i potłuczonych nagłówków. Winogrona zasłaniają szerokim liściem wielkie gotyckie okna, w których tylko gdzieś tam błyszczą słabo osadzone kawałki różnokolorowych szybek, a na wierzchu murów porastają krzewy i zielska. Promienie księżyca padały na freski przedstawiające świętego Sebastiana krwią oblanego, przebitego strzałami. Zdawało mi się, że ponury głos organów rozlega się po sali. Idąc za tym głosem, wyszedłem przez drzwiczki klasztorne i ujrzałem się naraz wśród mirtu i bujnych winorośli, nad brzegiem stromej przepaści, w którą rzucała się rączym skokiem kaskada połyskująca przy świetle księżyca srebrną pianą.

To romantyczne położenie musiało każdy umysł zachwycić, lecz na mnie może by tylko słabe zrobiło wrażenie w obecnym smutku moim, gdyby mnie inny widok głęboko nie wzruszył. Idąc zarosłą ścieżką tuż nad przepaścią, ku wielkiej drodze, spostrzegłem przy świetle księżyca na wysokim białym murze trzy blade trupie głowy wyszczerzające się na mnie spoza żelaznej kraty. Były to głowy rozbójników, które tutaj – jak w Rzymie przy Porta dell Angello – wystawiono w żelaznej klatce ku odstraszaniu i przestrodze. Mnie nic już nie przerażało w tej chwili. Dawniej może bym uciekł ze strachu z tego miejsca, lecz boleść rodzi filozofię. Ta zuchwała głowa, którą napępniały mordercze myśli, ów śmiały orzeł gór został teraz milczącym, złapanym ptakiem; siedział cicho, jak inne obłaskawione ptaszki, w swej klatce, podszedłem więc bliżej. Zapewne dopiero przed paru dniami zostały ścięte, bo jeszcze wszystkie rysy dokładnie można było rozpoznać. Gdy się przypatrzyłem z bliska głowie w środku będącej, poruszyło się żywiej moje serce – była to bowiem głowa starej niewiasty. Skóra na twarzy żółta, ogorzała, oczy na wpół otwarte, włos długi, siwy rozwiął się poza kratę, a wiatr nim igrał. Rzuciłem okiem na wmurowaną nad nią tablicę kamienną, na której według dawnego zwyczaju wyryte było nazwisko i zbrodnia straconego. Odczytałem: Fulwia. Wymieniono także miejsce urodzenia – Frascati. Wzruszony do głębi cofnąłem się o kilka kroków.

Fulwię, tę dziwną staruszkę, która życie mi wybawiła, która postarała się dla mnie o wyprawę do Neapolu; ową tajemniczą opiekunkę moją – niestety! – w takim stanie oglądać mi przyszło! Te sine usta dotknęły niegdyś mego czoła; te same usta, co ludowi głosiły przepowiednie przyszłości, co zwiastowały nieraz śmierć lub życie – teraz przerażały okropnie milczeniem.

– Wróżyłaś mi szczęście! Twój śmiały orzeł legł ze złamanymi skrzydłami i nie doleciał nigdy do słońca. W walce z nieszczęściem pogrąża się w wielkie nemijskie jezioro życia! Pióra jego skrzydeł połamane!

Powracałem wolnym krokiem przez opustoszałe przedsionki. Nie zapomnę nigdy tego wieczoru w Nepi.

Następnego dnia ruszyliśmy w dalszą drogę i przybyliśmy do Terni, szczyłącego się najpiękniejszym we Włoszech wodospadem. Wyjechawszy z miasteczka, przebyłem gęsty las oliwny – pierwszy, w który się głębiej zapuściłem. Dżdżyste obłoki wisiały u szczytów gór – im dalej ku północy, tym posępniejsza wydawała się okolica. Nie była już tak śmiejąca się i piękna jak Pontyjskie Błota albo pomarańczowe ogrody Terraciny, gdzie rosną zielone palmy. Może też smutek mego serca naciągnął na wszystko tak ponury kolor.

Przebyliśmy ogród. Pyszna aleja drzew pomarańczowych ciągnęła się pomiędzy ścianami skał a rzeką uciekającą pędem strzały. Widziałem wysoko obłok, a na nim jaśniała tęcza. Weszliśmy na górę, przedarłszy się przez gęste zarośla mirtu i rozmarynu; ze szczytu spadał ogromny potok po ukośnej ścianie skalnej; niedaleko stamtąd wiała się odnoga rzeki niby szeroka srebrna wstęga. Pod skałą łączyła się z głównym strumieniem, tworząc szeroki wodospad, który zabelony pianą jak mleko rzucał się w czarną otchłań. Przyszły mi na myśl kaskatelle Tivoli, gdzie mnie Flaminia prosiła, ażebym improwizował. Hucznie szumiący potok grzmiał niby potężne organy przypomnienie moich strat i boleści. Utrata sił, śmierć i obrócenie się wniwecz – przeznaczone nam od natury!

– Tutaj rozbójnicy zabili w zeszłym roku Anglika – rzekł nasz przewodnik. – Była to banda z Gór Sabińskich, o której właściwie byłoby powiedzieć, że zajmuje całą okolicę górzystą od Rzymu aż do Terni. Rząd ma z nimi wiele do czynienia. Kilku tych biedaków złapano; widziałem, jak ich wieziono w kajdanach do miasta. Przy bramie siedziała mądra Fulwia z Gór Sabińskich – takeśmy ją nazywali; była już w podeszłym wieku, a jednak zawsze wyglądała młodo, ona więcej posiadała mądrości niż niejeden mnich ozdobiony kardynalskim kapeluszem. Wróżyła jak wyrocznia, wtem doniesiono, że pozostaje w zмовie z tym zbójami; schwyciono biedną staruszkę i wybiła dla niej ostatnia godzina; zatknięto jej głowę przy bramie w Nepi.

Zdawało mi się, że ludzie, jak sama przyroda, tylko smutkiem i zgrozą napełniają moją duszę. Uczułem w sobie żądzę przebiegania kraju pędem wiatru. Lasy oliwne mroczyły mój umysł jeszcze bardziej, w górach było mi za duszno. Na morze więc! Gdzie wiatry huczą. Na morze! Gdzie płynąć będziemy po niebie, gdy tymczasem drugie nad nami będzie zasklepione! Krew moja wrzała z miłości, serce pękało z tęsknoty, po dwakroć ogarnął mnie ten czysty, święty płomień. Pierwszy raz, gdy Annunciatę pokochałem całym, dopiero co rozbudzonym sercem, a ona kochała innego, powtórnie, gdy Flaminia powoli zajęła moją duszę. Nie byłem wtedy zaślepiony, nie unosiłem się namiętnością, ale nauczyłem się cenić ten klejnot. Za każdym razem, kiedy mi podawała rączkę jako siostra, a ja do ust ją przyciskałem; za każdym razem, kiedy mnie pocieszała i Boga prosiła, aby mnie świat nie zepsuł, wbijała mimo woli ostrze pocisku coraz głębiej w moje serce. Nie kochałem jej, jak się kocha narzeczoną, a jednak

czułem, że nie zniósłbym, gdyby ją inny miał tulić w swoim objęciu. Teraz umarła – umarła dla świata, żaden obcy mężczyzna nie przycisnie jej do serca; żaden nie pocałuje jej w usta; żaden jej nie posiadzie. Przynajmniej tym się pocieszałem; teraz bowiem nazywałem uczucia moje, silną żądzę duszy i serca – miłością. Gdybym jako biedny, pogardzony pastuszek z Kampanii, żyjący w pysznym pałacu chlebem litości, ujrzał ją narzeczoną jakiegoś młodego szlachcica i co dzień patrzeć był zmuszony na jej szczęśliwą miłość – a gdyby mimo to była dla mnie zawsze słodka i przywiązana jak siostra – byłbym z pewnością oszalał! Ale teraz należy do klasztoru; nikt nie ośmieli się podnieść ku niej oczu, nikomu nie wolno widzieć się z nią – w tym widziałem moje szczęście. Cierpienia tego świata muszą być niezmierne, kiedy nawet moje położenie jeszcze było godne zazdrości!

Na morze! Pełne cudów morze! To nowy dla mnie świat. Do Wenecji, pływającego miasta, królowej Adriatyku! Ale nie przez ponure bory, duszące góry, lecz szybkim i lekkim lotem po wodnych bałwanach! Takie były moje marzenia.

Ułożyłem sobie udać się najpierw do Florencji, potem przez Bolonię do Ferrary, lecz zmieniłem ten plan. Rozłączywszy się z vetturinem w Spoleto, wzięłem powóz pocztowy i pędziłem nocą przez Apeniny i Loretto. Z wysokiej drogi w górach ujrzałem Morze Adriatyckie, świecące srebrnym pasem na horyzoncie; pode mną kłębiły się góry w olbrzymie bałwany; teraz patrzyłem na błękitne, rozkołysane morze okryte statkami, na których powiewały bandery wszystkich narodów. Ten widok przypomniał mi Neapol; ale nie było dymiącego Wezuwiusza ani pływającej wyspy Capri. Przespałem tu noc, śniąc dziwne rzeczy o Fulwii i Flaminii. „Palma twego szczęścia niedługo rozkwitnie!” – mówiły obydwie z uśmiechem. Gdy się przebudziłem, był już pełen dzień.

– Signor! – rzekł odźwierny. – Jest statek gotowy na drogę do Wenecji, ale pan zapewne jeszcze obejrzy nasze miasto?

– Płynę do Wenecji! – zawołałem. – Natychmiast, właśnie tego pragnąłem.

Jakieś uczucie niedające się określić nagliło mnie do tej podróży. Wsiadłem na okręt, kazałem wnieść zaraz mój kuferek i patrzyłem na morze.

– Żegnam cię, ojczyzno moja! – Dopiero teraz, kiedy stopą nie dotykałem ziemi, uczułem się w innym świecie. Wiedziałem już wcześniej, że Włochy północne ukażą mi całkiem inną przyrodę. Sama Wenecja, ta bogato przystrojona kochanka morza, znacznie się różniła od innych miast włoskich. Nade mną powiewał skrzydlaty lew wenecki, płynąłem bowiem na okręcie weneckim. Żagle wiatrem wydęte zasłaniały mi brzegi. Siedziałem na krawędzi statku z prawego boku i patrzyłem w dal na błękitne, zbałwanione morze. Niedaleko mnie siedział młody chłopak i śpiewał piosnkę o szczęściu miłości i krótkich chwilach życia.

– Całuj różowe usta! Jutro bowiem śmierć cię zmiecie! Kochaj, póki serce twoje młode, a krew ogniem się pali! Włos siwy kwiatem śmierci, wtedy krew lodowacieje i ogień gaśnie! Chodź do chyżej jak strzała gondoli! Siądziemy pod dachem ukryci, a drzwi zamkniemy. Nikt cię nie spostrzeże, dziewczyno moja; nikt szczęścia miłości naszej nie ujrzy! Fale nas będą kołysać; jak my w objęciach wzajemnych tonące. Kochaj, póki młodości kwiat płonie i tylko noc milcząca i wodne fale o twym szczęściu wiedzą! Starość usmierca mrozem i śniegiem!

Podczas tego śpiewu kiwał głową i uśmiechał się do wszystkich wokół, a oni wtórowali chórem o pocałunku i miłości, póki serce młode. Była to wesoła, bardzo wesoła piosnka, a jednak pobrzmiwała w moim sercu tak smutnie, jak śpiew pogrzebowy.

Czułem – ale jak by to nazwać? – niezadowolnienie z samego siebie. Czy ogień namiętności

wrzący w mej piersi osmalił rozum? Doznawałem bowiem gorzkiego uczucia na wspomnienie, że uciekłem przed signorą Santą. Święty obraz Madonny spadł, bo się gwóźdź zardzewiała złamał, a rygor klasztorny jezuickiej szkoły i krew moja rozrzedzona kozim mlekiem wypędziły mnie stamtąd jakby różgami. Jaka ładna była Santa! Dotąd jeszcze miałem przed oczyma jej miłosne spojrzenie i gniewałem się sam na siebie. Dlaczego nie byłem taki jak Bernardo, jak tysiące innych, jak wszyscy młodzi przyjaciele moi? Żaden z nich nie był takim głupcem jak ja. Serce moje pragnęło miłości. Bóg sam do miłości mnie pobudzał, bo on tchnął w pierś moją to uczucie. Ale jestem jeszcze młody, Wenecja miasto wesołe, pełne pięknych kobiet! Cóż mam od świata za moją cnotę, za mój niewinny umysł? Szyderstwo! Czas wydaje truciznę i siwe włosy! Dlatego śpiewałem na okręcie w chórze z drugimi o pocałunku i miłości – póki serce młode.

Jedynie gorączka i obłąkanie z boleści zrodziło takie myśli w mej duszy. Ten, który mi dał życie, uczuciami natchnął i losem moim rozrządza, osądzi mnie litościwie. Są cierpienia, myśli nawet, których nikt prawie z ludzi wypowiedzieć się nie ośmieli, bo anioł niewinności mieszkający w piersi naszej – uchyła się przed grzechem. Ten, w którym sercu wszelkie miłosne żądze już wygasły albo się nasyciły, będzie mógł zgodnie z przepisami moralności wybornie rozumować nad moją rozmową z samym sobą. Lecz nie sądzcie, abyście i wy nie byli sądzeni! W końcu zasnąłem, a okręt nasz płynął ku północy, do pysznej Wenecji.

O świcie ujrzałem białe kamienice i wieże Wenecji. Wyglądały jak gromada okrętów z rozpiętymi żaglami; w lewo rozciągało się państwo lombardzkie z płaskimi wybrzeżami, a na widnokregu ukazały się Alpy niby bladoniebieskie kłęby mgły.

O rannym chłodzie uczucia moje złagodniały, nieco się uspokoiłem. Przypominałem sobie historię Wenecji, bogactwo i przepych, jej samodzielność i przewagę; potężnych dołów i ich zaślubiny z morzem. Zbliżyliśmy się do miasta, już można było przez laguny rozeznaczyć pojedyncze budynki. Ich szarozółte mury ni to stare, ni nowe nie bardzo miły przedstawiają widok. Myślałem, że wieża Świętego Marka wyższa. Wpłynęliśmy pomiędzy stały ląd a laguny. Jakie tu wszystko płaskie! Brzeg zdaje się ledwo jeden cal wyższy nad powierzchnię wody. Kilka nędznych domostw nazwano miastem – jest to Fuzina. Gdziekolwiek stoi krzaczek, poza tym równa jak tarcza płaszczyzna. Sądziłem, żeśmy już blisko Wenecji, a tymczasem była od nas jeszcze z milę; przed nami stała brzydka, mętna woda z obszernymi wyspami ze szlamu, na których ani ptak spocząć, ani trawa rosnąć nie może. Po całym tym jeziorze pokopano głębokie kanały i nawbijano wielkie słupy, aby wskazywały drogę. Po raz pierwszy ujrzałem gondole; długie, wąskie i szybkie jak strzały, ale wszystkie czarno pomalowane. Mała, czarnym sukmem obita budka na jednej z nich szczególnie zwróciła moją uwagę – był to pływający karawan pogrzebowy, który jak strzała koło nas przemknął. Woda nie była już tak błękitna jak na otwartym morzu albo na wybrzeżach Neapolu, ale brudnozielona. Przepłynęliśmy koło wyspy, gdzie domy zdawały się z wody wynurzać lub do szczątków rozbitego okrętu być przyczepione; pod ścianą stała wysoko Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus patrząca na te pustki. W niektórych miejscach, pomiędzy głębiną a czarnymi wyspami z grząskiego szlamu przedstawiała powierzchnia wody sitowiem porośłą ruchomą i zieloną równinę. Słońce ozłacało Wenecję jasnymi promieniami; wszystkie dzwony brzmiały – lecz mimo to wyglądała na smutną i obumarłą. Na warsztacie leżał tylko jeden okręt, ale nie spostrzegłem jeszcze ani jednego człowieka.

Wsiadłem do czarnej gondoli i popłynąłem w wymarłą ulicę, gdzie widziałem tylko wodę, a ziemi ani tyle, gdzie by stopę postawić. Po obu stronach wznosiły się duże gmachy z otwartymi

podwojami, a schody sięgały aż do wody; w szerokie bramy lała się woda, a dziedzińce wyglądały jak czworoboczne studnie, na które można było wpłynąć, ale ledwo nawrócić gondolą. Woda pozostawiała na murach zielony szlam; wielkie marmurowe pałace zdawały się zapadać. W ogromnych oknach poprzybijano proste deski do połączonych, nadgniłych belek. Wszystko pokazuje, że to olbrzymie ciało powoli się chyli do upadku; całość zaś napęnia uczuciem trwogi. Dzwony umilkły, nie było słycać żadnego głosu, tylko pluskanie wiosła. Jeszcze nie spostrzegłem żywego ducha – Wenecja spoczywała na wodzie jak nieżywy łabędź.

Wpłynęliśmy w inną ulicę; ponad kanałami wisiały wąskie murowane mostki. Teraz dopiero ujrzałem ludzi; przechodzili wysoko nad moją głową pomiędzy kamienicami lub nikieli w murach; nie widziałem innej ulicy prócz tej, po której pływały gondole.

– Ale gdzie się tutaj chodzi? – zapytałem gondoliera. Wskazał mi wąskie chodniki przy mostkach, pomiędzy wysokimi domami. Sąsiad sąsiadowi mógł z szóstego piętra podać rękę przez ulicę; na dole zaś, gdzie promień słońca nie dochodził, zaledwie trzech ludzi mogło iść obok siebie. Nasza gondola prześlizgnęła się i znowu wszystko ucichło.

To tak wygląda Wenecja? Bogata narzeczona morza, pani świata?

Ujrzałem wspaniały plac Świętego Marka. Tutaj pełno życia! – mówiono. Ale jaka różnica w porównaniu z Neapolem, nawet z Rzymem i jego zawsze ożywioną Corso; a przecież plac Świętego Marka jest sercem Wenecji, gdzie jeszcze cokolwiek życia się objawia. Sklepy wypełnione książkami, perłami i obrazami zdobią długie kolumnady, którym jednak zbywa na ciżbie! Przed kawiarniami siedziały gromady Greków i Turków w różnobarwnych strojach, kurząc tytoń z długich cybuchów. Słońce opromieniało złożoną kopułę Świętego Marka i brązowe konie nad bramą kościoła. Z czerwonych masztów Cypru, Kandii i Morei zwieszały się spokojnie bandery, plac wypełniały stada gołębi, żerując na bruku z wielkich kamieni.

Poszedłem na Ponte Rialto, owo tętno życia, i wnet poznałem Wenecję – olbrzymi obraz żaloby, będący poniekąd odbiciem mojej własnej duszy. Zdawało mi się, że jeszcze jestem na morzu, tylko przesadzony z małego na wielki okręt – w arkę pływającą.

Gdy nastał wieczór, a księżyc rozlał drżące światło i coraz ciemniejsze cienie otaczających mnie przedmiotów kładł po ziemi, uczułem się mniej obcy w tym miejscu; dopiero w godzinie duchów oswoiłem się z widokiem tej obumarłej oblubienicy. Stałem w otwartym oknie – po ciemnej, promyczkami księżycy lekko posrebrzonej wodzie przemknęła chyżo, jak ptak, czarna gondola. Przypomniałem sobie pieśń żeglarza o pocałunku i miłości, obudziło się dawne uczucie goryczy ku Annunciacie, która lekkomyślnemu Bernardo dała pierwszeństwo przede mną – i dlaczego? Właśnie może dla tej powabnej lekkomyślności? Takie to są kobiety! Nawet do pobożnej, niewinnej Flaminii miałem żal, bo i dla niej miłszy był klasztorny spokój niż moja braterska miłość. Nie! Nie! Ani tej, ani tamtej już nie kochałem, serce moje wyrzekło się wszystkiego, co mu dawniej było drogie. I jednej, i drugiej chciałem się z myśli pozbyć – a myśli moje ważyły się, jak niestały duch, pomiędzy obrazem pięknej Lary a grzesznicy Santy.

Wsiadłem w gondolę i kazałem się podczas cichej nocy wozić po wodnych ulicach. Wioślarze śpiewali, ale już nie słowami Tassa. Wenecjanie zapomnieli nawet dawnych melodii miłosnych od czasu, jak ich dożowie pomarli, a obce dłonie skrzydła lwa związawszy, do swego wozu go wprzęgły.

– Będę korzystał z życia, będę go używał, spełnię jego rozkosze co do kropli – powiedziałem sam do siebie. Wtem stanęła gondola, znalazłem się w bramie mego hotelu, wysiadłem i położyłem się spać. To był pierwszy dzień mego pobytu w Wenecji.

XXV

Burza. Wieczorek u bankiera. Siostrzenica podesty

Listy polecające, które ze sobą przywiozłem, zjednały mi znajomków, czyli jak się zwykle mówi – przyjaciół. Uważano mnie za signora abate, nikt mi się nie narzucał z pouczeniem, owszem, znajdowano wszystko, co mówiłem, doskonałym i przyznawano mi niepospolite zdolności. Byłem przyzwyczajony wysłuchiwać od *eccellenzy* i Franceski obrażających mnie uwag; opowiadali mi często rzeczy dla mnie niemiłe; zdawało się, że umyślnie upatrywali we mnie wady, by mi mogli powtarzać, że większa część znajomych moich nie jest mi tak życzliwa jak oni. Tutaj to wszystko się skończyło. Nie czułem upokarzającego stanowiska, którego nawet dobroć Flaminii uprzyjemnić nie mogła.

Zwiedziłem bogaty pałac dożów, obszedłem puste, wspaniałe sale, obejrzałem pokój inkwizycji ze szkaradnym obrazem przedstawiającym piekielne męczarnie. Wszedłem przez wąską galerię na kryty most zawieszony wysoko u poddaszy nad kanałem, po którym się przesuwały gondole. Tą drogą przechodziło się z pałacu dożów do weneckich więzień. Most ten nazywano mostem Jęków, nad kanałem znajdowały się studnie. Przez gęste kraty żelazne wyższych pięter więzienia wdzierało się tylko słabe światło lampy płonącej na korytarzu, a jednak były te cele jasne i przestronne w porównaniu z niżej się znajdującymi lochami, gdzie nawet pod poziomem wody w kanale jęczeli nieszczęśliwi i rysowali nazwiska swoje na wilgotnych murach. Powietrza, powietrza pragnęło serce moje wstrząśnięte okropnością tego miejsca. Wsiadłszy w gondolę, pędziłem strzałą od bladoczerwonego pałacu i słupów z posągami świętego Teodora i Iwa Wenecji, po zielonej wodzie – ku lagunom i Lido, aby odetchnąć świeżym powietrzem morskim. Wkrótce ujrzałem cmentarz.

Chowają tutaj cudzoziemców protestantów, z dala od ich ojczystego kraju, na wąskim przesmyku, wśród bałwanów morskich, które co dzień bardziej odrywają ten kawałek ziemi. Z piasku sterczały białe kości ludzkie; fale bijące w brzegi skrapiwały je słoną wodą, zastępującą łzy. Nieraz tu wysiadywała kochanka i żona rybaka, wyglądając kochanka lub męża, który wypłynął na połów, na zdradliwe morze. Wśród szumu wichru śpiewały kobiety ustępy z *Jerozolimy wyzwolonej*, oczekując odpowiedzi mężów, ale ci nie odpowiadali; siedziały więc smutne i patrzyły na dalekie morze, a ich usta były nieme; oczy ich widziały tylko wybielone kości umarłych na brzegu; ich ucho słyszało tylko wycie wiatru i szum bałwanów, a nad martwą i niemą Wenecją rozpościerała się noc.

Ten posepny obraz zajmował wszystkie myśli moje, a stan mego umysłu nadawał mu mocny koloryt. Przede mną stała przyroda poważna jak kościół, przypominająca mi grób i niewidzialne bóstwo. W uszach moich zadzwoniły znowu słowa Flaminii, że poeta powinien, jako prorok boski, starać się jedynie o głoszenie chwały bożej. Treść takiej poezji jest najwznioślejsza. Dusza nieśmiertelna powinna opiewać nieśmiertelność, albowiem błysk chwili jest tylko mieniącą się grą kolorów, która ginie, zaledwie się ukazawszy. Wpadłem w zapał i natchnienie, lecz wnet omdlałem. Milcząc, wstąpiłem w gondolę, która mnie znów zawiozła do Lido. Przede mną rozlewało się ogromne, otwarte morze, spiętrzone w długie bałwany – przypomniało mi odnogę

Amalfi.

Niedaleko mnie siedział w morskiej trawie, pośród kamieni młodzieniec szkicujący w notesie. Zdawało mi się, że go znam, podszedłem bliżej, on powstał. Był to młody wenecki szlachcic, nazwiskiem Poggio, spotykałem się z nim nieraz w znajomych domach, w których bywałem.

– Signor! – zawołał. – Pan nad Lido? Czy piękność morza, czy też inne piękności sprowadziły pana nad brzegi gniewliwego Adriatyku?

Powitaliśmy się uściskiem dłoni. Wiedziałem tyle o nim, że nie posiada majątku, ale za to wielki talent do malarstwa. Wydawał się bardzo szczęśliwy, wesoły aż do pustoty, a jednak szeptano mi do ucha, że w samotności jest największym mizantropem. Wnosząc z jego zapytania, można by go posądzać o wielką lekkomyślność, a jednak był w rzeczy samej jak najczystszych obyczajów. Z jego mowy mógłby świat wnioskować, że Don Juan jest jego wzorem, a on walczył z każdą pokusą w życiu, jak święty Antoni. Mówiono, że przyczyną tego była głęboka boleść duszy, ale co było przyczyną tej boleści? Czy lichy majątek? Czy nieszczęśliwa miłość? Tego nikt nie wiedział. Zdawało się, że wszystko opowiada, że najmniejszej rzeczy nie umie zamilczeć, a jednak nikt go nie mógł dokładnie poznać. Mnie wszystko to żywo zajmowało, dlatego ucieszyłem się z tego spotkania, które przynajmniej na chwilę rozpędziło smutek mej duszy.

– Takiej błękitnej, falami igrającej równiny – rzekł, wskazując na morze – nie ma koło Rzymu. Morze to najpiękniejsza częśćka naszej ziemi. Ono też jest matką Wenery i – dodał z uśmiechem – wdową po wszystkich potężnych dożach Wenecji.

– Wenecjanin zapewne bardzo lubi morze, uważa je za sędziwą matkę, która go kołysze i bawi z miłości do pięknej córki swojej Wenecji? – zapytałem.

– Dzisiaj już nie taka piękna! – odpowiedział. – Już pochyliła głowę!

– Ale przecież szczęśliwa pod panowaniem cesarza Franciszka?

– O stokroć szlachetniej być królową morza niż kariatydą lądu! Czy Wenecjanie słusznie się skarżą – nie wiem, na polityce się nie znam, ale za to lepiej na piękności. Jeżeli i pan jesteś jej czcicielem, jak mniemam, to oto stoi przed nami córka mojej gospodyni, która pyta, czy pan ze mną zechcesz podzielić skromny obiadek?

Weszliśmy do małego domku nad brzegiem: wino było wyborne, Poggio zabawny i zajmujący, nikt by się nie domyślił, że jego serce ściska tajemna boleść.

Siedzieliśmy tam pewnie ze dwie godziny, wtem przybyli moi wioślarze z zapytaniem, czy nie powrócę. Dodając, że nadciąga burza, morze się pieni, pomiędzy Lido a Wenecją już wysokie biją bałwany, a gondola wystawiona na niebezpieczeństwo, bo łatwo się może przewrócić.

– Burza? – wykrzyknął Poggio. – Dawno jej pragnąłem. Nie powinieneś pan tej sposobności odrzucać – rzekł, zwróciwszy się do mnie – zapewne się dopiero pod wieczór uspokoi, a jeżeli nie, to możemy i tutaj spokojnie przenocować i pozwolić jej huczeć nad naszymi głowami, a szum bałwanów do snu nas ukołysze.

– Tu na wyspie zawsze można dostać gondolę – rzekłem do przewoźników i pozwoliłem im odpłynąć. Potężny wiatr bębnił w okno. Wyszliśmy przed dom. Zachodzące słońce oświecało wzburzone, czarne jak noc, wody morza. Bałwany bijące wysoko kipiały białą pianą. W dali, gdzie stały chmury nieruchome jak skała, ciskając błyskawice, spostrzegliśmy kilka statków, lecz wnet nam znikły z oczu. Fale chluszczące w skalisty brzeg opryskiwały nas słonymi

kroplami, a im wyżej były, tym głośniej śmiał się Poggio, klaskał w dłonie i wykrzykiwał rozpasanemu żywiołowi brawo! Jego przykład i mnie zaraził; we wzburzonej przyrodzie znajdowało moje serce pokrzepienie; wkrótce zrobiła się ciemna noc. Kazałem podać najlepszego wina; piliśmy na cześć burzy i morza, a Poggio śpiewał pieśń o miłości i pocałunku, którą słyszałem na okręcie.

– Zdrowie Wenecjanek! – wykrzyknąłem, a on zadzwonił w moją szklanicę na cześć Rzymianek. Gdyby nas widział ktoś obcy, sądziłby, żeśmy najszczęśliwsi w świecie młodzieńcy.

– Rzymskie kobiety uchodzą za najpiękniejsze – rzekł Poggio – powiedzże mi pan szczerze swoje zdanie.

– I ja tak sądzę.

– Niechaj tak będzie! – odpowiedział Poggio – lecz królowa piękności znajduje się w Wenecji. Gdyby pan tylko widział siostrzenicę naszego podesty! Nie znam doskonalszej nad nią kobiety. Tylko jedyny raz ją widziałem w teatrze San Mose. Cała młodzież Wenecji tym samym, co ja, pała dla niej uczuciem, z tą jedynie różnicą, że oni wszyscy na śmierć zakochani w Marii, a ja tylko ją ubóstwiam. Dla moich zmysłów jest bowiem zanadto duchową istotą, a co do nieba należy, trzeba ubóstwiać. Nieprawda, panie abate?

Wspomniałem Flaminie i natychmiast zniknęła moja wesołość.

– Pan spoważniałeś – rzekł – a wino przecież wyborne, fale tańczą i przyśpiewują naszym bachanaliom.

– Czy podesta nie prowadzi domu? – zapytałem, aby podtrzymać rozmowę.

– Czasem! – odpowiedział Poggio. – A jeżeli przyjmuje towarzystwo, to bardzo wyszukane. Jego piękna siostrzenica płocha jak antylopa. Bojaźliwa i wstydliva, jak jeszcze nie widziałem żadnej z kobiet. Ale – dodał z szyderczym uśmiechem – to właśnie dobry sposób wzbudzenia zainteresowania. Oto, mój panie, nasz podesta miał dwie siostry, obydwie żyły długie lata gdzieś daleko od niego. Młodsza poszła za męża w Grecji i jest podobno matką tej pięknej panny; druga siostra jest jeszcze dotąd panną, ale już niemłoda. Ona to przywiozła może przed czterema laty tę panienkę.

Nagła ciemność przerwała jego mowę, czarna noc okryła nas swoim płaszczem i w okamgnieniu rozświetliła wszystko naokoło czerwona błyskawica. Uderzył piorun, który mi przypomniał wybuch Wezuwiusza. Schyliwszy głowy, przeżegnaliśmy się mimowolnie.

– Jezus, Maria! – wyrzekła stłumionym głosem gospodyni, wszedłszy do nas. – Co za okropność! Sześciu naszych najlepszych rybaków na morzu, niechaj Madonna ma ich w swojej opiece! Biedna Agnieszka siedzi oto z pięciorgiem dzieci, będzie też bieda, będzie!

Wśród huku burzy usłyszeliśmy śpiew psalmów. Na wybrzeżu, gdzie się rozbijały ogromne bałwany, stała gromadka kobiet i dzieci z krzyżem. Jedna młoda jeszcze niewiasta siedziała tam niema, smutno patrząc na morze, trzymała przy piersi małe dziecko, a nieco większe stało przy niej, tuląc główkę na łonie matki. Po ostatniej, przerażającej błyskawicy zaczęła się burza oddalać; widnokraj począł się wypogadzać, a biały rąbek jego zabłysnął jaśniej na wzburzonym morzu.

– To oni! – wykrzyknęła naraz rybaczką. Zerwała się z miejsca i wskazała czarną plamkę, która robiła się coraz wyraźniejsza.

– Niech im Madonna dopomoże! – wyjąkał stary rybak, który spuściwszy kaptur szarej burki na oczy, stał z założonymi rękoma i nieruchomo się wpatrywał w ową ciemną plamę. Wtem

nakrył ją ogromny bałwan.

Starzec widział to dobrze. Słyszałem skargi i płacze rozpaczających, wznoszące się tym bardziej, im morze spokojniejsze, a niebo pogodniejsze się stawało, bo zguba rybaków okazała się tym pewniejsza. Dzieci upuściły krzyż święty i zostawiwszy go w piasku, tuliły się z płaczem do matki, gdy tymczasem stary rybak, podniósłszy krzyżyk, ucałował stopy Chrystusa Pana, a trzymając go w górę, wzywał głośno świętego imienia Madonny.

Około północy niebo się zupełnie wypogodziło, morze kołysało się spokojniej, a księżyc roztoczył długie promienie po spokojnej zatoce pomiędzy wyspą a Wenecją. Poggio wsiadł ze mną do gondoli. Opuściliśmy nieszczęśliwych, którym ani pomocy, ani pociechy przynieść nie mogliśmy.

Na drugi dzień wieczorem zeszliśmy się u mego bankiera, zaliczającego się do najbogatszych w Wenecji. Towarzystwo było liczne, z dam nie znałem żadnej, żadna mnie też nie obchodziła.

Wszczęła się rozmowa o burzy wczorajszego wieczoru. Poggio opowiadał o śmierci rybaków, o nieszczęściu ich rodzin, i dał dosyć jasno do zrozumienia, jak łatwo można by przynajmniej w części tej nędzy zaradzić, gdyby każdy z obecnych dał małą składkę, co by uczyniło bardzo dużo dla dotkniętych nieszczęściami. Lecz nikt nie chciał go, jak się zdaje, rozumieć. Żałowano i zwrócono rozmowę na inne tematy.

Potem zaczęły się popisy towarzyskimi talentami. Poggio odśpiewał wesołą barkarolę, ale zauważyłem, że w jego grzecznym uśmiechu przebijała gorycz i oziębłość dla znakomitego towarzystwa, które na jego szlachetną sugestię okazało się nieczułe.

– Pan nie śpiewa? – zapytała mnie gospodyni domu, gdy Poggio skończył.

– Ja będę miał zaszczyt improwizować – powiedziałem, przyszła mi bowiem pewna myśl do głowy.

– To improwizator – szeptało po salonie. Oczy dam żywszym zabłyśły ogniem, panowie zachęcali mnie skinieniem głowy, wziąłem więc gitarę i prosiłem o zadanie.

– Wenecja! – zawołała jedna z dam, patrząc mi śmiało w oczy. – Wenecja! – powtórzyła młodzież, bo dama była piękna.

Uderzyłem kilka akordów: przedstawiłem świetność i przepych Wenecji w dniach jej szczęśliwych, według opisów, które czytałem oraz według własnej fantazji – a oczy wszystkich błyszczały ogniem, marzono, że jeszcze dotąd tak jest. Śpiewałem o pięknych kobietach siedzących pod księżycem na balkonie, mając na myśl i Santę, i Larę. Każda z pań obecnych myślała, że o niej mówię i nagradzały mnie żywymi oklaskami.

– Ona tu jest! – szepnęła mi Poggio. – Siostrzenica podesty! – Nie mogliśmy więcej ze sobą mówić, bo zaczęto na mnie nalegać, abym jeszcze raz improwizował. Delegacja złożona z dam z jakimś starym jegomościem na czele objawiła mi to życzenie.

Okazałem natychmiast gotowość, tego bowiem sam sobie życzyłem. Obliczyłem wszystko naprzód i czekałem tylko na sposobność, ażeby w którymś z podanych mi zadań mógł odmalować burzę, na którą patrzyłem, oraz nędzę nieszczęśliwych rodzin rybackich i tak za pomocą potęgi poezji odnieść zwycięstwo, którego nie osiągnęła wymowa.

Podano mi apoteozę Tycjana. Gdybym był malarzem widoków morskich, byłbym go użył za pośrednika w sprawie osieroconych, ale wśród oddawanych mu pochwał nie wypadało mi pomieścić myśli, którą rozwinąć zamierzyłem. Treść jednak była obfita, improwizacja udała się nadspodziewanie, stałem w kole towarzyskim uwielbiony, była to apoteoza mnie samego!

– Czy może ktoś być szczęśliwszy od pana? – spytała gospodyni. – Musi to być niewypowiedziane miłe uczucie z posiadania takiego talentu, którym można wprawiać drugich w uniesienie i radość budzić!

– Jest to w rzeczy samej bardzo uszczęśliwiające uczucie – odpowiedziałem.

– Wypowiedz je pan w jakiejś pięknej poezji – mówiła proszącym głosem. – To panu z taką przychodzi łatwością, że się zapomina, iż to niegrzecznie tak często pana trudzić.

– Znam uczucie – odpowiedziałem, a myśl pewna dodała mi odwagi – znam uczucie, którego żadne inne nie przeważy. Ono każde serce usposabia do poezji, budzi takie samo uczucie wewnętrznej rozkoszy, a ja uważam się za tak wielkiego czarownika, iż śmiem twierdzić, że posiadam władzę obudzenia go w każdym sercu. Lecz sztuka ta ma do siebie, że jej bez okupu uzyskać nie można.

– Musimy się jej nauczyć! – zawołali wszyscy.

– Tu na tym stole proszę składać okup; a kto da najwięcej, ten najgłębiej w nią zostanie wtajemniczony!

– Ja daję mój złoty łańcuszek – rzekła, śmiejąc się, jedna z dam i położyła go żartem na stole.

– Ja wszystkie moje wygrane pieniądze! – zawołała inna, rozweselona moim pomysłem.

– Ale to nie żarty – zapewniałem. – Stawka nie będzie zwrócona.

– Jednak się na to odważamy! – zawołali wszyscy, którzy już poskładali na stół pieniądze, łańcuszki, pierścionki; wąpiąc jednak w duchu o mojej sztuce.

– A jeżeli żadnego nie doznam wzruszenia – zapytał jakiś stary żołnierz – zwrócisz mi pan moje dwa cekiny?

– Każdemu wolno nic nie postawić! – zawołał Poggio. Ja podziękowałem mu ukłonem.

Wszyscy się śmiali, wszyscy byli ciekawi końca. Zacząłem improwizację, uniósł mnie święty zapach. Śpiewałem o wspaniałym Adriatyku, narzeczonym Wenecji, o synach morza – śmiałych żeglarzach i rybaku w kruchej łódce. Opisałem burzę – tęsknotę i trwogę żon i kochanek. Przedstawiłem obraz, na który sam patrzyłem: dzieci, co upuściwszy na ziemię krzyż, tulą się do matki; starego rybaka całującego stopy Zbawiciela – zdawało się, że Bóg mówi przez moje usta, a ja tylko narzędziem jestem jego wszechmocy.

Na sali panowała najgłębsza cisza, w niejednym oku zabłysła łza.

Potem wprowadziłem słuchaczy do ubogiej chatki, niosąc nieszczęśliwym sierotom pomoc i życie z małych składek naszych i opisałem, jak nieskończenie miłsze jest uczucie niesienia pomocy niż odbierania. Śpiewałem o radości, która napełnia każde dobroczynne serce – o uczuciu, którego żadne inne przeważać nie zdoła; o głosie boskim, odzywającym się w każdej piersi i czyniącym ją świętszą i duchowniejszą – podnoszącym człowieka do godności poety. A gdy to mówiłem, głos mój nabierał coraz większej siły i pełni. Zjedałem sobie wszystkich; obsypano mnie hucznyimi oklaski, gdy skończywszy improwizację, oddałem Poggio drogie dary na wsparcie nieszczęśliwych sierot.

Jakaś młoda panienska ukłękła przede mną – piękniejszej chwały nigdy mi nie przyniósł mój talent! Uchwyciwszy moją rękę, patrzyła na mnie ze łzami w ciemnych oczach, które jej wycisnęła wdzięczność. Ten wzrok dziwnym mnie przejął uczuciem, była wtedy cudownie piękna – zdawało mi się, że ją widziałem już kiedyś we śnie.

– Niechaj Matka Boża panu wynagrodzi! – wyrzekła z cicha, mocno zarumieniona; ukryła twarz w dłonie i jakby się przestraszyła swoim postępkami, odstąpiła mnie nagle. Któż by mógł

okazać się tak okrutny i szydzić z czystego uczucia niewinnej dziewczyny? Wszyscy mnie obściskali; wszyscy mnie chwalili bez końca; wszyscy mówili o nieszczęśliwych z Lido, a ja stałem wśród tego towarzystwa jako ich dobroczyńca. Zaprawdę! Daleko większa rozkosz dobrodziejstwa wyświadczać, niż odbierać! Ten wieczór o tym mnie przekonał. Poggio serdecznie mnie uściskał.

– Wyborny człowieku – mówił – poważam cię, uwielbiam! Piękność składa panu hołd – ta, która jednym spojrzeniem tysiące uszczęśliwia, chyli przed panem czoło aż do ziemi.

– Kto ona? – zapytałem stłumionym głosem.

– Najpiękniejsza w Wenecji – odpowiedział – siostrzenica podesty.

Jej czarujący wzrok i piękna postać odbiła się silnie w mej duszy, obudziły się we mnie wspomnienia, z których sobie nie umiałem zdać sprawy, i ja zawołałem: piękna!

– Pan mnie zapewne nie znasz, signor? – rzekła, zbliżywszy się do mnie, jakaś już niemłoda pani. – Już kilka lat minęło, jak miałam przyjemność poznać pana.

Podawała mi rączkę z uśmiechem i dziękowała za improwizację. Skłoniłem się uprzejmie, zdawało mi się, że ją znam, ale gdzie i kiedy ją widziałem, nie mogłem sobie przypomnieć. Przyznałem się do tego.

– To bardzo naturalnie – odpowiedziała – widzieliśmy się tylko raz, i to w Neapolu. Mój brat był lekarzem, odwiedziłeś go pan z jakimś krewnym Borghese.

– Ach! Teraz sobie wszystko przypominam – zawołałem. – Teraz panią poznaję, ale nie spodziewałem się tu w Wenecji panią znaleźć.

– Brat, któremu dom prowadziłam – mówiła dalej – zmarł przed czterema laty. Obecnie bawię u mego starszego brata. Służący przyniesie panu nasz adres. Moja siostrzeniczka, dziwna dziewczyna, chce koniecznie natychmiast odejść, muszę się do tego zastosować. – Podawała mi rączkę na pożegnanie i wyszła z salonu.

– Szczęśliwy człowieku! – rzekł Poggio. – To była siostra podesty. Pan ją zna, zostałeś zaproszony, pół miasta będzie ci zazdrościć. Zapnij tylko frak mocno na sercu, gdy tam pójdziesz, abyś nie odniósł rany, jak wielu innych.

Piękna Wenecjanka odeszła. Wzruszenie zaprowadziło ją na chwilę do moich stóp, lecz w tym samym momencie obudziła się trwożliwa skromność. Bojaźń i przelęknięcie oddaliło ją z towarzystwa, które zwróciło na nią uwagę i właśnie w tej chwili rozwodziło się z pochwałami i podziwem dla nas obojga. Królowa piękności oczarowała wszystkich, bo jej serce było tak szlachetne, jak cała postać.

Przekonanie wewnętrzne, że spełniłem dobry uczynek, rzuciło ożywczy promień w moją duszę. Uczułem szlachetną dumę, doznałem szczęścia z posiadania drogiego daru poezji. Chwała i miłość, którymi mnie zewsząd otoczono, złagodziły gorycz mej duszy. Zdawało mi się, że siły mego ducha czystszy i lepszy powstały z przykrego odrętwienia. Myślałem o Flaminii, ale myślałem bez żalu. Ona by jako siostra uścisnęła dłoń moją. Jej słowa, że poeta powinien opiewać tylko co boskie, ku chwale bożej służące, oświeciły mnie jasno w tej chwili. Nabrałem znowu odwagi i siły, łagodny spokój objął całą istotę moją i po długim czasie doznałem znowu pierwszy raz radosnych uczuć. Szczęśliwy to był wieczór! Poggio trącał często w moją szklanicę; braterskim mianem „ty” potwierdziliśmy nowo zawiązaną przyjaźń.

Wróciłem do domu późno, lecz nie czułem znużenia. Księżyc rozlewał srebrne blaski po kanałach, niebo było niezmiernie wysokie i modre. Wtedy puste kanały i starożytne pałace

Wenecji wydały mi się pływającym, zaczarowanym miastem. Na drugi dzień byłem nadzwyczaj wesół, szlachetna duma ożywiała moją pierś, uszczęśliwiony byłem zdolnością mego umysłu. Wziąłem gondolę i puściłem się z wizytą do podesty, którego siostrę znałem. Szczerze mówiąc, pędziła mnie żądza ponownego zobaczenia owej młodej panienki, która mi z tak żywym uczuciem hołd złożyła, a ogłoszona była królową wdzięków.

– Palazzo d’Othello? – powtórzył pytająco gondolier i powiózł mnie wielkim kanałem do starożytnego gmachu, opowiadając, że Murzyn z Wenecji, który udusił swoją piękną Desdemonę, w nim mieszkał, i że żaden Anglik nie zaniedbuje obejrzeć tego domu, jakby to był kościół Świętego Marka albo arsenał.

Przyjęto mnie serdecznie, niczym krewnego. Roza, podstarzała siostra podesty, opowiadała mi o ukochanym zmarłym bracie, o pełnym życia i zabaw Neapolu, którego już od czterech lat nie widziała.

– Tak! – mówiła. – Maria także za nim wzdycha i zapewne tam wkrótce pojedziemy. Muszę jeszcze raz przed śmiercią zobaczyć Wezuwiusz i piękną Capri.

Weszła Maria, podała mi rączkę, jakby bratu, a jednak z delikatną wstydlivością. Była piękna, w moich oczach jeszcze piękniejsza niż wczoraj, gdy przede mną ukłękła. Poggio miał słuszność, żadna kobieta nie miała piękniejszej postaci, może jedna Lara. Tak jest! Lara, niewidoma dziewczyna w lichej sukience, z wiązką fiołków we włosach była tak piękna, jak Maria w swoim olśniewającym stroju. Zamknięte oczy tamtej bardziej ku sobie pociągały moje serce niż ciemny i ognisty wzrok Marii. Każdy rys Lary okazywał żal, a w otwartym oku Marii malował się spokój i radość, jakiej Lara nie zaznała nigdy. Widziałem w Marii wiele rysów przypominających mi niewidomą żebraczkę, której ona nigdy nie widziała. Umysł mój nabrał większej giętkości, stałem się bardzo elokwentny – podobałem się wszystkim w domu podesty, wiedziałem o tym dobrze, a Maria zdawała się takie samo okazywać uwielbienie mojemu talentowi, jakie ja okazywałem jej piękności.

Patrzyłem na nią, jak patrzy kochanek na prześliczny posąg kobiety, który mu obraz kochanki przedstawia daleko piękniejszy. W Marii znalazłem piękność Lary, jakby w zwierciadle odbitą, a zarazem czarujący umysł Flaminii; każdy musiał do niej sercem przylgnąć. Mnie wydawało się, jakobym ją znał od dawna.

XXVI

Śpiewaczka

Już blisko jestem wielkiego w życiu moim wypadku; tak blisko, że wszystko inne przestaje być ważne. Jest on jak wyniosła pinia wśród lasu, która odwraca uwagę naszą od małych krzewów; dlatego wspomnę o rzeczach pośrednich tylko na marginesie.

Bywałem często w domu podesty, kobiety powtarzały mi, że jestem duszą ich towarzystwa. Signora Roza opowiadała o ulubionym Neapolu, a ja czytałem głośno *Boską komedię*. Czułość i niepospolity umysł Marii wprawiały mnie w takie samo uniesienie, jakie wywoływała ta poezja. Poza granicą tego domu najmiłszym towarzyszem był mi Poggio. Wiedziano o tym, dlatego został zaproszony do podesty; za to mnie winien był podziękowanie i utrzymywał, że to moja, a nie jego zasługa, że to moja przyjaźń tam go wprowadza, że cała młodzież wenecka będzie mu zazdrościć. Wszędzie podziwiano mój talent improwizatorski, ceniono go nawet tak wysoko, że mnie nie wypuszczono z żadnego koła towarzyskiego, dopóki nie zaspokoilem powszechnego życzenia improwizacją na jakikolwiek bądź temat. Najznakomitsi artyści podawali mi bratnie dłonie, zachęcając, ażebym wystąpił publicznie, a ja uczyniłem przynajmniej w części zadość ich życzeniu improwizacją w Accademia deII arte, wobec jej członków, o wyprawie Dandola do Carogrodu i brązowych koniach znad bramy kościoła Świętego Marka, za co zaszczycono mnie dyplomem. Przyjęty zostałem na członka akademii.

Ale daleko większa radość czekała mnie w domu podesty. Maria oddała mi pewnego dnia pudełeczko, znalazłem w nim naszyjnik z prześlicznych, różnokolorowych, nadzwyczaj małych muszelek, nawleczonych na nitkę jedwabiu. Był to podarunek nieszczęśliwych rybaków z Lido, których dobroczyńcą mnie mianowano.

– To bardzo ładne! – rzekła Maria.

– Powinieneś pan schować dla swojej narzeczonej – dodała signora Roza. – Piękny dla niej podarek i zapewne z tą myślą zrobiony.

– Dla mojej narzeczonej? – powtórzyłem ze smutkiem. – Ja doprawdy jej nie mam!

– Ale się znajdzie! – rzekła Roza. – Będziesz pan miał narzeczoną, i to najpiękniejszą ze wszystkich.

– Nigdy! – zawołałem, żywo dotknięty tym wszystkim, co postradałem.

Maria oniemiała na widok mego smutku. Ona się tak cieszyła na wręczenie mi tego podarunku, i dlatego wzięła go od Poggia, któremu go naprzód oddano – a ja okazałem się tak rozstrojony i tak źle ukryłem moje przygnębienie. Naszyjnik trzymałem w ręku, rad bym go ofiarował Marii, ale wstrzymały mnie słowa Rozy. Maria niezawodnie odgadła moje myśli, bo kiedy podniosłem na nią oczy, jej policzki spłonęły lekkim rumieńcem.

– Pan nas zbyt rzadko odwiedzasz! – mówiła mi pewnego dnia żona mego bankiera – ale za to tym częściej bywasz u podesty. Prawda, że to daleko większa przyjemność. Maria najślawniejsza w Wenecji piękność, a pan jesteś naszym najślawniejszym improwizatorem! Ona naprawdę niezłą będzie dla pana partią. Podobno ma piękną wioskę w Kalabrii, odziedziczyła ją w spadku czy też kupiono ją dla spadkobierców. Bądź pan śmiały, a uda się interes. Cała

Wenecja będzie panu zazdrościć.

– Jak pani możesz mnie posądzać o myśl tak samolubną – odpowiedziałem. – Tak daleki jestem od zakochania się w Marii, jak bodaj kto. Jej piękność ujmuje mnie, jak wszystko, co piękne, ale to nie miłość. A że posiada majątek, to mnie bynajmniej nie obchodzi.

– Ależ i na to trzeba zważać! – rzekła pani bankierowa. – Miłość dopiero wtedy uszczęśliwia, kiedy sklep i spiżarnia dobrze zaopatrzone. Z nich czerpiemy życie! – roześmiała się.

Gniewało mnie, że ludzie mogli tak o mnie myśleć, a nawet mówić. Postanowiłem więc mniej bywać w domu podesty, chociaż mi jego mieszkańcy byli tak drodzy. Miałem zamiar spędzić tam wieczór, ale teraz zmieniłem plany. Krew się we mnie wzburzyła. „Nie – pomyślałem sobie – po co się gniewać? Będę wesoły. Życie piękne, jeżeli tylko sami tego chcemy. Jestem wolny, nie będę ulegał niczyim wpływom, alboż to w samym sobie nie mam dosyć siły i woli?”

Gdy się dobrze ściemniło, tułałem się sam po wąskich ulicach, gdzie kamienice prawie się stykają czołami, gdzie dlatego wąska przestrzeń była mocno oświetlona, a ludzie się tłoczyli. Światło lamp odbijało się w kanale długimi promieniami, gondole przelatywały jak ptaki pod jednym z wysokich łuków, na których most spoczywa. Usłyszałem śpiew o miłości i pocałunku, który jak wąż pod drzewem wiadomości dobrego i złego piękne oblicze grzechu duchowi memu przywodził na oczy.

Wróciwszy znowu w ciasne uliczki, ujrzałem kamienicę bardziej oświetloną niż inne i mnóstwo wchodzących i wychodzących z niej ludzi. Był to jeden z mniejszych teatrów Wenecji, zdaje mi się – San Luca. Mała trupa dawała tam opery, co dzień dwa razy to samo przedstawienie, jak w teatrze Fenice w Neapolu. O godzinie czwartej po południu zaczynało się pierwsze i kończyło około szóstej, drugie zaś zaczynało o ósmej. Bilety były bardzo tanie, ale niewiele tam można było zobaczyć. Mimo to upodobanie ludu do muzyki i ciekawość cudzoziemców sprowadzają licznych widzów na obydwie przedstawienia. Na afiszu wyczytałem: *Donna Caritea, regina di Spagna* – muzyka Merkadantego.

„Jeżeli się znudzę, to wyjdę – pomyślałem sobie. – Przypatrzę się ładnym kobietkom. Krew moja gorąca, serce bije, jak u Bernarda lub Federiga, nikt nie będzie śmiał ze mnie szydzić, jak z kampańskiego pastuszka mającego krew rozrzedzoną kozim mlekiem”.

Gdybym dawniej był tak lekkomyślny, byłbym niezawodnie więcej doznał szczęścia. Nie ma co rozmyślać, życie krótkie! Starość martwa i lodowata.

Wszedłem, dano mi mały brudny bilet i wskazano łóżę tuż obok sceny. Były dwa rzędy łóż: miejsce dla publiczności bardzo niskie, a scena sama wyglądała jak duża taca, niewielu ludzi mogło się na niej pomieścić, a jednak grano operę rycerską z bitwami i pochodniami. Łoże były wewnątrz brudne i odarte; sufit zdawał się przygniatać cały budynek. Ukazał się posługacz z zakasnymi rękawami do zapalania lamp. Na parterze rozmawiano hałaśliwie, muzycanci weszli w miejsce dla orkiestry i zaledwie na jeden kwartet się zdobyli. Te szczegóły okazywały dostatecznie, czym będzie całe przedstawienie, lecz postanowiłem przeczekać przynajmniej pierwszy akt.

Rozejrzałem się po moich sąsiadkach, nie spodobała mi się żadna. Wtem wszedł do przyległej łoży młody panicz, którego widziałem w pewnym towarzystwie. Podał mi rękę z uśmiechem, nie myślał bowiem, abyśmy się tu mogli spotkać.

– Ale – szepnął mi – znajdzie się czasem miłe sąsiedztwo. Przy tak słabym świetle księżycy łatwo nawiązać znajomość!

Gadał ciągle, aż zaczęto sykać, bo się zaczęła uwertura, ale bardzo smutna. Podniesiono kurtynę; cały chór składał się z trzech mężczyzn i dwóch kobiet; wyglądali wszyscy, jakby dopiero co od żniw przyszli i w rycerskie stroje się przybrali.

Role główne bywają czasem niezłe obsadzone. Był tu komik, który śmiało mógłby wystąpić na każdej większej scenie.

– Dla Boga! – przerwał sam sobie, gdy się na scenie ukazała królowa z opery z dwoma damami. – Jej śpiewu znów będziemy musieli słuchać? W tym razie niewarta cała rzecz ani dwudziestaka! Wolałbym słyszeć Żanetę.

Śpiewaczka wzbudzająca takie niezadowolenie była drobnej, wątłej postaci, z twarzą bardzo wyrazistą, ale delikatną i zapadłymi oczyma. Była to nędza w roli królowej, ale postawą różniła się znacznie od otaczających ją osób, co mnie zadziwiło. Młodej, ładnej panience bardzo by było dobrze z taką postawą. Zbliżyła się do światła – serce moje poruszyło się żywiej – ledwo się zdobyłem na tyle odwagi, aby zapytać o jej nazwisko, mniemałem, że mnie oczy łudzą. Jak się nazywa?

– Annunciata – odpowiedziano mi. – Śpiewać nie umie, a na jej nędzną postać nie ma co patrzeć.

Każde słowo padało mi na serce jak żrąca trucizna, siedziałem nieporuszony i wpatrywałem się w jej oblicze. Zaczęła śpiewać. Nie! To nie był głos Annuncciaty! Wznosił się bez siły, bezdźwięczny, niepewny.

– Znać wprawdzie, że z dobrej wyszła szkoły – rzekł mój sąsiad – ale siły już nie po temu.

– Wcale niepodobna do swojej imienniczki, młodej Hiszpanki Annuncciaty, która niegdyś słynęła w Rzymie i Neapolu – rzekłem półgłosem.

– A przecież to ta sama osoba! – odpowiedział. – Przed sześciu czy siedmiu laty siedziała jeszcze na dzielnym rumaku. Wtedy była młoda i miała podobno głos, jak pani Malibran, lecz dziś starła się pozłota – takim bywa zwykle los tego rodzaju artystek. Błyszczą lat kilka jak południowe słońce, a olśnione wielkim powodzeniem nie widzą, że z tej wysokości schodzą coraz niżej. Nie opuszczają sceny, gdy je otacza jeszcze blask zewnętrzny, jak roztropność każe. Publiczność pierwsza dostrzega zmiany i to właśnie rzecz zasmucająca! W ogóle zaś prowadzą te panie tak wesołe życie, że dochody znikają jak para, a wtedy pędem spadają coraz niżej. Zapewne widział ją pan w Rzymie? – zapytał.

– O, i nie raz! – odparłem.

– Musiała się okropnie zmienić, ale rozważywszy rzeczy dobrze, to ona sama najgorzej na tym wyszła! Podobno przez długą, ciężką chorobę straciła głos już pięć lat temu, ale publiczność wcale na to nie ma względu. Przecież będzie pan bił brawo dawnej znajomej? Ja dopomogę. Ucieszy się biedaczka! – I zaklaskał z całej siły, gdy królowa opuszczała scenę. Kilka osób z parteru poszło za jego przykładem, ale równocześnie słyhać było gwizdy. W samej rzeczy była to Annunciata!

Wtem wystąpiła główna bohaterka przedstawianej sztuki, której rolę grała bardzo ładna, młoda dziewczyna o pulchnej postaci i ognistych oczach. Ją powitano okrzykiem: brawo! i oklaskami. Wszystkie dawniejsze wspomnienia obudziły się w mej duszy – uniesienie i radosne okrzyki Rzymian dla Annuncciaty, jej triumfalny pochód, moja namiętna miłość, zgoła wszystko. A więc Bernardo ją porzucił? Czy ona go nie kochała? Widziałem przecież na własne oczy, jak się nad nim schyliła i w czoło pocałowała. On ją opuścił, opuścił, gdy zachorowała, kiedy jej piękność znikła. Tylko jej piękności hołdy składał!

Znowu wystąpiła na scenę. Wyglądała na cierpiącą i starą! Jakby uróżowany trup, którego widok strachem mnie przejmował. Oburzyłem się w duszy na Bernarda, że ją mógł porzucić, skoro znikła jej uroda, a jednak ta strata piękności głęboko mnie bolała. Lecz duchowe usposobienie Annunziata zapewne jeszcze się nie zmieniło.

– Czy panu niedobrze? – zapytał mnie mój sąsiad, spostrzegłszy, że zbladłem jak trup.

– Bardzo tutaj duszno – odpowiedziałem i wyszedłem na ulicę. Biegłem pędem przez ciasne alejki, tysiące uczuć miało się w mej piersi, sam nie wiedziałem, dokąd mnie nogi niosą. Znowu zaszedłem przed ten sam teatr. Jakiś chłopak zdierał właśnie afisz, chcąc przyklepić nowy na dzień następny.

– Gdzie mieszka Annunziata? – zapytałem go. Obejrzał się, popatrzył na mnie i powtórzył:

– Annunziata? Signor chciałeś zapewne powiedzieć Aurelia? Zaprowadzę pana, ale ona teraz jeszcze zajęta.

– Ależ nie! – odpowiedziałem. – Chcę wiedzieć, gdzie mieszka Annunziata! Ta, która śpiewa w roli królowej.

Chłopak zmierzył mnie okiem.

– Ta mała, chuda? – zapytał. – Ona, jak mi się zdaje, nie zwykła wizyt odbierać, i to nie bez przyczyny! Pokażę panu jej mieszkanie; lecz dopiero za godzinę może pan z nią mówić, po skończeniu opery.

– Czekaj tu na mnie o tej godzinie – rzekłem. Wsiadłem w gondolę i kazałem wioślarzowi płynąć, dokąd sam zechce. Byłem w duszy głęboko zasmucony. Chciałem się jeszcze raz z Annunziata zobaczyć i rozmówić. Ona nieszczęśliwa! Lecz cóż mogłem dla niej uczynić?

Po godzinie gondola stanęła przed teatrem, gdzie chłopak już na mnie czekał.

Poszliśmy w długą, wąską uliczkę, do starego, zapadłego domu. Na górze pod samym dachem błyszczało światelko, na które wskazał.

– Czy tam mieszka? – zapytałem.

– Ja *eccellenzę* zaprowadzę! – I pociągnął za dzwonek.

– Kto tam? – zapytał z góry głos kobiecy.

– Marko Lugano – odpowiedział i drzwi się otworzyły. W sieni było zupełnie ciemno. Lampka wisząca przed obrazem Madonny zgasła, tylko knot tlił się jak czerwona kreska. Postępowałem tuż za chłopakiem. Drzwi otworzyły się u góry, zabłysło światło. – Teraz wyjdzie sama – rzekł mój przewodnik. Dałem mu kilka dwudziestaków, za które kilkakrotnie podziękowawszy, oddalił się z pośpiechem, a ja wszedłem po ostatnich schodach na górę.

– Czy jutro będą jakieś zmiany, Marko Lugano? – zapytał głos niewieści, była to Annunziata. Stała w drzwiach, miała na głowie jedwabną chusteczkę, a całą jej postać okrywała ciemna, obszerna suknia.

– Kim pan jest? Czego tu chcesz? – zapytała przełęczniona, spostrzegłszy, że nie jestem Markiem.

– Annunziata! – wykrzyknąłem z boleścią. Ona patrzyła na mnie osłupiałym wzrokiem.

– Jezus, Maria! – wykrzyknęła, kryjąc twarz w dłonie.

– Przyjaciel – wyjąkałem. – Dawny znajomy, któremuś pani niegdyś dużo szczęścia, dużo radości sprawiła, szuka panią i ośmiela się podać rękę.

Odjęła dłonie od oczu. Stała przede mną blada jak śmierć, tylko jej oko błyszczało uczuciem. Postarzała się wprawdzie, widać było po niej cierpienie, ale jeszcze pozostały ślady piękności,

oczy lśniły, ale przyćmione rzewnym smutkiem.

– Antonio! – wymówiła, a łzy jej stanęły w oczach. – O! W smutnej się spotykamy chwili! Zostaw mnie pan! Drogi nasze daleko od siebie, pana prowadzi w górę, do szczęścia; moja na dół – także do szczęścia! – dodała z bolesnym westchnieniem.

– Nie odpychaj mnie pani od siebie! – zawołałem. – Przychodzę jako przyjaciel, jako brat, serce mnie tu przywiodło. Pani jesteś w nieszczęściu! Pani, której tysiące przyjaciół klaskało, którąś uszczęśliwiała tysiące!

– Koło fortuny toczy się – rzekła. – Szczęście tylko młodości i urodzie towarzyszy. Świat się wprzęgą w jej wóz triumfalny. Uczucie i rozum to najgorszy posąg natury, zapominają go ludzie obok młodości i piękności, a ludzie zawsze mają słuszność!

– Pani była chora, Annunziato? – wyjąkałem.

– Chora, bardzo chora, prawie cały rok, ale śmierć nie przyszła, tylko młodość moja umarła – odpowiedziała z gorzkim uśmiechem. – Głos obumarł, a publiczność oniemiała na widok tych dwóch trupów w jednym ciele! Lekarze utrzymywali, że oboje tylko pozornie obumarłe, a ciało wierzyło temu. Ciało potrzebowało odzienia i pokarmu i wydawało przez dwa lata swoje skarby. Potem musiało się różować i znowu wystąpić na scenę, jak gdyby umarli byli jeszcze przy życiu, ale aby nikogo nie przestraszyć, występowało w cieniu, na małej scenie, gdzie się niewiele lamp paliło. Jednak poznano wkrótce, że młodość i głos umarły, że są już pogrzebanymi trupami. Annunziata już nie żyje, tam oto wisi jej żywy obraz. – To mówiąc, wskazała na ścianę.

W ubogiej izdebce wisiał portret, popiersie w bogato złożonych ramach, dziwnie odbijających od obecnego wszędzie ubóstwa. Przedstawiał on Annunziatę w roli Dydony. Był zupełnie jak żywy, taki sam, jakim się wyrzył w mej duszy: twarz duchowo piękna, pełna dumy. Spojrzałem na żyjącą Annunziatę, zasłoniła twarz rękoma i płakała serdecznie.

– Odejdź pan! Zapomnij, że żyję, jak zapomniała publiczność – błagała, dając ręką skinienie pożegnania.

– Nie mogę, nie mogę pani tak opuścić! – odpowiedziałem. – Madonna jest litościwa, ona nam wszystkim dopomoże.

– Antonio! – rzekła z powagą. – Jak możesz szydzić ze mnie nieszczęśliwej? Nie! Pan nie jesteś, jak inni ludzie, już raz o tym mnie przekonałeś. Lecz nie pojmuję pana. Kiedy mnie jeszcze wszyscy uwielbiali, kiedy mi świat pochlebstw i pochwał nie szczędził, pan mnie opuściłeś, zostawiłeś samą – a teraz, kiedy znikł urok, który publiczność zachwycał, kiedy wszyscy obchodzą się ze mną jak z najuboższym przedmiotem; pan mnie szukasz i odwiedzasz!

– Wszak pani sama odepchnęłaś mnie od siebie! – zawołałem. – Wypchnęłaś w świat! Przeznaczenie moje – rzekłem nieco łagodniej – w świat mnie wypędziło.

Ona milczała, lecz utkwiała we mnie oczy dziwnie osłupiałe. Zdawało się, że chce mówić, poruszała ustami, lecz milczała. Głębokie westchnienie dobyło się z jej piersi, podniosła oczy, lecz zaraz je znowu spuściła. Potarła rączką czoło, jakby jej przeszła przez głowę myśl tylko jej i Bogu wiadoma.

– Znowu pana widzę – rzekła nareszcie. – Widzę jeszcze raz na tym świecie! Jestem przekonana, że jesteś dobrym, szlachetnym człowiekiem. Pan będzie szczęśliwszy niż ja. Łabędź skończył swoją pieśń, piękność uwiedła, jestem opuszczona! Po szczęśliwej Annunziacie został tylko obraz na ścianie. Mam do pana prośbę, pan mi jej nie odmówi. Prosi pana o to Annunziata, którą niegdyś znałeś.

– Przrzekam wszystko! – rzekłem, całując jej rękę.

– Co widziałeś dzisiaj wieczoru, uważaj za sen, a jeżeli się później gdzieś spotkamy, udaj, że mnie nie znasz. Teraz się rozstańmy! Zobaczymy się w lepszym świecie! Tutaj rozchodzą się nasze drogi. Żegnam cię, Antonio! Bywaj mi zdrów!

Na te słowa padłem przed nią zdjęty boleścią. Nie wiedziałem nic, co się koło mnie dzieje, powodowała mną jak dzieckiem.

– Przyjdę, przyjdę znowu! – rzekłem i wyszedłem.

– Żegnam cię! – powtórzyła jeszcze, ale już jej nie widziałem. Na schodach było ciemno, na ulicy także.

– Boże! Jak nieszczęśliwe mogą być twoje stworzenia! – mówiłem z boleścią sam do siebie. Nie mogłem w żaden sposób usnąć, była to noc bardzo smutna.

Dzień następny zszedł mi na układaniu i odrzucaniu najrozmaitszych planów. Uczułem dotkliwie moje ubóstwo, byłem tylko biednym chłopcem z Kampanii wywiedzionym. Większa wolność mego ducha wtrąciła mnie właśnie w pęta zależności, ale sądziłem, że talent otworzy mi świetniejszą przyszłość. Czy mogła być świetniejsza niż Annunziaty? A na czym się skończyła! Szumiący strumień połyskujący wodospadami i tęczowymi kolorami zniknął w pontyjskich błotach nędzy.

Pragnąłem jeszcze raz zobaczyć się z Annunziatą i pomówić z nią.

Nazajutrz po naszym spotkaniu znowu wszedłem po wąskich, ciemnych schodkach do jej mieszkania. Drzwi były zamknięte, zapukałem. Stara kobiecina otworzyła drzwi przeciwną, pytając, czy chcę ten pokój obejrzeć.

– Jest do wynajęcia – mówiła – ale dla pana pewno będzie za mały.

– A gdzie śpiewaczka? – zapytałem.

– Wyprowadziła się – odpowiedziała staruszka – już wczoraj, nawet podobno wyjechała, bo wszystko odbywało się z wielkim pośpiechem.

– Nie wiecie dokąd? – zapytałem.

– Nie! O tym nie wspomniała ani słówka. Ale pewnie się udali do Padwy albo Triestu, albo Ferrary, albo też do jakiegoś innego miasta, których tyle. – Otworzywszy drzwi, wskazała mi próżny pokój.

Pospieszyłem do teatru. Wczoraj trupa dawała ostatnie przedstawienie, wszystko było pozamykane. Odjechała więc nieszczęśliwa Annunziata. A zatem jedynie Bernardo winien jej nieszczęściu i kierunkowi, jaki wzięło moje życie. Gdyby nie on, byłaby mnie może pokochała, tym sposobem byłaby jej miłość duchowi memu dodała siły i dopomogła mu do rozwoju. Gdybym wtedy był z nią i występował jako improwizator, byłaby zapewne moja sława wzrastała razem z jej sławą. Bylibyśmy może zmienili role, wszystko byłoby się wtedy inaczej stało, zgryzota nie pomarszczyłaby jej czoła.

XXVII

Poggio. Annunciata. Maria

Poggio bywał u mnie i żartował zwykle z mego rozstrojenia, ale ja nie mogłem mu powiedzieć, co stanowiło przyczynę.

– Wyglądasz jak podczas najgorszego sirocco, czy to duszne powietrze pochodzi z serca? Mały ptaszek spali się w nim, a że to nie feniks, trudno mu będzie coś pomóc. Trzeba go czasem wypuścić na czerwone jagody w pole, na piękne róże po balkonach. Tak robi mój ptaszek i dobrze się miewa, zawsze wesoły, wesołym śpiewem ożywia krew moją. I całą istotę, stąd pochodzi mój wyborny humor. Ty możesz mieć to samo i powinienes. Poeta powinien zdrową ptaszynę chować w swej piersi, która by tak dobrze знаła róże jak kwaśne i słodkie jagody, niebo pogodne i chmurne.

– To mi piękne wyobrażenie o poecie! – zawołałem.

– Co to znaczy, że naraz zaniedbałeś wszystkich przyjaciół? Nie byłeś już trzy dni w domu podesty! To brzydko, bardzo brzydko z twojej strony; wszyscy się tam gniewają. Dziś jeszcze powinienes być u nich i jak drugi Fryderyk Rudobrody klęcząc, trzymać strzemiona. Trzy dni nie postałeś u podestów, powiedziała mi signora Roza. Cóż to ma znaczyć?

– Byłem nie bardzo zdrow, nie wychodziłem wcale z domu.

– Oho! Kochany przyjacielu, o tym lepiej wiemy! Przed paru dniami byłeś w operze, przypatrywałeś się *La regina di Spagna*, gdzie mała Aurelia występuje w roli rycerza. Jest to mały Orlando furioso, ale pozyskanie jej względów nie może nabawić cię siwych włosów, bo nie tak trudne. Jakkolwiek bądź, pójdiesz ze mną dzisiaj w południe do podesty, jesteśmy zaproszeni, a ja dałem słowo, że cię przyprowadzę.

– Poggio! – rzekłem serio. – Powiem ci, dlaczego tam nie byłem, dlaczego tam mniej często będę bywał.

Opowiedziałem mu, co mi mówiła żona bankiera, że Wenecja o tym gada, jakobym miał zamiar zdobyć serce pięknej Marii, która posiada dobra w Kalabrii.

– No! – zawołał Poggio – rad bym był, żeby o mnie tak mówiono. Dlatego więc nie chcesz tam bywać? Prawda, że tak ludzie gadają, sam temu wierzę, bo też rzecz to zupełnie naturalna! Ale słusznie czy niesłusznie tak sądzimy, nie widzę, ażeby to mogło dawać powód do okazywania się dla tej rodziny niegrzecznym. Maria jest ładna, bardzo ładna, ma rozum i uczucie, a ty niezawodnie ją kochasz, już ja to dostrzegłem!

– Nie! Nie! – przerwałem żywo. – Ani pomyślałem o miłości. Maria bardzo jest podobna do pewnej niewidomej dziewczynki, którą kiedyś widziałem, gdy była dzieckiem, a zajęła mnie bardzo, jak zwykle takie dzieci. To podobieństwo w Marii uderzyło mnie i dlatego zwróciłem na nią uwagę.

– Maria także była niewidoma – rzekł Poggio poważniej. – Ona niewidoma przybyła z Grecji, jej stryj, lekarz w Neapolu, wykonał na jej oczach operację.

– Moja niewidoma to nie Maria! – rzekłem.

– Twoja niewidoma! – powtórzył Poggio z uśmiechem. – Dziwna to osoba ta niewidoma dziewczynka, która cię zmusza do przypatrywania się Marii i szukania w niej podobieństwa z tamtą. Zapewne to w przenośnym znaczeniu powiedziałaś. Pewnie to ma być ślepy amorek, którego niegdyś poznałeś, a teraz cię zmusza do wpatrywania się w Marię. Wszakże się sam przyznajesz! Nim się obejrzymy, będzie wesele i wyprowadzicie się z Wenecji.

– Nie, Poggio! – zawołałem. – Obrażasz mnie taką mową. Nie ożenię się nigdy, skończyło się moje miłosne marzenie. Już nigdy nie będę, nigdy nie mogę mieć tego marzenia powtórnie. Zarzekam się na Boga żywego i wszystkich świętych, że nigdy nie chcę i nie mogę...

– Daj pokój, nie przysięgaj! – przerwał mi Poggio. – Już ci wierzę i zaprzeczę każdemu, kto będzie utrzymywał, że Marię kochasz i że się pobierzecie, ale nie przysięgaj, że się nigdy nie ożenisz. Może bliższy jesteś zaślubin, niż się spodziewasz.

– Twoich, ale moich nigdy!

– Ha, ha! Ty myślisz, że ja się ożenię? – odezwał się znowu Poggio. – Nie, kochany! Żona dla mnie za droga, ta przyjemność wielkie za sobą pociąga wydatki.

– Rychle wyprawisz wesele niż ja – odpowiedziałem. – Może nawet piękna Maria zostanie twoją żoną, i tak, podczas gdy Wenecja gada, że ja o jej rękę się staram, ona ją tobie odda sama.

– Zły by to był wybór! – rzekł, śmiejąc się. – Nie! Życzę jej lepszemu męża niż ja. Założmy się – mówił dalej – że się ożenisz, czy to z Marią, czy z inną signorą. Ty będziesz małżonkiem, a ja zostanę sobie kawalerem. Założmy się o dwie butelki szampana, które wypijemy na twoim weselu.

– Przystaję na ten zakład – odpowiedziałem z uśmiechem. Tymczasem musiałem iść z nim do podesty. Signora Roza dąsała się na mnie, podesta także mi przymawiał, Maria zaś milczała. Wpatrywałem się w nią, bo gadano po Wenecji, że jest moją narzeczoną. Signora Roza trąciła mój kieliszek.

– Żadna dama nie powinna pić zdrowia naszego improwizatora! – zauważył Poggio. – On zaprzysiągł wieczną nienawiść płci pięknej i nie myśli się nigdy żenić.

– Wieczną nienawiść? – powtórzyłem. – Chociaż nie myślę o małżeństwie, cenię jednak i uwielbiam wszystko, co ta płeć uprzyjemniająca i ożywiająca wszelkie stosunki życia ma pięknego.

– Nie żenić się? – zawołał podesta. – To najgorsza myśl, jaka kiedykolwiek w genialnym umyśle pana zrodzić się mogła, a ze strony przyjaciela wcale nieładnie – dodał, zwróciwszy się do Poggia – wyjawiać ją.

– To jedynie dlatego, aby go zawstydzić! – odparł Poggio. – Mógłby się bowiem zakochać w tym niedobrym pomysle, dla jego świetności i oryginalności, i naprawdę przy nim pozostać.

Ostrzeliwano mnie żarcikami i dowcipami, aż się rozweseliłem. Potrawy były wyborne, wino doskonałe, wspomniałem nędzę Annuncjaty. Ach! Może w tej chwili głód ją dręczył.

– Przrzekłeś nam pan czytać dzieła Silvio Pellico – przypomniała mi Roza przy pożegnaniu. – Pamiętaj pan o tym i przychodź co dzień. Już nas rozpieściłeś, a nikt w Wenecji nie wyznaje tego z większą od nas wdzięcznością.

Chodziłem więc i chodziłem bardzo często, bo się przekonałem, że mnie wielce ceniono.

Prawie miesiąc minął od czasu wyżej wspomnianej rozmowy mojej z Poggiem, a jeszcze się nie mogłem dopytać o Annuncjatę. Musiałem zostawić przypadkowi znalezienie zgubionego jej śladu.

Pewnego wieczoru, gdy się znajdowałem w domu podesty, spostrzegłem, że Maria była głęboko zadumana, a jej twarz okazywała żywą boleść. Czytałem głośno, siedząc naprzeciw niej i Rozy, ale i wtedy uważałem jej wielkie roztargnienie. Signora Roza wyszła z pokoju. Nigdy jeszcze nie byłem z Marią sam na sam; dziwne przeczucie jakiegoś nieszczęścia ścisnęło moje serce. Zacząłem mówić o Silvim Pellico i wpływie polityki na jego poetyczny umysł.

– Signor abate! – przerwała Maria, nie wiedząc nawet, o czym mówię, ponieważ jej myśli były widocznie na jakiś inny przedmiot zwrócone. – Antonio! – mówiła drżącym głosem, mocno zapłonioma – muszę z panem pomówić, dałam na to słowo pewnej konającej kobiecie. – Zamilkła na chwilę, ja zaś przerażony tymi słowami stałem oniemiały.

– Nie jesteśmy sobie tak obcy – mówiła – a jednak ta chwila dla mnie zbyt okropna. – To rzekłszy, zbladła jak trup.

– Miłosierny Boże! – zawołałem. – Cóż się stało?

– Cudowne zrządzenie losu wciągnęło mnie w wypadki pańskiego życia, powierzyło mi tajemnicę, stosunek pewien, którego nikt obcy znać nie powinien, ale moje usta nieme. Zgodnie z przyrzeczeniem danym umierającej nie powiedziałam nikomu ani słowa, nawet dobrej Rozie.

Wtem wyjęła małą paczkę.

– To dla pana – powiedziała – z tego dowie się pan o wszystkim. Przyrzekłam oddać to w pana ręce. Już dwa dni noszę te papiery przy sobie, nie wiedziałam, jak wykonać dane przyrzeczenie, teraz je wypełniłam! Milcz pan, ja także zachowam tajemnicę.

– Od kogo to? – zapytałem. – Czy wolno to wiedzieć?

– Dobry Boże! – wyrzekła z głębokim westchnieniem i wyszła spieszenie z pokoju. Pobiegłem co tchu do domu i otworzyłem paczkę. Było w niej kilka kartek. Na pierwszej zaraz spostrzegłem moje własne pismo, wiersz pisany ołówkiem, a pod nim zrobione były inkaustem trzy czarne krzyżyki, jakby to był napis nagrobny. Był to ów wiersz, który rzuciłem pod nogi Annunciaty, gdy ją pierwszy raz ujrzałem.

– Annunciata! – westchnąłem z żałością. – To od niej.

Pomiędzy papierami znalazłem mały, zapieczętowany list z napisem: Do Antonia. Otworzyłem go skwapliwie. Tak, to było od niej, ostatnich kilka wierszy dopisała najwyraźniej później drżącą ręką.

Przeczytałem następujące słowa:

Widziałam cię, Antonio, widziałam raz jeszcze! To było jedynym życzeniem moim, a jednak obawiałam się tej chwili, jak śmierci, która przecież uszczęśliwia. Dopiero przed paroma godzinami oglądały cię oczy moje, gdy to będziesz czytał, może upłyną miesiące, ale zapewne nie dłużej. Powiadają bowiem, że kto sam siebie ujrzy, wkrótce potem umrze. Ty jesteś połową mej duszy; tylko tobą myśl moja była zajęta! Widziałam cię znowu! Widziałeś mnie w szczęściu i nieszczęściu moim. Ty byłeś jedynym, który się jeszcze przyznał do znajomości z biedną, zapomnianą Annunciatą. Ale ja też na to zasłużyłam, Antonio! Teraz mogę ci wyznać – bo gdy to będziesz czytał, już spocznę w grobie – że cię kochałam. Kochałam od czasu, gdy mnie otaczało szczęście, aż do ostatniej chwili życia.

Wiedziałam o twojej miłości, nim ją wyznałeś w ów nieszczęsny wieczór, kiedy strzał twój ranił Bernarda. Boleść nad nieszczęściem, które nas rozłączyło, niezmierna żałość rozdierająca wówczas moje serce pozbawiły mnie mowy. Ukryłam twarz moją na piersi mniemanego trupa, a ty się oddaliłeś, już cię nie zobaczyłam. Bernardo nie był śmiertelnie ranny, nie odstąpiłam go,

dopóki się o tym nie upewniłam. Czy to wzbudziło w tobie powątpiewanie o mojej dla ciebie miłości? Nie wiedziałam, co się z tobą stało i nie mogłam się dowiedzieć. Kilka dni potem przysłała do mnie dziwna stara kobieta i oddała mi kartkę, na której napisałaś: Jadę do Neapolu.

Podpisane było twoje imię. Ona mówiła, że potrzebujesz paszportu i pieniędzy. Wymogłam na Bernardzie, żeby go wyrobił u swego stryja, senatora. Wtenczas moje życzenie było rozkazem, uzyskałam, co chciałam. Bernardo także się o ciebie kłopotał. Przyszedł nareszcie do zdrowia i kochał mnie, a kochał, jak sądzę, szczerze. Ale moje myśli tylko tobą były zajęte. Wyjechał z Rzymu, mnie wypadło być w Neapolu, choroba mojej starej przyjaciółki zmusiła mnie do spędzenia całego miesiąca w Mola di Gaeta. Kiedyśmy potem przybyły do Neapolu, usłyszałam o młodym improwizatorze Cenci, który w wieczór mego przyjazdu występował w San Carlo. Przeczuwałam, że to ty jesteś i wkrótce się o tym upewniłam. Moja towarzyszka natychmiast do ciebie napisała, a chociaż nie wymieniła naszych nazwisk, oznaczyła jednak nasze pomieszknię. Tyś nie przyszedł, ona napisała powtórnie, znowu nie składając podpisu, ale powinieneś się był domyślić, od kogo ten list pochodzi. Napisała bowiem: „Przybywaj, Antonio! Trwoga ostatniej nieszczęsnej chwili, kiedy byliśmy razem, przeminęła szczęśliwie. Przybywaj niezwłocznie, uważaj wszystko za nieporozumienie, wszystko się jeszcze da naprawić”. Ale ty nie przybyłeś. Dowiedziałam się, że po przeczytaniu tych listów wyjechałeś natychmiast z powrotem do Rzymu. Nie mogłam inaczej sądzić, tylko że twoja miłość znikła. Ach! A ja byłam dumna, Antonio! Świat uczynił duszę moją próżną.

Nie zapomniałam cię, tylko zwątpiłam w ciebie i doznawałam niezmiernych cierpień. Moja stara towarzyszka umarła, jej brat także wkrótce za nią zstąpił do grobu. Oni mi zastępowali rodziców, zostałam wśród świata sama jedna, ale wszakże byłam jego ulubienicą – piękna i młoda, zachwycałam moim śpiewem. Był to ostatni rok mego życia. W drodze do Bolonii zachorowałam, ciężko zachorowałam – serce moje cierpiało okropnie.

Nie spodziewałam się, Antonio, że mnie w miłej zachowasz pamięci, że kiedyś, gdy mnie już opuściło wszelkie szczęście tego świata, jeszcze moją rękę do ust swych przyciśniesz. Cały rok złożona byłam chorobą, majątek mój zebrany w ciągu owych dwóch lat, gdy występowałam jako śpiewaczka, rozszedł się, doszłam do ubóstwa, podwójnego ubóstwa, bo głos mój zamarł, a choroba siły mi odjęła. Upłynęły lata, prawie siedem lat, wtem spotkaliśmy się znowu. Widziałeś nędzę moją! Słyszałeś także zapewne, jak ową Annunciatę, ciągnioną niegdyś w triumfie przez ulice Rzymu, wygwizdano. Myśli moje stały się tak gorzkie, jak była dola moja. Przyszedłeś do mnie; wyjaśniło mi się wszystko, jakby opaska spadła z moich oczu, przekonałam się, że mnie kochałeś szczerze. Mówiłeś, że ja wytrąciłam cię w świat. Nie wiedziałeś, jak cię kochałam, jak za tobą wyciągałam ręce! Gorącymi ustami dotknąłeś mojej ręki jak w dawniejszych, szczęśliwszych czasach! Teraz znowu jesteśmy rozłączeni, znowu siedzę w izdebce mojej sama, jutro ją opuszczę, a może i Wenecję. Nie rozpaczaj nade mną, Antonio! Madonna dobra jest i litościwa. Zachowaj mnie w miłej pamięci, prosi cię o to zmarła Annunciata, która cię kochała, a teraz – w niebie za tobą się modli.

Czytając te słowa, myślałem, że serce moje we łzach się rozpułynie. Ostatnia część listu napisana była dopiero przed kilkoma dniami. Było to jej ostatnie pożegnanie.

Zbliża się koniec mojej niedoli. W sercu moim śmierć gości, krew z niego płynie. Jeszcze chwila, a mnie już nie będzie. Najpiękniejsza i najszlachetniejsza w Wenecji dziewczica jest twoją narzeczoną, tak mi powiadano. Wasze szczęście jest ostatnim życzeniem umierającej. Nie miałam

nikogo w całym świecie, komu bym te kartki zawierające ostatnie pożegnanie moje powierzyć mogła, prócz niej. Serce moje mówi mi, że ona przyjdzie, bo stojącej na ostatnim stopniu granicznym pomiędzy życiem a śmiercią nie odmówi szlachetne serce kobiece ostatniej pociechy. Ona mnie odwiedzi. Żegnam cię, Antonio! Ostatnia modlitwa moja na ziemi, pierwsza na tamtym świecie będzie za tobą i za tą, która stanie ci się tym, czym ja nigdy zostać nie mogłam! Dusza moja była próżna, pochwały ludzkie taką ją uczyniły. Może byś ze mną nie był nigdy szczęśliwy. Żegnam cię! Żegnam! Czuję spokój w sercu, boleść moja przeszła, niechaj śmierć przyjdzie! Módlcie się za moją duszę! Ty i Maria.

Annunciata

Siedziałem osłupiały w odrętwieniu duchowym, wlepiwszy oczy w list.

Annunciata mnie kochała. To ona była niewidzialnym duchem, który wyprawił mnie do Neapolu. Od niej to, nie od Santy, jak mniemałem, były owe listy. Annunciata, złożona ciężką chorobą, cierpiała niedostatek i nędzę, a teraz umarła! Niezawodnie umarła! Kartka zawierająca: Jadę do Neapolu, którą niegdyś oddałem Fulwii, a ona Annunciacie ją wręczyła, znajdowała się w paczce. Znalazłem także otwarty list Bernarda, którym się z nią żegna i donosi, że wyjeżdża z Rzymu i przyjmuje służbę w obcym państwie, ale nie wymienia w którym. Ten pakiecik dla mnie przeznaczony doręczyła Marii, którą nazwała moją narzeczoną. A więc i do uszu Annunciaty doszła ta bezzasadna wieść; ona jej uwierzyła i wezwała Marię do siebie. Ciekaw byłem, co też jej naopowiadała. Uderzyło mnie, że Maria mówiła do mnie z takim przestachem. Zapewne także dowiedziała się o tym, co w Wenecji uchodziło za niewątpliwe.

Nie miałem odwagi z nią mówić, a jednak musiałem, bo ona była moim i Annunciaty dobrym aniołem.

Wsiadłem do gondoli i wkrótce stanąłem w salonie, gdzie Roza z Marią siedziały zajęte robótkami. Maria była zmieszana, nie mogłem się jakoś zebrać na wypowiedzenie tego, co duszę moją wyłącznie zajmowało. Odpowiadałem na wszelkie pytania z roztargnieniem, żałoba obciążała moje serce. Wtem signora Roza ujęła moją rękę.

– Pana dręczy jakiś ciężki smutek! – przemówiła. – Otwórz przed nami serce! Jeżeli nie zdołamy pocieszyć, to szczerze podzielimy smutek naszego przyjaciela.

– Pani wie wszystko! – rzekłem, z żywością folgując mojemu żalowi.

– Może Maria, ale ja prawie nic – odpowiedziała.

– Rozo! – odezwała się Maria głosem błagalnym, chwyciwszy ją za rękę.

– Nie! Przed paniami nie mam żadnej tajemnicy! – rzekłem. – Opowiem paniom wszystko, to także sprawia ulgę.

Opowiadałem o moim ubóstwie w dzieciństwie, o Annunciacie i ucieczce mojej do Neapolu, ale widząc Marię siedzącą naprzeciw mnie ze złożonymi rączkami, jak niegdyś Flaminie, a podobną do jeszcze innej osoby – zamilkłem. Nie śmiałem w obecności Marii opowiadać o Larze, sennym widziadłe w błękitnej grocie, to bowiem nie miało nawet związku z historią moją i Annunciaty. Przeszedłem zaraz do spotkania naszego w Wenecji i ostatniej rozmowy. Maria ukryła twarz swoją w dłonie i płakała. Roza pogrążona była w milczeniu.

Nareszcie przemówiła:

– Nie wiedziałam o tym nic zgoła, nie domyślałam się niczego! Przesłano ze szpitala sióstr miłosierdzia list do Marii. Umierająca kobieta błagała ją w imieniu wszystkich świętych, na jej

własne serce ją zaklinając, aby do niej przybyła. Towarzyszyłam jej w gondoli, ale tam pozwolono już tylko wejść jej samej, zostałam więc z zakonnice, a ona poszła do łóżka konającej.

– Widziałam Annunziata – przerwała Maria. – Oddałam panu, co od niej odebrałam i spełniłam jej polecenie.

– I cóż mówiła? – zapytałem z żywością.

– Oddaj to pani improwizatorowi Antoniowi, ale tak, żeby nikt nie widział. Mówiła o panu, a mówiła, jak tylko siostra, tylko najpocziwsze serce mówić może. Naraz spostrzegłam krew na jej ustach, spojrzała na mnie w chwili zgonu i... – Tu Maria łzami się zalała.

Nie rzekłszy ani słowa, przycisnąłem do ust jej rękę, dziękując za jej pobożny uczynek i dobre serce. Dziękując za spełnienie prośby Annunciaty, pożegnałem się zaraz i wstąpiłem do kościoła, aby pomodlić się za zmarłą.

Nigdy mi nie okazano więcej współczucia i przyjaźni w domu podesty niż od tej chwili. Roza i Maria traktowały mnie jako brata, starały się uprzedzać moje życzenia, w najmniejszych nawet drobnostkach widziałem ich troskliwość o mnie.

Odwiedziłem grób Annunciaty. Cmentarz wyglądał jak arka pływająca, wznosząca się nad wodę wysokimi murami – istny ogród umarłych obłany wodą. Ujrzałem murawę z mnóstwem czarnych krzyży. Znalazłem grób, którego szukałem. Spostrzegłem tylko skromny napis: Annunziata – na krzyżu wisiał ładny wieniec laurowy, zapewne rękami Rozy i Marii upleciony. Podziękowałem w duchu obydwu. Piękna była Maria w swoim łagodnym usposobieniu, dziwnie podobna do ślicznego obrazu Lary i do niej samej, gdy oczy miała spuszczone; wydawały mi się obydwie, pomimo niepodobieństwa do prawdy, jedną i tą samą osobą.

W tym czasie odebrałem list od Fabianiego. Pisał mi, że go to dziwi, iż już czwarty miesiąc bawię w Wenecji. Sądzi bowiem, że nie powinienem tak długo siedzieć w tym mieście, ale zwiedzić Mediolan albo Genuę. Pozostawia mi jednakże zupełną w tym względzie wolność.

Co mnie rzeczywiście zatrzymywało w Wenecji? Dla mnie była ona miastem żałoby, jakim ją ujrzałem w dniu przyjazdu; najpiękniejsze marzenie mego życia rozplątało się tutaj w łzy. Maria i Roza były mi lubymi siostrami, Poggio miłym, wiernym przyjacielem – nie znalazłbym nikogo przychylniejszego, ale trzeba nam się było jednak rozłączyć, tu bowiem mój smutek znajdował coraz nową podniecie. Trzeba wyjechać, oddalić się stąd! – postanowiłem.

Chciałem przygotować na to Rozę i Marię, trzeba je bowiem było o tym powiadomić. Siedziałem z nimi pewnego wieczoru w wielkim salonie, którego balkon wychodził na kanał. Maria chciała kazać przynieść lampę, ale signora Roza mówiła, że piękniej przy świetle księżycy. Pomarańcze napełniały salę miłą wonią.

– Zaśpiewaj nam coś, Mario! – poprosiła Roza. – Zaśpiewaj tę piękną piosnkę o grocie troglodytów, niechaj też usłyszy ją Antonio.

Maria śpiewała cudownie pięściwym głosem dziwną, miłą piosenkę dziecinną. Treść i melodia zlewały się w jednolitą całość i odsłaniały sercu i myśli ojczystą krainę piękną, przesłoniętą eterycznymi obłoczkami.

– Jest w tej piosence coś niebiańskiego, przezroczyściego! – mówiła Roza.

– Takim się zapewne objawia duch bez ciała! – dodałem z uniesieniem.

– Taką się wydaje piękność świata w duszy niewidomego – rzekła Maria z westchnieniem.

– Ale pewnie już nie tak zachwycająca, gdy oczy widzą? – zapytała Roza.

– Prawda, wtedy świat ten nie tak cudownie piękny, a jednak piękniejszy! – odpowiedziała Maria.

Wtenczas opowiedziała mi Roza, co już wiedziałem od Poggia, że Maria była niewidoma, a brat jej wzrok dziewczynie przywrócił. Maria wspomniała go z wdzięczną miłością, opowiadała mi z dziecinną prostotą, jakie wówczas miała wyobrażenie o otaczającym ją świecie, o słońcu, ludziach, szerokolistnych kaktusach i wielkich świątyniach.

– W Grecji jest ich więcej niż tutaj – dodała nagle, po czym na chwilę zamilkła. – Kolory wyobrażałam sobie zgodnie z mocą i pięknnością głosów – rzekła po pewnej chwili. – Powiadano mi: fiołki są niebieskie, niebo i morze niebieskie, a z zapachu fiołków wносиłam, jak piękne musi być niebo i morze.

– Kiedy oko cielesne martwe, duchowe widzi tym jaśniej. Niewidomy przywyka do wiary w świat duchów; wszystko, cokolwiek w duchu widzi, jest objawieniem z tego świata.

Przyszła mi na myśl Lara z wiązką modrych fiołków we włosach. Owiewająca mnie woń pomarańczy uniosła myśli moje do Paestum, gdzie fiołki i czerwone lewkonie rosną na gruzach świątyń. Rozmawialiśmy o zadziwiającej piękności przyrody, o morzu i górach, a signora Roza tęskniła za rozkosznym Neapolem. Wtedy powiedziałem im, że odjazd mój bliski i że za dni kilka Wenecję pożegnam.

– Pan chce nas opuścić? – spytała Roza z zadziwieniem. – To mi w ogóle nie przyszło do głowy.

– I już nie wróci pan do Wenecji, nie zechce już nigdy odwiedzić swoich przyjaciół? – dodała Maria.

– Owszem! Owszem! Zapewne! – odpowiedziałem skwapliwie, a chociaż się to nie zgadzało z moim zamiarem, zapewniłem, że z Mediolanu pojedę do Rzymu przez Wenecję, ale nie mówiłem tego z przekonaniem.

Poszedłem na grób Annuniaty, urwałem listek z wiszącego na nim wieńca i schowałem go, jakbym tu nigdy nie zamierzał powrócić. Byłem też ostatni raz w tym miejscu. Grób zamykał tylko prochy; w moim sercu zaś wryty był obraz piękności, a dusza, którą przedstawiał, znajdowała się u Madonny. Grób Annuniaty i pokoik, w którym Roza i Maria podały mi rękę na pożegnanie, były jedynymi świadkami mego żalu.

– Życzę, abyś znalazł pan szlachetną kobietę, która by panu zastąpiła serdeczną stratę! – mówiła signora Roza przy pożegnaniu. – Przywiedź ją pan kiedyś w moje objęcia. Przeczuję, że ją będę kochała, jak mnie pan nauczyłeś kochać Annuniatę!

– Wracaj pan wesół! – dodała Maria i spojrzała mi w oczy z serdeczną żałością. Podesta stał przede mną ze szklanicą szumiącego szampana w ręku, a Poggio śpiewał wesołą piosnkę wędrowca, o warcącym kole wozu i pieniach ptasząt w otwartym polu. Odprowadził mnie gondolą do Fuziny. Kobiety powiewały z balkonu białymi chusteczkami. Ileż to różnych wypadków zajść mogło do czasu naszego powtórnego zobaczenia się! Poggio okazywał pustą wesołość, ale uważałem, że ta wesołość była udana. Uściskał mnie serdecznie i prosił, abyśmy do siebie często pisywali. W końcu dodał:

– Donieś później o swojej pięknej narzeczonej, a o zakładzie naszym nie zapomnij!

– Jak możesz w tej chwili żarty stroić? – przymówiłem mu. – Znasz moje postanowienie! – I rozstaliśmy się.

XXVIII

Osobliwości werońskie. Tum mediolański. Spotkanie przy łuku triumfalnym Napoleona. Marzenie i rzeczywistość. Niebieska grotta

Powóz mój podróżny toczył się wartko, wodziłem oczyma po zielonej wodzie Brenty, wierzbach płaczących, rozkosznych willach i dalekich górach. Przed wieczorem stanąłem w Padwie. Na powitanie ukazał się w jasnym świetle kościół Świętego Antoniego z pysznymi siedmioma kopułami. Pod kolumnadami ulicznymi pełno było głośnego życia, ale ja czułem się obcy i samotny. W dzień doznałem jeszcze nieprzyjemniejszego uczucia. Uznałem, że trzeba ruszać dalej! „Podróż rozwesela i rozpędza zgryzoty!” – pomyślałem sobie i znowu potoczyły się koła powozu.

Ujrzałem rozległą równinę, okrytą tak bujnie roślinami jak Błota Pontyjskie. Nad rowami zwieszały się płaczące wierzby podobne do cichych kaskad, naokoło wznosiły się ołtarze ze świętymi obrazami Madonny, niektóre z nich starła dłoń czasu, nawet mury, na których były pomalowane, spoczywały na pół w gruzach. Lecz tu i ówdzie jaśniały nowo malowane obrazy Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Zauważyłem, że vetturino tylko przed nowymi obrazami uchylał kapelusza, na stare, zatarte zdawał się wcale nie zważać. Dziwne to na mnie zrobiło wrażenie. Widziałem w tym więcej, niż może było w istocie. Nawet świętość nie była poważana i szła w zapomnienie, gdy jej ziemskie barwy pobladły.

Przez Vicenza, gdzie dzieła Palladiego nie rozjaśniły ani promyczkiem mroku mego zasmuconego serca, przybyłem do Werony, która dopiero pierwsza ze zwiedzonych dotąd miast miała dla mnie powab. Amfiteatr zwracał myśl moją do Rzymu i przypominał mi Koloseum; jest to piękny tegoż wzór, tylko w mniejszych rozmiarach, wyraźniejszy i niezniszczony przez barbarzyńców. Obszerne sklepione sale służą za podwórzec, na którym wypakowują kupieckie bryki. Na środku areny stała buda z desek i płótna, gdzie, jak mi powiadano, miała jakaś koczująca trupa dawać przedstawienia. Poszedłem tam wieczorem, werończycy zasiedli na tych samych kamiennych stopniach amfiteatru, na których siadywali ich przodkowie. Na małej scenie grano sztukę pod tytułem: *Cenerentola*. Była to ta sama trupa, do której niegdyś należała Annunciata. Aurelia wystąpiła w głównej roli. Całość wyglądała nędznie i smutno. Dawny teatr otaczał niby olbrzym tę kruchą, drewnianą budę. Kontrabas zagłuszał wszystkie inne instrumenty, publiczność klaskała gromko i wywoływała Aurelię. Wyniosłem się czym prędzej. Na dworze, wkoło namiotu panowała głęboka cisza. Olbrzymi gmach starożytny rzucał szerokie, czarne cienie na srebrzyste tło z blasku księżyca.

Opowiadano mi o rodzinach Capulettich i Montecchich, których niesnaski rozdzieliły dwa młode serca złączone potem w chwili zgonu – historię Romea i Julii! Pokazano mi pałac Capulettich, gdzie Romeo pierwszy raz ujrzał swoją Julię i z nią tańczył. Teraz zamieniono dom ten w oberżę dla przyjezdnych. Wstąpiłem na schody, po których się niegdyś skradał Romeo do miłości i śmierci. Stoi jeszcze dotąd sala balowa z wypłowiałymi na ścianach obrazami

i wysokimi, aż do posadzki sięgającymi oknami, ale wszędzie nabarłożone było słomą i sianem, pod ścianami stały beczki wapna, a po kątach leżały stopy szorów i narzędzi rolniczych. Tutaj jadały niegdyś najdumniejsze rodziny Werony wśród odgłosów muzyki. Tutaj prześnili Romeo i Julia krótkie chwile miłości. Dotkliwie uczułem znikomość wszelkiego blasku ziemskiego – przekonałem się, że Flaminia najlepszy stan obrała, a Annunciata już ów błogi stan osiągnęła i uznałem umarłe moje za szczęśliwe. Serce biło mi żywo jak w gorączce; nie potrafiłem osiągnąć spokoju. „Wyruszę do Mediolanu – pomyślałem sobie – tam zamieszkać”. I zacząłem wypatrywać mego nowego celu z utęsknieniem. W końcu tego miesiąca stanąłem u celu podróży, lecz Wenecja wydawała mi się przyjemniejsza, daleko miłsza! Czułem się samotny, a jednak nie zawierałem żadnych znajomości, nie oddałem ani jednego z listów polecających, które miałem ze sobą.

Olbrzymi teatr z zasłoniętymi łóżkami w sześć rzędów jeden nad drugim, cały ten gmach, zapewne rzadko kiedy zapełniony, wydawał mi się wewnątrz pusty, a jednak było mi w nim za duszno. Raz tylko poszedłem na przedstawienie – grano operę Dionizettiego – *Torquato Tasso*. Byłem w duchu przekonany, że mógłbym sławnej śpiewaczce kilkakrotnie wywoływanej, uszczęśliwionej takim triumfem przepowiedzieć, jak złowrogi wieszczek, przyszłość pełną nędzy. Życzyłem jej, aby w tej chwili szczęścia, dopóki jeszcze zwycięża pięknnością – umarła, wtedy by świat nad nią zapłakał, a nie ona nad światem. W balecie tańczyły bardzo ładne dzieci, na widok ich piękności serce mi się ścisnęło. Nigdy już potem nie poszedłem do teatru Scala.

Tułałem się sam jeden po chłodnych ulicach wielkiego miasta. Sam, jak pustelnik, przesiadywałem w moim pokoiku. Zacząłem pisać tragedię: *Leonardo da Vinci* – tu bowiem przemieszkiwał; tu oglądałem jego nieśmiertelne dzieło: *Ostatnia Wieczerza*. Podanie o jego nieszczęśliwej miłości, o kochance, od której odgradziły go mury klasztoru – znalazłem powtórzone w moim własnym życiu. Mając ciągle przed oczami Flaminie i Annunciatę – wylałem na papier każde tchnienie mego serca. Ale brakowało mi Poggia, tęskniłem za Marią i Rozą. Ich troskliwość i przyjaźń stały się niezbędne dla mego cierpiącego serca. Napisałem do nich list, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Nawet Poggio nie dotrzymał pięknych przyrzeczeń co do listów i przyjaźni. Okazał się taki, jak wszyscy, których zwykliśmy nazywać przyjaciółmi, a do których się w chwili rozstania zazwyczaj silniej przywiązujemy. Bywałem co dzień w mediolańskim tumie, podobnym do skały z kararyjskiego marmuru, wyrobionej w piękne kształty. Pierwszy raz widziałem ten kościół przy świetle księżyca, część jego wierzchnia olśniewającej białości wznosiła się w ciemnoszafirowe powietrze. Wszędzie, gdzie tylko spojrziałem, wyglądały z zagięć i wieżyczek, którymi gmach ten przepełniony, marmurowe posągi. Jego wnętrze większym jaśniało blaskiem niż kościół Świętego Piotra. Ów szczególnie pomrok, światło wpadające przez różnokolorowe szyby, odsłaniający się tutaj świat cudowny, pełen tajemniczości – czynią ten gmach prawdziwą świątynią pańską. Bawiłem już cztery tygodnie w Mediolanie, gdy po raz pierwszy wstąpiłem na dach tumu. Słońce oświecało białą płaszczyznę, dokoła wznosiły się wieże, jakby kościółki i kaplice na obszernym marmurowym rynku. W dole rozciągał się Mediolan, ujrzałem nowe posągi świętych i męczenników, których z ulicy trudno było dostrzec.

Stałem na samym szczycie, przy ogromnej figurze Chrystusa Pana, najwyżej wyniesionej na tej świątyni. Po stronie północnej rozsiadły się niebotyczne, sine Alpy, od południa bładoniebieskie Apeniny, pomiędzy nimi zieleni się niezmierna okiem równina, niby płaska Kampania rzymska, w kwitnący zamieniona ogród. Patrzyłem ku wschodowi, w stronę Wenecji.

Stado wędrownych ptaków ciągnęło tam długim sznurem, jak na wiatr puszczone wstęga. Wspomniałem na lubyh w tamtej okolicy – Poggia, Rozę i Marię, a w piersi mojej zbudziła się dotkliwa tęsknota. Przyszła mi na pamięć powiastka, którą słyszałem, będąc jeszcze chłopcem, w czasie powrotu z matką i Mariuccią od jeziora Nemi, gdzie widzieliśmy łupieżnego orła, gdzie objawiła się nam Fulwia. Opowiadała nam wtedy Angelina o biednej Teresi z Olevano, która usychała z tęsknoty i żalu za hożym Giuseppem, co poszedł za góry w kraj północny; jak stara Fulwia kładła wtenczas zioła w kociołek i warzyła je tak długo, aż Giuseppe ściśniony tęsknotą nie puścił się w podróż z powrotem, śpiesząc dniem i nocą do miejsca, gdzie się warzyły czarodziejskie zioła i włosy jej i jego. Uczułem w mej piersi taką samą tęsknotę magiczną, którą górale nazywają tęsknicą. Ale u mnie być jej przecież nie mogło, bo Wenecja nie była moim rodzinnym miastem.

Uczułem mocny wstrząs, jakąś niemoc, zszedłem więc z dachu kościoła. W moim pokoju zastałem nareszcie list od Poggia! Z tego, co pisał, można było wnosić, że już do mnie pisał, ale do mnie wcześniejszy list nie dotarł. Wszyscy w Wenecji byli zdrowi i weseli, tylko Maria cierpiąca, martwiono się o nią bardzo, ale teraz minęła najgorsza obawa. Maria przyszła do siebie, lecz jeszcze nie wychodzi z pokoju. Potem dodał Poggio swoje żarciki, pytając, czy mnie jeszcze żadna mediolanka nie usidliła? A w końcu przypomniał o szampanie i naszym zakładzie. List ten oddychał taką swobodą umysłu, taką pustotą, tak znacznie się różnił od usposobienia mojej duszy, a jednak tyle mnie ucieszył, jakbym patrzył na szczęśliwego, błaznującego Poggia. Jakże się mylą ludzie, sądząc, że on wiecznie cierpi tajemne udręczenie, że jego wesołość jest tylko karnawałową maską – nie! Ta wesołość jest wrodzona. Świat rozgaduje, że Maria jest moją narzeczoną, a serce moje tak dalekie od tej myśli! Tęskniłem za nią równie mocno jak za Rozą, a przecież nikt nie powiedział, że kocham podstarzałą signorę Rozę. Ach, jakże pragnąłem być w Wenecji! Tutaj nie mogłem wytrzymać! A przecież sztychłem z tego dziwnego bólu mego serca.

Aby się rozerwać, wyszedłem za bramę, przez Piazza d'Armi, do bramy triumfalnej Napoleona, zwanej Porta Sempione. Znalazłem tam dużo robotników zajętych pracą. Wszedłem drzwiami w obręb niskiego parkanu otaczającego tę budowlę, która wtenczas jeszcze nie była wykończona; dwa nowe, wielkie konie z marmuru stały na ziemi; naokoło podstawy rosła wysoka trawa, leżało dużo marmurowych głazów i ociosanych z grubsza nagłówków.

Ujrzałem jakiegoś podróżnego z przewodnikiem, zapisującego w książeczkę szczegóły, które mu podawano. Przechodząc koło niego, spostrzegłem dwa napoleońskie ordery na jego piersi, miał około trzydziestu lat. Przypatrywał się ciekawie bramie triumfalnej. Poznałem w nim Bernarda. On także mnie spostrzegł, rzucił się w moje objęcia i uściskawszy serdecznie, zawołał pełnym głosem:

– Ach! Antonio! Jakie radosne spotkanie! Choć spokojniejsze niż nasze huczne pożegnanie! Wszakże jesteście jeszcze przyjaciółmi? Tak przynajmniej myślę.

Dreszcz mnie przejął.

– Bernardo! – rzekłem. – A więc w kraju północnym, pod Alpami się spotykamy?

– Tak jest, a ja nawet z Alp przybywam, z gór lodowych i śnieżnych. Ze szczytu tych mroźnych gór widziałem krańce ziemi!

Opowiadał mi potem, że przez lato bawił w Szwajcarii. Szwajcarscy oficerowie w Neapolu tyle mu naopowiadali o piękności swego kraju, że się puścił tam chyżym parowcem na Genuę; zwiedził dolinę Chamonix, był na Mont Blanc i Jungfrau¹, którą nazywał *bella ragazza*. To

najzimniejsza, jaką znam, dziewica!

Poszliśmy razem ku nowemu amfiteatrowi, a potem wróciliśmy do miasta. Opowiadał mi, że teraz jedź do Genui, gdzie odwiedzi swoją narzeczoną i jej rodziców, że postanowił zostać statecznym małżonkiem. Prosił, żebym mu towarzyszył, szepcząc z uśmiechem do ucha:

– Ale żebyś mi nie wspominał przed nią o moich łaskawych ptaszkach, o naszych miłych śpiewaczkach ani żadnych podobnych historiach! Teraz zapewne sam się przekonałeś, że przygody młodego serca obyć się bez nich nie mogą. Gdyby się moja narzeczoną o tym dowiedziała, mogłaby dostać bólu głowy, a mnie by żal było, bo ją bardzo kocham.

Nie mogłem się zebrać na wspomnienie o Annunciacie, byłem bowiem przekonany, że on nigdy jej tak szczerze jak ja nie kochał.

– Jedź ze mną! – mówił. – w Genui są śliczne dziewczęta. Już dorosteś i zmądrzałeś, zapewne więc masz ku nim pociąg. Neapol cię wykształcił, czyż nie? Za trzy dni wyjedziemy. Jedź ze mną, Antonio!

– Ja wyjeżdżam już jutro! – rzekłem mimo woli. Nie myślałem wcale o tym, ale stało się!

– Dokąd? – zapytał.

– Do Wenecji.

– Musisz zmienić plan tej podróży – nalegał na mnie. Lecz tłumaczyłem mu konieczność mego wyjazdu tak długo, aż w końcu sam go w siebie wmówiłem. Zacząłem robić przygotowania do podróży, jakbym już od dawna o niej myślał.

Nie mogłem zasnąć tej nocy, kilka godzin spędziłem w łóżku wśród dzikich, gorączkowych marzeń i chorobliwej bezsenności.

„Do Wenecji!” – wołał na mnie głos wewnętrzny.

Widziałem się jeszcze raz z Bernardem, prosiłem, aby swej narzeczonej złożył ode mnie uszanowanie i pośpieszyłem do miasta, z którego przed dwoma miesiącami wyjechałem.

Czasem zdawało mi się, jakbym zażył trucizny, która burzyła moją krew. Jakaś niepojęta trwoga nagliła mnie do pośpiechu. „Co mnie też tam czeka?” – myślałem sobie.

Po przybyciu do Fuziny ujrziałem posępne mury Wenecji, wieżę Świętego Marka i laguny. Naraz znikł mój tajemniczy niepokój, moja tęsknota i trwoga, a obudziło się inne uczucie, jakby je to nazwać? Wstydem siebie samego, niechęcią czy niezadowoleniem? Sam nie wiedziałem, po co tu przybyłem. Widziałem śmieszność własnego zachowania i uważałem, że wszyscy tak samo będą sądzić, że wszyscy będą mnie pytać: po co przybyłeś znowu do Wenecji?

Stałem w moim dawnym mieszkaniu, ubrałem się czym prędzej, a chociaż byłem znużony podróżą, postanowiłem natychmiast odwiedzić signorę Rozę i Marię. Ciekawy byłem, co też one powiedzą na mój powrót.

Gondola zbliżała się do pałacu. Jakie też dziwne myśli roją się po głowie ludzkiej! Gdybyś teraz zastał tam ucztę godową? Gdyby Maria miała być narzeczoną? Gdyby właśnie w tej chwili obchodzono wesele? Ale wszakże jej nie kochałem.

Powtórzyłem to bez mała tysiąc razy memu przyjacielowi Poggiowi i każdemu, kto był tego mniemania!

Ujrzałem znowu szarozielone mury i wysokie okna, a serce mi biło niespokojnie. Wszedłem. Służący otworzył mi drzwi zasępiiony, milczący, ale nie okazał na mój widok żadnego zadziwienia. Zdawał się innymi rzeczami być zajęty.

– Podesta jest dla pana zawsze u siebie, signor! – rzekł.

W wielkim salonie panowała grobowa cisza. Firanki były pospuszczane. „Tutaj mieszkała Desdemona – pomyślałem – tutaj może znosiła cierpienia, a jednak doznawał Otello sroższych cierpień niż ona!” Skąd mi przysłała na myśl ta stara historia? Wszedłem po cichuteńku do pokoju Rozy. I tu okna były zasłonięte, prawie ciemno – znowu opanowała mnie taka sama niepojęta trwoga, jaka towarzyszyła mi przez całą drogę do Wenecji. Drżenie przeszło po całym moim ciele, musiałem się oprzeć o krzesło. Wtem wszedł podesta, uściskał mnie serdecznie, wyglądał na szczerze ucieszonego z mego przybycia. Gdy zapytałem o signorę Rozę i Marię, spostrzegłem, że twarz mu się zasepiła.

– Nie ma ich w domu – odpowiedział. – Wyjechały w towarzystwie pewnej rodziny do Padwy. Wrócą jutro albo pojutrze.

Nie mogłem sobie wytłumaczyć dlaczego, ale powątpiewałem w prawdę tych słów. Może to pochodziło z mego gorączkowego stanu, podsycanego wewnętrznymi cierpieniami.

Przy wieczery uczułem dotkliwą nieobecność Rozy i Marii. Podesta także nie był taki jak zawsze. Mówił mi, że trapi go pewien proces.

– Poggio też nigdzie nie można znaleźć – dodał. – Wszystkie nieszczęścia się zebrały. I pan jest chory, piękny doprawdy wieczorek! No, niechże nas wino rozweseli. Dla Boga! Pan zbłądł jak trup! – przerwał sam sobie, gdy zaczęło mi się ćmić w oczach i zemdlałem.

Był to napad gorączki, przypominam sobie tylko tyle, że znajdowałem się w miłym, na pół zacienionym pokoju. Podesta siedział przy mnie i namawiał, abym zostałem u niego, to wkrótce wrócę do zdrowia.

– Signora Roza będzie pana pielęgnować – dodał, ale o Marii nie rzekł ani słowa.

Popadłem w stan na wpół senny. Później usłyszałem, że mówiono o powrocie kobiet, że je wkrótce zobaczę. Spostrzegłem potem Rozę, ale była smutna, zdawało mi się, że płakała. Nastął wieczór. Wokół mnie panowała zatrwająca cisza, a jednak był jakiś niezwykły ruch. Na moje pytania nie dawano wyraźnych odpowiedzi. Słuch mój był bardzo wyczulony. Słyszałem, że w sali pode mną krzątało się dużo ludzi, usłyszałem pluskanie wiosł mnóstwa gondoli, a na pół we śnie pogrążony, doszedłem do przekonania, że Maria umarła. Poggio donosił mi o jej chorobie i wyzdrowieniu, ale zapadła powtórnie i to ją o śmierć przyprawiło. Tego wieczoru miano ją pochować, lecz ukrywano wszystko przede mną. Maria nie żyje! Ta Maria, którą niewidzialna władza związała z moim życiem! Dlatego przejmowała mnie tajemna trwoga. Lecz przybyłem za późno, już jej nie ujrzałem. Teraz znajduje się w krainie duchów, w świecie, do którego należała od dawna. Roza zapewne ozdobiła jej trumnę fiołkami – ona tak lubiła te niebieskie, wonne kwiateczki – teraz śpi pod nimi.

Leżałem spokojnie, cichuteńko, jakby snem śmierci ujęty – słyszałem, jak Roza Bogu za to dziękowała i odeszła ode mnie. W pokoju nie było nikogo, wieczór był ciemny, uczułem, że siły moje cudownie wracają. W kościele *dei Frari* znajdował się grób rodzinny podesty – o tym wiedziałem od dawna. Tam postawiono na noc trumnę z umarłą. Chciałem ją koniecznie zobaczyć. Wstałem, gorączka minęła, czułem się rześki i silny. Wziąłem płaszcz, nikt mnie nie spostrzegł, wsiadłem w gondolę. Myśl moja zajęta była tylko umarłą, drzwi kościelne zastałem zamknięte, bo już było dawno po *Ave Maria*. Zapukałem do kościelnego, on zaraz mnie poznał, bo mnie widywał często z rodziną podesty w kościele, on mi pokazywał grób Tycjana.

– Chce pan widzieć umarłą? – zapytał, odgadłszy myśl moją. – Leży w otwartej trumnie przed ołtarzem, jutro będzie pochowana w kaplicy.

Zapalił świecę, dobył zza pasa pęk kluczy i otworzył boczną furtkę. Nasze stąpanie rozlegało

się po milczących sklepieniach. On został za mną, a ja szedłem powoli długą nawą. Przed obrazem Madonny na ołtarzu paliła się lampa, ale blado i słabo. Białe posągi marmurowe stały niczym umarli w gieźlach; nieme, niewyraźne postacie. Przed wielkim ołtarzem paliły się trzy duże lampy. Nie czułem żadnego strachu, żadnej boleści, jakbym sam był umarły i wstępował w progi nowej ojczyzny mojej. Zbliżyłem się do ołtarza; owionęła mnie woń fiołków, światło lampy padało na oblicze umarłej w otwartej trumnie. Była to Maria! Myślałem, że śpi, wyglądała jak piękny posąg z marmuru. Jej czarne włosy ozdobione fiołkami zebrane były nad czołem. Zamknięte oczy, cały ten obraz spokoju i piękności przejął do głębi mą duszę. Ujrzałem w niej Larę, jaką widziałem siedzącą na gruzach świątyni, kiedy na jej czole złożyłem pocałunek – ale ta tutaj była postacią marmurową, zimna, bez życia.

– Laro! – wymówiłem z westchnieniem i ukląknęłem przed trumną. – Laro! Przemawiają do mnie po śmierci twoje zamknięte oczy, twoje nieme usta! Ja ciebie znam, poznałem cię w osobie Marii. Z tobą razem umarła ostatnia myśl moja o życiu.

Wtem łzy przyniosły ulgę memu sercu, płakałem. Łza padła na twarz umarłej, starłem ją pocałunkiem.

– Wszyscy mnie opuścili! – mówiłem z żalnym westchnieniem. – I ty, ostatnia, o której marzyło serce moje! Nie jak dla Annuniaty, nie jak dla Flaminii gorzało uczucie moje dla ciebie. Serce moje korzyło się przed tobą z czcią, pałało ku tobie świętą, czystą miłością, jaką tylko aniołowie czują, a ja nie wierzyłem, że to miłość, bo była duchowa, a myśli moje zbyt zmysłowością zajęte. Nigdy jej nie mogłem pojąć, nigdy ośmielić się na wyznanie jej tobie. Żegnam cię! Żegnam ostatnia oblubienico moja! – I złożyłem na jej czole pocałunek. – Kochanko duszy mojej! Nie poślubię nigdy żadnej kobiety! Żegnam cię, żegnam!

Zdjąłem mój pierścionek, włożyłem go na palec Lary – wzniosłem oczy do Boga – wtem strach okropny ściał krew moją, zdawało mi się bowiem, że umarła uchwyciła mnie silnie za rękę. Było to złudzenie. Patrzyłem na nią osłupiały, poruszała ustami. Wszystko wkoło mnie zaczęło się ruszać, włosy mi się zjeżyły. Strach, strach uśmiercający odjął władzę ręką i nogom moim, nie mogłem się ruszyć.

– Zimno mi! – przemówił ktoś tuż obok mnie cichym głosem.

– Lara! Lara! – zawołałem i wszystko pociemniało mi w oczach, tylko głos organów stłumiony, nadzwyczaj miły rozlegał się po kościele.

Ktoś lekko pogładził ręką moje czoło, promienie światła przebiły się do oczu moich, wszystko się naraz stało tak jasne, przezroczyście.

– Antonio! – szepnęła signora Roza, stała bowiem tuż przy mnie. Na stole paliła się lampa, przy łóżku klęczała jakaś nachylona, płacząca postać. Poznałem ją! Wszystko wyjaśniło mi się od razu. Mój przestach był tylko gorączkowym majakiem.

– Laro! Laro! – zawołałem. Ona zasłoniła oczy rękami. – Co też ja wygadawałem w gorączce? – Owo widzenie żywo stało mi przed oczami, a z twarzy Marii wyczytałem, że wysłuchiwała wyznania mego serca.

– Gorączka ustąpiła – rzekła po cichu Roza.

– Prawda, bardzo mi dobrze, ach, tak dobrze! – powiedziałem, patrząc na Marię. Ona wstała, chcąc wyjść z pokoju.

– Nie odchodź, pani! – błagałem, wyciągając za nią dłonie. Została i stanęła przede mną zapłonią, milcząca.

– Śniło mi się, że pani umarła – rzekłem.

– To były gorączkowe majaki! – przerwała Roza i podała lekarstwo.

– Laro! Mario! Posłuchaj mnie – zawołałem – to nie był majak. Czułem, jak życie w krew moją wracało. Myśmy się już dawniej widzieli. Pani słyszała niegdyś mój głos w Paestum, niedaleko Capri. Poznaje go pani? Laro! Wiem, jak krótkie jest życie. Dlaczego nie mamy w czasie tak krótkiego spotkania nie podać sobie nawzajem dłoni?

Wyciągnąłem ku niej rękę, ona ją do ust swych przycisnęła.

– Ja ciebie kocham! Kochałem od dawna! – mówiłem, a ona, klęcząc przy mnie, milczała.

Istnieje legenda, że miłość zaprowadziła ład w chaosie i tak świat stworzyła. To stwarzanie ponawia się w każdym żywo czującym sercu. Z oczu Marii czerpałem życie i zdrowie. Ona mnie kochała. Tak upłynęło dni kilka, siedzieliśmy sami w pokoiku przepelnionym wonią pomarańczy stojącej na balkonie. Tu słyszałem dawniej jej śpiew, a teraz pieściło się ucho moje daleko miłszym, subtelniejszym i bardziej zachwycającym dźwiękiem wyznań najszlachetniejszego serca. Nie omyliłem się, Lara i Maria były jedną osobą.

– Ja ciebie od dawna kochałam! – mówiła. – Ty tchnąłeś w pierś moją tęsknotę i żal, kiedy jeszcze byłam niewidoma, sama jedna z moimi marzeniami, kiedy czułam tylko woń fiołków i ciepło słońca! Twój pocałunek palił moje czoło i serce jak promienie słoneczne. Niewidomy żyje tylko w świecie duchowym, w tym ja widziałam ciebie. W noc po twojej improwizacji, którą słyszałam w świątyni Neptuna w Paestum, miałam cudowny sen, który był związany z rzeczywistością. Pewna Cyganka wywróżyła mi, że wzrok odzyskam. Śniło mi się, że mnie namawiała, abym z przybranym ojcem moim Angelo popłynęła morzem na Capri. Tam w Jaskini Czarownic znajdę światło moich oczu. Anioł życia poda mi leczące zioła, a oczy moje ujrzą, jak Tobiaszowe, miły świat boży. Drugiej nocy śniło mi się to samo. Opowiedziałam to Angelowi, a on potrząsał głową, bo nad rankiem i jemu śniło się to samo. Po chwili rzekł: „Chwała Madonnie! Nawet złe duchy muszą jej być posłuszne!”.

Zabraliśmy się niebawem; Angelo rozpiął żagiel i puściliśmy się ptakiem po wodzie. Dzień minął, nastał wieczór, nareszcie noc się zrobiła, wtedy ujrzałam się w owym cudownym świecie, słyszałam, jak anioł życia wymówił moje imię. Głos jego był zupełnie podobny do twojego; dał mi zioła i bogactwo składające się ze skarbów różnych krain. Warzyliśmy owe zioła, ale światło nie chciało zabłysnąć w moich oczach. Wtem przybył pewnego dnia do Paestum brat Rozy. Wszedł do chaty, w której leżałam, wzruszyła go tęsknota moja za oglądaniem pięknego świata; przyrzekł mi wzrok otworzyć, zabrał mnie do Neapolu i tam ujrzałam przecudowne twory boskie. On i Roza pokochali mnie – otworzyli mi świat inny, piękniejszy, duchowy. Zostałam przy nich, dali mi imię Maria, na pamiątkę zmarłej w Grecji siostry, którą bardzo kochali.

Pewnego dnia przyniósł mi Angelo skarby znalezione na Capri, mówiąc, że do mnie należą, bo w jego piersi już śmierć kołacze. Ostatnie zebrał siły, aby mi przynieść moje dziedzictwo. Pewnego wieczoru wypytał mnie brat Rozy z zadziwiającą surowością o starego opiekuna mego i ów skarb. Wiedziałam tylko tyle z jego opowiadania, że mu go duch w niebieskiej grocie oddał. Wiedziałam, żeśmy zawsze żyli w ubóstwie i że Angelo nie mógł w żaden sposób być morskim rozbójnikiem, był bowiem bardzo pobożny i najmniejszą rzeczą ze mną się dzielił.

Ja opowiadałem jej nawzajem, jak dziwne przygody jej życia splecione były z moimi, że ją widziałem w cudownej grocie; ale że starzec sam wziął ową ciężką miednicę, nie chciałem jej powiedzieć, lecz wyznałem, że to ja zioła jej podałem.

– Ale – odpowiedziała – duch ów w ziemię się zapadł, skoro mi ziele oddał, tak mi powiadał

Angelo.

– To mu się zdawało! Byłem osłabiony, nogi mnie już nie chciały nosić, kolana się zgięły i upadłem jak długi w zielone zarośla zemdlony.

– Ów cudowny, promienisty świat, w którym się spotkaliśmy, był nierozwiązalnym węzłem, który cudowność silnie związał z rzeczywistością.

– Wszakże miłość nasza należy do świata duchów! – zawołałem. – Wszyscy kochani nasi przeniesli się do tego świata. Nawet w życiu ziemskim często się do niego zbliżamy, dlaczego więc nie mamy wierzyć w jego istnienie? On właśnie jest wielką rzeczywistością. – Przycisnąłem Larę do serca, była piękna, jak wówczas, kiedy ją pierwszy raz widziałem.

– Poznałam cię po głosie, gdy cię tutaj usłyszałam improwizującego. Serce moje pociągnęło mnie ku tobie! Zdaje mi się, że nawet w kościele, w obliczu Madonny byłabym do stóp twych upadła! Tutaj cię poznałam, nauczyłam się cenić coraz więcej. Wciągnięta zostałam powtórnie na drogę twego życia, gdy mi Annunciata błogosławiła, jako narzeczonej twojej, ale ty odepchnąłeś mnie, powiedziałeś, że już nikogo nie kochasz, że żadnej kobiecie ręki swej nie oddasz. Nigdy nie wspomniałeś Lary, Paestum ani Capri, gdy opowiadałeś o dziwnym przeznaczeniu swego życia. Wtedy myślałam, że mnie nie kochasz, że zapomniałeś o tym, co od twego serca dalekie!

Pocałowałem ją w rękę, prosząc o przebaczenie i wyznałem, że to jej czarujące spojrzenie usta mi wiązało. Dopiero kiedy ciało chorobą zajęte legło nad brzegiem grobu, a duch mój bujał po krainie nadziemskiej, z którą miłość nasza tak cudowny miała związek – ośmieliłem się wyjawić moje serdeczne myśli.

Nikt obcy nie wiedział o naszym szczęściu w miłości, prócz Rozy i podesty. Chętnie bym powiadomił Poggia! W czasie mojej choroby odwiedzał mnie co dzień po kilka razy. Zdawało mi się, że był bardzo blady, gdy już nieco zdrowszy będąc, do serca go przyciskałem.

– Odwiedź nas pan dzisiaj wieczorem, Poggio! – rzekł podesta. – Ale na pewno! Zastanie pan tylko moją rodzinę, Antonia i jeszcze dwóch lub trzech przyjaciół.

Wszystko było przystrojone jak na uroczystość.

– To jakby czyjeś imieniny obchodzić chciano! – mówił Poggio, gdy go podesta z przyjaciółmi prowadził do kapliczki, gdzie mi Lara oddała rękę. W krucze włosy zatknęła wiązkę niebieskich fiołków. Niewidoma dziewczyna z Paestum stała przede mną widząca, o wiele piękniejsza. Została moją na zawsze.

Wszyscy mi życzyli szczęścia, radość była wielka, Poggio śpiewał wesołe piosnki, zdrowie spełniano co chwila.

Radość gości rozlegała się hucznym głosem, moja zaś i Lary była niema i cicha jak noc, która nas wzięła w swoje objęcia, gdy się już wszyscy rozeszli.

– Życie nie jest snem! Mam przekonanie, że szczęście miłości jest rzeczywistością! – zawołałem, a w serdecznym uścisku zamieniła się myśl ta w rozkosz, jaką sam tylko Bóg tchnąć mógł w pierś ludzką.

Dwa dni po ślubie wyjechaliśmy z Wenecji w towarzystwie signory Rozy. Zamieszkaliśmy w wiosce kupionej za pieniądze Lary. Od tego czasu więcej nie widziałem Poggia, odebrałem tylko od niego następujące słowa:

„Wygrałem zakład, a jednak przegrałem!”. Nie można go było znaleźć w Wenecji. Z czasem sprawdził się mój domysł, że on się kochał w Larze. Biedny Poggio! Usta twoje głosiły radość,

a serce dręczyły zabójcze myśli!

Signora Franceska bardzo Larę polubiła. Ja sam niezmiernie w tej podróży zyskałem. Ona, *eccellenza* i Fabiani, wszyscy byli radzi z mojego wyboru. Nawet Habbas Dahdah uśmiechał się całą gębą, gdy mi szczęścia wieszował.

Ze wszystkich dawnych znajomków moich żyje tylko jeszcze wuj Peppo. Wysiadał dotąd na Hiszpańskich Schodach, z których pewnie jeszcze przez kilka lat będzie wygłaszał swoje: *buon giorno!*

Dnia 6 marca 1834 roku zgromadziło się dużo podróżnych w osterii przy Pagan i na wyspie Capri. Wszyscy zwrócili uwagę na młodą Kalabryjkę, oczarowani jej pięknnością. Jej śliczne czarne oczy zwrócone były na męża, któremu właśnie podawała rękę. To byłem ja i moja Lara. Już trzy błogie lata przeżyliśmy ze sobą. Jadąc do Wenecji, zwiedzaliśmy teraz Capri, gdzie doznaliśmy najcudowniejszej w naszym życiu przygody, która się także tam dopiero stała dla mnie zrozumiała.

W kącie pokoju stała już niemłoda, miła kobieta z małym dzieckiem na ręku. Jakiś nieznajomy, wysoki, nieco blady jegomość o wyrazistej twarzy, w niebieskim surducie zbliżył się do dziecka, bawił się z nim i unosił się nad jego pięknnością. Mówił po francusku, a do dziecka powiedział parę słów po włosku. Skakał przed nim pociesznie, aż je rozśmieszył. Zapytał matrony, jak mu imię, a ta – moja droga Roza – odpowiedziała: Annunciata.

– Ładne imię – rzekł i pocałował dziewczynkę, córeczkę moją i Lary.

Zbliżyłem się do niego, był to Duńczyk. W pokoju znajdował się jeszcze jeden jego ziomek, poważny, niskiego wzrostu, rozumnych oczu, w białym surducie. Pozdrowiwszy ich, wdałem się z nimi w rozmowę, wszakże byli ziomkami Federiga i wielkiego Thorvaldsena. Pierwszy znajdował się, jak mi powiadali, w Danii, a drugi bawił jeszcze w Rzymie. Włochy właściwie mają prawo nim się szczycić, a nie zimna i ciemna północ.

Udaliśmy się na wybrzeże i wsiedliśmy w małe łódki, przeznaczone do przewożenia podróżnych na drugą stronę wyspy. W każdej łódce mieszczą się tylko po dwie osoby; jedna siada na jednym, druga na przeciwległym końcu, a wiosłarz pośrodku. Patrzyłem w przezroczystą wodę – w jej chłodnym przezroczu ujrzałem dawne moje wspomnienia. Wiosłarz dzielnie robił wiosłem, a łódka niosąca mnie i Larę mknęła strzałą po falach. Wyprzedziliśmy wszystkich. Wkrótce znikła nam z oczu amfiteatralna strona wyspy, gdzie skały okrywają zielone winnice i pomarańczowe drzewa, widzieliśmy tylko nagie ściany skał prostopadle ku niebu się wznoszących. Woda była błękitna, jak płomień siarczany, modre bałwany rozbijały się o podnóża skał, chlustając przez krwawoczerwone jabłka morskie, rosnące na dole.

Znajdowaliśmy się już po przeciwległej stronie wyspy i widzieliśmy tylko prostopadłą skałę, a w niej mały otwór tuż nad powierzchnią wody, tak mały, że zdawało się, iż zaledwie nasza łódka zmieścić się weń mogła.

– Jaskinia Czarownic! – zawołałem, a w mojej duszy zbudziły się dawne wspomnienia.

– Tak! Jaskinia Czarownic – rzekł wiosłarz. – Dawniej tak ją nazywano, ale dzisiaj wiemy lepiej, co to jest.

Opowiedział nam o dwóch malarzach niemieckich³, którzy przed trzema laty odważyli się tam wpłynąć i tym sposobem odkryli to prześliczne чудо, które teraz wszyscy podróżni oglądają. Zbliżyliśmy się do otworu, wznoszącego się ledwie dwie stopy nad lśniące zwierciadło morskie. Wiosłarz wciągnął wiosło do łodzi, musieliśmy się położyć wzdłuż na dnie, a on sterował ręką

i tak wślizgnęliśmy się w ciemną pieczarę pod ogromną skałą, opłukiwaną wodami Morza Śródziemnego.

Usłyszałem, że Lara ciężko oddycha. Było w tym coś zatrważającego, ale tylko przez chwilę, ujrzeliśmy się bowiem zaraz w obszernej grocie, gdzie wszystko się świeciło, woda pod nami wyglądała jak błękitny ogień całą grootę oświecający, ściany otworu, przez który wpłynęliśmy, sięgały w głąb może na czterdzieści sążni, a tam znowu się rozszerzały, jak grotą nad wodą. Tym sposobem padają jasne promienie słoneczne aż na dno groty, a odbite od gładkiego kamiennego dna szerzą po szafirowej wodzie lśniący odbłask. Wszystko jaśniało tym blaskiem: sklepienie, łódź. Krople tryskające za każdym uderzeniem wiosła były czerwone, jak listki świeżej róży. Był to świat czarodziejski, cudowna kraina duchów! Lara złożyła dłonie, jej myśli zbiegły się z moimi. Już raz tutaj byliśmy. W tym to miejscu, do którego nikt zbliżyć się nie śmiał, przechowywał korsarz swoje skarby. Teraz zamieniły się wszystkie nadprzyrodzone zjawiska w rzeczywistość, czy też rzeczywistość w świat duchów – jak wszystko w tym życiu, gdzie każda rzecz, od nasionka rośliny do nieśmiertelnej duszy naszej jest cudem, a jednak człowiek nie chce temu wierzyć.

Mały otwór groty świecił jak przezroczysta gwiazda. Naraz został zaćmiony i ukazały się kolejne łódki, które do nas wpłynęły. Wszyscy rozglądali się z pobożnym zadziwieniem.

– Woda się podnosi! – krzyknął jeden z żeglarzy. – Musimy wypłynąć, bo otwór zaleje, a wtedy musielibyśmy tu zostać, dopóki by znowu nie opadła.

Wypłynęliśmy tedy z cudownie oświetlonej jaskini. Niezmierne, otwarte morze rozlewało przed nami swoje wody, a za nami czerniał otwór niebieskiej groty.

¹ Jungfrau (w jęz. niemieckim: panna lub dziewica) – szczyt w Alpach Berneńskich, części Alp Zachodnich. Leży w Szwajcarii na granicy kantonów Berno i Valais.

² Bazylika Santa Maria Gloriosa dei Frari, zwana potocznie Frari, jest kościołem umiejscowionym przy Calle del Magazen w Wenecji, w północnych Włoszech.

³ Ernst Fries i August Kopisch.

Tytuł oryginału: *Improvisatoren*
Przekład: Hieronim Feldmanowski

Copyright © 2017, MG

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-426-5

Projekt okładki: Elżbieta Chojna

Korekta: Dorota Ring

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

handlowyMG@gmail.com

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com